





FRANCISZEK GALIŃSKI

GAWĘDY
O
WARSZAWIE

WYDANIE DRUGIE

1

9

3

7



WYDANE NAKŁADEM
INSTYTUTU WYDAWNICZEGO „BIBLIOTEKA
POLSKA” W WARSZAWIE W OPRACOWANIU
GRAFICZNYM ST. BRZĘCKOWSKIEGO

TŁOCZONO W ZAKŁADACH GRAFICZNYCH
„BIBLIOTEKA POLSKA” W BYDGOSZCZY

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

COPYRIGHT BY INSTYTUT WYDAWNICZY
„BIBLIOTEKA POLSKA”, WARSZAWA



1110 38062



II 11038

VII MF

IX 4A/dc

K. 276/57



Widok Warszawy w r. 1656 (Miedzioryt E. J. Dahlbergh'a z dzieła Puffendorfa „De rebus a Carolo Gustavo gestis“ 1696)

ZAMIAST WSTĘPU

Stolica państwa, nie mówimy tutaj specjalnie tylko o Warszawie, ale stolica każdego państwa jest jego sercem, mózgiem i przede wszystkim obliczem. Odzwierciadla ona wszystkie wzruszenia, wszystkie wstrząsy, jakie przeszły przez dzieje narodu. Jak na twarzy człowieka, poranej zmarszczkami i bruzdami, poznać można jego przeżycia, jego bóle i radości, zwłaszcza przeżyte cierpienia, tak i powierzchowność miasta, dla umiającego w nim czytać jak w twarzy, jest odzwierciedleniem jego dziejów.

Chodzi on po ulicy jak po cmentarzysku historii, która nad nią przeszła. Place i ulice, gmachy reprezentacyjne i świątynie, pałace i pomniki, nędzne nieraz gdzieś na krańcach lepianki lub odrapane szczątki murów w Starym Mieście są jak wyrastające z zapadłych głębin cmentarza nagrobki faktów minionych. Wspomnienia te powstają i żyją, i przemawiają do nas przez pozornie martwe, ale wciąż pełne przeżyć splekane mury i gładkie nieraz płyty chodników.

To jest właśnie „wczoraj“ Warszawy.

Nie wszyscy z jej mieszkańców, nawet w niej zrodzonych, znają jej „dzisiaj“, żyjąc i obracając się w ciemnym kole swych najbliższych, osobistych, materialnych interesów, prześlizgując się po powierzchni miasta dniem lub nocą między swym domem a codziennym warsztatem pracy, urzędem, kantorem lub sklepem. Ale i ten szczupły teren ich bytowania, to obecne „dzisiaj“, stanie się z czasem „wczorajem“. I dopiero, kiedy na to obecne „dzisiaj“ zapadnie zmierzch przeszłości, wypełnią zeń w formie wspomnień fakty dziś nieznane lub pomijane, a posiadające dla stolicy lub nawet dla Państwa dziejowe znaczenie. I znów po murach i szczerbach rozsiane, a przez czas rzezane hieroglify odczytywać będą nasi potomni.

Teraz, kiedy jeszcze „dziś“ do nas należy, postarajmy się odczytać, co nam te runy o przeszłości mówią... i przeszłość tę wziąć do serca.

Jak sercem państwa w życiu codziennym, a obliczem w życiu dziejowym jest stolica, tak sercem i obliczem stolicy, jak w ogóle każdego miasta, jest zazwyczaj, a zwłaszcza w przeszłości był zawsze rynek, gdzie stał ratusz, odbywały się sądy i egzekucje, wszelkie uroczyste obchody, gdzie wreszcie była główna, a nieraz jedyna targowica, gdzie pulsowało najbardziej tętno życia rozchodząc się stąd z czterech rogów placu czterema lub najczęściej ośmioma ulicami w miasto. Od rynku każde miasto brało początek. Zanim powstało — wykreślano rynek i on był jądrem, dokoła którego powstawały nowe, dalsze komórki.

Tak było i z Warszawą.

Początek jej sięga drugiej połowy XIII wieku.

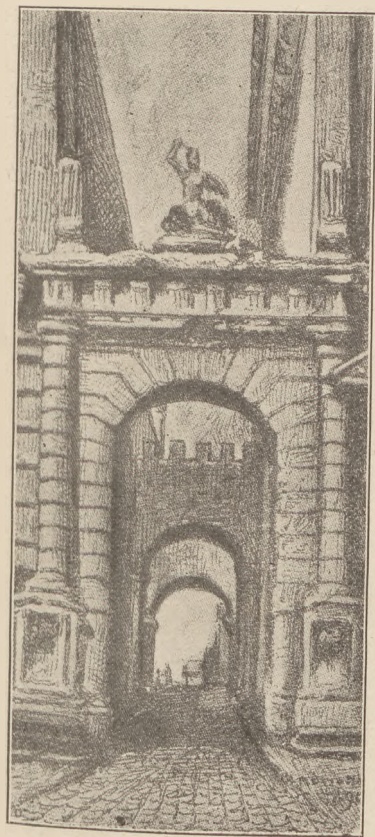
Do tej pory jeszcze, w pierwszej połowie tego stulecia, a więc w latach 1200 do 1250 część Mazowsza, położona na lewym brzegu o wiele szerszej podówczas Wisły, przedstawiała widok zgoła dziki. Przede wszystkim Wisła, jak wspomnieliśmy, była o wiele szersza. Z biegiem stuleci nie tyle prawy jej brzeg ustąpił, ile brzeg lewy. W okresie przed założeniem Warszawy płynęła rzeka tuż pod dzisiejszym pałacem Belwederskim, szpitalem Ujazdowskim, wzdłuż ulicy Rozbrat, Smolnej Dolnej, Cichej, Browarnej, Furmańskiej, Sowiej, Bugaja i Rybaków. Jeszcze po latach pięciuset ulice: Dobra, Bugaj, Rybaki były

nadbrzeżne i miały tylko lewą stronę zabudowaną, prawy brzeg spadał do Wisły.

W połowie XIII stulecia na lewym brzegu tej rzeki w miejscu, gdzie dziś wznosi się gród historyczny, stolica rozległego państwa, z monumentalnymi gmachami, z długimi zabudowanymi i gęsto zaludnionymi arteriami komunikacyjnymi — była puszcza, a raczej częścią wielkiej kniei, ciągnącej się z południa na północ od Pilicy do Bzury i dalej, w kierunku od Czerska i Góry Kalwarii do Zakroczymia. Była ona zarosła gęsto olchą, brzeziną i dębiną, pełna dzikiego zwierza, o czym świadczą do dziś pozostałe nazwy miejscowości w powiatach: warszawskim, sochaczewskim... pochodzące etymologicznie od drzew lub zwierząt. Dość wymienić: Dąbrowę, Olszową, Lipie, Brzeziny, Buraków, Borzęcin lub Wilków, Żbików, Jelonki, Lisy, Turów, Żółwin, Krogulec, Kanie, Sokołów itp.

Uczony przyrodnik polski Antoni Waga twierdzi, że jeszcze do połowy XIX wieku łapano na krańcach Warszawy lisy, a tchórze, kuny i łasice nierzadkie bywały w śródmieściu. Lasy te, bory i gaje przerywały w miejscu dzisiejszej Warszawy coraz to piaszczyste wzgórza łyse, mokradła, jeziora, sadzawki, rzeki, rzeczki i strumienie.

Na terenie dzisiejszej Warszawy takich rzek i strumieni, spływających wartko między wzgórzami wąwozem ku Wiśle, łączących się w biegu z sobą, zabierających po drodze lub przepływających dziesiątki jezior i sadzawek — było kilkanaście. Cztery większe opływały wzgórze warszawskie z północy, zachodu i południa.



Zdroje przy bramie ul. Karowej, wzniesionej w r. 1856 a zburzonej podczas budowy hotelu „Bristol” — rys. M. El. Andriolli 1836—1893 (ze zbiorów prywatnych autora).

Na północy płynęła ze źródeł pod Górcami przez Powązki i Marymont rzeka Rudawa, wpadająca do Wisły wprost Pelcowizny, to jest między Bielanami a dzisiejszą cytadelą.

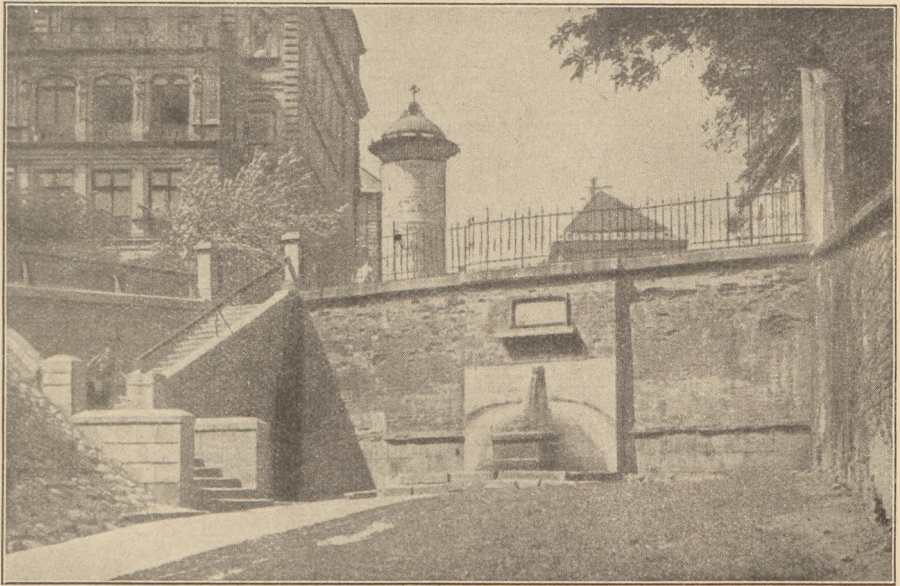
Na zachodzie pod Szczęśliwicami brała początek druga z większych rzek r. Drzasna, później zwana pospolicie Drną. Płynęła ona przez Rakowiec, Czyste i Wolę, przepływając tu kilka jezior i sadzawek, potem przez teren między późniejszymi i do dziś istniejącymi cmentarzami katolickim i żydowskim, wreszcie w miejscu byłych rogatek powązkowskich, bo na dzisiejszym rogu ulic Dzikiej i Okopowej skręcała znów przez jezioro w pobliżu ulicy Pokornej ku Wiśle. Zabierała ona kilkadziesiąt stawów.

Po niej to pozostałością jest istniejąca dotychczas na Woli tzw. Szadurka lub Sadurka.

W tym samym kierunku płynąc zabierała źródła, stawy, sadzawki itd. Grzybowa, Wielopola, Leszna i przez Nalewki za Muranowem skręcała ku Wiśle rzeka Bełcząca, od bełkotu wody tak zwana. Wpadała ona do Wisły wąwozem, gdzie stoi źródło pod cytadelą, w miejscu spadku do mostu kolejowego.

Czwarta z większych rzek płynęła z miejsca bliskiego wieży ciśnię z terytorium tak zwanego później Folwarku Świętokrzyskiego, a teraz szpitala Dz. Jezus, wąwozem ulicy Żurawiej, Książęcej, po części Czerniakowską przez Okrąg i wprost Solca wpadała do Wisły. Nazwa tej rzeczki rzadko bywa w dokumentach wymieniana jako Żurawa.

Poza tym wiele innych rzek i potoków dzieliło wzgórze, na którym się dziś wznosi Warszawa. Płynęły one przez wszystkie wąwozy dzisiejszych ul. Górnośląskiej, Książęcej, 3 Maja, Smolnej, Tamki, Oboźnej, Karowej, Bednarskiej, Mariensztadtu, Źródłowej, Grodzkiej (ze źródła na zamku), Mostowej (ze źródła „Donaj” na dzisiejszym Szer. Dunaju) i Kościelnej. Plany z pierwszych lat XIX w. wskazują jeszcze do 150 rzek, rzeczek, rzeczulek, strumieni, źródeł i potoków oraz jezior, stawów i sadzawek. Dziś wszystko to wyschło, zostało zasypane lub sklepięone albo włączone do sieci kanałów. Pozostały tylko bardzo nieliczne, słabo sączące się źródła przy ul. Agrykoli, Oboźnej, do niedawna na rogu wąskiej Karowej i Krak. Przedmieścia, a także pod zamkiem wreszcie źródło gotycki zbudowany przez króla Stan. Augusta pod cytadelą.



Źródło na ulicy Oboźnej (fot. Zdzisław Marcinkowski)

W kniejach tych, jak już wspomnieliśmy, książęta mazowieccy, panowie na Czersku, Rawie i Płocku, odprawiali łowy.

Od tej to pory płaskowzgórze warszawskie zaczyna już być historyczne.

Pomimo, że istniały już wówczas miasta: Zakroczym, Wyszogród, Nasielsk, Ciechanów, Sochaczew, Warka i inne, niektóre dość obronne, pierwszy udzielny książę mazowiecki Konrad I uczuł się bardziej bezpieczny w wiosce rybackiej na wyniosłym brzegu Wisły, ukrytej w gęstym borze i bronionej z jednej strony stromym brzegiem szerokiej rzeki, z drugiej bagnami i puszczą — niż w innych osiedlach.

Otóż pierwotnie ta Warszawa-wieś leżała w pobliżu rzeczki Drny w tym miejscu, w którym obecnie są ulice Przyrynek, Kościelna i Nowe Miasto z kościołem Panny Marii, wzniesionym ongi jako drewniana kaplica na miejscu poprzedniej gontyny pogańskiej. Tuż u jej stóp na samym brzegu Wisły rozciągała się uboga osada rybacka zwana „Rybitwą“. To dzisiejsza ulica Rybaki.

Pierwsze nadanie Warszawie praw miejskich, równocześnie mniej więcej z przeniesieniem jej nieco dalej na południe w sąsiedztwo zakładanego podówczas książęcego zamku, nie jest ściśle ustalone. Natomiast potwierdzenie już tych praw przez Janusza I Starszego znajdujemy w przywileju nadanym w roku 1413, odkąd istotnie w całej pełni Warszawa zaczęła korzystać z miejskiego prawa chełmińskiego.

Tutaj warto przypomnieć o innych miastach nie młodszych, jeżeli nie starszych od Warszawy, które w tym samym czasie uzyskały prawa miast, a które od tej pory do dziś, to jest przez lat pół tysiąca, niewiele się rozwinęły, jeśli je porównamy z Warszawą. Dość przypomnieć: Błonie, Ciechanów, Czersk, Garwolin, Grójec, Łomżę, Nowe Miasto, Maków, Magnuszew, Mińsk Mazowiecki, Ostrołękę, Piaseczno, Przasnysz, Warkę itd. Czemuż więc Warszawa zawdzięcza ten swój prędkie awans ze wsi książęcej na stolicę księstwa a potem Rzplitej?

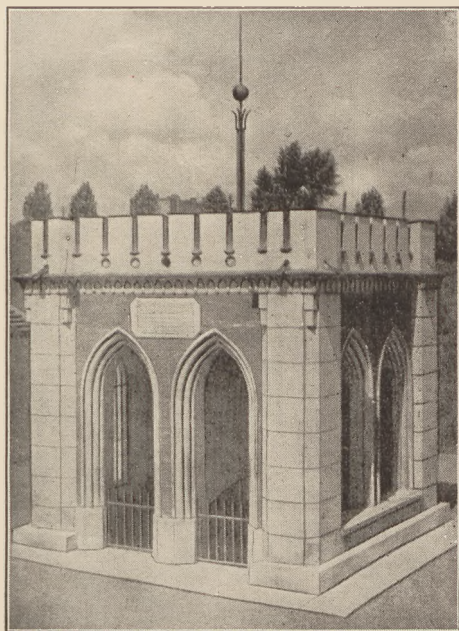
Oto — Ziemowit I, syn Konradowy, stale rezydujący w Czersku, wyjeżdżając często do kniei na łowy, o 5 godzin drogi od swego czerskiego zamku posiadał na miejscu starego, pozostałego jeszcze z pogańskich czasów grodziska — osiek drewniany, otoczony wałem ziemnym i fosą. Dwór ten, będący strażnicą nad przewozem rzeczny przez Wisłę, czyli nad „jazdem“, skąd prawdopodobnie pierwotna nazwa „Jazdów“ pochodzi, obsadzony był służbą, która tu utrzymywała gospodarstwo, a w czasie podróży gościła księcia jako swego pana i dziedzica.

Tutaj też, do owego dworu myśliwskiego, na miejscu dzisiejszego szpitala Ujazdowskiego, schronił się uszedłszy z Czerska w czasie wojny z Litwą i Rusią Ziemowit i tu ujęty został w r. 1262 i ścięty.

Po Ziemowicie I księstwo czerskie odziedziczył starszy z dwóch jego synów Konrad II (1251—1294).

Za niego to powstały wsie: Wola, Mokotów, Powązki, położone na krańcach kniei, gdy o Warszawie jeszcze się nie śniło.

Książę z żoną większą część czasu spędzał teraz nie w Czersku, lecz w rozbudowanym Jazdowie. A już wówczas po wzgórzu wzdłuż Wisły prowadziła kręta droga z Czerska przez Jazdów do Zakroczymia i Płocka. Przy tej drodze z chwilą zadomo-



Neogotycki pawilonik nad źródłem Stanisława Augusta pod Cytadłą (fot. Dr Tadeusz Przykowski)

wienia się księcia w Jazdowie mieszkało i pobudowało się wielu dworzan, rolników, rzemieślników i służby książęcej. W pobliżu tej samej drogi także, tuż nad urwistym brzegiem rzeki zbudowany został wkrótce nowy dwór, przy którym były obory, stodoły, oboźnie i ogromny zwierzynek. Było to w miejscu późniejszego pałacu Kaźmierskiego (gdzie dziś Uniwersytet) i w miejscu Dynasów (gdzie dziś ul. Oboźna).

Między nowym tym dworem a starym Jazdowskim w polowie mniej więcej drogi rozpostarł się obszerny chmielnik książęcy. To dziś okolica ul. Chmielnej.

Prowadząc ciągle wojny zarówno z młodszym swym bratem księciem płockim Bolesławem, jak z Leszkiem Czarnym i Władysławem Łokietkiem o Kraków i koronę — Konrad (ten II) przekonał się, że Czersk nawet, a cóż dopiero Jazdów, nie są dość obrotne. Sam zajął Kraków, a przecież otoczonego obronnym murem Wawłu nie zdobył. Nauczony tym doświadczeniem zapragnął zbudować dla siebie w centrum swego księstwa bardziej bezpieczną siedzibę.

Owo płaskowzgórze suche, piaszczyste, położone z jednej strony tuż nad spadzistym brzegiem szerokiej rzeki, z drugiej otoczone, jak to była mowa, bagnami i mokradłami, a przecięte szeregiem rzek i potoków, bardzo się do tego celu nadawało.

Wieś jednak Warschowa nad rzeczką Drną była zbyt od Jazdowa odległa. Nadto — nie posiadała terenu odpowiedniego pod budowę obronnego zamku dla księcia. Dlatego to postanowił on wznieść dla siebie gród murem otoczony nieco bliżej i tu

przenieść ową wieś albo raczej założyć tuż pod zamkowym murem miasto, które by wzmacniało obronność siedziby książęcej.

Słusznie twierdzi Adolf Lauterbach w swojej cennej książce pt. Warszawa“, że:

„Wzgląd ten nie jest bez znaczenia dla konfiguracji Warszawy średniowiecznej, albowiem wskazuje, że stolica nasza należy do grupy tak zwanych miast „zakładanych“, nie zaś do samorodnie wyrosłych. Polskie miasta zakładane, a tych jest ogromna większość, posiadają schemat planu, spotykany we wszystkich miastach na Zachodzie tego typu. Miasta średniowieczne, o ile były zakładane lub silnie kolonizowane, to jest zakładane na nowo, wykazują wszędzie tę samą zasadę prostokątnego rynku z wybiegającymi ulicami“. Nadto... „cechą charakterystyczną dla polskich miast średniowiecznych są ratusze w środku rynku... prawdopodobnie dlatego, że miejsce to nasuwało się samo przez się, dzięki obszerności rynków polskich. Rynek warszawski był więc typowym rynkiem średniowiecznym, a polskość jego założenia głównie polegała na tym, że podobnie jak Kraków, Poznań i Lwów posiadał ratusz pośrodku“.

Ale wróćmy do chwili jego powstania, jego zbudowania w wieku XIII, za księcia Konrada II. Książę wybrawszy na warszawskim wzgórzu miejsce na zamek sprowadził zapewne z Wrocławia lub Lignicy, gdzie miał teścia, *muratora*, który wymierzył najpierw miejsce na zamek a potem koło na obwód miasta i przystąpił do otaczania jednego i drugiego murem.



Ziemowit, ks. mazowiecki (z rys. Jana Matejki 1838—1893)

Pierwotny ten zamek był w innym niż dziś miejscu. Mury jego w drugiej połowie XIV wieku biegły wzdłuż dzisiejszej ulicy Świętojańskiej, po stronie parzystych numerów, do zamurowanej obecnie wąziutkiej uliczki między katedrą a kościołem oo. jezuitów, tą uliczką skręcały na prawo, przecinały ul. Jezuicką i szły wzdłuż zamurowanej uliczki Dawnej ku Wiśle, gdzie na skraju wzgórza obronna baszta, „Żuraw“ zwana, strzegła jedynej podówczas bramy zamkowej. Od tej baszty znów szedł mur wzdłuż rzeki brzegiem wzgórza w kierunku południowym, aż do dzisiejszego północnego skrzydła zamku i tu zakręcał w prawo do rogu ul. Świętojańskiej i obecnego Placu Zamkowego. Zamek ówczesny miał dwa dziedzińce: ten, który dziś zwie się kuchenny i prowadzi doń z placu Zamkowego brama obok ul. Świętojańskiej, i drugi, stanowiący dziś ulicę Kanonię.

Pośrodku tego ostatniego północnego podwórze stała książęca kaplica zamkowa. Jest to dzisiejsze prezbiterium katedry, do której z biegiem stuleci dobudowywano nawy aż do dzisiejszych rozmiarów.

Tuż w sąsiedztwie tego zamku miało być zbudowane miasto, więc ten sam *murator* wykreślona przestrzeń otoczył murem wysokim, zależnie od miejsca, od 5 do 10 metrów a grubym na 1 metr u dołu, na $\frac{1}{2}$ metra u góry. Były to mury z cegły na podstawie złomów kamienia, co do dziś widać od ul. Brzozowej.

Ten mur, zaczynając się przy bramie Żuraw u wylotu wspomnianej uliczki Dawnej, w miejscu zwanym zwyczajowo przez warszawian Zieloną albo Gnojową Górą, a więc w miejscu, gdzie dziś stoi wielki dom PKO, biegł wzdłuż Wisły ku północy ulicą Brzozową; w pobliżu ul. Mostowej skręcał na tyłach Krzywego Koła, zamykał Bramą Północną ulicę Gołębią, biegł dalej ulicą Rzeźniczą (na tyłach Podwała) i Rycerską zamykając Wązki Dunaj i Piekarską aż do miejsca, w którym kończy się bez wyjścia ul. Rycerska. Stąd przez terytorium późniejszego kościoła oo. augustianów pod wezw. św. Marcina zbaczał, przecinając Piwną i Świętojańską, do owej wąskiej uliczki przy kościele oo. jezuitów.

Wewnątrz tego otoczonego murem półkola zamykało się całe miasto.

Równocześnie z owym muratorem kazał ksiązę miernikowi wybrać w owym półkolu najwyższe miejsce i tu wyznaczyć Rynek. Miernik ów wybrał wyniosłość o 10 metrów wyżej nad Podwalem leżącą i wymierzył na niej czworobok, prawie kwadrat o 100 metrowych bokach, po czym wytknął od każdego rogu po dwie ulice w dwu kierunkach ku murom. Były to dzisiejsze ulice: Piekarska, Świętojańska; Dunaj, Gołębia; Krzywe Koło, Kamienne Schodki; Celna, czyli Gnojna i Jezuicka. Cały grunt pozostały od ulic i targowicy podzielono na oddzielne place w liczbie stu dla przyszłych mieszczan. Na tych placach wzdłuż czterech połaci Rynku wnet stanął szereg domów mieszczkańskich, oczywiście początkowo drewnianych w stylu epoki, a więc gotyckich, z czasem bez wątpienia polichromowanych. Z domów tych wkrótce — jeśli się patrzy z oddalenia pięću wieków — nic nie pozostało, albowiem już w 1431 r. większą ich część zniszczył doszczętnie pożar. Klęska ta jednak wywołała rozkaz ksiązęcy, zabraniający wznoszenia w mieście, a zwłaszcza w rynku, budynków drewnianych. Odtąd też zaczęto na dawnych zgłiszczach stawiać kamienice z cegły.

Przez cały wiek XVI wszystkie połacie rynku przedstawiały obraz mieszany. Tuż obok gotyckiego dworu z modrzewia wystrzelała coraz to nowa trzyokienna kamieniczka zamożnego patrycjusza w stylu już nieraz włoskiego odrodzenia. Kamieniczki te bogato ornamentowane nie pozostawały w tyle za swymi drewnianymi sąsiadkami i pod względem bogactwa barw. Mieniły się one nie tylko kolorami, ale srebrem i złotem.

Kamienne schodki w starym mieście (fot. Dr Tad. Przypkowski)



Kiedy w r. 1607 drugi wielki pożar spopiełił pozostałe resztki drewnianych domów, oszczędzając stojący po środku placu od r. 1580 renesansowy ratusz — piękny Rynek Starej Warszawy otoczony został z biegiem niewielu lat całkowicie zamkniętym wieńcem igrających w słońcu różnymi barwami patrycjuszowskich kamienic.

„Gościniec albo opisanie Warszawy 1643 r.“ Adama Jarzębskiego tak się o nich wyraża:

*Barzo kamienice śliczne
W rynku, także i uliczne,
Błyszczą się od złota prawie;
Nie masz takich w Czersku, w Rawie:
To cnej Warszawie ozdoba;
Nie zmurujeć jej chudoba!
Na nich dziwne rysowanie
Farbami ukształtowanie.*

Niestety, po trzech niespełna stuleciach z tej świetności nic nie pozostało. Sprawił to po części nowy pożar w r. 1751, w znacznie jednak większej mierze tragiczne przejścia stolicy w w. XVII i XVIII, jak przechodzenie Warszawy z rąk do rąk w czasie wojen szwedzkich, utrata niepodległości i przygnębienie w wieku XIX, wreszcie celowa gospodarka moskiewska.

Ale nadeszła epoka nowego renesansu Rynku Starego Miasta. Z odrodzeniem Rzplitej w uroczystym dniu 10-lecia odzyskania Niepodległości Rynek Staromiejski wrócił do dawnego przepychu, przyodział się w złotogłów i kobierce, i pasy słuckie (dom Fukiera), i klamry, jakby szlachetnymi kamieniami lśniące, pali szkarłatem i daje wypoczynek oku na spokojnych licach kamienic: Baryczkowskiej, XX. Mazowieckich, Wójtowskiej i Złocistej.



Pod kolumną Zygmunta 27 lutego r. 1861 (według obr. Franciszka Fleury)

POD KOLUMNĄ ZYGMUNTA

„.... Jest u nas kolumna w Warszawie, na której usiadają po-
dróżne żurawie, spotkawszy jej liściane czoło wśród obłoka; taka,
zda się, odludna i taka wysoka! Za tą kolumną we mgły tęczowe
ubrana stoi trójca świecących wież świętego Jana; dalej ciemna
ulica, a z niej jakieś szare wygląda w perspektywie sinej Miasto
Stare; a dalej jeszcze we mgle, która tam się mroczy, szkła
okien — jak zielone Kilińskiego oczy, czasami uderzone płomie-
niem latarni niby oczy cichego upiora spod darni“.

Tak rozpoczyna Słowacki swój wiersz, zatytułowany „Uspo-
kojenie“, a napisany w piątym dziesiątku przeszłego stulecia,
więc na lat kilkanaście przed wybuchem powstania styczni-
owego, w wieszczym przeczuciu tego porywu narodowego i po-
przedzających go krwawych demonstracyj.

Jakiż to wspaniały obraz placu Zamkowego, tak krótko ujęty,
jędrny i zwarty, a równocześnie pełny barw z przebogatej
palety Juliusza!

Ten plac Zamkowy, jak go widział Słowacki, trwa do dzisiaj z tą tylko różnicą, że „dalej ciemna ulica“ Świętojańska nie jest już ciemna, bo tak jak i plac Zamkowy, i całe miasto jest już jasno oświetlona szeregiem latarni, których wówczas nie było. Zresztą cały ten plac przed Zamkiem istnieje dopiero od r. 1818. Do tego czasu zajmowały go dziedzińce zamkowe, na które wychodził jakby oficyna dzisiejszy front Zamku z wieżą zegarową. Podwórza te zwane jedno: apteczne, drugie: stajenne, choć nazwy te wówczas mieszano, oddzielone były od miasta murem, do którego przylegały od wewnątrz dziedzińca podrzędne zabudowania zamkowe: apteka, laboratoria, stajnie na 19 koni, masztalnie, wozownie i warsztaty. Od zewnątrz dotykały do muru prywatne kamienice obywateli miejskich. Mur ten biegł od rogu ul. Świętojańskiej ku wylotowi Senatorskiej tworząc wzdłuż dzisiejszych kamienic placu Zamkowego niezbyt szeroką ulicę, zwaną najpierw „Grodzką“, potem „Świętojańską“, jako dalszy ciąg dzisiejszej „Świętojańskiej“. W murze tym na wprost ul. Piwnej była prowadząca na podwórze apteczne brama Świętojańska, a z tego podwórza dopiero dzisiejsza brama w zegarowej wieży Zygmuntowskiej wiodła na wielki dziedziniec zamkowy.

Również od strony dzisiejszego Krakowskiego Przedmieścia, zwanego ongiś przedmieściem Czerskim, a w pobliżu Zamku placem Bernardyńskim, dzisiejszy plac Zamkowy oddzielony był wysokim murem miejskim. Do muru tego od strony podwórza aptecznego dotykały budynki zamkowe, w których mieściły się sądy starościńskie. Od placu zaś Bernardyńskiego tuliły się doń domostwa i kamieniczki mieszczańskie.

Domy te wielokrotnie były z rozkazu królewskiego, a z uwagi na zachowanie bezpieczeństwa, burzone. Było tak za Stefana Batorego i za Zygmunta Wazy, wreszcie za syna jego Władysława IV. Ten, stawiając w r. 1644 swemu ojcu w dowód miłości synowskiej przy wjeździe do miasta, na wprost murów zamkowych i miejskich, a w pobliżu bramy Krakowskiej, ową kolumnę, rozkazał dookoła plac oczyścić. Jednak po najściach Szwedów za Jana Kazimierza i Augusta II Sasa znów nędza miejska plac podzamkowy dokoła pomnika na lepianki swe zajęła. Aż dopiero ostatecznie Jan Sobieski rozkazem, datowanym z Wilanowa, ostatecznie oczyszczenie placu z zabudowań osiągnął.





Brama Krakowska według sztychu przypuszczalnie Anny z Tyszkiewiczów Wąsowiczowej lub Marji z Czartoryskich księżny Wirtemberskiej

Wciąż jednak aż do roku 1818 od narożnika Zamku wprost Krakowskiego Przedmieścia ciągnął się mur ku ulicy Podwale, gdzie spotykał się pod kątem prostym z murem idącym od Świętojańskiej. Dwa te mury tworzyły prawie na wprost wylotu Senatorskiej bramę Krakowską. Brama ta zakończona od Krak. Przedmieścia ładną fasadą, upiększoną na gzymsach szeregiem alegorycznych figur, ciągnęła się wewnątrz do wylotu ówczesnej uliczki Ślepej, dziś już zamurowanej, i pełna była również małych domków, zajętych przez sklepy i stragany.

Bramę tę, jak i wszystkie budynki zapelniające ongi obecny plac Zamkowy, razem z otaczającymi je murami, zburzono ostatecznie w latach 1817—1818 przenosząc figury z nad bramy Krakowskiej na dach pałacu Radziwiłłowskiego, zajętego na biura namiestnika i od tej pory zwanego Namiestnikowskim. Zrekonstruowane w latach 1926—28 przez zmarłego przedwcześnie art. rzeźbiarza Jana Biernackiego, do dziś zdobią one ten sam gmach, jako siedzibę Rady Ministrów.

Widzimy więc, że plac Zamkowy odsłonięty został dopiero w r. 1818 i że w dniu 3 maja 1791 r. fasada zamku nie była

z ulicy Świętojańskiej widoczna, bo ją zasłaniały nie tylko stajnie zamkowe i mur, ale również i oparta o ten mur wprost Świętojańskiej kamienica Płochockich. Skądinąd ściśły pod względem historycznych szczegółów Matejko tym razem w obrazie swym „Konstytucja 3 maja“ popełnił anachronizm ukazując sprzed katedry dzisiejszy Zamek.

Należy tu nadmienić, że poziom tych dziedzińców zamkowych, tak jak i wszystkich ulic miasta leżał ongi znacznie niżej i dopiero z biegiem lat przez stałą przebudowę jezdni i podsypywanie znacznie się podniósł, przez co zamek znalazł się w dole.

Spod kolumny Zygmunta plac Zamkowy jednak, nie tylko patrząc w kierunku Starego Miasta, inaczej nam się dziś przedstawia niż przed laty.

Zwróćmy się twarzą ku Wiśle. Dziś błękitnieją tam ranne mgły, rozsnute w dali nad szeroką taśmą naszych rzek królowej. Zjazdem od strony Pragi ciągnie sznur wagonów tramwajowych, zręcznie omijanych przez staczające się w dół taksówki. Dudnią na zjeździe we wszystkich kierunkach spieszące ładowne wozy. Z obrazem tego piekielnego ruchu łączy się niemniej piekielny jazzband setek dzwonek i klaksonów.

Jakże inaczej było przed stu laty!

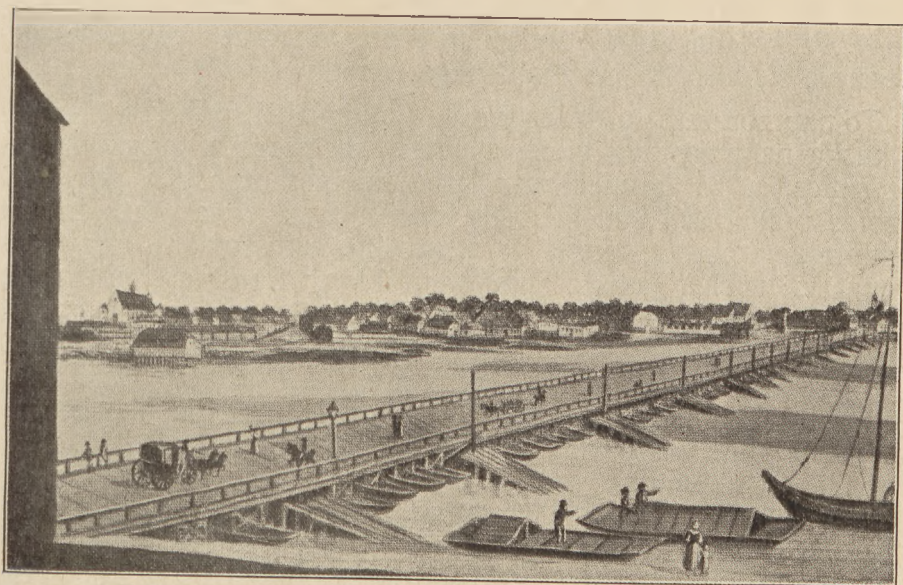
Na środku dzisiejszego Zjazdu, którego wówczas nie było, akurat na linii między dzwonnica kościoła św. Anny a narożnikiem Zamku stał kościół św. Klary z klasztorem ss. bernardynek i tuż obok niego drugi klasztor zgromadzenia „Panien i wdów dewotek“, założony w 1563 r., a cieszący się szczególną opieką Zygmunta III.

Naprzeciw to ich okien Władysław IV wystawił ojcu świadectwo nie tyle zasług monarszych, ile, powtarzamy, swej miłości synowskiej. Dziś ten pierwszy pomnik będący od trzech stuleci obok syreny drugim jakby herbem Warszawy, ta pierwotna, sprowadzona wodą z Chęcin kolumna Zygmunta, poorana kulami Szwedów i Moskali, przez pół strzaskana leży w podwórzcu gmachu Muzeum przy Krak. Przedmieściu Nr 66 obok Resursy Obywatelskiej, gdzie ją można oglądać.

Sam pomnik po dwukrotnej zamianie kamiennego trzonu, po parokrotnej przebudowie podstawy, wreszcie po przesunięciu o kilkanaście łokci dalej — do dziś wita przybywających tędy zza Wisły do miasta.



Plac Bernardyński wr. 1770 według B. B. Canaletta (1720—1780) — ze zbiorów państwowych w Zamku Królewskim.



Most łyżwowy od ulicy Bednarskiej według kartonu Karola Albertiego
(ze zbiorów p. Zuzanny Rabskiej w Warszawie)

Na miejscu zburzonego w r. 1843 kościoła św. Klary w ciągu następnych dwóch lat zbudowano według planów Feliksa Pancera wiadukt na siedmiu arkadach, nazwany Nowym Zjazdem, otwierający daleką perspektywę na Zawiśle. Dopóki nie ukończono w 1864 pięcioletniej budowy żelaznego mostu Kierbedzia, zjazd pancеровski łagodnym spadkiem łączył ówczesne centrum miasta z łyżwowym mostem drewnianym, prowadzącym wprost ul. Bednarskiej na Pragę. Bednarska była wąska, kręta i stroma, a więc niedogodna. Zjazd szeroki, o stopniowej pochyłości, ułatwiał bardzo komunikację z Wisłą. Nadto po zburzeniu klasztorów bernardynek i dewotek odsłaniał obszerny widok spod kolumny Zygmunta na dalekie horyzonty zarzecza.

Wracając do naszego punktu wyjścia na placu Zamkowym obróćmy się ku trójcy „świecących wież św. Jana“. Tam „jakiś szare wygląda w perspektywie sinej Miasto Stare“. Tam Słowacki oczyma jasnowidza na wiele lat przed faktami przewiduje demonstracje na Starym Mieście i pogromy ludu pod kolumną Zygmunta na placu Zamkowym w latach 1860 do 1863. Mówi poeta:

— „Więc lada dzień, nędza sprężyny docisnie“ czyli, że wy-czerpie się cierpliwość gnębionego narodu —

„To naprzód tam na rynku para oczu błysnie i spojrzy w Świętojańską na przestrzał ulicę; a potem się poruszą wszystkie kamienice, a za kamienicami przez niebios otchłanie przyjdzie zorza północna i nad miastem stanie, a za zorzą wiatr dziwne miotający blaski porwie te wszystkie zemsty i te wszystkie wrzaski; wicher jakiś z aniołów urobiony Pańskich, oderwany jak skrzydło z widzeń Świętojańskich, przezroczysty jak brylant, a jak ogień złoty, który chwyci te zemsty, te światła, te grzmoty, zwinie i nimi ciemną uliczkę zależe, jako brąz w niej zakipi, zaświszcze jak węże i naprze tak, że będzie trzęsąca się cała, jako wół sycylijski na miasto ryczała. — Usłyszycie wy wtenczas, serc naszych złodzieje, jaki wiatr z tej ulicy na miasto powieje...“ Zwraca się do zaborców-gnębicieli poeta. I znów bolesna a pełna siły wizja procesji patriotycznej: „.... Kiedy kościół zadrży od stóp aż do skroni i płaczącym się głosem na miasto rozdzwoni... Krzyk jeden, jak burza ponura „niech żyje Polska“, czyli też krzyk „hura!“ wyleci jak koń śmierci zerwany z wędzidła... o katedralny kościół otrze głośne skrzydła“.

A teraz krwawa masakra pod kolumną Zygmunta: „tak szewcy pod piorunem padają i koniem, zgruchotani, że księżyc na niebie odkryty pokaże tę ulicę pustą, lud wybity, piorun zagasty, walkę okropną skończoną. Ulicę całą ciemną i krwią zadymioną...“

Inaczej patrzył na Stare Miasto i widział je inaczej, nie tak żywiłowo, nie tak „politycznie“ inny poeta, specjalnie jednak starą Warszawę sercem miłujący, jej piewca, Artur Oppman (Or-Ot). Wołał on w nabożnej do Rynku ekstazie: „Stare Miasto! Warszawy relikwiarzu święty. Pleśnią wieków porosły, mgłą ich przysłonięty“ i dalej: „Stare Miasto! Znam treść twą, znam twych ulic wnętrza, gdzie tłum świątyn i domostw bezładnie się spiętrza; gdzie, jak patrycjusz dumny, choć w odzieniu zmiętym, stoją domy: „Pod Słońcem“, „Pod Lwem“, „Pod Okrętem“; gdzie wieki, rozkochane w gotyckiej strukturze, ślad wspaniały na każdym zostawiły murze; gdzie oczy nęcą blanki, skarpy i wykusze; czas tynów nie roz walił — tylko wziął im dusze!

Stare Miasto! U wchodu czuwa, jak na straży, Kościół Farny...
Bliżej ku srebrnej Wiśle, za murami Fary majestatycznie
Rynek rozpostarł się Stary; z czterech stron go obsiadły,
pnąc się w błękit siny, starożytne, omszone, trzypiętrowe
tyny. Jaskrawo lśnią na słońcu wąskich domostw dachy:
z miedzi, z czerwonej cegły, z malowanej blachy. Ścian barwa
pstra lub szara...

„Rynek-król, w krąg ulice jakby świta Pańska: Krzywe
Koło, Rycerska, Piwna, Świętojańska, Zapiecek, dwa Dunaje,
Szeroki i Wąski; Rynek-pień, to konary, gałęzie, gałązki;
Rynek-żmij, to ogony: wiją się w przeguby, w skręty, jeden
chwost cienki, drugi tłusty, gruby, splotą się, to rozplotą
to znów złączą ściśle, niżej wciąż, niżej pełzną w dół ku srebr-
nej Wiśle.

„Czy znacie te uliczki, te zaułki brudne? Gwarem życia tęt-
niące, zgiełkliwe i ludne?...

„Tutaj na murach szczerby, kul moskiewskich rysy, tam za-
tarte tablice, tam stare napisy, w krąg pamiątki: spuścizna
zmierzchłych wieków święta...

.....
„O święć się Stare Miasto! Święć się, święć na wieki za młyny
belwederskie, za wolskie zasieki...

.....
„O gdybyż gadać umiał każdy mur i załom, jak się napatrzył
rzezi, przysłuchał wystrzałom...

.....
„Stare Miasto! Cześć tobie! Ty najdziksze hordy, najkrwaw-
sze łyzy pamiętasz i najkrwawsze mordy. Zbryzgane i przesiąkłe
deszczem rosy krwawej warszawskie Stare Miasto — to serce
Warszawy!

Kościół Najśw. Marii Panny
na Nowym Mieście
(fot. Dr Tad. Przykowski)



STOLICA W LEGENDZIE I BAŚNI

Jak każde stare miasto tak i Warszawa oprócz swej historii pisanej, opartej na faktach realnych i zdarzeniach, posiada mnóstwo opowiadań, wysnutych z fantazji ludu, przechodzących w formie legend i podań z ust do ust.

Warsz i Sawa czy Ewa

Większość podań i legend warszawskich związana jest z życiem Starego miasta.

Zaczynając od powstania grodu w wieku XIII, samą nazwę dającej mu początek osady War-szawa, legenda wywodzi bądź od dwu braci Warsza i Sawy, rybaków osiadłych nad brzegiem Wisły, u stóp dzisiejszego wzgórza nowomiejskiego, bądź od nawoływania flisów, splawiających jakoby drzewo, którzy zbliżając się do nadbrzeżnej gospody jakiejś legendarnej Ewy wołali na nią z dala: „warz-Ewa?“, czyli „gotuj nam jadło“. Z tą samą okolicą Nowego Miasta związane jest podanie, jakoby kościół Panny Marii na rogu Przyryнку i ul. Kościelnej zbudowany był pierwotnie jeszcze jako drewniany na miejscu po- gańskiej gontyny.

Budowę monumentalnej dzwonnicy przy tym kościele legenda przypisuje pewnemu młynarzowi, który, nie mogąc się doczekać potomstwa, gdy Bóg mu we śnie polecił zbudować na pierwszym spotkanym wzgórzu kościół, obok będącej już w budowie świątyni wznosił dzwonnice.

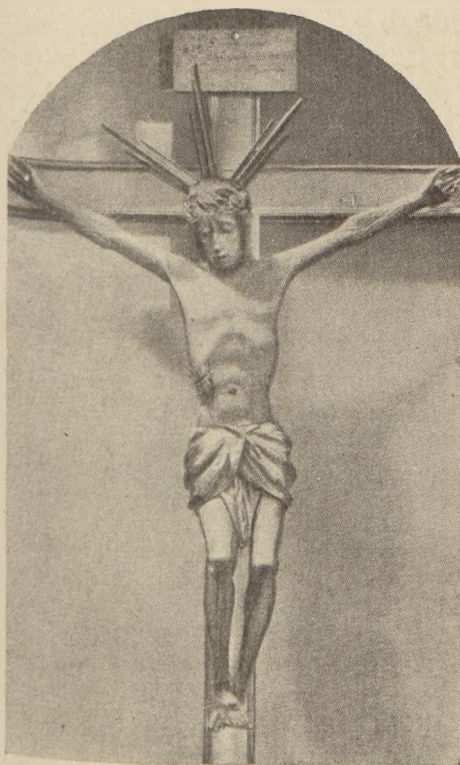
„U Fary,
„Gdzie Pan Jezus stary...

do dziś zbierają się wierni staromiejskiej dzielnicy przed wielkim krucyfiksem Chrystusa, wyrzezanym z drzewa w Norymberdze, skąd przywiózł go w r. 1530 bogaty mieszczanin warszawski, Jerzy Baryczka, uratowawszy go tam od zniszczenia w czasie zwycięstwa reformacji.

Tak mówi historia. Legenda dodaje do niej, iż na owej drewnianej głowie Chrystusa rosły jeszcze w Norymberdze prawdziwe

włosy, ale gdy nadeszły czasy „wirtemberskich nowinek“ — włosy owe uschły. Dopiero w Warszawie rosnać zaczęły na nowo. Tutaj co rok jedna z niewinnych dziewic włosy te obcinała. Gdy raz dokonała tego panna nie „niewinna“, lecz już „skalana“, włosy owe rosnać znów przestały. Tak mówi legenda. Żeby jednak ongi rosły — tego historia nie potwierdza, że nie rosną — jest historycznie stwierdzone.

Dokoła Rynku Starego Miasta snuje się wiele legend; to o starych ceklarzach, obchodzących po nocy z latarką ulice i podzwaniających kłucami; to o podziemiach



Krucyfixs w ołtarzu kaplicy Baryczków w Katedrze

i lochach, łączących piwnice staromiejskie kilkukilometrowymi korytarzami z Żoliborzem, Wisłą, Zamkiem Królewskim, zamkiem ks. Ostrońskich na Tamce, z Ujazdowem i Belwederem, wreszcie nawet z zamkiem ks. mazowieckich w Czersku. Rzadko kto jednak w owe podziemia schodził, choć starała się badać je parokrotnie w połowie ubiegłego wieku wyznaczona przez rządy rosyjskie specjalna komisja.

U oo. bernardynów na Krak. Przedmieściu jest grób drugiego, prócz Św. Klemensa Dworzaka (Hofbauera), patrona Warszawy, mianowicie błog. Ładysława z Gielniowa. O tym świętym zakonniku krąży legenda, że w Wielki Piątek r. 1505 podczas kazania w tymże kościele św. Anny uniesiony był nadprzyrodzoną siłą nad ambonę i pozostawał tak przez dłuższy czas w powietrzu, po czym omdlał i odniesiony do celi po paru dniach oddał Bogu ducha.

Miecz króla Zygmunta

O kolumnie króla Zygmunta zanotować należy dwa warjanty legendy. Oto miecz, który król trzyma w swej ręce, w dniach wielkich burz dziejowych i wielkiej niedoli narodowej według jednych wznosi się w górę, według innych opada.



Widma na Zamku

O widmach kobiet, ukazujących się w Zamku, też opowiadano wiele. K. Wł. Wóycicki ze słów jakoby swego ojca, jako naocznego świadka, przytacza, że w dniu wzięcia Pragi przez Suworowa ukazało się zbudzonemu ze snu Stanisławowi Augustowi widmo kobiety. Nawiasem mówiąc, było to prawdopodobnie powstałe w wyobraźni zgnębiętego klęską króla widmo sprawczyni nieszczęść, Katarzyny.

Równie jednak białoprzezroczysta zjawia kobieta miała się ukazywać w Zamku namiestnikowi księciu Górczakowskiemu.

Postać Zygmunta III na kolumnie, przed Zamkiem, dłuta Clemente Molli, odlew Daniela Thyma (fot. Henryk Poddębski)

Ciekawe natomiast było podanie o duchu ukochanej małżonki ostatniego Jagiellona, Barbary Radziwiłłówny, ukazującym się w komnatach jeszcze dawnego zamku pomazowieckiego Zygmunтови Augustowi. Według legendy, wywołał go czarnoksiężnik Twardowski. Według historii, pokojowiec mornarszy i rajfur Mniszech podstawiał tęskniącemu królowi podobną do zmarłej z rysów twarzy i imienia wychowanicę klasztoru bernardynek, mieszkankę warszawską Basię Giżankę. Być może, iż rozmyślnie ową schadzkę z „duchami“ urządzono w półmroku, w dymie kadzideł, w lekkich szatach.

Jeżeli wymienimy jeszcze i „Złotą kaczkę“ na Tamce, pałacyk we Frascati, w którego jakoby wielopiętrowych podziemiach była podobno siedziba loży masonskiej, jeśli wspomnimy o domu nr 72 na Lesznie, gdzie dziś miejska szkoła zawodowa im. Konarskiego, a gdzie przez długie lat dziesiątki XIX stulecia miało „straszyć“, jeśli wreszcie przytoczymy gadki o tajemniczych praktykach nowożytnych „iluminatów“ — to szereg podań warszawskich można uważać za mniej więcej wyczerpany.



Kościół Panny Marji na Nowem Mieście przed rokiem 1842
według sztychu, zamieszczonego w roczniku religijnym „Alleluja“ z r. 1842

Zamek książąt Ostrogskich na Tamce
w dzisiejszym stanie
(fot. H. Poddębski)



ZŁOTA KACZKA NA TAMCE

Z LEGEND WARSZAWSKICH

Kto z warszawian nie zna spadającej dość stromo ku Wiśle ulicy Tamki? Łączy ona Śródmieście z Powiślem. Wąwozem, którym jeszcze sto pięćdziesiąt lat temu płynął z dzisiejszego placu Napoleona przez ul. Warecką i Ordynacką wartki strumień, dziś suną taksówki i autobusy, spieszą w dół, to pod górę tysiące przechodniów, mijając obojętnie szereg zapadłych w ziemię drewnianych dworków w dole ulicy, to znów kolosy wielopiętrowych kamienic w pobliżu górnego wylotu Tamki w ulicę Kopernika.

Nikt jednak nie przejdzie obojętnie koło wysokiego muru nadającego posesji nr 41/2874-B na tej ulicy charakter obronnego zamczyska.

Istotnie miał to być w swym założeniu zamek, o czym świadczą strzelnice i otwory, z których miały zionąć ogniem na wroga arkabuzy, kusze i falkonety. Nigdy jednak do tego nie doszło, gdyż budowa zaczęta w r. 1597, nigdy nie została dokończona.

Historia mówi, że grunty, na których wznosi się ów dziwny mur z legendą o złotej kacze, zwane niegdyś Kałęczynem i Bożym-darem, należały pierwotnie do książąt mazowieckich. Książę Bolesław podarował ich część Pawłowi z Przemankowa, przodkowi rodu Obrąpalskich. Od nich nabył je książę Ostrogski, kasztelan krakowski. Ten, rozpoczynając budowę ufortyfikowanego zamku, zmarł zostawiając dobra w spadku książętom Zasławskim. Po nich kolejno władali nimi: Doenhoffowie i Gnińscy, którzy w r. 1681 budowę zamku ukończyli.

W początku wieku XVIII otrzymał go w wianie za żoną jeden z Zamoyskich, którzy, utworzywszy ordynację, groźny ongi zamek przebudowali na wspaniały pałac. Po 20 latach pałac ten przeszedł do biskupa Czapskiego, potem do Maksym. Mielżyńskiego, wreszcie pod koniec XVIII wieku do starosty Chodkiewicza. Syn jego, głośny uczony i poeta Aleksander, oddał go słynnemu wówczas moraliscie i wychowawcy, Marcinowi Nikucie, który utrzymywał tu do r. 1794 pensjonat dla młodzieży.

W początku w. XIX pałac popadł w ruinę i podziemia jego, według podania, sięgające ul. Książęcej, stały się gniazdem wyrzutków miejskich, włóczęgów i szumowin, które wychodziły stąd nocami na rabunek.

Ostatecznie w r. 1820 posiadłość tę nabył z licytacji sekretarz policji Michał Gajewski, który pałac o piętro podwyższył i pobudował oficyny na koszary. W części zabudowań były tu jatki rzeźnicze i targowisko, przeniesione później na tak zwane „Sułkowskie“ przy Nowym Świecie nr 64.

W czasie powstania listopadowego mieścił się tu szpital wojskowy, a potem kolejno: fabryka wyrobów gumowych J. Wemmera, rządowy „Dom Zdrowia“, szpital dla cholerycznych, instytut moralnie zaniedbanych dzieci, przeniesiony później do Królikarni, schronisko dla powodźian, różne wystawy ogrodnicze i rolnicze itd., aż w roku 1854 gmach nabyło od rządu miasto znów na koszary.

Dopiero w r. 1861 umieszczono tu założony staraniem Apolinarego Kątskiego Instytut Muzyczny, dla którego po trzydziestu z górą lat wzniesiono sąsiedni gmach Konserwatorium zwrócony frontem do ul. Ordynackiej.

Ale... zachowane do dziś ponure mury forteczne od strony Tamki, wraz z ich podziemiami, zajęte obecnie na skład win,

wywierały zawsze na okolicznej zwłaszcza ludności tajemnicze wrażenie. Toteż od dawna opowiadano sobie o nich różne baśnie i fantastyczne pełne nadprzyrodzonych cech legendy.

Jedna z nich opiewa, że kiedy budowano zamek, robotnicy przy kopaniu fundamentów natrafili na wielką podziemną pieczarę. Pośrodku niej było jezioro z czystą jak kryształ wodą, po której pływała złotopióra kaczka. Gdy ją chcieli schwytać, rozległ się straszny huk, jezioro się zakotłowało, ptak zajęczał z przedziwną żalością i znikł we wzburzonej otchłani. Robotnicy przerażeni porzucili budowę i dlatego zamek nie został wykończony.

Inna wersja mówi o szewskim chłopaku ze Starego Miasta, który słysząc o zakopanym jakoby przez magnata Ostrońskiego skarbie zakradł się do podziemi zamkowych o północy. Gdy go ostrzegano, że bies tych skarbów strzeże, roześmiał się, mówiąc:

— Duszę diabłu sprzedam, a skarby zdobędę.

Poszedł więc krętymi korytarzami podziemia w ręce z ogarkiem, który wnet zgasił, bo natrafił na jezioro, po którym pływała kaczka, jasnym złotem na całą pieczarę świecąca.

Szewczyzna „zdębiał“. To jest włosy stanęły mu dęba na głowie ze strachu, zarazem z zachwyty, gdy ptak przemówił doń głosem harmonijnym jak najśłodsza muzyka:

— Pod tym kamieniem leży sto dukatów. Weź je i przehulaj w ciągu jednej doby, ale wszystko co do grosza. Jeżeli zdążysz to uczynić, wróć tu o północy, a cały skarb wraz z moją osobą posiedziesz.

Kiedy młodzieniec stał oniemiały z podziwu, dodała:

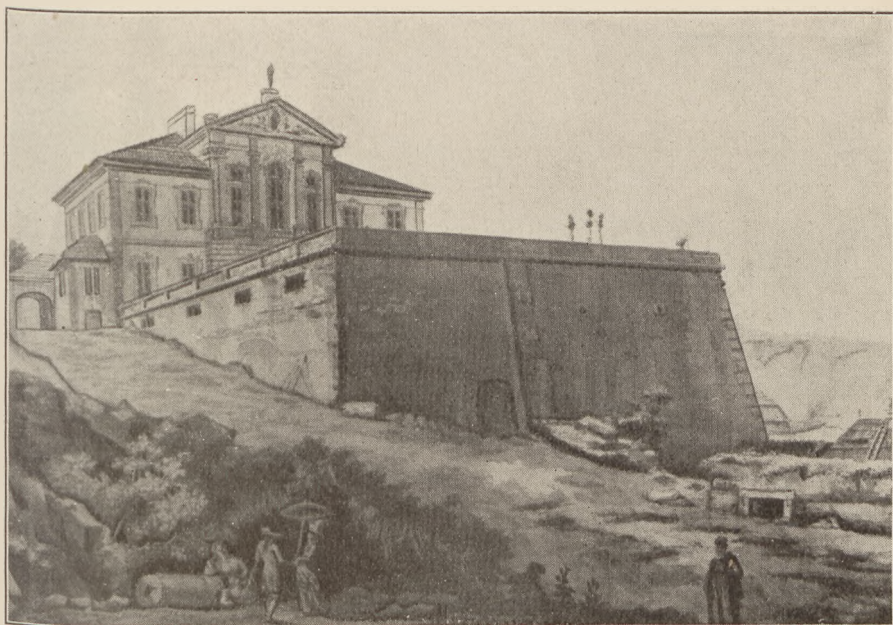
— Jestem księżniczka zaklęta przez czarownika. Straci moc zaklęcie, gdy to wypełnisz.

Chłopak wybiegł oszołomiony widząc się już magnatem niegorszym od samego księcia. Słodki głos nieszczęsnej księżniczki napawał go też nadzieją przyszłej rozkoszy.

Wsiadł zaraz do stojącego pod zamkiem poszóstnego pojazdu, kazał się wieźć od sklepu do sklepu, pięknie się przyodział, nakupił pierścieni, a potem:

— Hulaj dusza bez kontusza!

Dalej od gospody do gospody. Jadł i pił co najlepsze. Pił i jadł znów. Wreszcie o północy zajechał na Tamkę.



Mury obronne zamku książąt Ostrogskich w początku XIX w.

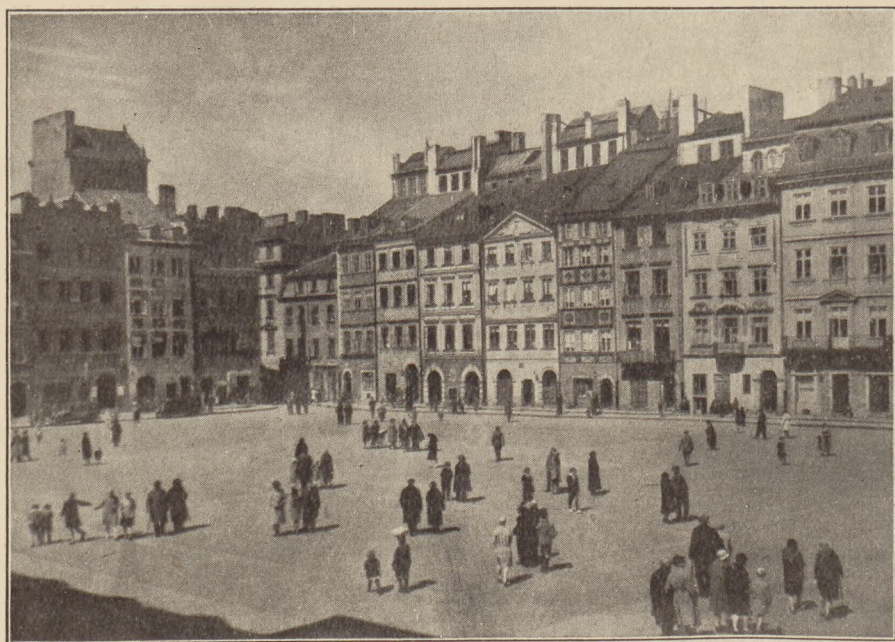
Kiedy jednak wyskakiwał z koczobryka na ziemię, zadźwięczały mu w kieszeni zapomniane czy też zlekceważone wobec stu dukatów dwa nędzne groszaki. Spostrzegł się, ale było już za późno.

W tym samym momencie rozległ się huk przeraźliwy i chichot szatański. Znikła kariolka i woźnica, który jakby się zapadł pod ziemię, skąd buchnął słup ognia i siarki.

Warunek nie był dotrzymany.

Biedaczysko przerażony puścił się ile miał sił w nogach w górę Tamki i dalej ku Staremu Miastu, by nazajutrz zasiąść na swym zydelku w majstrowym warsztacie.

Tyle jest legendy, i więcej jeszcze, bo ma ona kilka wariantów różniących się tylko w szczegółach. Osią każdego jest „księżniczka w złotą kaczkę zaklęta“.



Rynek Starego Miasta w stanie dzisiejszym (zdj. Photo-Plat)

SPACER PO STARYM MIEŚCIE

Czyście się nigdy nie zastanawiali nad tym, dlaczego obrazek sielski zawsze wychodzi lepiej w naturze niż w reprodukcji. Idzie się wiejską drogą. Z jednej strony rozwalony młyn od lat dziesiątków nieczynny, tu brzoza płacząca zdaje się łzami zlewać swych splotów warkocze. Z drugiej cmentarz wioskowy, pełny romantyzmu, wyjętego z poematu Keatsa. Spójrzcie na fotografię tych samych stron — ujrzenie zimny, nic lub niewiele mówiący odbłask kliszy światłoczułej wprawdzie, ale martwej dla duszy.

Odwrotnie. Miejski obrazek podany w zdjęciu fotograficznym, ileż nam odkrywa uroku, który mijamy w naturze niezauwa-

żony! Biegniemy dalej, bo go nam dostrzec zgiełk miejski nie pozwala. Jeden zmysł bowiem za drugim goni. W chaosie pomieszanych światła, odgłosów i woni tracimy zdolność odczuwania plastycznego piękna i tylko dusze specjalnie w tym kierunku wrażliwe nie są ślepe na to, co je otacza.

Tak przechodzimy co dzień podle pięknych fragmentów architektonicznych Starego Miasta, jak mijamy bez uwagi związane z nimi baśni i dzieje.

A w Ryнку Starej Warszawy znajdujemy wiele ciekawego i pięknego, co uszło uwagi, gdyśmy przez ten Rynek nieraz biegli w pośpiechu celem załatwienia pilnej sprawy lub kiedyśmy w chwili wywczasu dążyli na lampkę wina do Fukiera.

Bo on jeden się ostał, a właściwie nie on, lecz firma, gdyż dostojny ród przechodzi zwolna do historii, jak przeszedł winiarz Korb, poprzedni właściciel tej kamienicy, jak przeszli Gizowie ze swą Basią, o tyle od Radziwiłłówny lepszą, że przeżyła osieroconego przez nią Zygmunta Augusta.

A więc wy, którzyście byli nieraz w przejściu, a może i umyślnie, przez ciekawość istotną i zainteresowanie czy snobizm, na Starym Mieście, czyście zwrócili uwagę na tych domów prastarych budowanie? Nie na zewnętrzną pozłotę, nie na barwną polichromię, która z czasem dopiero nabiera patyny i cech właściwych.

Nie. Zwróćcie uwagę na te dachy strome z dwu kondygnacji złożone, z latarniami oświetlającymi klatkę schodową, a pokryte, broń Boże, nie blachą, choćby miedzianą, jak zrobiono z Zamkiem b. Królewskim. Ani jedna z kamienic XVII stulecia, w którym powstał zamek Wazów, nie była pokryta miedzią. Tylko bowiem czerwona dachówka harmonizuje z całością i jest tu usprawiedliwiona.

Zwróćcie uwagę na te wąskie, nieraz pełne załamów sienie, tak obronne, że jeden mógł stawić opór dziesięciu napierającym od zewnątrz. Pomyślcie o tych sklepionych piwnicach, nieraz sięgających dwu pięter w głąb ziemi i biegnących z jednej do drugiej kamienicy wokół Rynku.

Wróg szturmował, a obrona kryjąc się od pocisków pod ziemią przebiegała z jednego końca murów miejskich po inny kraniec, gdzie jej się nie spodziewano.



W winiarni Fukiera przed stu laty — rysunek L. Ilinicza

Nie dosyć na tym! Spójrzcie na te wykusze, przyczepione do klasztoraka księdza Skargi od strony ulicy Celnej albo do Kamienicy Książąt Mazowieckich od wąskiego Dunaju. Ten ostatni dawał prospekt na bramę Północną, gdy jej dobywali Szwedzi Karola Gustawa w latach „Potopu“.

Wyobraźcie sobie tę fontankę pośrodku placu, którą przez długie lata lud miejski wspominał w ulubionym dwuwierszu:

*„Na Starym Mieście — przy wodotrysku
Pułkownik Trepow dostał po pysku“.*

Historyczny płk T. T. Trepow, od 30. XI. 1860 r. do 10. III. 1861 r. oberpolicmajster warszawski, za ten fakt został wprawdzie przeniesiony z Warszawy do Petersburga, ale równocześnie



Klatka schodowa w kamienicy Baryczków

awansowany na generała-majora, a po kilku latach mianowany oberpolicmajstrem Królestwa Polskiego. Od wielu dziesiątków lat nie ma wodotrysku; nie ma już podłej, z czerwonego granitu „syreny“, na jego miejscu za niemieckiej

okupacji w r. 1916 ustawionej. Stoi jednak od wieku XVIII po pamiętnych pożarach w latach 1607 i 1669, kiedy zgorzały ostatnie domostwa drewniane i wiele powstałych po r. 1431 murowanych — cała połać dostojnych siedzib zasłużonego patrycjatu Warszawy.

Tak więc widzimy na zdjęciu z r. 1860 rząd oświetlonych przez słońce kamienic na lewo od rogu Krzywego Koła. Pierwsza — Czamerowska, narożna, z Najświętszą Panną pośrodku, a po bokach ze św. Stanisławem i Piotrowinem oraz św. Elżbietą na attyce. Czamerowie byli to bogaci szkoccy sukiennicy, handlujący w kramach pod stojącym do r. 1817 na Rynku Ratuszem.

Sąsiednia kamienica, równie jak wszystkie domy mieszczańskie trzyokienna, była przez wieki jedną z kilku należących do rodziny Baryczków, do której też należała trzecia z brzegu, do dziś zwana Kamienicą Baryczków i będąca siedzibą Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości. Że Wojciech Baryczka, jej pierwszy właściciel i budowniczy, był nobilitowany, posiada ona 4 okna wszerz, bo ograniczenie mieszczańskie doń się nie stosowało.

Następna kamienica, zwana Szlichtyngowską od właściciela jej w wieku XVII, odznacza się tylko attyką z oryginalnym łukiem. Należy teraz do PEN-klubu, który ma w niej swój lokal. Dalej jest kamienica „pod Murzynkiem“. Skąd się to godło wzięło, nie wiadomo. Prawdopodobnie umieścił je tu jeden z pierwszych właścicieli, wenecjanin Gianotti, na pamiątkę stosunków Wenecji z Maurami. Teraz należy do Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich w Warszawie.

Strona wschodnia Rynku, czyli tak zwana połać albo ulica Barssa nie przedstawia wiele kamienic ciekawych. Cała ona w r. 1607 stała się pastwą ognia. W tej połaci nr 22 jest to tak zwana ongi kamienica „pod Fortuną“. Pomimo stwierdzenia, że po pożarach w wieku XVII ani jeden dom się nie ostał, Weinert datę budowy tej kamienicy oznacza na wiek XV, co zdaje się również potwierdzać wnętrze, odrysowane przez Henryka Pillatiego i zamieszczone w ilustrowanym „Wieńcu“ z r. 1872.

W tej kamienicy urodziła się w r. 1798 Klementyna z Tańskich Hoffmanowa. Tutaj też mieszkali około połowy XVIII wieku dwaj słynni malarze Szymon Czechowicz i Łukasz Smuglewicz. W sąsiedniej kamienicy nr 24 powstała loteria liczbowa, zało-



„Kram pod rakiem“ w rynku Starego Miasta (fot. H. Poddębski)

żona przez Włocha Baccigalupiego. Przed nim miał tu drukarnię słynny Dufour, po nim zaś Wyżewski i Józef Unger, wydawca pamiętnych zielonych kalendarzy.

Po roku 1844 wychodziły też tu kalendarze Jaworskiego, do dziś przez bibliofilów poszukiwane.

Jeśli chodzi o charakter zewnętrzny, to w tej samej połaci między Krzywym Kołem a ul. Celną, poza wielokrotnie opisywanym „Domem Skargi“, zasługuje na uwagę kamieniczka dwuokienna,

ongii także księży jezuitów, opatrzona nr 6, z sienią o kamiennym szlachetnym w swej prostocie obramowaniu i o jednookiennym sklepie, znanym w Starym Mieście jako „Kram pod rakiem“. Łaciński napis z roku 1610, zamieszczony na frontowej tablicy, kończy zdanie: *Multa vi et ingenio, sed citius pecunia comparantur omnia*.

Przejdźmy teraz na przeciwną połąć Rynku zwaną popularnie Fukierowską a oficjalnie Kołłątajowską. Dlaczego Kołłątajowską? Oto dlatego, że tu w mieszkaniu przyjaciela swego Błęszyńskiego na I piętrze domu nr 21 znalazł przytułek, a wreszcie 28 lutego 1812 roku i śmierć ks. Hugo Kołłątaj, jeden z ojców Konstytucji 3 Maja. Niewdzięczna ojczyzna, jak często, dopiero po śmierci czcic jego zasługi zaczęła.

Później za Królestwa Kongresowego była w tym domu pierwsza w Warszawie fabryka czekolady Jennego, który miał cukiernię w sąsiedztwie. Była tu też bodaj że jedyna rodzima wśród zagranicznych przybyszów, polska fryzjerka i perukarka — Bereżyńska.

Łuki gotyckie na kamienicy nr 19—21
(fot. Leon Jarumski)

Dom ten zdobią dziś od frontu dwa pochodzące z początku XV wieku spod grubej warstwy tynku w roku 1930 odkryte, pięknie profilowane, zwłaszcza na prywatną kamienicę, łuki gotyckie. Są to widocznie szczątki ocalałe z dwu katastrofalnych pożarów Warszawy w wieku XVII. Odbudowując z gruzów kamienicę skorzystano z pozostałych wśród zgliszczy murów i oparto na nich nowe ściany. Teraz odsłonięte świadczą o szlachetności architektury Warszawy sprzed lat półtysiąca.



Nie tylko jednak Rynek Starego Miasta, ale i sąsiednie ulice posiadają takie fragmenty, koło których przechodzą codziennie tysiące osób wcale nie zauważając ich piękna. Dostrzegą je dopiero na obrazku rzadko uchwyconym. A przecież tysiące rozsypanych po kraju pocztówek popularyzuje i bez tego już ogólnie znane punkty miasta. Nie stanowią pod tym względem wyjątku artystycznie bardzo cenne reprodukcje obrazów Bronisława Kopczyńskiego, obu Cieślowskich, ojca i syna, oraz Mariana Trzebińskiego. Jeśli chodzi o temat, to rzadko wyłowią jakiś nieznaną. A jednak tematów takich jest wiele.

W ulicy np. Świętojańskiej, wbrew temu, co o niej w swoim czasie pisał w swym „Uspokojeniu“ Słowacki:

*„Dalej ciemna ulica, a z niej jakieś szare
Wygląda w perspektywie sinej Miasto Stare“.*

bynajmniej już nie „ciemnej“, bo oświetlonej bogato jasnymi lampami sprzed katedry — jest jeden sklepik z żywymi kwia-



Pozostałość starego dworku przy
ul. Świętojańskiej (fot. Leon Ja-
rumski)

tami z wejściem opartym na dwóch jońskich kolumnach. Całe to wejście wygląda jak obrazek w ramy ujęty. Czy nie jest to pozostałość jednego z modrzewiowych dworków, jakimi była zabudowana ongi ta ulica w czasie, kiedy i w Rynku tylko gdzieś tam stał dom muryrowany. Dworki owe były z gankami. W oknach zamiast dzisiejszych szyb szklanych, przesycone tłuszczem pęcherze. Na ich miejscu wzniesiono w XVI stuleciu kamienice z cegły. Być mo-

że wówczas jeden z ganków włączono w ściany i dlatego tak się dobrze zachował, że gdy go przed laty odsłonięto, usunąwszy tynk i cegły, ukazał się w całym swym uroku.

Wystarczy tych kilka przykładów, żeby zachęcić nie znających z tej strony swego miasta warszawian do poszukiwań w tym kierunku albo też odpowiednie instytucje do organizowania wycieczek, prowadzonych przez tych, co Warszawę nie tylko znają, ale i kochają, mają nie tylko oczy, ale i serce, umiejętność nie tylko patrzenia, lecz i widzenia.

„MANSJONARIA“ — KAMIENICA KOŚCIELSKICH

Tuż przy wjeździe do Starej Warszawy od strony Krakowskiego Przedmieścia, bo u wylotu ulicy Świętojańskiej na plac Zamkowy, zwraca uwagę piękna renesansowa kamienica, opatrzona równie hipotecznym, jak i porządkowym od ul. Świętojańskiej numerem drugim.

Nie ten jednak nr 2 świadczy o jej wieku podeszłym a znaczeniu dostojnym. Urządzenie bowiem hipoteczne, wprowadzone w Warszawie dopiero za pierwszych czasów pruskich na mocy rozporządzenia królewskiego z dnia 12 kwietnia 1797 r., opatrzyło ją tym numerem jako najbliższą numeru pierwszego, pod którym zapisano Zamek Królewski.

Szacowność i powagę pamiątkowym murom tej kamienicy nadają jej dzieje, sięgające swym początkiem końca XIV wieku, kiedy to rezydowała w niej księżna Anna, synowa księcia Mazowieckiego Janusza I Starszego, żona Bolesława, który umarł jeszcze przed zgonem ojca w roku 1428, a matka Bolesława IV, ubiegającego się o krakowski tron królewski po śmierci Władysława Warneńczyka.

W roku 1433 księżna-wdowa dom swój, dotykający bezpośrednio synowskich budynków zamkowych, oddała na własność mansjonarzom, czyniąc nadto zapis wieczysty na ich kompletne utrzymanie. Utworzone przez nią Kolegium Mansjonarzy składało się z siedmiu zdolnych i zasłużonych kapłanów, obowiązanych do śpiewania co dzień w kaplicy Wniebowzięcia Najświętszej Panny Maryi „*Officium de Beata*“. Kaplica ta, zbudowana przez tę samą pobożną panią w roku 1423, stała w ulicy Dziekaniej tuż przy kościele Św. Jana aż do r. 1822, w którym została rozebrana. Tym samym wkrótce straciło rację bytu i samo Kolegium Mansjonarzy, którzy przekazani kapitule warszawskiej w połowie XIX stulecia istnieć przestali, a kamienica ich przeszła w prywatne ręce.

O mansjonarzach i o ich kamienicy wspomina w swym „Gościńcu abo opisanu Warszawy 1643 r.“ Adam Jarzębski, mówiąc:

„Kościół Świętojański
„
„Tam jest księżej, mówię śmieie,
„Pratatów sześć, to niewiele,
„A dwanaście kanoników,
„Z dawna Bożych służebników:
„Wikaryjów, altarystów,
„Mansjonarów, psalterystów —
„Tych dostatek; przez ulice
„Chodzą w komżach na kaplice;
„Wszystkich tam są kamienice...”

Z tymi słowy wiąże się dotyczące domu mansjonarzy wspomnienie żałobne. W jednej z jego izb sklepiionych oddał Bogu ducha w dniu 8 sierpnia r. 1524 młodszy z dwu braci, a ostatnich udzielnych książąt mazowieckich, Stanisław, rzekomo ofiara trucizny. Zadana być mu ona miała zdaniem jednych za sprawą królowej Bony, zdaniem drugich przez mściwą Katarzynę Radziejowską, odrzuconą miłośnicę księcia, wreszcie zdaniem innych przez jakąś piekarkę z Krakowa i ziemiankę Kliczewską. Współczesny kronikarz Bernard Wapowski podaje wstrząsający opis egzekucji dwu ostatnich rzekomych trucidielek zarówno księcia Stanisława, jak i jego brata Janusza, ostatniego bezpotomnie zmarłego w dniu 10 marca r. 1526 dziedzica tronu książąt mazowieckich.

„Przed Warszawą (na placu zwanym Piekiełko, przy ulicy Podwale), na com patrzył — pisze naoczny świadek Wapowski — gdy wkopano w ziemię słup, do którego obydwie na łańcuskach długo uwiązano, każdą na swoim łańcuszku, naga, opak ręce związawszy, a około nich nakładłszy drew, w koło zapalili. Piekły się około onego ognia jak pieczenie, na cztery godziny, niżli pomarły, biegając około słupa, narzekając, kąsając zębami jedna drugą. Niesłychana męka!”

Toteż jeśli nie duch pobożnej księżnej-pani Anny Mazowieckiej, jeśli nie duch zmarłego z wyczerpania wskutek miłostek, nadużycia wina i w ogóle rozkiełznania moralnego młodocianego księcia Stanisława, jeśli nie duchy zmarłych w tych od-

„Mansjonaria“ — kamienica
Kościelskich przy ul. Święto-
jańskiej (fot. H. Poddębski)

wiecznych murach mansjonarzy — to duchy tych dwu w piekielnym ogniu, prawdopodobnie niewinnie, zgorzałych niewiast kołatały się przez dalsze lat 300 po sklepionych zakamarkach dawnej książęcej kamienicy, która chyliła się zwolna ku ruinie.

Gdy przeszła, jak wspomnieliśmy już, w drugiej połowie ubiegłego wieku w prywatne ręce, mury jej niszczały dalej, nie konserwowane, bo i któż się miał o nie troskać, skoro całe Stare Miasto było w stanie kompletnego zaniedbania. Ogół mieszkańców, jakkolwiek przywiązany do swej dzielnicy, nie miał dość pietyzmu dla jej pamiątek, zwłaszcza gdy ich konserwowanie wymagało pewnego nakładu.

Tak więc było i z kamienicą mansjonarzy, kiedy ją w r. 1869 nabył słynny wędliniarz Franciszek Szprynger. Przez lat dobre pół setki istniał tu jego handel znany z wyśmienitych serdelków i kielbas. Z drugiej strony sieni mieścił się niemniej popularny w szerokich sferach mieszkańców dzielnicy staromiejskiej handel „wódek z Rybna“ pod firmą „Uładówka“. Toteż przez cały dzień ciągnęły do tych handelek w kamienicy, nie wiadomo dlaczego zwanej wówczas „Nad kanałem“, całe tłumy. Nieraz o ściany sklepionej sieni obijała się pijacka piosenka, gdy w niej przygodnie ucztowano wyszedłszy z szynku... Tak było aż do wybuchu wielkiej wojny, a jeśli nie tak, to podobnie, i tak byłoby zapewne do dziś, gdyby nie znalazł się Władysław Kościelski, właściciel dóbr Miłosław, w pow.



wrzesińskim, w woj. poznańskim, człowiek miłujący przeszłość i jej pamiątki, literat i poeta, jeden z najlepszych tłumaczy nieśmiertelnego „Fausta“, twórca wydanych już po jego zgonie przepięknych i głębokich „Tercyn“, wydawca i naczelny redaktor literackiego miesięcznika „Museion“, założyciel Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska“, słowem ożywiony wysokim poczuciem obywatelstwa, nie tylko sam artysta pióra, ale w stylu renesansowym protektor sztuk i nauk, miłośnik pięknej architektury, który postanowił kamienicę mansjonarzy podźwignąć z upadku.

On to w dniu 1 stycznia r. 1918 nabył wspomniany dom pałacowy od rodziny Ks. Brunona Michała Palmowskiego, jako ostatniej właścicielki kamienicy.

Nadmienić należy, iż równocześnie ten sam śp. Władysław Kościelski nabył także sąsiedni dom przy ulicy Świętojańskiej, porządkowy nr 4, hipoteczny nr 3, od p. Heleny z Płocerów Lewańskiej, ostatniej spadkobierczyni właściciela cukierni mieszczącej się w tym domu a słynnej na równi z Popielawskim z Podwala z wybornych pączków, rozchwytywanych w karnawale. I ten dom, dawniej Płocerów, nie jest w szeregu świętojańskich omszałych kamienic intruzem. Jest to bowiem „Psalteria“ niemal rówieśnica „Mansjonarii“, gdyż w r. 1525 darowana przez ostatniego udzielnego księcia mazowieckiego Janusza tak zwanym psalterystom. Byli to księża w liczbie ośmiu, członkowie chóru kolegiaty, a potem katedry, ustanowieni przez tego księcia zamiast poprzednich żaków śpiewających psalterze. Kamienica ta, wymieniona za Zygmunta Augusta w lustracji z r. 1564, ma do dziś nad furtą godło krzyża i rok 1684, jako datę odnowienia. Stoi ona jednak, jak i sąsiednia kamienica nr 2, opatrzona godłem dwu kopii skrzyżowanych ukośnie nad wejściem, jak wspomnieliśmy już, najmniej od połowy XV wieku. Oba więc te domy godne są wspomnienia i szczególnej uwagi.

Zwłaszcza narożna „Mansjonaria“ zasługuje na dokładne obejrzenie i wniknięcie zarówno w całe piękno szczegółów wewnętrznej budowy, pował, sklepień, oddrzwi itd., jak i na szlachetność linii i wyjątkowo harmonijne i spokojne rozplanowanie drzwi i okien. Jest to zasługą jej ostatniego właściciela, ożywionego wysoce artystycznym duchem estety, a który osobiście pieczętował nad jej odbudową.

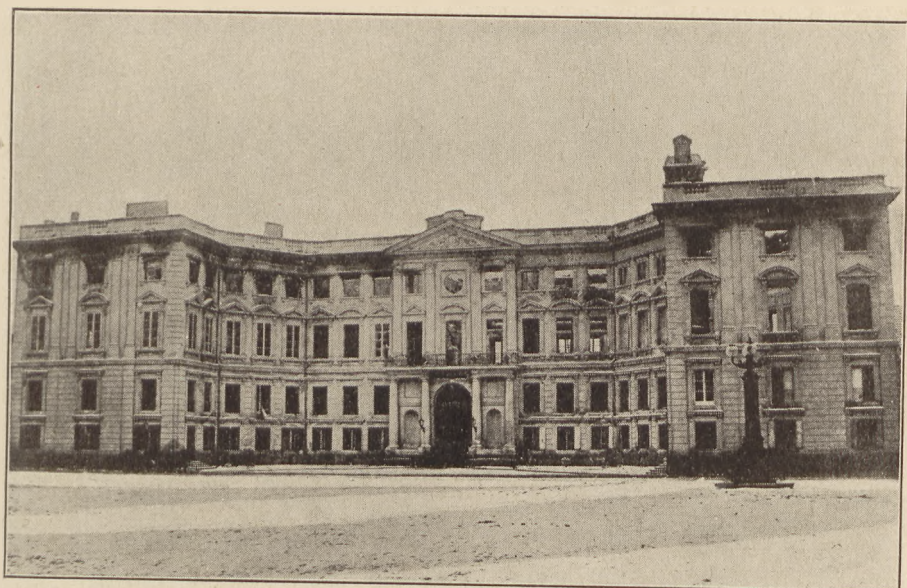


Ratusz na Marywile około r. 1830 według sztychu Fr. Diettricha

RATUSZ NA PLACU TEATRALNYM

Jest to logicznie usprawiedliwione, że gmach ratusza, będącego siedzibą centralnych władz miejskich, znajduje się w sercu miasta i jest budynkiem okazałym, wyjątkowo pięknym, monumentalnym. O ratuszu warszawskim, niestety, tego powiedzieć nie można. Wobec rozrostu miasta nie stoi on w jego centrum. Daleko mu do monumentalności ratuszów wielu naszych miast, że wspomnimy Poznań, Toruń, Leszno, Chełmno, Sandomierz, Opatów, Pabianice. Co do piękna artystycznego ani porównać go z koronkowością gmachów belgijskich, renesansowym wdziękiem ratuszów miast włoskich lub surową powagą środkowoniemiecką.

Przypisać to należy dziejom, jakie gmach ten przechodził. Zakupiony w r. 1817 w okresie burzenia ratusza na Rynku Starej Warszawy, oraz sześciu ratuszów przyłączonych ostatecznie do miasta jurydyk, pałac Pruszków na Marywile wyglądał



Ratusz po pożarze 8 października r. 1863 według fotografii, znajdującej się w zbiorach autora

zupełnie inaczej. Był to gmach przebudowany dla książąt Jabłonowskich przez Merliniego, budowniczego królewskiego, twórcę pałacyku łańienkowskiego i wielu pięknych wnętrz naszego zamku. Jak wszędzie atoli, gdzie Merlinim nie kierował wytworny smak Stanisława Augusta — dość przytoczyć pałacyk Thomatisa w Królikarni — nie stworzył on arcydzieła.

Jednak pałac Jabłonowskiego ozdobił piękną attyką, tympanonem i portalem umieszczonym na osi olbrzymiej do dziś istniejącej wnęki, jak również spokojnym a pięknym rozmieszczeniem okien, nadto ornamentacjami i kartuszami.

Przystosowując gmach (nr 462) do potrzeb magistratu w latach 1817—18 według planu bud. Lessla, zatracono i te walory, nadając mu szatę jeszcze skromniejszą, nie pozbawioną wpływów empiru. Reszty dokonał pożar wzniecony rozmyślnie w dniu 8 października r. 1863 przez spiskowców dla zniszczenia akt, dotyczących organizacji powstania, a przechowywanych w szafach wydziału budowlanego magistratu przez członka Rządu Narodowego, architekta miejskiego Rafała Krajewskiego, straconego później w dniu 5 sierpnia r. 1864 razem z Trauguttem,



Plafon Bacciarelliego w sali Dekerta w ratuszu

Józefem Toczyskim, Romanem Żulińskim i Janem Jeziorańskim, członkami Rządu Narodowego na stokach Cytadeli.

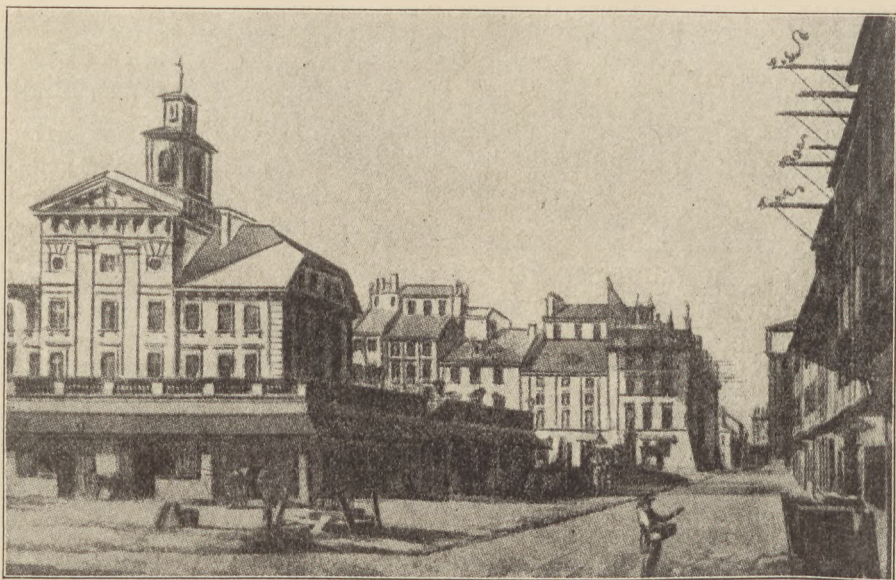
Przebudowywany na razie według planów Krajewskiego, a po jego uwięzieniu i powieszeniu wykończony pod kierunkiem budowniczego Orłowskiego gmach ratusza otrzymał wreszcie w r. 1870 dzisiejszą postać z wysoką na 190 stóp czatownią strażacką, inaczej wieżą zegarową, z bocznym skrzydłem, wyciągniętym w kierunku ul. Bielańskiej.

Wewnętrzne urządzenie sal ratuszowych, z wyjątkiem kilku reprezentacyjnych salonów frontowych na I piętrze, jest więcej

niż skromne. Najefektowniejszą jest wielka sala przez Rosjan zwana Aleksandrowską, w której dziś obraduje rada miejska. Sąsiaduje z nią: z jednej strony sala portretowa, której ściany zdobią podobizny prezydentów miasta st. Warszawy poczynając od Zakrzewskiego poprzez zabór rosyjski, aż do dnia ostatniego; z drugiej — sala sztandarowa albo Dekerta.

Sala ta, zwana za rosyjskich czasów salą „graфа Berga“, posiada plafon pędzla Marcelego Bacciarelliego, zdobiący w swoim czasie salę balową pałacu Prymasowskiego. Przewiezione stamtąd do pałacu Jabłonowskich malowidło to, pomimo całego przepychu barw, nie mówiąc o tak trwałym walorze jak kompozycja, straciło na wartości wiele wskutek niefortunnego poprawienia przez Martiniego. Z epoką jego twórcy, nadwornego malarza królewskiego, łączą się tu umieszczone przed półtora rokiem za ledwie na jednej ze ścian tuż pod stropem: plakieta z popiersiem Stanisława Augusta (dłuta Jana Biernackiego) oraz marmurowy biust twórcy samorządu m. Warszawy Jana Dekerta (dzieło tegoż artysty: śp. Jana Biernackiego).

Plafon ten jednakże, stojący pod względem swej wartości artystycznej na równi z malowidłami Łazienek i zamku królewskiego, jest najcenniejszym detalem całego naszego warszawskiego ratusza i dziwne jest, że nie był dotychczas w żadnym dziele o Warszawie reprodukowany.



Pierwotny ratusz w rynku Miasta Starej Warszawy według obrazu Zygmunta Vogla
(Zbiory Raczyńskich w Warszawie)

DWANAŚCIE RATUSZÓW WARSZAWY

Niewielu z najbardziej nawet rdzennych warszawian, tutaj urodzonych i wyrosłych, przechodząc przez plac Teatralny i spoglądając na ratuszową wieżę, by sprawdzić godzinę, zdaje sobie sprawę z tego, że ich dziady, a może i ojcowie regulować zegarka by tu nie mogli.

Dlaczego? Dla tej prostej przyczyny, iż wieżę tę z przeznaczeniem na czatownię straży ogniowej wzniesiono dopiero w r. 1870, równocześnie z całym lewym skrzydłem ratusza.

Do tej pory wszystkie biura magistratu mieściły się od r. 1818 w sąsiednim pałacu, odkupionym na ten cel przez miasto od ostatniego prywatnego posiadacza, Prusaka. Gmach ten, stojący dziś wprost teatru Wielkiego, wybudowała w r. 1725 Maria Ludwika z Morsztynów Bielińska, od której przeszedł on w ręce



Ratusz w rynku Miasta Nowej Warszawy na przełomie XVIII i XIX stulecia,
w głębi kościół pp. sakramentek według obrazu Z. Vogla
(Zbiory Raczyńskich w Warszawie)

Jabłonowskich. Ci przebudowali go w r. 1785 według planów klasycystycznych Dominika Merliniego i sprzedali sąsiadowi, pułkownikowi Prusakowi, a ten ustąpił go w 1817 na użytek magistratu. Przebudował go wtedy niezbyt szczęśliwie arch. Fryderyk Lessel.

Po pożarze w r. 1863 fasada przebudowana znów została jeszcze niefortunnie przez Józefa Orłowskiego.

Z gmachem tego ratusza łączy się bolesne wspomnienie. Oto w dniu 11 listopada r. 1863 stanęła przed nim pośrodku placu Teatralnego szubienica, na której powieszono Antoniego Ammera i Józefa Dąbrowskiego, sprawców zamachu na oberpolicmajstra Królestwa Polskiego, generała Trepowa, a dokonanego w dniu 2 listopada tegoż pamiętnego 1863 r.

Zanim jednak Warszawa otrzymała jeden zarząd miejski, który tu znalazł w r. 1817—18 siedzibę, na terenie Warszawy znajdował się ratusz nie jeden, lecz ich cały szereg.

Przedewszystkim Warszawa miała trzy ratusze. Pierwszy z nich, najstarszy ratusz Starej Warszawy (*Antiqua Civitas Varsaviensis*), zbudowany w XV wieku jako drewniany gotyk,



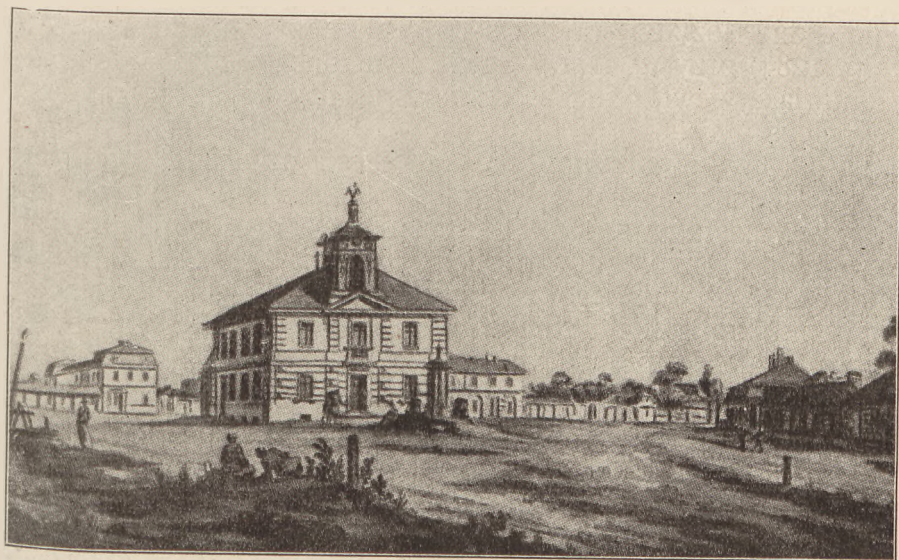
Widok ratusza na Lesznie w pierwszych latach XIX wieku według obrazu Vogla
(ze zbiorów Raczyńskich w Warszawie)

stał pośrodku rynku Starego Miasta. Zdobila go wysoka wieża z blaszaną na szczycie, kręcącą się za podmuchem wiatru, syreną. Dokoła ratusza były murowane kramy, gdzie Szkoci, Niemcy, Włosi i Ormianie sprzedawali różne towary. W piwnicach szynkowano wina, miody i piwo „piątkowskie“, które tylko tu, a nigdzie więcej, mogło być sprzedawane.

W r. 1580 włoski murator Antonio del Ralia przebudował gmach staromiejskiego ratusza w stylu włoskiego, ale nader skromnego renesansu, z wieżą i ze sklepionymi piwnicami na więzienia. Brama ratuszowa była wprost kamienicy nr 23, a z przeciwnej strony gmachu wprost domu nr 22, na samym rogu stało wzniesienie, na którym był pręgierz i kuna tudzież klatka dla ujętych nierządnych dziewczek i przestępców.

Na tak zwanym Nowym Mieście (Nova Civitas Varsaviensis) był inny własny ratusz, stojący na miejscu obecnego zieleńca wprost kościoła św. Kazimierza i klasztoru pp. sakramentek.

Trzecim był terytorialnie odległy, ale administracyjnie należący do Starej Warszawy ratusz Solca, znajdujący się pod hip. nr 2947 w posesji obecnie już nie istniejącej.



Ratusz m. Grzybowa na początku XIX wieku według obrazu Z. Vogla
(ze zbiorów Raczyńskich w Warszawie)

Poza tym wiele z jurydyk, które sejmową ustawą miejską z dnia 18. IV. 1791 r. zostały połączone i utworzyły ze Starą Warszawą jedno miasto — miało swój ratusz. Nie miała go jurydyka Aleksandria, której sądy i mieszkanie burmistrza mieściły się w posesji nr 27 (hip. 2775) przy obecnej ul. Kopernika wprost Tamki.

Ratusz jurydyki Leszna mieścił się pod nr 29 (hip. 722) przy tejże ulicy. Tu było w połowie XIX w. więzienie za długi.

Ratusz jurydyki Nowoświeckiej był w domu hip. nr 1255, gdzie dziś wznosi się wielka kamienica nr 47 przy Nowym Świecie.

Jurydyka Dziekanka miała swój ratusz w posesji hip. nr 380, stojącej w miejscu, gdzie teraz jest pomnik Adama Mickiewicza, a zburzonej w r. 1866 razem z całą połącią kamienic w miejscu dzisiejszego skweru na Krakowskim Przedmieściu wprost ul. Bednarskiej.

Wielka wnęka bramy w kamienicy zwanej Dziekanką, w której był ongi, hotel, a potem popularna restauracja znanego harmo-nisty Stalingera, miała na celu ułatwienie pojazdom zawracanie w wąskiej w poprzednich wiekach uliczce Dziekaniej.

Jurydyki „Bożydar“ ratusz znajdował się w kamieniczce nr 8-10 (hip. 1284) przy ul. Nowy Świat, zburzonej w roku 1934, jako stanowiącej pewien anachronizm wśród nowoczesnych kamienic tej ulicy.

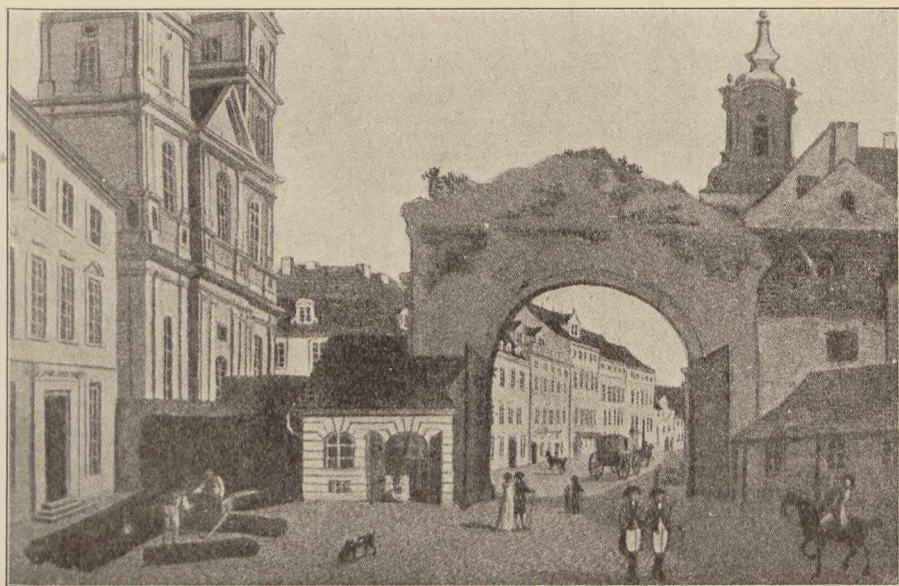
Ratusz Grzybowa wznosił się na posesji oznaczonej wówczas nr 1017 A u zbiegu ulic Twardej i Granicznej. Budynek ten zburzony został w r. 1830. Co do miasteczka Grzybowa warto przy tej sposobności dowiedzieć się, że w r. 1785 było tam (według Stef. Dziewulskiego) 28 browarów. Miasteczko to posiadało osobną miarę łokcia, różną od warszawskiej: łokieć grzybowski był o 4 cale dłuższy od warszawskiego.

Przy ul. Krochmalnej nr 17 (hip. 1011) do tej pory przy małym placyku stoi dom, gdzie był ratusz jurydyki Wielopole, założonej w r. 1693 przez Marię de la Grange d'Arquien, siostrę rodzoną „Marysienki“, a zamężną za Wielopolskim, kanclerzem wielkim koronnym.

Ratusz Bielina, jurydyki założonej później, bo w r. 1757 przez wielce zasłużonego w dziejach Warszawy marszałka wielkiego koronnego Franciszka Bielińskiego, był przy ul. Zielnej nr 1414, gdzie dziś wznosi się wielka kamienica, skąd Polskie Radio nadaje na cały świat swe audycje.

Na Nowym Świecie pod nr 46 (hip. 1305) mieścił się ratusz jurydyki Ordynackiej, obejmującej szereg posesyj na Tamce, ul. Szczygłej, dawniej Wróblej (dziś Kopernika od ul. Pierackiego do Ordynackiej) i przy Nowym Świecie.

Jurydyka Tamka, należąca do Sióstr Miłosierdzia Św. Kazimierza, sprowadzonych z Francji w r. 1646 przez królowę Marię Ludwikę, nie mając aktu erekcyjnego nie miała własnego sądownictwa, a więc i ratusza, lecz była pod jurysdykcją Starej Warszawy.



Resztki bramy Północnej, czyli Nowomiejskiej, według akwareli Karola Albertiego
(ze zbiorów p. Zuzanny Rabskiej w Warszawie)

RESZTKI MURÓW OBRONNYCH

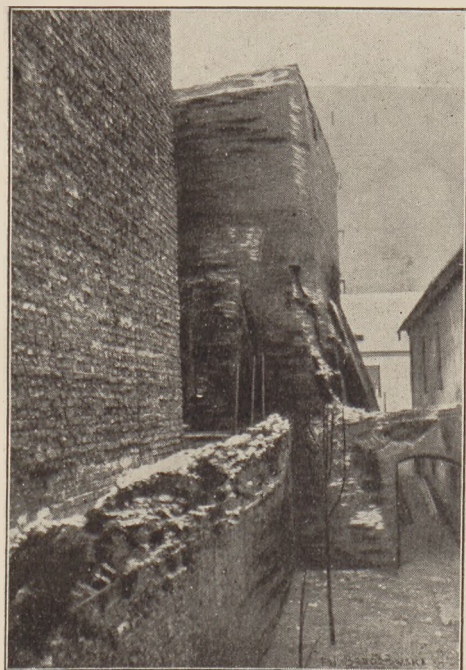
Jakkolwiek Warszawa jest miastem o wiele młodszym od bawarskiej Norymbergi lub Rotenburga, od francuskiego Pau lub Avignonu, czy też włoskiej Ferrary, to jednak posiada bez porównania mniej śladów po tym, że była ongi grodem obronnym, niż te miasta zachodnie. Pomimo ciągłych wojen XV i XVI stulecia baszty i mury, okalające ojczysty gród Hansa Sachsa i Dürera lub stolicę papieża za ich tak zwanej „niewoli babilońskiej“, utrzymały się do dziś w najlepszym stanie. W Warszawie nie było po nich do niedawna niemal śladu, a jeśli gdzieś był, to tak nikły, przedstawiał takie znikome resztki i w dodatku tak ukryte przed okiem nie tylko obcego turysty, ale i rodowitego warszawiaka, iż mieszkaniec stolicy, znający je, stanowił rzadkość nielada.

Zniszczenia podwójnych murów, którymi otoczona była Warszawa, dokonała normandzka zawziętość szwedzkich najeźdźców, którzy kilkakrotnie zdobywali stolicę za Jana Kazimierza oraz w walce o tron polski Augusta II Sasa z popieranym przez nich Stanisławem Leszczyńskim. Czego nie dokonali Herulowie w Rawennie, tym się zaznaczyli Szwedzi XVII i XVIII wieku w Polsce. Nie był to jednak, trzeba przyznać, wrodzony pęd do barbarzyńskiego wandalizmu, ale konieczność taktyki wojennej, czyniącej z warownego grodu miasto nieobronne, pozbawione wszelkich fortyfikacji. Tak zniszczono okalające miasto mury.

Bramy miejskie, zamykane ongi o zmierzchu i strzeżone przez halabardników, z chwilą zburzenia łańcucha murów straciły oczywiście rację bytu i pozostawione były przez dłuższy czas jako zabytek. Rozbiórce uległa najpierw brama zw. Wiślana od ulicy Brzozowej do rynku Starego Miasta, później Północna w ulicy Nowomiejskiej, czyli Gołębiej, od Krzywego Koła do rogu Podwala i Freta, wreszcie brama Poboczna od Wąskiego Dunaju na Podwale i w roku 1818 ostatnia brama

Krakowska wprost wylotu ulicy Senatorskiej na dzisiejszy plac Zamkowy. Lwy sprzed tej bramy, roboty Landiniego, przeniesione zostały przed pałac Koniecpolskich, później Radziwiłłowski, a jeszcze potem „Namiestnikowski“, gdzie dziś Rada Ministrów, a figury alegoryczne znad bramy na attykę tegoż pałacu.

Brama Krakowska wiodła w wąską uliczkę Grodzką (o szerokości obecnego chodnika), prowadzącą ku ul. Świętojańskiej wzdłuż muru, okalającego dziedzińce zam-



Mury obronne starej Warszawy na tyłach posesji nr 7 przy ul. Mostowej

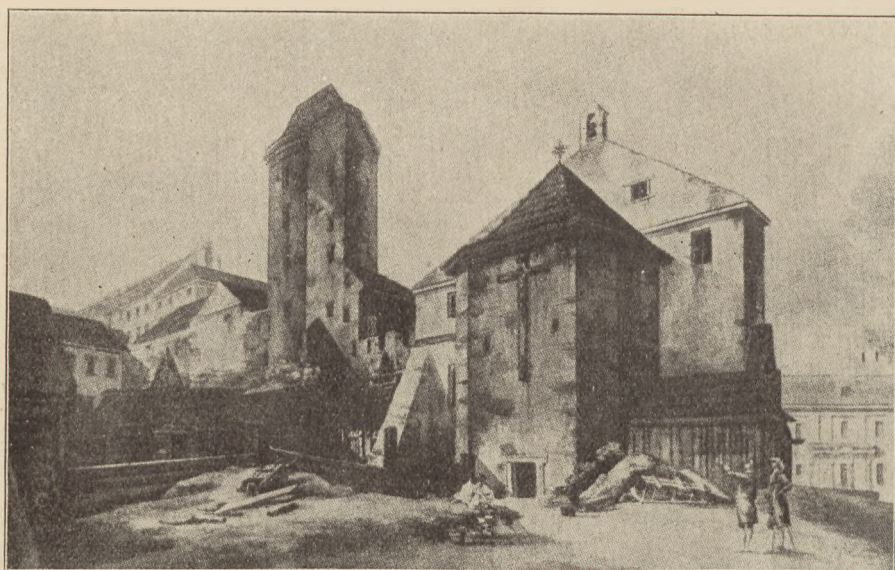


Brama poboczna u wylotu ul. Dunaj na Podwałe według obrazu Z. Vogla
(ze zbiorów Raczyńskich w Warszawie)

kowe apteczny i stajenny, po których zburzeniu utworzył się plac Zamkowy. W tym murze wprost ul. Piwnej, dawniej zwanej Świętomarcińską (od kościoła oo. augustianów) lub Szykarską, była brama zamkowa.

W tym też punkcie do dziś można zauważyć na samym rogu kamieniczki opatrzonej od ul. Piwnej nr 2 piękny załamek muru miejskiego jeszcze z XV wieku, a więc z okresu, kiedy mur ten biegł w ul. Piwną ku obronnej baszcie, przerobionej na dzwonicę kościelną. Dzisiejszy dziedziniec domu kościelnego stanowił wówczas międzymurze, nad którym zawieszony był istniejący do dziś zamknięty murowany korytarz, prowadzący z wewnętrznego pasa murów do chodników strzeleckich na murach zewnętrznych. Obydwa te mury są tu częściowo widoczne.

Bardziej imponującym zabytkiem jest czworokątna potężna baszta na tyłach oficyny domu nr 7 przy ul. Mostowej, zwanej w XVI i jeszcze w XVII wieku Chwaliszewem, mimo że już prowadziła do mostu Anny Jagiellonki. Dom ten, zwany do niedawna „na Łazarskim“, gdyż tu mieścił się przez czas dłuższy założony przez x. Piotra Skargę w początku XVII wieku



Tyły szpitala św. Łazarza przy ul. Mostowej i wieża Marszałkowska w końcu XVIII w. według obrazu Z. Vogla (zbiory Raczyńskich w Warszawie)

szpital dla tak zwanych gnojowników, czyli wenerycznych, dotykał z zewnętrznej strony murów miejskich, których pozostałością jest owa wieża potężna. Dalsze resztki murów z widocznymi jeszcze strzelnicami i chodnikami drewnianymi dla łuczników widoczne są od strony ul. Brzozowej, zwanej w XVII stuleciu Szpitalną, później Śpichlerzną, wreszcie od rosnącego tu lasu Brzozową.

Oto pozostałości dawnych murów świadczące, że Warszawa była grodem obronnym. Dodać należy do nich szczątki zębanych blanków na bocznej ścianie posesji nr 24 przy ul. Nowomiejskiej, a obok tzw. „Gdańskiej piwnicy” wprost Podwala.

W roku 1936 dzięki pietyzmowi prezydenta miasta, ministra Stefana Starzyńskiego, wzięto się do odsłaniania dalszych pozostałości murów miejskich ukrytych dotąd za tyłami kamienic, stojących przy ulicach Podwale, Krzywe Koło i w ogóle dokoła Starej Warszawy.

Uliczka Rycerska (ze zbiorów prywatnych autora)



ULICA RYCERSKA

Między ulicami Podwale a Piwną (dawniej Szynkarską) ciągnie się równoległa do nich wąziutka uliczka Rycerska, będąca ongi międzymurzem. Będąc dalszym ciągiem uliczki Rzeźniczej, łączącej bramę Nowomiejską z Wąskim Dunajem, prowadzi od tegoż Dunaju, przecinając ul. Piekarską, ku tyłom kościoła i klasztoru oo. augustianów, gdzie kończy się ślepym zaułkiem. Nieparzystą połączyć tej uliczki stanowią tyły domów z Podwala, posiadające oddzielne numery policyjne.

W wieku XIX gnieździły się tu ostatniego rzędu jaskinie rozpusty, z których potem dzielnicę tę oczyszczono. Dziś niektóre domy, przetrwawszy kilka wieków, grożą zawaleniem. Coraz wzmacnia się kamienice przy ul. Piekarskiej, Rycerskiej i Piekiełku, ale to niewiele pomaga.

Poza tym charakterystyczny jest dla tej uliczki ściek, czyli tak zwany od czasów pruskich „rynsztok“, biegnący środkiem jezdni. Cechuje ją również brak chodników, na które nie ma miejsca.



Placyk Szerokiego Dunaja (fot. H. Poddębski)

SZEROKI DUNAJ

Targowisko, istniejące od niepamiętnych czasów na Szerokim Dunaju, w roku 1933 zostało zamknięte. Placyk widoczny spod charakterystycznego łuku przechodniej na Podwale bramy zyskał niewątpliwie na czystości i higienie, ale stracił tę typową malowniczość i ożywienie, które go cechowały. Została na swoim miejscu kamieniczka nr 5 będąca pod koniec XVIII wieku własnością szewca-pułkownika Kilińskiego, ozdobiona nad wejściem do sieni pamiątkową tablicą. Został narożny dom cechu rzeźników. Zniknęły natomiast sprzed nich stragany i kramy, w których staromiejska ludność okoliczna zaopatrywała się w porze przedpołudniowej w warzywa, a po południu w niewymyślną i oczywiście mniej wykwintną galanterię i konfekcję.

Zniknęły one dziś, jak zniknęło wszystko, co w długim pochodzie wieków tędy przeszło. A więc w prawej oficynie wspomnianej kamieniczki ciasny, a jak pełen ongi wielkiego ducha, warsztatik Kilińskiego na parterze, dokąd przez wąskie między-murze rzadziej przenika promień słońca, niż zaglądali w ostatnim dziesiątku tragicznego stulecia najemne zbiry moskiewskiego rezydenta Igelstroema, a w lat kilkadziesiąt szpicle Kuruty.

A więc cofnąwszy się dalej w dzieje, owo źródło tworzące w tym miejscu staw, z którego wypływała w kierunku Bramy Pobocznej (dziś wylot ul. Wąski Dunaj na ul. Podwale) wąska rzeczulka: Dunaj, wpadająca wąwozem Chwaliszewa lub Waliszewa (dziś ul. Mostowa) do Wisły.

A więc sama ta Brama Poboczna na wprost której znalazł smutny, lecz zasłużony koniec w rowie pod karczmą i zajazdem Płockim haniebnej pamięci marszałek zdradzieckiego sejmu Poniński.

A więc te kontusze, kierezje i karabele; te braterskie przy kubku miodu „Kochajmy się!“ i entuzjastyczne „Hajże, na moskała!“, wreszcie te chyłkiem pod murami z tajną latarką pod płaszczem skradające się cienie z lat 1861—1863; te szloch-y osieroconych matek, żon i dzieci po egzekucjach popowsta-niowych...



Ulica Kanonie i domy kanonickie, na których tyłach zamurowano uliczkę dawną
(fot. H. Podgębski)

ZAMUROWANE ULICZKI STAREJ WARSZAWY

Chcąc przejść obecnie sprzed kościoła św. Marcina na Pivnej pod katedrę trzeba zrobić spory szmat drogi, by okrążyć całą połąć kamienic, stojących między ulicami Świętojańską a Pivną i przejść przez plac Zamkowy albo tak zwany Zapiecek i Rynek Starego Miasta.

Tę trudność stworzyli nam oo. augustianie, którzy w XVIII stuleciu zamurowali wąską uliczkę istniejącą od niepamiętnych czasów wprost kościoła na Pivnej i prowadzącą naprzeciw Świętojańskiej Fary.

Z tej to uliczki odsłaniał się widok na katedrę, która wtłoczona w ciasną ulicę Świętojańską nie ma tej perspektywy na jaką zasługuje.

Nie jest ona cudem świata, jak piękny gotyk w Mediolanie lub paryska Notre Dame, nie kusi się o konkurencję z Westminsterem albo z katedrą w Châtres, ale w każdym razie, nawet po zepsuciu frontonu w latach 1836—40 przez Idźkowskiego, a już po zgoła niepodobnym do niczego późniejszym upodobnieniem fasady do kafelkowego pieca, jak słusznie Al. Lauterbach zaznacza, zasługuje na to, żeby jej nie chować w świętojańskiej ciasnocie.

W tej samej sytuacji jest w Neapolu św. January, ale jest tam właśnie, jak to było ongi w Warszawie, jakaś „vicola“, ciasna i wąska uliczka naprzeciw, z której odsłania się widok na całą fasadę od stopni aż do szczytu.

Już 30 lat temu proponowano w Warszawie otwarcie na nowo tej uliczki, którą zakonnicy, właściciele sąsiedniej kamienicy zabudowali. Ślad tej samowoli jest i w uchwale Sejmu z r. 1677, oddającej im ową uliczkę na wieczne czasy, ale z warunkiem, aby „wolne we dnie przejście ludziom do kościołów pomienionych (św. Jana i św. Marcina) na nabożeństwo chodzącym sporządzone było“.

W 107 lat później w Taryfie Łokciowego przy „Nr 18. Kamienica do szpitala św. Łazarza należąca, łokci 18 c. 1 — powiedziane jest — Rachując w to uliczkę, zamkniętą dla przechodu, łokci 5 i pół trzymającą, nad którą są mieszkania“. Wtedy już oo. augustianie uliczkę zamurowali, zapewne na wszystkich piętrach, aż do jednospadkowego, widocznego do dziś dachu. Teraz o otwarciu przejścia więc nie ma mowy.

Odśloniłby się na katedrę widok chyba wtedy, gdyby się zburzyło całą połąć domów od Zapiecka do Placu Zamkowego. Jest to jednak niemożliwe, bo są to kamienice nie tylko pamiątkowe, ale przedstawiające tak wysoką wartość realną, że na ich wykupienie i zburzenie miasto nie może sobie pozwolić.

Wspomnianą wyżej wąziutką uliczką można było niegdyś przejść z Pławnej wprost aż na Kanoninę, bo między sąsiednim kościołem N. M. Panny Łaskawej (oo. jezuitów) a katedrą była też wąska uliczka, potem zamurowana. W miejscu tym stoi dziś kapliczka przedpogrzebowa, należąca do katedry.

Stał tu od frontu ul. Świętojańskiej maleńki domek nr 5, nie większy od istniejącej do dziś przy kościele oo. paulinów na rogu ul. Długiej i Freta najmniejszej w Warszawie „kamienicy“ prof. St. Thugutta. W miniaturowym tym domku w ul. Świętojańskiej istniał jeden tylko sklepik „sławetnego Gordona“, a potem „Józefa Barczyńskiego“. Sklepik naczyń gospodarskich. Obok tego domku wchodziło się w uliczkę między murami kościołów prowadzącą na Kanonię, cichy placyk za katedrą. Przy radykalnej przebudowie katedry w r. 1840 uliczkę tę skasowano.

Kanonie...

*„...Jak przystań spokojna
Są te małe Kanonie... Wąskie kamienice,
Spiczaste dachy, okna-oczy zadumane...
Pełno ciżby gołębiej... To wszystko owiane
Mgłą jakąś, jak w wspomieniu drogich zmarłych lice...
Placyk pusty...“*

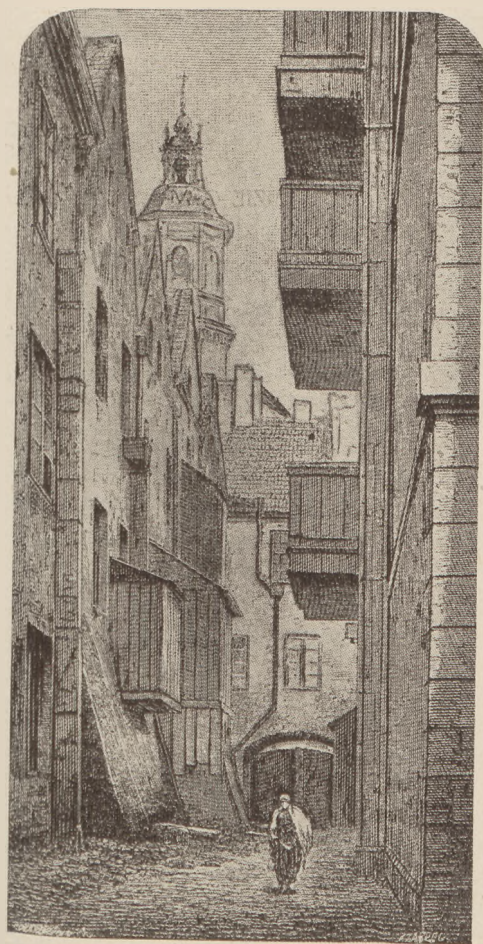
(„Warszawa w sonetach“ Zuzanny Rabskiej).

Placyk pusty, zaciszny, na którym tak dobrze byłoby nie mającemu dotychczas pomnika w Warszawie Stanisławowi Staszycowi, posiada prostopadłe do Wisły szereg domów kanonicznych, których tyły wychodzą na zamurowaną już również przed laty uliczkę „Dawną“, będącą niejako przedłużeniem opisanych wyżej dwu uliczek, ciągnących się od ul. Piwnej ku muirowi miejskiemu, otaczającemu gród od strony Wisły.

Uliczka ta według pomiaru z r. 1784 miała długości 71 i pół łokcia, a szerokości 10 łokci. Ponieważ wychodziły na nią tyły kamienic nr 20—28 kanonicznych, nie mających dziedziców, więc kapituła kolegiaty św. Jana zwróciła się w r. 1757 do magistratu o zezwolenie na jej przearkadowanie. Choć miasto na to się nie zgodziło, kapituła od strony ul. Jezuickiej wymurowała samowolnie arkadę i w niej urządziła „mieszkanie proboszcza“ („Taryfa Łokciowego“ z r. 1784).

Pod arkadą była brama na razie otwarta; potem jednak kanonicy za kilkadziesiąt złotych rocznej opłaty uliczkę Dawną całą od magistratu wzięli w dzierżawę, bramę zamknęli i uliczka stała się dziedzincem domów nr 20 do 28.

Ostatnio urządzono w samej bramie mieszkanko sklepowe.



Zamurowana uliczka Dawna (Tyg. Ilustrowany Nr 26 z r. 1908)

Czwarta bardzo do tej Dawnej podobna uliczka była na tyłach lewej połaci kamienic Krzywego Koła od dzisiejszej ulicy Nowomiejskiej a dawnej Gołębiej. Było to właściwie 6 łokci szerokie międzymurze, prowadzące od bramy Północnej ku baszcie Marszałkowskiej, górującej ongi nad ul. Brzozową, zwaną w XVI wieku „Między śpichlerzami“, a w XVII „Łazarzową“. Wszak dopiero od brzoź rosnących na cmentarzu założonego na rogu ul. Mostowej przez Piotra Skargę szpitala św. Łazarza nazwę otrzymała Brzozowej. I ową wąziutką uliczkę w końcu XVII wieku zagarnęli właściciele kamienic wspomnianych robiąc sobie z niej podwórza. Do dziś widać tam jej ślady.

Takiemu samemu losowi uległa ulica, pierwszy raz pod nazwą Ciasnej w r. 1672 wspomniana, potem już w r. 1694 znaczonej jako ulica *inter moenia*, czyli „między murami“, wreszcie od r. 1771, kiedy dawano nazwy wszystkim ulicom, wskutek panujących na nich ciemności nazwana Ślepą. Łączyła ona placzyk Piekiełko z dawną bramą Krakowską i leżała na tyłach parzystych kamienic Podwala.

Kiedy obecny plac Zamkowy był dziedzińcem, mieszczącym obok wozowni królewskich kancelarie grodzkie, przy tej ulicy za czasów saskich i króla Poniatowskiego schodzili się na piwo



Uliczka Ślepa (fot. H. Podgębski)

młodzi palestranci. Kitowicz o tym wspomina w swych pamiętnikach, a F. M. Sobieszczanski pisze:

„Należało do przymiotów dobrego prawnika, aby mógł spełnić duszkiem ogromne kolejne kielichy wina na ucztach, wyprawianych w czasie trwania trybunału lub gdy u sto-

łów pańskich nadarzała się do tego sposobność, a wiadomo, że straszliwie pili dawni nasi prawnicy“.

Tak więc ich praktykanci nabierali do wina praktyki przy piwie w szynkowniach na ul. Ślepej.

Palestra nasza stara i młoda, jeśli ma za co — popija dziś u Arkuszewskiego, spadkobiercy tradycji dawnych firm Lipkaua i Purwina (1870—90).

Tak samo, jak i poprzednio wspomniane, została zamurowana istniejąca od r. 1438 do 1766 uliczka Żydowska, potem zwana Abrahamską, a w końcu Baryczkowską. Było to w swoim czasie ghetto. Tu Żydzi mieli swą synagogę, gdzie dziś dom nr 7 przy Wąskim Dunaju i tuż obok cmentarz. Ulica ta szła od Wąskiego Dunaju przez obecną posesję nr 5 prawie równolegle do ul. Rycerskiej i Podwala, a poniekąd i Piwnej, w kierunku ul. Piekarskiej. Na tyłach domu z rogu Rycerskiej i Piekarskiej załamywała się i wychodziła pod kątem prostym na Rycerską, gdzie dziś widać jej ślad.

Po usunięciu w r. 1483 przez Bolesława V Mazowieckiego, potwierdzonym przez Zygmunta Starego w r. 1527, Żydów z miasta Starej Warszawy grunty przy ul. Żydowskiej nabył Stanisław Baryczka i zabudował je kamienicami. Ulica ta wtedy istnieć przestała.

To były ulice ściśle staromiejskie.

Ale znikły też inne uliczki niewielkie, znajdujące się ongi na terenie wtedy Nowej Warszawy, a właściwie na jej przedmieściach, jak np. ul. Krótka, Mysza lub Saska, zwana inaczej

Kamienica stojąca na miejscu uliczki Krótkiej (fot. H. Poddębski)



Pacientburg, łącząca ul. Królewską między gmachem giełdy a kamienicą Granzowa Nr 14 z placem Żelaznej Bramy.

Akurat na wprost bellotowskiej figury Najświętszej Maryi Panny Passawskiej na Krakowskim Przedmieściu była wąziutka uliczka zwana „Krótką“.

Łączyła ona wąskie do

roku 1866 Krakowskie Przedmieście z uliczką Kozią i była prześmykiem między posesjami hipotecznymi nr 439 i 440.

Była to dróżka zupełnie zaniedbana, niewybrukowana, pełna w dni słotne błota a zawsze wszelkiej plugawej nieczystości.

Kurier Warszawski w nr 254 z dnia 25. X. 1824 roku zamieścił o niej następującą anegdotę.



Gmach giełdy, wzniesiony według planów Kubickiego, na miejscu dawnej „Operalni“, obok uliczki Saskiej (fot. H. Poddębski)

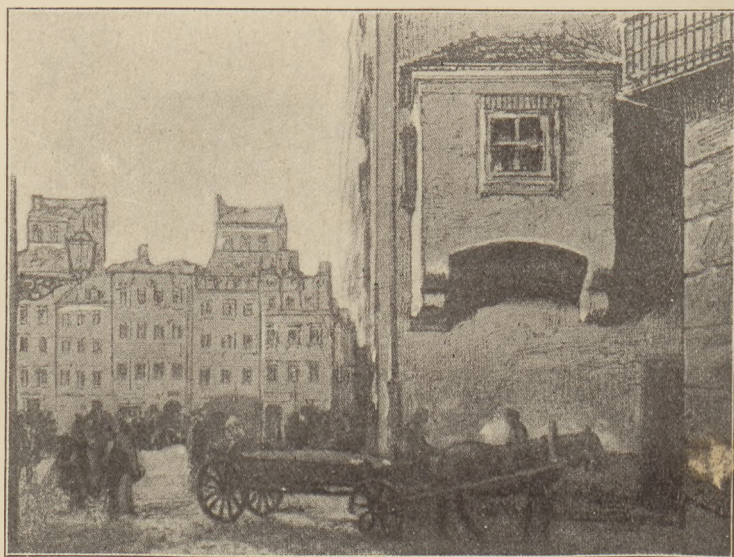
„Między Przedmieściem Krakowskim a ul. Kozią jest uliczka zwana Krótka, między ścianami dwu domów, zwykle w czasie sloty błotnista i trudna dla piechoty do przebycia. W zeszłym tygodniu, w dniu słotnym spotkali się na niej Elegant modnie ubrany i jakiś Chudy pachol. Aby jeden z nich sucho przeszedł, trzeba było koniecznie, żeby drugi wstąpił w błoto.

— No, któż komu ustąpi? — zawołał Elegant.

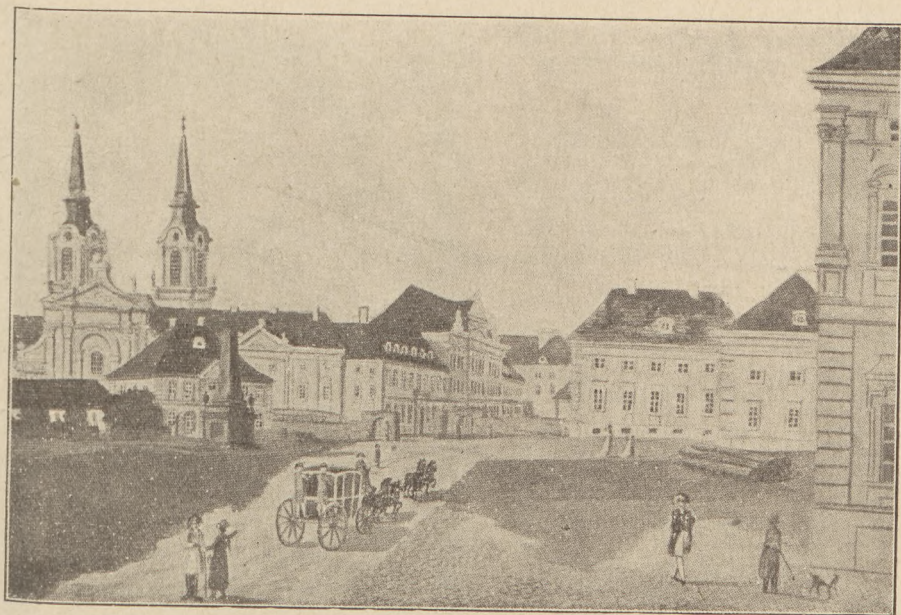
— Zważając na pański piękny ubiór — rzecze Chudy pachol — mniemać można, że pan jesteś panem, a zatem ja ustąpić mu powinienem, lecz pan masz bez wątpienia służącego, który mu buty wychędoży, a ja, przyznam się szczerze, nie mam za co nawet kupić szuwaksu, a chciałbym się teraz pokazać czysto w miejscu, gdzie spodziewam się zjeść od dawna oczekiwany obiad.

Elegant uznał tę rację za zupełnie przekonywującą i wlaźł w błoto, aby ustąpić głodnemu biedakowi.

Taka gadka jest związana z pamięcią ul. Krótkiej, którą aptekarz „królewski“ Szteyner, nabywszy sąsiedni dom, 439 w ciągu roku 1870 zamurował.



Wykusze domu księdza Skargi — rysunek w zbiorach autora



Kościół oo. pijarów (obecnie garnizonowy) przy ul. Długiej i „Collegium Nobilium“ na schyłku XVIII w. według akwareli Karola Albertiego (zbiory p. Zuzanny Rabskiej w Warszawie)

OKOLICA PLACU KRASIŃSKICH

W miejscu dzisiejszego kościoła garnizonowego przy ul. Długiej od początku XV wieku, gdyż, jak ślady wskazują, za ostatnich książąt mazowieckich istniał już przy tak zw. Szerokiej drodze za miastem kościółek drewniany. Obsługiwał on wiernych z tej okolicy niemal przez trzy stulecia, bo do chwili, kiedy za Jana Kazimierza został spalony przez Szwedów.

Ówczesna „długa ulica Błońska“ była już dość zabudowana, a wkrótce, bo w ciągu wieku XVII obie jej strony posiadały szereg dworów, zajętych przez gospody przedstawicieli różnych państw obcych, między którymi niejedną posesją władało duchowieństwo (oo. paulini, oo. pijarzy, później i oo.

Fragment bramy pałacu Paca (dziś sąd okręgowy) przy ul. Miodowej

teatyni etc.) lub magnaci (Sapieha, Dobrogost Krasieński, potem Lubomirscy, Radziwiłł, Chreptowicz, Raczyński etc.).

W lat kilkadziesiąt po szwedzkim potopie, mniej więcej równocześnie ze wznoszeniem przez Dobrogosta Krasieńskiego na placu Węgrzynowskim wspaniałego pałacu, mającego zaćmić przepych Wilanowa (pałac Rzeczypospolitej), bogobojny Jan III zaczął przy pomocy oo. pijarów stawiać naprzeciw, na miejscu spalonego drewnianego, skromny kościół murowany o planie

bazylikowym, bez nawy poprzecznej i o pilastrowanej fasadzie w jednym porządku barokowym. To podobieństwo do pobliskiego kościoła Przemienienia Pańskiego, fundowanego również w tym czasie przez Sobieskiego oo. kapucynom przy ul. Przecznej (później Miodownikowskiej, Miodowej) pozwala przypuszczać, że budowali go ci sami architekci Affatti i Ceroni.

Przy kościele tym od strony dzisiejszej ul. Miodowej nr 22/24 ks. Stanisław Konarski, prowincjał oo. pijarów, wznosił gmachy, w których w r. 1754 umieścił konwikt dla młodzieży szlacheckiej p. n. „*Collegium nobilium*“, przeniesiony następnie nad Wisłę, na dawny Żolibórz, gdzie przetrwał aż do r. 1832, czyli do chwili zburzenia tej dzielnicy pod cytadelę. W dawnych zabudowaniach konwiktu przy rogu ul. Miodowej i Długiej, zwanej wówczas Sienną, za czasów pruskich umieszczono koszary, a po wejściu wojsk francuskich w r. 1807 zajęto je na szpital wojskowy, który ustąpił miejsca istniejącej tu do r. 1830 Szkole Aplikacyjnej. W r. 1830 umieszczono



tu Sąd Apelacyjny, który też tutaj dokonał żywota w roku 1876 wskutek reformy sądownictwa.

W r. 1834 usunięto pijarów z samego kościoła przy ul. Długiej na Świętojańską do kościółka pojezuickiego, a kościół przy ul. Długiej zamieniono na prawosławną katedrę św. Trójcy. Świątynię przebudowano wówczas według planów Corazziego i Gołońskiego nadawszy jej frontonowi cechy empirowe, a wieżę zamieniwszy na bizantyjskie kopuły.

Tu na placu Krasińskich do chwili ewakuacji Rosjan, a więc do r. 1915 odbywały się przed soborem przeglądy wojskowe garnizonu warszawskiego, dokonywane przez moskiewskich generał-gubernatorów.

Niemcy po wzięciu Warszawy podczas wielkiej wojny, oddali w roku 1916 dawny ten kościół dowództwu legionów, które przeznaczyło go na kościół garnizonowy, przy czym przywrócono świątyni dawne wieże, oczyszczono fasadę ze szpecących ją moskiewskich dodatków, a z wnętrza usunięto „ikonostas” i „analoje”. Natomiast na filarach wyrzezano w marmurowych tablicach nazwiska legionistów poległych bohaterską śmiercią w walce o wolność Ojczyzny pod Kaniowem (1914), Rarańczą (1915) itd.

Tu, gdzie przez lat sto bez mała syty krzywd gnębionego narodu śmiał bić dziękczynne Bogu pokłony wraży zaborca — dziś przed pięknym malowidłem Kokulara (w wielkim ołtarzu) modlą się żołnierze naszej dzielnej armii.



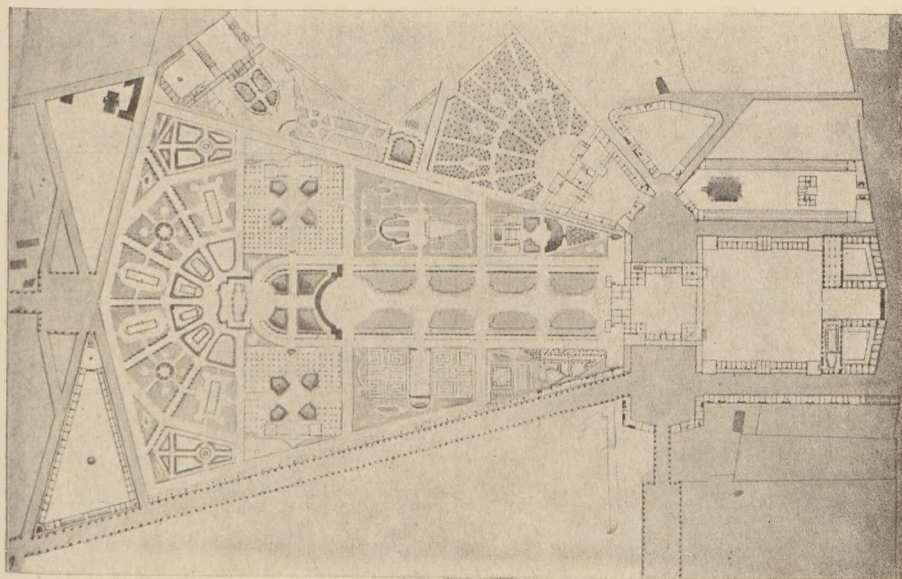
Pałacyk Tow. Lekarskiego przy ulicy Króla Alberta. Według rysunku L. Ilinicza z r. 1893, znajdującego się w zbiorach prywatnych autora. (Patrz str. 72)



Widok Końskiego Targu (dziś ul. Królewska róg Marszałkowskiej) według kartonu Vogla ze zbiorów Raczyńskich w Warszawie

ULICA KRÓLA ALBERTA I

W czerwcu r. 1934 nadano nazwę „Króla Alberta I” dotychczasowej ulicy Niecałej. Dzieje jej nie są zbyt długie, powstała bowiem dopiero w roku 1789 na miejscu dawnej drogi o linii łamanej, która prowadziła między murem okalającym grunta klasztoru oo. reformatów, a murem francuskiego ogrodu, rozciągniętego wachlarzowato za pałacem Sandomierskim. Tak zwał się wówczas pałac Aleksandra Lubomirskiego, starosty sandomierskiego, nabyty przezeń od Ossolińskich w r. 1650. Pałac ten przeszedł potem drogą spadku do Pawła Sanguszki, który go przebudował nadając mu dzisiejszy kształt i sprzedał ministrowi hr. Henrykowi Brühlowi.



Plan ogrodów Saskiego i Brühlowskiego z wytkniętą już na tyłach ulicą Niecałą

Po nabyciu przez Augusta w r. 1713 pałacu Bielińskich, przebudowaniu go na pałac Saski i urządzieniu na gruzach dawnych dworów Tarłów, Sapiehów, Morsztynów, Doenhofów, Leszczyńskich i innych Ogrodu Saskiego oraz po oddaniu go 27 maja r. 1727 na użytek publiczny — droga jeszcze niebrukowana stała się ulicą zamkniętą przez parkan, a potem sztachety królewskiego ogrodu. Gorzej, bo później zatkała ją w tym miejscu poprzeczna kamienica, którą tu wzniosł niejaki Łaszczyński.

Z czasem Jan Bogumił Traugott Ulrich, zarządzający ogrodem Saskim po Janie Krystianie Menckem, następcy twórcy ogrodu Szulca, ogrodnika Jego Królewskiej Mości, zażądał od Łaszczyńskiego otworzenia przejścia z ogrodu na ulicę, łączącą Bieliny (dzisiejszą ul. Marszałkowską) i Koński Targ (Królewską) przez Ogród Saski z tak handlowym punktem jak targ w Marywilu. Łaszczyński się zgodził i odtąd przechodziło się przez dziedziniec posesji z ogrodu na ulicę, nazwaną wskutek tego Nie-całą. Stało się to w roku 1789.

W latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia przystąpiono do rozparcelowania dawnego ogrodu Brühlowskiego i wytknięcia nowych ulic. Jedną z nich wykreślono od hotelu Angielskiego w przedłużeniu Trębackiej tuż pod ogrodową fasadą pałacu Brühla i przeprowadzono pod kątem prostym wzdłuż granicy Ogrodu Saskiego ku owej posesji poprzecznej w końcu ul. Niecałej. Ulicę tę nazwano później, po zniesieniu namiestnictwa z hr. Bergiem i po objęciu nowoutworzonego stanowiska generał-gubernatora przez hr. Kotzebuego, imieniem tego ostatniego.

W tym to okresie, mianowicie w r. 1869, zburzono kamienicę Łaszczyńskiego otwierając wylot Niecałej do ogrodu Saskiego i łącząc ją w tym samym punkcie z ul. hr. Kotzebuego. Grunta po dawnym ogrodzie Brühla rozprzedano pod gmachy hr. Ludwika Krasińskiego, Banku Dyskontowego, Banku Zachodniego (H. Wawelberga), hotelu Brühlowskiego i innych.

Przy ul. Niecałej stały też kamienice, a między nimi prezydenta Warszawy, generała Kaliksta Witkowskiego, nr 2 (614 c) według planu arch. Zygm. Kiślańskiego z plastycznym, dziś niestety bardzo zniszczonym planem Warszawy na lewej ścianie bramy. Dalej nr 8 (614 e, f) z przejściem na ul. Senatorską, nr 1 (612 a) hr. L. Krasińskiego według planu W. Rakiewicza; nr 3 (nowsza) piękną kombinacją modernizmu ze stylem klasycznym, której fasadę zdobią 4 kolumny jońskie i rzeźby alegoryczne; nr 7 (614 l) Towarzystwa Lekarskiego, które mieściło się dawniej w pałacyku, zbudowanym w r. 1887 podług projektu Br. Muklanowicza z piękną salą obrad, z posągiem Jędrzeja Śniadeckiego, dłuta Kucharzewskiego; tuż obok na tej samej posesji stanął w r. 1905 gmach okazały *moderne* według projektu Lilpopa i Jankowskiego.

Po przemianowaniu wspomnianej wyżej ulicy Kotzebuego na ulicę Fredry, którego sztuki grywane są w pobliskim teatrze, oraz ulicy Nowosenatorskiej na ul. Marszałka Focha, przyszła w roku 1934 kolej na ulicę Niecałą, która podczas pobytu nadzwyczajnego ambasadora Belgii, bohaterskiego burmistrza Brukseli z czasów wojny, Adolfa Maxa, otrzymała nazwę ulicy Króla Alberta I.

Hanzeatycki okręt-
godło domu
Fukierów



ZANIECHANE SYMBOLE I GODŁA HANDLOWE

W miastach nie ubiegających się o miano stolicy i nie bardzo ludnych, domy do niedawna przynajmniej nie były numerowane. Wystarczało, gdy chcąc daną posesję określić wymieniano się nazwisko jej właściciela lub godło, zazwyczaj na frontowej ścianie wymalowane albo nad wejściem zawieszone.

Do połowy XVIII wieku było tak nawet w stolicach, a między innymi i w Warszawie, gdzie przyzwyczajenie wymieniania nazwiska właściciela lub też godła zachowało się jeszcze długo po nadaniu numerów porządkowych.

Mówiło się: dom Kurowskiego, dom Montelupiego, dom dr. Czempińskiego, dom Gizy lub Fukiera, kamienica Skargi,

„Pod Fortuną“, „Pod Lwem“, „Pod Okrętem“ lub „Łabędziem“. — Rzadko kto pamiętał numery porządkowe tych posesyj, a małe dziecko wskazywało dom, gdy mu się wymieniało godło.

Podobnie było i z zakładami handlowymi i sklepami, warsztatami, szynkowniami i jadalniami. Zwały się one „pod Kopernikiem“, na Nowym Świecie; „Pod Karasiem“, na wprost pomnika Kopernika; „Pod Lewkiem“ — na ul. Żelaznej; „Pod Mostem“ — na Podwalu; „Pod Gwiazdą“ — na Senatorskiej; „Pod Sęką“ — na Długiej; i tak dalej. Nie było tylko nigdy zakładu, który by się zechciał nazwać „pod psem“, choć wiele z nich na to zasługiwało.

W ślad za tym na szyldach handlowych zaczęły się pojawiać odpowiednie malunki, najczęściej karykaturalne postacie: Krakusów, Chińczyków, niedźwiedzi, lwów, koni.

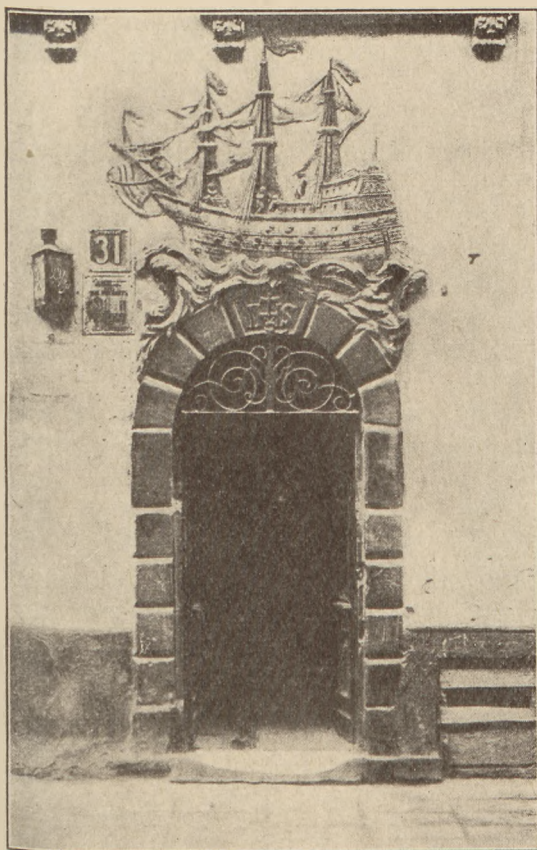
Dziś zwyczaj ten zupełnie został zaniechany, bo ludziska bardziej orientują się w numerach i bez trudności czytają, co nie było dla naszych dziadów tak łatwe.

Warto przy tej okazji przytoczyć rozporządzenie policyjne z czerwca roku 1864, ogłoszone w nr 131 z dnia 29 maja (10 czerwca) tegoż 1864 roku, „pisma urzędowego, politycznego i naukowego“, wydawanego „za pozwoleniem cenzury“ pod tyt. „Dziennik Powszechny“ i będącego organem margrabiego Aleksandra Wielopolskiego jako Naczelnika Rządu Cywilnego.

Dziennik ten rozporządzenie wspomniane komentuje w następujący sposób:

„Szyldy, jako zewnętrzne oznaki różnorodnych zakładów fabrycznych i przemysłowych, handlów, magazynów, rzemiosł itp., będąc na widok publiczny wystawiane ulegają po wszystkich większych miastach policyjnemu nadzorowi. Szyldy w mieście naszym mogłyby mieć także swoją historię: idą i one za duchem czasu i one bywają symbolem nie tylko reprezentowanego zakładu, ale i wypadków dziejowych i okolicznościowych.

„Pamiętamy jeszcze w szyldach owych kosynierów 1831 roku, to znów Krakusa, prowadzącego niewolnika (kozaka — przyp. red.); widzieliśmy także szyldy to pod Pastraną, to pod Balonem Tardyniego, to pod Słoniem Rentza. — Niezbyt jeszcze dawno, mimo poprzedniej stuocznej policji, czytaliśmy dość długo napisy:



Okręt, jako godło handlu nad portalem domu nr 31 przy ul. Świętojańskiej
(fot. H. Poddębski)

*Magazyn Mebli
Litewsko - Polski
lub Piwo bawarskie
w ogródku
Litewsko-Polskim*

itp., natchnione ideą połączenia tych dwóch braterskich prowincyj.
„Pamiętamy również prześladowania francuskich napisów. Nie mogły i one dostoić (sic!); pastwiono się nad nimi jak nad z przeproszeniem dziś cylindrami, choć Francja była jedyną ucieczką marzonej pomocy (w powstaniu 1863 r. — przyp. red.).

„W roku 1844 z rozkazu ówczesnego generał-gubernatora wszystkie prawie szyldy przerobione zostały tak, że obok polskich mieścić musiały i ruskie (sic!) napisy. Lecz i tu się dostrzegać dawało obejście przepisu: obok łokciowych liter polskich, drobny napis ruski zaledwie mógł być dopatrzony. Liczba atoli znaków z ruskim napisem coraz malała i każdy procedurzysta, przy słabnącym nadzorze, robiąc nowe szyldy i nie pomyślał o ruskim języku...

„Obecnie, gdy wszystko wraca do normalnego stanu, gdy zdeptany i pogwałcony przepis nie przestał być przepisem i gdy wreszcie władza wykonawcza przeszła w czynniejsze ręce i na szyldy przyszła kolej.

„Jakoż p. o. Warszawskiego Ober-Policmajstra pułkownik baron Frederiks rozkazem w dniu dzisiejszym do całego składu policji wydanym, zarządził w Warszawie:

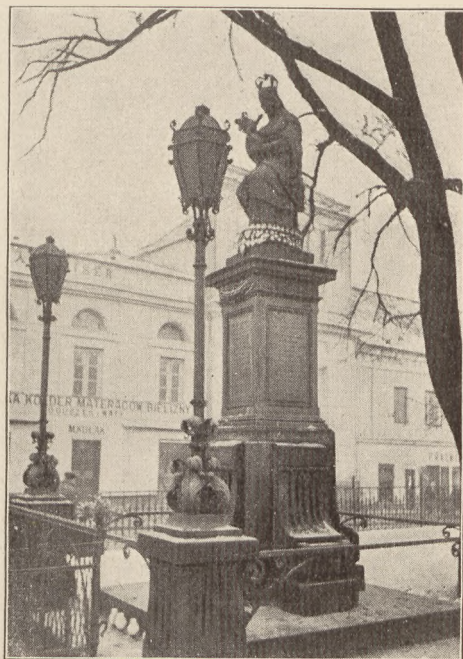
„Przegląd wszystkich szyldów z poleceniem objawienia kupcom, fabrykantom, rzemieślnikom i wszelkiego rodzaju przemysłowcom, aby szyldy swe najpóźniej do dnia 15 (27) lipca br. pod rygorem zamknięcia zakładu w ten sposób przerobili, iżby obok napisów polskich były napisy i w ruskim języku: aby litery ruskie nie były mniejsze od polskich, aby na szyldach szynków, kawiarni, bilardów, bawaryj i rzemieślników — u spodu znaku był wypisany numer i data otrzymanego od magistratu konsensu“.

Tak obcy nam okupanci, jako wrogowie, narzucali w Polsce i w czysto polskim mieście język obcy, nie dla wszystkich zrozumiały — na szyldach.

Dziś, chwalić Boga, mamy w Warszawie szyldy w jednym, dla wszystkich obywateli zrozumiałym, języku — polskim.

Szyldy żargonowe w Europie niewidywane, można zobaczyć tylko w północnej dzielnicy Warszawy, mającej charakter „ghetta“ — tym się właśnie od innych europejskich „ghett“ wyróżniającego.

Figura Matki Boskiej Passawskiej
na Krak. Przedmieściu
(fot. H. Poddębski)



STATUA MADONNY PASSAWSKIEJ

Był ongi w Warszawie XVII wieku niejaki Giuseppe Belloti, Włoch rodem z wysepki Murano, położonej wśród lagun Wenecji. Przybyły do Polski z rzeszą muratorów i architektów, więcej przedsiębiorca budowlany niż artysta, dorobiwszy się nieco osiedlił się za miastem przy drodze Bielańskiej tuż za Nalewkami. Był tam tak zwany „wygon Miasta Nowej Warszawy“, którego część miasto Bellotiemu oddało w emfiteutyczną dzierżawę. Tutaj pośrodku szeroko rozlanych stawów zbudował sobie na wysepce pałacyk, otoczony wodą, więc przypominający mu rodzinną Wenecję, i nazwał go „Murano“. Pałacyk ten stałby dziś na rogu ulic Przebieg i Sierakowskiej. Oto początek dzisiejszego Muranowa.

Później zasymilowany już Belloti, Beloti lub Belloto, bo i tak i inaczej go pisano, zajęty przy budowie magnackich pałaców: Dobrogosta Krasieńskiego (gdzie dziś Sąd Najwyższy) Ossolińskich (później Brühlowski) i innych, tudzież współ z Affatim, Camerinim, Ceronim, Loccim i Schlüterem budową pałacu wilanowskiego — ożenił się w dniu 15 stycznia r. 1678 w kościele Panny Marii z Polką Marianną Olewicką, która pod koniec tegoż roku powiła mu syna, a w parę lat później i córkę, Marię Krystynę.

Niestety, weneccjanin, któremu w Polsce dobrze się działo, przyjechał tu jakby po śmierć, bo przede wszystkim w czasie zarazy morowej w roku 1677 umierał ze strachu o życie swoje, a w dwa lata później, bo w r. 1679, o życie swych najbliższych, świeżo poślubionej żony i pierworodnego, zaledwie kilkumiesięcznego syna, Wincentego Romualda.

Pragnąc wyblagać im życie, Włoch ślubował N. M. Pannie ustawić Jej figurę i palić przed nią wieczne światło.

Dlaczego wybrał Matkę Boską z bawarskiego miasteczka Pasawy (Passau) nad Dunajem, gdzie jest kościół N. M. Panny Wspomożycielki (Mariahilf) — nie wiadomo. Jakieś wspomnienie widocznie go z nim łączyło.

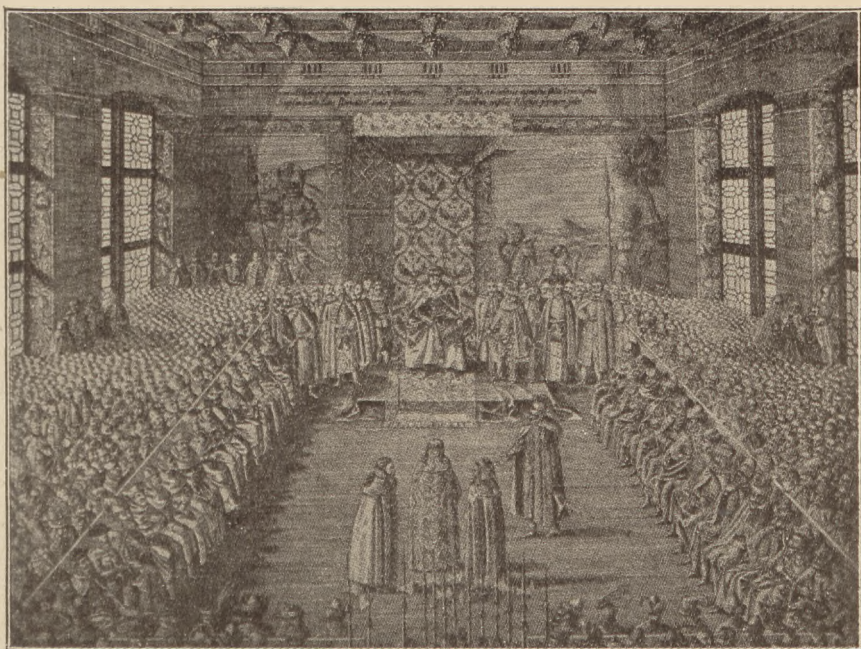
Wziął się też zaraz do roboty i kuć zaczął piaskowiec, ale gdy zaraza minęła, a rodzina była zdrowa, z robotą się nie śpieszył. Zanim figurę wykończył, powrócił ze zwycięskiej wojny okryty chwałą bohatera oswobodziciela Wiednia i chrześcijańskiej Europy od saraceńskiego zalewu, dzielny Sobieski. Nic łatwiejszego, jak pobożnemu monarsze przy sposobności w odpowiedniej chwili w Wilanowie podsunąć myśl nabycia statui.

Miał jednak signor Belloti tyle sprytu, że nie zaproponował monarsze kupna, ale mu święty posąg ofiarował. Wiedział z góry, że król mu to w inny sposób wynagrodzi.

I tak się stało.

Jan III, przy wrodzonej sobie dobroduszości, nie domyślił się podstępu, a zresztą ustawienie dziękczynnej figury odpowiadało jego pobożnym intencjom.

I tak wkrótce Madonna, głosząca po wiek wieków imię nie tylko zwycięskiego króla, ale i rzeźbiarza, stanęła nie gdzieś hen, za miastem na prywatnych mokradłach Muranowa, ale w miej-



Carowie Szujscy przed Zygmuntem III w dniu 29. X. 1611 na zamku warszawskim, według graw. Makowskiego (1575—1630) z obrazu Tomasza Dolabelli (1570—ok. 1650)

scu, zamykającym część Krakowskiego Przedmieścia, najbliżej zamku królewskiego i murów właściwego miasta położonym; w miejscu bardzo ruchliwym, będącym nieraz widownią doniosłych aktów politycznych.

Tu było miejsce hołdów; tędy przeciągał tryumfalnie hetman Żółkiewski wiodąc carów Szujskich...

Miejsce więc dla statui nie mogło być lepiej wybrane!

Płonęły przy niej, jak i dziś, od początku czerwone latarnie.

Jak i dziś od początku odczytywano umieszczone na bezstyłowym cokole łacińskie napisy, z których godne są uwagi dwa,

zamieszczone ku wiecznej rzeczy pamiętce przez sprytnego

Włocha na dwu bokach podstawy. Brzmiały one w polskim

przekładzie, jak następuje:

Pierwszy: „Tegoż dnia, wśród pomyślnych dla świata chrześcijańskiego chwil ku przejasnej ich pamięci ten pobożnej wdzięczności monument na gruncie za burmistrzostwa Dawida Zappio

przez miasto Warszawę oddanym Bogarodzicy Passawskiej
JÓZEF BELLOTI WŁOCH SUMPTEM WŁASNYM WY-
STAWIŁ“.

Drugi: „BELLOTI WŁOCH na działce ziemi, którą mu ten królewski gród w darze użyczył, tego samego dnia, przebywając w Warszawie, UMIEŚCIŁ BOGARODZICĘ PASSAWSKĄ“. Z artysty, równocześnie przedsiębiorcy budowlanego, wyskoczył tu nagle przysłowiowy spryt weneckiego kupca. Któż inny zdobyłby się na taki pomysł: Król ma zasłużoną chwałę swego zwycięstwa, żona i dzieci — zdrowie, wreszcie artysta — uwiecznienie nazwiska i miano hojnego ofiarodawcy.

Każdy na pomysł tym zarobił, a najwięcej Belloti. Nie wiadomo, czy nie zaangażował w nim jeszcze miast Passawy i Wiednia, a może i nieboszczyka Kara Mustafy. Kroniki o tym milczą.



Stara Warszawa z początkiem wieku XVII i okalające ją mury obronne — według modelu plastycznego, znajdującego się w Muzeum Narodowym w Warszawie



Rys. Fr. Kostrzewski (r. 1856)

HULAJ DUSZA BEZ KONTUSZA!

O GARDLE I ŻOŁĄDKU DAWNEJ WARSZAWY

Jak wieki składały się na to, by wiele miast Europy, oprócz swych pleśni okrytych potężnych murów miejskich, pokazać mogło zwiedzającemu je turyście również odwieczne „knajpki“



Wylot ul. Piwnej na plac Zamkowy (fot. H. Poddębski)

— tak w Warszawie złożyło się wszystko na to, by poza jednym i jedynym „Fukierem“ nic w tej dziedzinie nie było do zobaczenia

Tak! Nie mówiąc o Wiecznym Mieście z jego słynną winiarnią, zwaną Ruppą Tarpea, w skale pod Kapitołem przed wiekami wykutą; pomijając stare winnice Carcassonne’u oraz wszelkimi trunkami ociekające podziemia Nassauer-Hoffu w Norymberdze, nie tylko np. Monachium, ale bliższe nam Wrocław i Gdańsk posiadają w suterrenach ratusza nastrojowe „Ratskellery“.

Warszawa nie ma „Piwnicy Ratuszowej“, ale ją posiadała niegdyś. Było to za książąt mazowieckich, kiedy ratusz czworoboczny stał pośrodku rynku „Miasta Starej Warszawy“.

Jak we wszystkich miastach średniowiecznych istniała wtedy pod ratuszem wielka piwnica sklepiona, gdzie raczono się miodem, winem i piwem. Piwo, zwłaszcza tzw. piątkowskie, przez długie wieki miało tutaj, jak wspomina Sobieszczański, największą wziętość. Zaczawszy od XIV stulecia, było ono powszechnym i ulubionym napojem przodków naszych, jak o tym

mamy liczne wzmianki u kronikarzy. Piwo piątkowskie miało przywilej, że tylko tu i nigdzie więcej nie mogło być sprzedawane.

W owym okresie (za książąt mazowieckich) wódki jeszcze nie pijano, dostać jej można było tylko w aptece jako lekarstwo. Ale bodaj już wtedy zaczęto sprowadzać z Gdańska „piwo Jopejskie“, wyrabiane na Jopengasse, a które, cenione dla swego smaku i mocy, wysyłane było nawet do Carogrodu i Anglii.

W pierwszej atoli połowie wieku XV monopol „Piwnicy Ratuszowej“ na piwo piątkowskie wygasł i zaczęto je sprzedawać razem z miodami i winem w „loszkach“ przy ul. Gołębiej (od roku 1770 — Nowomiejska), a potem i Piwnej. Ulica ta w łacińskich i niemieckich aktach Starej Warszawy z r. 1439 nazywana jest „platea Pywna“ od licznych piwnic i szynków. W XVI w. nazywano ją „ulicą Szynkarską“ (*platea tabernatorum*).

W ogóle zauważyć można, że ta ulica po wszystkie czasy miała wybitne znamię dewocyjno-pijackie. Zwraca na to uwagę Gomulicki, który pisze, że tu było zawsze najwięcej zakładów, poświęconych miłości bliźniego i... jego gardłu oraz żołądkowi. Tu, wśród „wiech“ (godeł piwiarni i winiarni), kołyszających się przed każdą niemal kamienicą, widniały w dwóch miejscach płaskorzeźby (prawdopodobnie polichromowane), z których jedna przedstawiała św. Łazarza, okrytego ranami, przez psy lizanymi, druga zaś św. Marcina, dzielącego się swym płaszczem z ubogim.

Toteż zanim w r. 1772 nadano ulicom stałe nazwy, połowę dzisiejszej ul. Piwnej od strony placu Zamkowego nazywano w XV wieku ulicą „Zakonników Ś-go Marcina“, a potem po prostu „Marcinkańską“.

Zresztą nie tylko ta jedna ulica była pełna tawern i gospód. Wspomniany już Gomulicki pisze:

„Na chwałę (!) Starej Warszawy zaznaczyć trzeba, że i na innych jej ulicach nie brakło „gospód“ z wesołymi Dosiami, Gretami itp., obfitowały zaś w nie najbardziej: Rynek i ulica Nowomiejska. Mieściły się te gospody najczęściej w „skleпах“, to jest piwnicach lub loszkach, do których schodziło się wprost z ulicy.

Za Sasów, gdy kult Bachusa doszedł u nas do szczytu, pito najwięcej po zaułkach i wówczas przyszła do niemałego pod tym względem znaczenia ledwie znana dzisiaj warszawianom

uliczka Ślepa. Pijak, jak zakochany, szuka najchętniej miejsc ustronnych.

Obok piwa od dawna pijano u nas i wina, i to nie tylko węgierskie, ale francuskie, włoskie i hiszpańskie. Już za Zygmunta Augusta, a więc w XVI wieku sprowadzali je do Warszawy Korbowie i Fuggerowie, protoplaści późniejszych Fukierów.

Najbardziej znanym i najdawniej z winiarzy był Grzegorz Korb, przybyły w początkach XVI wieku z Wrocławia. On to był założycielem piwnicy w domu swym, który przeszedł w pierwszych latach XIX w. do Fukierów w Rynku Starego Miasta nr 27 — hip. 46. Pod łukowym sklepieniem tej winiarni, przy żółtym, drgającym świetle lamp olejnych, siadywała ongi szlachta i mieszczaństwo dyskutując o sprawach publicznych.

W pamiętnikach ks. Kurowskiego z XVIII w. czytamy:

„Tu dawniej licznie uczęszczała szlachta na posiłek, stąd magnaci do swoich stołów brali kosztowne nektary, tu wypoczywali urzędnicy zapijając sądowe i domowe kłopoty szacownym darem Bacha. Tu niekiedy wysokiego urodzenia i stopnia, głośni w kraju mężowie w skromnym odzieniu zwiedzali skrycie zakład głośny w Polsce i w Warszawie“. Któż zresztą nie zna Fukiera ?

*„Czy masz w żyłach krew szlachecką,
Czy-toś miejska gwiazda szczera,
Zawždy modą staroświecką
Ciągniesz waści do Fukiera.
Zacna pani Maciejowa,
Co jest w gębie jak megiera,
Złotówczynę w garści chowa
Na lampeczkę u Fukiera.*

*Tak jak niegdyś przed wiekami,
Co go dali w upominku,
Jest dziś Fukier między nami
Na warszawskim starym rynku.*

Tak rozrzewniał się Or-Ot nad Fukierem, jako epigonem całego szeregu wprawdzie mniej sławnych winiarzy i gospód dawnej Warszawy.

A było ich w ciągu wieków tyle...

W połowie wieku XVII, bo za Władysława IV, w kamienicy nr 27 „P o d O k r ę t e m“, jako godłem handlu zamorskiego,



Portal kamienicy nr 18 w rynku Starego Miasta (fot. H. Poddęb-ski)

umieszczonym nad sienią od ul. Świętojańskiej były składy win włoskich i hiszpańskich. Nabył je w r. 1783 i nadal prowadził Tomasz Hangel. Handel ten był niemal na równi z Fukierem uczęszczany.

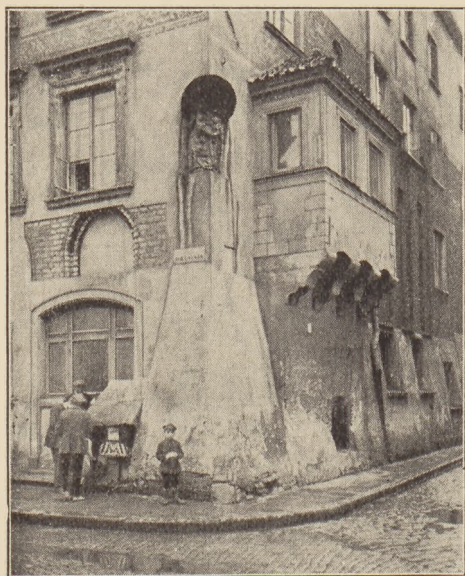
Za drugiego z Wazów w domu swoim nr 38 — hip. 51 w Ryńku utrzymywał winiarnię Maciej Kurowski pierwszy nie tyle z Polaków, ile z polskiej szlachty, który ku innych „panów braci” zgorszeniu zajął się wyszynkiem wina jawnie i otwarciem. Toteż pełna niemądrych uprzedzeń szlachta wyparła się go. On to

ozdobił klatkę schodową swej kamienicy pięknymi drzwiami, kutymi z żelaza z literami „L. J. Ch” (*Laudetur Jesus Christus*), rokiem 1737 i nazwiskiem „Mathias Kurowski”, a znajdującymi się dziś w dziedzińcu domu nr 4 przy ul. Rymarskiej.

On też posłużył J. Ign. Kraszewskiemu za wzór do bohatera powieści pt. „Ostatni z Siekierzyńskich”.

Na ogół zarówno winiarnie, jak gospody i traktownie warszawskie przez długi czas utrzymywali niemal wyłącznie cudzoziemcy.

Tak w kamienicy książąt Mazowieckich istniała od r. 1766 „traktiernia” francuska niejakiego Quellusa. Ogłaszał on w gazetach swe obiady z wielu potraw, podawanych na srebrze po pół dukata od osoby. Skromniejszy obiad tylko z 4 dań kosztował 4 tynfy. Dopiero Quellus odzwyczaił przybywających do stolicy panów od wożenia z sobą kuchen, jak to do tej pory bywało. A istotnie tylko „panów” gościł, bo „Gazeta Warszawska” ówczesna wymienia, że „Pan Quellus nie przyjmuje, chyba tylko dystyngowane osoby”.



Narożnik kamienicy książąt mazowieckich (fot. H. Poddębski)

Dla publiczności minorum gentium utrzymywał jeszcze wcześniej na kilka lat przed Quellusem traktiernię, jak byśmy dziś nazwali „trzeciego rzędu“ jakiś Polak w drewnianym domku na podmurowaniu na Krakowskim Przedmieściu. Dworek ten stał w tym miejscu, gdzie dziś figura Matki Boskiej Passawskiej, a gdzie po jego zburzeniu konsyliarz Króla Jegomości, Wasilewski, wystawił w r. 1767 stojącą potem przez lat 100 kamienicę.

Rejestr kupców ułożony przez magistrat warszawski w r. 1789 wymienia 3 pierwszorzędne składy win, mianowicie: Fukiera w Rynku Starego Miasta, Maruszewskiego na ul. Freta i jakiegoś Kurowskiego (innego, niżeli już wymieniamy wyżej) na Krakowskim Przedmieściu.

W tym też czasie istniała przy ul. Długiej w pobliżu dzisiejszego placu Krasińskich gospoda z winiarnią i zajazdem „P o d G ą s i o r k i e m“.

Najmłodsza generacja świeżych, chociaż dojrzałych warszawian nie wyobraża sobie, a wielu z niej nie wie nawet, że do końca prawie ubiegłego stulecia ul. Miodowa nie dochodziła do Krakowskiego Przedmieścia. Łączyła jedynie plac Krasińskich z ul. Senatorską. Na Senatorskiej, zwanej w XVII—XVIII stuleciu Bykową, wprost Miodowej, a więc w miejscu, gdzie dziś tramwaj skręca z Krakowskiego Przedmieścia ku ul. Senatorskiej, stał za czasów Sobieskiego dwór Dobrogosta Krasińskiego, zwany „P o d G w i a z d ą“. Kiedy ten magnat wznosił sobie pałac na placu Węgrzynowskim (dziś pałac Rzeczypospolitej na placu Krasińskich) i tam się przeniósł, dwór na Bykowej sprzedał i nowonabywca wynajął go na piwiarnię „P o d G w i a z d ą“. Piwiarnia ta potem z restauracją istniała na rogu Koziej od r. 1715

prawie przez lat dwieście, bo aż do chwili rozrzucenia domu i przebicia wylotu Miodowej na Krakowskie Przedmieście.

Po roku 1800, a zwłaszcza za Królestwa Kongresowego, liczba traktierni w Warszawie wzrosła i znów pierwszorzędne prowadzą Francuzi pod nazwą restauracji. Wydany anonimowo w r. 1820 przez Józefa hr. Krasińskiego „*Guide du voyageur en Pologne*“ podaje „Z restauracji pierwsze miejsce zajmuje Chauvot przy ul. Miodowej (pod kolumnadą), który jest również posiadaczem najbardziej uczęszczanej restauracji podmiejskiej w Bagateli; dalej idą Gąsiorowski z ul. Wierzbowskiej, Kruszewski — na Nowym Świecie, de Poirier-fils przy ul. Długiej itd.“.

Później zasłynęli: Chevreux, Herteux, a głównie Mary. Po powstaniu 1863 r. restaurację w hotelu Angielskim po Gąsiorowskim objął Bouquerelle. Z innych pierwszorzędnych restauratorów Wacław Szymanowski w „Przewodniku“ po Warszawie (z r. 1873 wyd. 2 Wende) wylicza Brukalskiego, François oraz przy hotelach: Europejskim, Victoria i Maringe’a. Restaurator w resursie Conti znany był z dobrych lodów. Z kucharzy polskich najlepszy był Maciejowski, potem J. Snowacki w Resursie Kupieckiej.

Przeszłość Warszawy jedzącej i pijącej, jak całej Polski, pielęgnującej, niestety, przysłowiową tradycję słów:

„Za króla Sasa
jedz, pij i popuszczaj pasa,

jest bogata, jak na smutne czasy porozbiorowe — zbyt bogata.



Rysunek z roku 1880

Neogotycka fasada kościoła
i b. klasztoru oo. dominikanów
przy ulicy Freta (fot. H. Pod-
dębski)



GDZIE I JAK PITO W DAWNEJ WARSZAWIE

„Indyk z sosem, groch z bigosem — jadły dawne pany!“, twierdzi tekst śpiewanego podczas tańca ulubionego niegdyś poloneza. A że bigosowi nie szkodzi madera, więc tak się w dawnej Polsce, słynnej również z pobożności, składało, że zwłaszcza „pan brat szlachta“ przebierając paciorki różańca, co jeden — to odmawiał pacierz, co drugi — to opróżniał czasę. Toteż knajp było jak kościołów, a tytuł podczaszego rywalizował z kanonikiem.

Bo też księża i zakonnicy trunkiem nie gardzili. Słynne były wszak w świecie likwory kartuzów i benedyktynów, a u nas miody bernardyńskie i dominikańskie. Dowodem tego w Warszawie miodosytnie i piwniczki z miodami na dawnej Frecie (dzisiejsza ulica Freta) przy kościele św. Jacka.

O winiarniach, piwiarniach i traktierniach warszawskich w odleglejszych czasach wiele już pisano. Temat to jednak niewyczerpany. Gardło i żołądek ludzki są jak serce — wiadomo — domem przechodnim, czy też skromniej a patetyczniej: danaidową beczką bez dna. Albo czymś w rodzaju wciąż łakomej ludzkiej ciekawości.

Nie kusząc się bynajmniej o jej nasycenie pogawędźmy na ten temat. Z dawna zatem w Warszawie miały wzięcie zakłady gastronomiczne, słynące z najlepiej przyrządzanych pewnych potraw. Takim był niegdyś „Zielony ogródek“ słynny z raków i szparagów, oraz Szyller, imiennik sławnego Fryderyka, twórcy „Zbójców“ i sam zwany „zbójcą“ — traktiernik teatralny, który dorobił się rozgłosu wybornymi kapłonami i pieczenią z rożna. Toteż pokoje gościnne u Szyllera na pierwszym piętrze domu nr 5 przy ul. Wierzbowej wprost teatru nieraz rozbrzmiewały beranżerowską „Pieśnią o rożnie“:

*„Lubie, gdy dzwonek bije przedobiedni,
Lub gdy puchary nam na zdrowie dzwonią,
Szlachcic i prostak, bogacze i biedni,
Przy dźwięku różna dłoń łącząją z dłonią...
Tak między dwiema pieczeniami z rożna
Pogodzić nawet różne partie można!*

Po Szyllerze objęła traktiernię Poziomkiewiczowa, po niej Karczewska, wreszcie Brajbisz, nazywany Brajbą, Barabaszem, albo z powodu szerokiej rudej brody, Barbarosą.

W ciągu ostatniego dwudziestolecia XIX wieku pewną konkurencję Brajbie robiła bardziej nieco elegancka jadalnia w narożnym z ul. Niecałą domu Czuleńskiej, zwanej popularnie Andzią. Usługiwały tu „panienki“, korzystające z protekcji faworyzujących je podtatusiałych radców. Słynne były wtedy dwie z nich. Jedna zwana ogólnie Gucią od imienia swego protektora hr. Potockiego, druga, panna Stasia, która za swe oszczędności wykształciła jednego z ubogich studentów na lekarza. Pod koniec istnienia tej knajpy gospodarzem jej był ożeniony z córką założycielki Daniel Filleborn, tenor liryczny opery warszawskiej, słynny wykonawca partii Jontka w moniuszkowskiej Halce. Nawiasowo trzeba nadmienić, że teść Filleborna, były wysoki urzędnik namiestnictwa, Marcei Czuleński, dla ślubu z dość swobodnego życia restauratorką Andzią porzuciwszy służbę założył przy drodze do Wilanowa za rogatką belwederską w r. 1867 słynną willę „Marcelin“ ze szparagarnią. Z miłości dla żony stał się również zawołanym restauratorem, gospodarząc w swym podmiejskim zakładzie.

Ostatnim właścicielem tej restauracji był „Adam“, którego dobiły „kredyty“, udzielane stałym klientom zakładu a ofice-

rom kawaleryjskich pułków rosyjskiej gwardii, litewskim ułanom i grodzieńskim huzarom.

Obie jednak restauracje, zarówno „Adam“, jak i „Brajbisz“, dotrwały mniej więcej do wielkiej wojny 1914—18 roku.

TANTAL I LUKULLUS W JEDNEJ OSOBIE

Z drugiej strony z Brajbiszem sąsiadował równie popularny a najwytworniejszy Antoni Stępkowski. Był to handel win i pokoje gościnne w tym samym domu co ówczesna redakcja Kuriera Warszawskiego przy ul. Wierzbowej nr 9, a właściwie przy placu Teatralnym wprost narożnika teatru.

Jadali tu i pili wielcy panowie i wielcy smakosze, wysoka literatura i prasa, przemysł i finanse.

„Indyk z sosem, barszcz z bigosem jadły dawne pany, a dziś raki i ślimaki jedzą jak bociany“ śpiewano ongi w jakimś wodewilu wzorując dekorację na Stętku. Istotnie cała arystokracja jadała te frykasy u Stępki, w dodatku na kredyt.

Ale w życiu tego restauratora i gourmanda w jednej osobie była pewna tragedia. Zastawiając codziennie bufet i stoły przysmakami sam ich jednak nie jadał, bo wskutek choroby żołądka od wielu lat wolno mu było spożywać tylko kleiki, sok z pomarańczy i pijać wodę Vichy. Nic poza tym.

Należy jednak wspomnieć prócz tamtych jeszcze: Konstantego — na Wierzbowej, Zięciakiewicza — na placu Teatralnym w domu Neprosa, A. Bocqueta w hotelu Rzymskim oraz pokoje gościnne Purwina (dawniej Lipkaua) na Miodowej, gdzie bywała palestra, Rozmanitha na Mazowieckiej i Lijewskiego na Krakowskim Przedmieściu ulubione przez ziemian, Riedla, słynącego wódką Redlowską i stokfiszem „po redlowsku“, Rezlera,

wreszcie Krzymińskiego na Trębackiej i Lesisza, gdzie bywali duchowni.



Domek „Pod Filarkami“ przy ul. Marszałkowskiej zburzony w roku 1893 (Rys. M. E. Andriolliego z r. 1880 w zbiorach prywatnych autora)

Świat rzemieślniczy odbywał sjeśty w suterrenach „H e r k u l a n u m“ na rogu Krakowskiego i Bednarskiej, gdzie sensacyjną nowością było akwarium z żywymi rybami i rakami. Gdy gość zamówił, przyrządzano z nich na poczekaniu potrawy. Drugim „dowcipem“ Wysockiego, właściciela tej knajpy, było danie nad wejściem dużego napisu:

„Witajcie!
Dziś za pieniądze
— jutro darmo!”

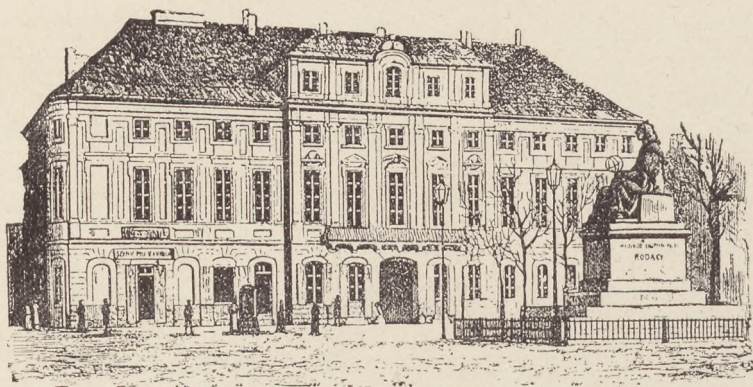
Oczywiście, gdy kto wstępował w te progi zawsze było „dziś“, nigdy „jutro“, a więc warunek „darmo“ nie obowiązywał, bo dotoczył jutra.

W tym też okresie lat 1880—1890 popularne były restauracje Rudnickiego w domu Rezlera, przechodnim z Krakowskiego na Senatorską, obok dworu „P o d G w i a z d ą“. U Rudnickiego po raz pierwszy w Warszawie popisywała się damska orkiestra wiedeńska. Tu też potem ustawiono pierwszy, wzbudzający sensację w mieście „orkiestrion“ mechaniczny. Orkiestrion ten wkrótce jednak „zaniemówił“ z rozkazu generał-gubernatora, którego budził swym hukiem, gdy satrapa zasypiał w pobliskim zamku.

Znany był też w tych latach ogródek „Z a c i s z e“, przechodni z ul. Długiej na Podwale, przemianowany w dziewiątym dzieścioleciu XIX w. na „Chateau des fleurs“, gdzie było coś w rodzaju teatru *variétés* czy kabaretu, w którym przez kilka dni w r. 1887 gościł cyrk Salamońskiego. Była też „wesoła“ restauracja „W ż e l a z n y m d o m k u“ na rogu Zjazdu i Mariensztadtu kantonisty Weltzmana, założyciela późniejszego szantanu pn. „A l e x a n d r y n a“. Mieścił się on w r. 1897 na pierwszym piętrze domu nr 65 na Nowym Świecie, róg Świętokrzyskiej, w roku zaś 1900 na Mokotowskiej nr 73 przy placu Trzech Krzyży.

Przed wejściem do „Herculanum“
(rysunek w „Ilustrow. Przewodniku po
Warszawie“ Gomulickiego i Szmide-
berga na rok 1880)





Pałac Karasia zburzony w roku 1912 (rysunek z „Ilustr. Przewodnika po Warszawie“ wyd. „Wędrowca“ na r. 1893)

Przez bractwo rzemieślniczą były licznie odwiedzane w owym czasie restauracje: Iwaszkiewicza na Długiej, „Pod Czarnym Łabędziem“ na Podwalu, „Pod Złotym Lwem“ na Starym Mieście, a także jadłodajnia Świszczakowskiej „Pod Zieloną Papugą“ przy ul. Piwnej.

„ŚNIADANIE ZA 4 KOP. I OBIAD ZA 12 KOPIEJEK“

„Jedno i drugie dostać można w „Taniej Kuchni“, która mieści się w zabudowaniach po-dominikańskich przy ul. Freta. Sprzedają się tam też i pół-obiady po 6 kopiejek.

„Od pewnego czasu zarząd „Taniej Kuchni“ ogłasza w kurierach każdodziennie programy obiadów, które, choć różnią się cokolwiek od menu paryskiego „Grand Hotel“, są jednak wcale zachęcające. Na przykład:

„Dnia 9 kwietnia r. 1880. Piątek. Zupa z kaszą prażoną ze śmietaną, pieczeń wołowa, kartofle“.

„Dnia 10 kwietnia. Sobota. Rosół z kaszką, sztuka mięsa z musztardą, fasola“.

Powyższą informację podaje „Przewodnik“ Gomulickiego i Szmidberga z r. 1880. Inny „Przewodnik Wędrowca“ z roku 1893 wymienia z większych restauracji prócz hotelowych: Alkazar na Królewskiej nr 11, *Maison Dorée* ul. Kotzebuego (dziś Fredry) nr 4, Norkowskiego w pałacu Tarnowskich na rogu Karowej (w miejscu, gdzie dziś hotel Bristol),

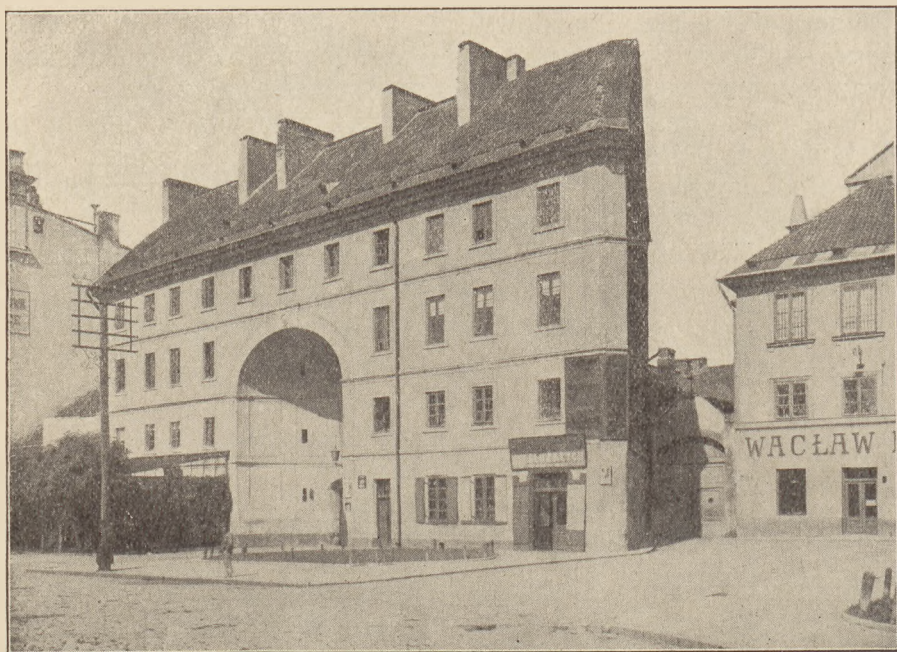
Reinera w Alejach Ujazdowskich, W o d e w i l później *Renaissance* — Nowy Świat nr 43, N o w ą G w i a z d ę Bielańska 5 oraz dawniej wspomniane zakłady Brajbisza, Bocqueta.

„P o d B a c h u s e m“ — restauracja założona w lokalu po Bobowniku i Rakowieckim przy ul. Widok, ulubiona ongiś przez smakoszków, po krótkiej przerwie w r. 1935 przeszła na własność starej firmy winiarskiej Simon i Stecki. Była ona chętnie odwiedzana przez panie, pomne tradycji po babkach odziedziczonej:

*Gdzie Bachus płyn swój cudotwórczy leje,
Tam zaraz Amor buduje swój chrám,
Więc babki nasze, jak nam głoszą dzieje,
Porywom dziadków nie stawiały tam.
Ze świętej cnoty składając ofiarę
Dzieliły z nimi czułe serca swe:
Topiły smutek na kielicha dnie.*

Życie restauracyjne do chwili wybuchu wielkiej wojny wrzało w Warszawie bardziej, niż w którym bądź z miast polskich. Z dawnych restauracji, dziś już nie istniejących, niejeden z warszawian przypomina sobie, czasami z łezką w oku a echem w sercu: „F i l a r k i“ na Marszałkowskiej na wprost dzisiejszej ul. Moniuszki, a potem „K r z a c z k i“ Dzięgielewskiego w końcu Marszałkowskiej, „W a l h a l l ę“ na Nowym Świecie, „P o d K s i ę ż y c e m“ na Miodowej, Jeżewskiego na rogu Jerozolimskiej i Marszałkowskiej, dorożkarską knajpę „P o d K a r a s i e m“ wprost Kopernika, Fabiszewskiego na Marszałkowskiej i inne.

Poza tym przypominają sobie zapewne bywalcy i *bon viveurzy* warszawscy różnych stopni i rang cieszące się powodzeniem w różnych okresach czasu inne restauracje i zakłady. A więc: w hotelu Saskim, Schabusową na Trębackiej, Kozakiewicza na Próżnej, Zakrzewską na Daniłowiczowskiej, „P o d P ł a c h t ą“ w pałacu Blanca, „P o d P i ą t k ą“ na Chmielnej, Moraczewskiego „P o d T r u p e m“ na rogu Marszałkowskiej i Złotej, „P o d K o p e r n i k i e m“ na Nowym Świecie. Specjalną popularnością na przełomie wieków XIX i XX cieszyła się restauracja Wróbla na Mazowieckiej, gdzie za zbiorowe 10 kopiejek jedna porcja sztuki mięsa z rurą i chleba, ile dusza zapagnie, syciła nieraz do woli parę studenckich apetytów.



Dawny zajazd „Dziekanka“ na Krakowskim Przedmieściu (fot. H. Poddębski)

Wreszcie zamknięto w 1932 charakterystyczny lokal pn. „D z i e k a n k a“, na Krakowskim wprost Mickiewicza. W domu o oryginalnej wnęce bramnej od niepamiętnych czasów mieścił się zajazd, uwieczniony w powieści Bolesławity (J. Ign. Kraszewskiego) pt. „Szpieg“. Zajazd i pokoje umeblowane zwinięto na parę lat przed wojną, ale na dole w ciasnym lokalu o malowniczym, oryginalnym, odwiecznym charakterze do r. 1932 mieściła się restauracja, której przedostatni właściciel, popularne staromiejskie dziecko, Stallinger, dawał prawdziwe koncerty na skonstruowanej przez siebie akordowej harmonii. Wieczory ściągały tu znawców muzyki. Nastrój bywał pierwszorzędny.

Lokal ten po czteroletniej przerwie ponownie pod koniec roku 1936 otwarto.

W MAŁEJ, CICHEJ KAWIARENCE...

NIECO Z DZIEJÓW WARSZAWSKIEJ KAWIARNI

*W małej, cichej tej kawiarence
Pierwszy raz „kocham“ szepnęłaś mi...*

Właśnie, że nie tak było! W epoce, do której pragniemy Cię cofnąć, miły Czytelniku, w początkach XVIII wieku, nie tylko kobiety nie uczęszczały do kawiarni, ale i mężczyźni zachodzili do niej ukradkiem wstydząc się „zażywania tej zgubnej zamorskiej trucizny“. Kawa uważana bowiem była za coś w rodzaju dzisiejszej kokainy lub innego silnego narkotyku. Zażywając tabakę lub paląc fajkę popijali grzane piwo lub zajadali barszcz z rurą, białogłowom zalecając kwiat lipowy i rumianek. Im samym miód dopełniał miary i węgrzyn.

I „elektryczny fortepianik“ nie „grał we wnęce“, bo apostołowie piorunów z nieba, Volta i Galvani, dopiero w pół wieku później elektryczność „odkryli“.

Inaczej więc było. Zacznijmy nawiasowo od tego, że pierwszą w ogóle kawiarnię w Europie, przynajmniej centralnej, założył w Wiedniu Polak Kulczycki. Otrzymał na to od miasta przywilej w nagrodę za usługi oddane stolicy podczas oblężenia przez Turków. Do przywileju dodano mu cały zapas kawy w ziarnach, zdobytej w obozie Kara Mustafy.

Niechybnie już wtedy niektórzy Polacy bądź z hufców Sobieskiego, bądź z dawniej wojażujących na Wschód lub posługujących do Stambułu przywieźli tę nowość do ojczyzny. Mogły to być jednakże tylko bardzo nieliczne wypadki.

Kawiarnię jednak pierwszą w Polsce założył dopiero w r. 1724 w Warszawie w domu swym na rogu Krzywego Koła i ul. Gołębiej, a więc tuż przy północnej bramie Nowomiejskiej, Duwał, ojciec Henryki, faworyty królewskiej. Poprzednio miał on już winiarnię w nie istniejącym obecnie domu „Pod Gwiazdą“ przy ul. Senatorskiej, w miejscu dzisiejszej ul. Nowo-Miodowej.

W tej to kawiarni, odwiedzanej przeważnie jeszcze przez Niemców, adiutant królewski Rantzau wypatrzył piękną Henrykę, którą zrafinował Augustowi.

Drugą chronologicznie kawiarnią w naszym mieście była założona w r. 1758 przez Majerhofera, dworzanina Augusta III, przy rogu ul. Granicznej i placu Żelaznej Bramy, podówczas ulicy Targowej.

Od r. 1767 uczęszczana była już liczniej kawiarnia, utrzymywana przez 7 sióstr na 3. piętrze tej samej kamienicy po Duvalu, na ul. Nowomiejskiej. Była to kawiarnia „Pod Żółtym Orłem“.

Z kolei w r. 1782 żona warszawskiego kupca Jakóba Nejberta na własną rękę otworzyła popularny przez długie dziesiątki lat zakład pod nazwą „Wiejska Kawa“. Istniał on początkowo w tym miejscu, gdzie dziś stoi gmach Sejmu przy ul. Wiejskiej. Była to pierwsza w Warszawie kawiarnia w ogrodzie, w którym później, bo już w XIX wieku również pierwsza w Warszawie grywała kawiarniana orkiestra. Wygrywał tu na trąbce słynny Rajczak. O „Wiejskiej Kawie“ wspomina z rozczuleniem K. Wł. Wóycicki.

W r. 1800 były też dwie kawiarnie na Woli: jedna w ogrodzie Unruha, druga Kolsonowej. Ta ostatnia tak się reklamowała w Kurierze Warszawskim:

„Pani Kolsonowa, wdowa, znana przez dobrą kawę i śmietankę, uwiadamia osoby, które w latach poprzedzających u niej bywać raczyły, iż teraz mieszka za Wolskimi rogatkami w domostwie drewnianym Schultza podle kowala. Ma porządne apartamenty do przyjęcia osób znakomitych, każdego czasu można u niej podwieczorkować, a za poprzedzającym uwiadomieniem wiewczerzać i trzymać asamble“.

Początek więc kawiarni warszawskich sięga czasów saskich, którym W. Gomulicki słusznie poczytuje to za zasługę, pisząc: „Z nowych użytecznych nabytków, jakie miasto w tym czasie otrzymało, wymieniamy: latarnie w bramach miejskich, pompy dostarczające dobrej wody do picia, pierwszy plan Warszawy, pierwszą loterię i pierwsze — kawiarnie“.

Rozkwit życia kawiarnianego w dawnym „romantycznym“ stylu przypada na czasy Królestwa Kongresowego, kiedy to w lokalach tych zbierała się — w jednym cyganeria artystyczna i literacka, w innych — konspiratorzy polityczni.



W staromiciejskiej knajpcie rys. Fr. Kostrzewskiego z r. 1856

Tak np. między kościołem bernardynów a pałacem „Pod Blachą“, w niskich pokojach parterowej murowanki, mieścił się zakład Nowackiego pod nazwą kawiarni. Zbierali się tam na poncz, ulubiony wówczas napój, z arakiem i cytryną po złotówce, a z ananasek po półtorej, ówczesni „cyganie“.

Wabikiem był tam w r. 1823 brat aktorki Ledóchowskiej, mistrz gitary hiszpańskiej Truskulaski, przy którego akompaniamencie deklamowano i śpiewano, wśród dymu fajek. Gitara z pękiem zielonych wstążek zastępowała wczorajszy „elektryczny fortepianik“ i radio dzisiejsze, a zamiast terazniejszego tanga słuchało się piosenek słynnego Doliwy-Starzyńskiego... w rodzaju:

*„Banialuka!“ mój dziadunio
Ciągłe w ustach miał to słowo
Czy się bawił z mną babunią,
Czy się nudził z książką nową,
Czy „Gazetę Polską“ czytał,
Czy swego łątał hajduka,
Nawet czy się o co pytał,
Wprzód rzec musiał „banialuka“!*

Inny charakter, na owe czasy, kiedy nie było dancingów i plaży, dość frywolny, miała piosenka:

*„Układ ze mną zrób dziewczeczko,
Z oczywistym moim zyskiem;
Dam ci piosnkę za piosneczką —
Ty mi uścisk za uściskiem.
Przy układzie tym obstawaj,
A gdy małe widzisz zyski,
Ty mi piosnek nie oddawaj —
Ja ci oddam twe uściski...“*

albo ta, która utrzymywała się przez całe stulecie na repertuarze hszelkich domowych koncertów, imienin u cioci, „tańczących werbatek“ i zabaw towarzyskich z nieodłącznym a tak niewinnym „cenzurowanym“:

*„Niech się żeni, kto bogaty,
Lub bogatym zostać łaknie;
Niech się żeni, komu chaty
Lub kawałka chleba braknie!
Ja, któremu los w udziale
Dał los mierny, wolność cenię!
Brnąc przez życia mego łąle,
Ja się nigdy nie ożenię!“*



Pałac Badeniego przy rogu Pl. Krasińskich i ul. Długiej

Od r. 1810 przez lat dwadzieścia znana była kawiarnia „Suchy Las“ na ulicy Długiej w pierwszych latach obok Teatru Narodowego wprost kościoła pijarów (dziś garnizonowego), się mieszcząca. Bywali tam dziennikarze, poeci a przede wszystkim aktorzy. Codziennymi jej gośćmi bywali: Alojzy Żółkowski, Elsner, Kurpiński, redaktorzy Bruno Kiciński i Dmuszewski itd. itd.

Przeniesiono ją potem opodal do pałacu Badeniego, gdzie dziś Sąd Apelacyjny.

Bywalcy ci później podzielili się uczęszczając dla odmiany również do innej kawiarni „Pod Kopciuszkiem“, otwartej w r. 1819 w domu Baldego przy ul. Długiej (obecnie nr 26 — hip. 550), obok kamienicy „Na Rurach“.

W tym samym okresie Królestwa Kongresowego przy rogu Krakowskiego Przedmieścia i ul. Koziej, a więc naprzeciw b. Poczty, mieszczącej się wówczas w sąsiednim pałacu Ostrowskich — istniała mała kawiarenka Brzezińskiej, jedna z dwu, w których były gazety krajowe i zagraniczne. Podawały tu dziewczęta, najchętniej więc bywała młodzież literacka, arty-

styczna i uniwersytecka, między innymi: Nabelak, Goszczyński, Chopin i inni. Bywał też i Mochnecki.

Przez długie lata potem mieściła się tu cukiernia Botta i Clotina.

Równocześnie w pałacu Teppera na Miodowej była tzw. „Dziurka Marysi“, do której wchodziło się z olbrzymiej klatki schodowej przez „dziurkę“, czyli istniejące do dziś od lat stu małe drzwiczki.

Antoni Wieniarski w swych „szkicach towarzyskich i obyczajowych“ z roku 1857 pt.: „Warszawa i warszawianie“ opisuje szczegółowo i ciekawie zakład istniejący wtedy na rogu ul. Żabiej i placu Żelaznej Bramy z szyldem:

K A W A I H E R B A T A

T. PICHLA

za konsensem No...

i wymienia, że były tam z pism zagranicznych „*Schlesische Zeitung*“ i „*Neue Preussische Ztg.*“. Schodzili się tam dymisjowani wojskowi, emeryci i w ogóle starsi wiekiem, gawędząc o polityce, grywając w szachy i popijając kawę, podawaną przez piękną Andzię.

Prócz tych, w początkach ubiegłego wieku słynęły „z wybornej kawy i śmietanki“ pokoje Rosengartowej przy ul. Rymarskiej, kawiarnia „Tyrolska“ na Elektoralfiej, oraz inne, jako to: „Królestwa Polskiego“, „Wojskowa“, „Narodowa“, „Słowiańska“ na ul. Powązkowskiej.

W lewej oficynie pałacu Zadzikowskiego, czyli „kamienicy Kasztelańskiej“ Al. Chodkiewicza przy ul. Miodowej nr 14, (dziś Stow. Rzemieślników Chrześcijan) w parterowym lokalu po kaplicy anglikańskiej mieściła się pamiętna kawiarnia „Honoratka“, w której między innymi „wykuwało się“ powstanie listopadowe (patrz strona 114).

W kawiarni tej, nazwanej od imienia właścicielki Honoraty Cymermanowej, odbywały się koncerty i popisy artystyczne, na które oprócz Polaków przybywali i wybitniejsi Rosjanie. „Honoratka“ — to *café-chantant* początku XIX wieku w Warszawie — mówi o niej Adam Wolmar w swej krótkiej, ale cennej monografii.

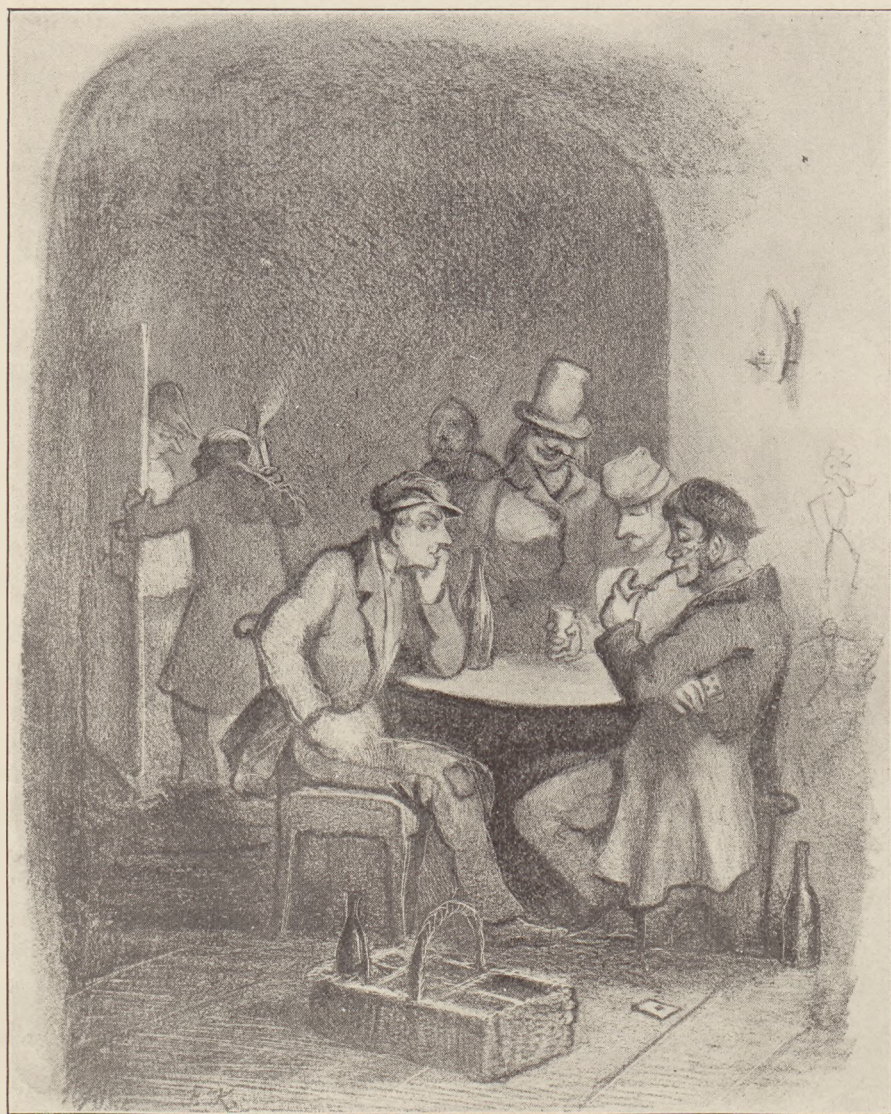
„Nazwa owej kawiarni — pisze Barzykowski — zostanie w dziejach naszego powstania pamiętna, gdyż fackcja „niespokojna“ imię to sobie przybrała“. W Honoratce odbywały się



Partia szachów r. 1880 „Pod Dzwonnica” (Rys. St. Sawiczewskiego)

zebrania najpierw konspiracyjne, a potem w rodzaju dzisiejszych wieców, a o których Mochnacki pisze, że „zwykle na tych schadzkach obierano prezesa, który w czerwonej czapce z piórem grał rolę dyktatora”.

O dwu innych kawiarniach: nadwiślańskiej „Pod Parkanami” i „U Miramki”, jako ulubionych przez cyganerię warszawską w czwartym i piątym dziesięcioleciu ubiegłego wieku, wspomina Miłosz Gembarzewski w swym artykule „o jej przywódcy Sewerynie Fillebornie”) zamieszczonym w Tygodniku Ilustrowanym. Po zamknięciu Honoratki tradycję jej w okresie poprzedzającym powstanie styczniowe, piastowała kawiarnia Ciotki, zwana „Pod Daszkiem”, na Podwalu nr 9 róg Kapitulnej oraz druga „Pod Dzwonnica” przy kościele bernardynów. Stały się one znów miejscem tajnych zebrań kierowników ruchu narodowego. Obie istniały do końca ubiegłego stulecia.



W staromiejskiej nocnej knajpie — rys. Fr. Kostrzewskiego z roku 1856

Inny charakter miała kawiarnia w zajeździe Białostockim przy ul. Bielańskiej. Tam, gdzie dziś plafon hallu pałacowego p. Janusza Radziwiła zdobi wspaniała „Walka światłości z ciemnością” pędzla Siemieradzkiego — wisiały ongi u sufitu

kopące lampy olejne, w powietrzu unosiły się dymy fajek, a dołem, wśród oparów ponczu, krążył z przewieszoną przez ramię na zielonej wstążce gitarą popularny w mieście, udający pół-wariata pół-poetę, właściciel zakładu, deklamator i śpiewak a facecjonista, Soter Rozmiar Rozbicki. Była to żywa groteska, ożywiście, w owoczesnym stylu.

Na ogół jednak po zgnieceniu powstania styczniowego kawiarnie warszawskie „psieją“.

Wacław Szymanowski w artykule swym „Życie w Warszawie“ z r. 1873 narzeka: „Dziś... nie ma już owych kawiarni, których firmy ogólnie znane gromadziły tłok gości do brudnych i zacieśnionych pokoików: Oranowska, Żanetka, Grassow, Łaniewska, „Kawa Saska“ znikły już od dawna z horyzontu. W r. 1880 Gomulicki wspomina, że „do wielu kawiarni uczęszczały kobiety, które z mniejszą śmiałością odwiedzają cukiernię“ i wymienia między innymi jako najpopularniejsze, kawiarnie: Obrębskiego na Bielańskiej, Glika na Elektoralnej i „Pod Dzwonnicą“, dodając, że szklanka kawy kosztuje 5—10 kopiejek, filiżanka 4—7 i pół, herbata — 5 kop. itd.

Do kawiarni uczęszczały więc kobiety, a do cukierni z mniejszą śmiałością. Boże! a dzisiaj... dancingi i Coctail Bary! W ciągu lat 1880—1900 uczęszczane były przez pewne sfery dwie kawiarnie w Rynku Starego Miasta. Pierwsza przez całą noc otwarta „Czerwinskię“, druga „Pod



Brac artystyczna opuszcza knajpę „Pod Słońcem“ (r. 1880) — rys. Stanisława Sawiczewskiego

Sł o ņ c e m“. Tę ostatnią przystań cygańską uwiecznił niezapomniany piewca Starego Miasta Or-Ot w swym zbiorze „M o j a W a r s z a w a“, pięknie ilustrowanym przez mohikanina dawnej szlachetnej sztuki rytowniczej St. Sawiczewskiego.

„Na rynku staromiejskim kawiarenkę „P o d S ł o ņ c e m“, znaną hulakom naszym i artystom, ozdabiało wyzłocone słońce z pobłażliwym uśmiechem spoglądające na niezbyt tego trzymających się na nogach gości, bo trzeba dodać, że kawiarenka nosiła napis „z trunkami“.

Miast cnotliwie w domu spać,

Co też jest rzecz miła,

Poetycka młoda brać

Tu się cygañiła.

W owej kawiarence hej!

Śniłóż się przed laty...

Miron pieśń poświęcił jej,

Obrazek Pillati.

Ta sama cyganeria artystyczna i literacka, jeno już zmodernizowana na przełomie XIX i XX stulecia, odwiedzała przez czas krótki mleczarnię „N a d ś w i d r z a ń s k ą“ z ogródkiem w miejscu, gdzie dziś stoi kolosalny gmach Banku Gosp. Krajowego. Obsługa, złożona z chłopców i panien, ubrana tu była w kostiumy górali z Podhala. W długiej „kiszce“ Nadświdrzańskiej zasiadły po raz pierwszy w kawiarni kokoty, po raz pierwszy też zjawili się „pikolacy“ w wieku lat 12 do 14, co wywołało zgorszenie, a potem interwencję władz.

W kilka lat po „Nadświdrzańskiej“ na przeciwnym rogu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich, również pod nazwą mleczarni, otwarto kawiarnię „U d z i a ł o w ą“, gdzie pewną sensacją były długie ciemnoczerwone surduty kelnerów. Tutaj to swe lary i penaty rozpostarły sztuka i literatura, bo stałymi gośćmi bywali tu przebywając w Warszawie: z plastyków — Żmurko, Zygmunt Badowski, Pillati, Zdzisław Arrasz, Andrzej Zarzycki, Leopold Sznycer — malarze; Jagmin, Tadeusz Breyer, Stanisław Chrzanowski, Szczypiński, Nowolecki — rzeźbiarze; z literatury: Tetmajer, Reymont, Mieczysław Srokowski, Zygmunt Różycki, Leon Rygier, Franciszek Jerzy Galiński, Antoni Lange, Renard (Czarnocki), Tad. Radwański, Ad. Strzelecki, H. Juszkiewicz, Tadeusz Sierżputowski, Alfred Węgliński,

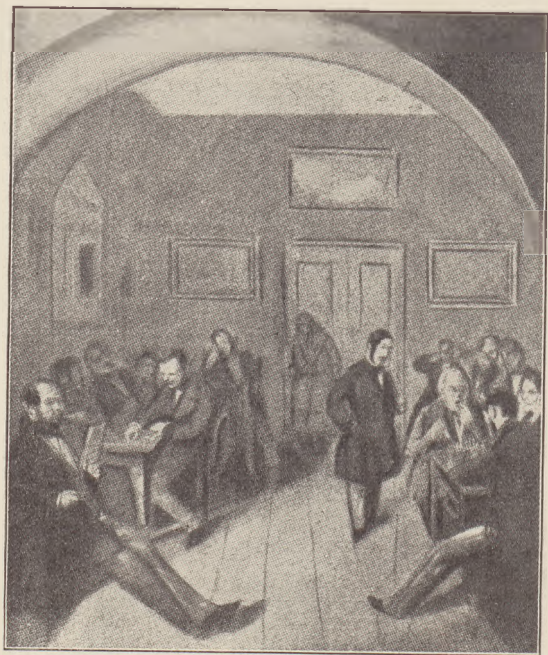


W kawiarni „Udziałowej” — rok 1906 (Rys. Andrzeja Zarzyckiego w tyg. polit. art. i literackim Fr. Galińskiego „Czarny Kot”).

wreszcie słynny z ciętego sarkazmu i dowcipu, przesympatyczny „filozof bez teki” *Franc Fiszer*¹⁾). Świat naukowy reprezentowali tu co wieczór: Z. Weyberg, Marian Kowalski, J. Aleksandrowicz i wspomniany *Franc Fiszer* z nieodłącznym Karolkiem Szustrem, popularnym pianistą, za którym dążyli tu inni muzycy: *Lucjan Marczewski*, *Starczewski*, *Krasiński* itd. „Udziałowa” gasiła przez czas pewien nieco wcześniejsza wielka „*Café Louvre*” *Wład. Jackowskiego* na rogu Wareckiej i Nowego Świata, pełna luster i brązów, których ciężaru nie wytrzymała. Po jej bankructwie już powstała na rogu ul. Złotej i Marszałkowskiej wielka kawiarnia *Ostrowskiego*, która, przetrwawszy wojnę w r. 1924 została zwinięta.

¹⁾ Nazwiska wyróżnione kursywą dotyczą dziś już nieżyjących.

Kawiarnia „Honoratka“ z obr.
F. Pęczarskiego (1805—1862)



KAWIARNIA „HONORATKA“ — KUŹNIA POWSTANIA LISTOPADOWEGO

W okresie Królestwa Kongresowego, a szczególnie w dobie bezpośrednio poprzedzającej powstanie listopadowe, trudno było żyć w Warszawie Polakowi nie martwemu w swym pogodzeniu się z losem Ojczyzny, lecz ożywionemu duchem czuwającego patriotyzmu... Nie tylko nad krokami jego i działaniami, ale nad myślami czuwali nieustannie Makrot i Kuruta, zausznicy rezydującego to w Belwederze, to w pałacu Brühlowskim sadystycznego kochanka Polski, w. ks. Konstantego.

Za pomocą rozgałęzionej sieci szpiegów opłatywali oni społeczeństwo polskie, jakby ramionami olbrzymiej ośmiornicy tyśiącznymi ssawkami wdzierającej się w najtajniejsze myśli i zamierzenia, przeglądając na wylot prywatne mieszkania, wsączając w słabsze charaktery jad lęku przed własnym cieniem i obawy przed własnymi myślami.

Wszelkie zebrania prywatne były pod ścisłym nadzorem i raporty o nich, zanim które się skończyło i uczestnicy się rozeszli, już się znajdowały na biurkach tajnych kancelarii.

Toteż z konieczności musiano stwarzać pozory bezmyślności i zabawy, pod których pokrywką tały się pełne domyslników niedomówienia. Na jawnych, tak zwanych „publicznych“ zebraniach rzucano półsłówka, z których dowiadywano się o ostatnich posunięciach kierowników ruchu patriotycznego.

W tym to okresie w oficynie starego pałacu Zadzikowskiego, przy rogu ulic Miodowej i Kapitulnej, w parterowym sklepionym lokalu po kaplicy anglikańskiej, niejaka Honorata Cymermanowa otworzyła kawiarnię, która od razu stała się kuźnią patriotyzmu. Ścierały się tu przekonania a rej wodził stały tutejszy bywalec Maurycy Mochnacki.

Dla niepoznaki grywano w karty, szachy i warcaby: Cymermanowa zorganizowała popisy artystyczne, popołudnia o charakterze nieco kabaretowym. Muzyka, śpiew, a nawet taniec zamówionych z góry płatnych artystów zaczęły ściągać do „Honoratki“ również Rosjan ze sfer urzędniczych i wojskowych.

Naoczny świadek zebrań „Honoratki“ pozostawił nam obraz ówczesnego klubu rewolucyjnego, przytoczony w Miscell. histor. Al. Kraushara:

„W początkach była to tylko kawy filiżanka, ponczyk szkłaneczka i cicha gawędka w ukryciu, lecz później na zebraniach tych zaczęto czytać i deklamować wierszyki patriotyczne, śpiewać piosenki narodowe i przy tej sposobności wszczynano głośne rozmowy polityczne i różne wieści w obieg puszczano. Zgromadzenia bywały nadzwyczaj liczne, tak że sale objąć gości nie mogły. Ponieważ powiodło się, więc dalej iść postanowiono. „Fakcja“ (niespokojnych) nie poprzestała już na wierszykach i śpiewach, na rozsiewaniu wieści i plotek, ale wzięła się do rozpraw i niezadługo — stół na środek wysunięty stawał się mównicą. Pchali się do niego i darli wśród ściągań, spychań i kułaków liczni ochotnicy. Z początku były mowy skromne i niewinne,

hojne tylko w szumne oświadczenia i dary w słowach na ołtarz Ojczyzny składane. Rozdarowywano dobra, których nie miano, na rzecz publiczną lub dla uciśnionych i tym środkiem szukano dla siebie popularności. Następnie zaczęto krytykować Rząd i Dyktatora. Ostre nagany leciały z trybuny stołowej, a choć wszystko miało cechę szynkownianą i wiecha była najwłaściwszym zebrań tych godłem, jednakże usiłowania bez skutku nie pozostały“.

W „H o n o r a t k e“, w której młodzież wieczorem 29 listopada zaaresztowała nic nie wiedzących o wybuchu powstania oficerów rosyjskich, uknuto później spisek pod hasłem „Precz z Chłopcim, niech żyje dyktator Lelewel“. Wywołało to kilkudniowe przyaresztowanie Lelewela.

Z „H o n o r a t k i“ wyszło w r. 1831 hasło rzezi sierpniowej w Warszawie, kiedy to w święto Matki Boskiej Zielnej dnia 15 sierpnia wybuchły rozruchy. Powieszono wówczas 35 więźniów, obwinionych o zdradę lub szpiegostwo, między innymi generałów: Bukowieckiego, Hurtiga i Jankowskiego oraz dawniejszych szpiegów rosyjskich: Szleja, Makrota, Szymanowskiego. Zamordowano wtedy panią Bażanow, radcę Bentkowskiego, szambelana Fanshave i generała Sałackiego pałaszami i bagnętami, trupy na stryczkach ściągano po schodach zamkowych i wieszano na latarniach.

A hasłem do tej masakry był wzniesiony przy wyjściu z „H o n o r a t k i“ okrzyk: „Do zamku, do zamku, szubienice dla zdrajców“!

Dziś po stu przeszło latach w dawnym lokalu „H o n o r a t k i“, pozbawionym dawnych sklepień i przerobionym niemal nie do poznania, rozlega się skrzyp piór i stukot maszyn do pisania, mieści się tu bowiem prywatne biuro handlowe.

Tylko nocą czasami szwendają się tu po kątach duchy dawnych z okresu powstania listopadowego bywalców, a w powietrzu unoszą się nigdy nie ginące, powracające z eterów okrzyki: „Precz“! i „Niech żyje“!



„Mazur, wszystkie pary“ ! (Rys. Kostrzewskiego z roku 1889)

„SZALONE DNI“ KU CZCI BACHUSA I WENERY

*Znowu rodacy, z damami u boku,
Czcicie zapusty, wielkie święto nóg:
Z brzękadłem w rękę prowadzi do skoku
Mędrców i głupców — Momus, śmiechu bóg.*

P. J. Beranger

Zapusty, będące od wieków uprzywilejowaną porą wszelkiego rodzaju zabaw, widowisk, maszkar, uczt, weselości i pustoty, kończą się jak wszędzie, tak i w Warszawie trzema dniami, wliczając w nie i ostatni wtorek, które noszą słuszną nazwę „dni szalonych“ lub „ostatków“.

Już u pogan rzymskich odprawiano w tym okresie bachanalie, czyli, jak sama nazwa mówi, uczty i zabawy ku czci Bachusa, podczas których jednak nie zapominano również o czci Wenery. Z nadejściem chrześcijaństwa w przewidywaniu długiego postu, tzw. „wielkiego“, wymyślono objadanie się na zapas, a więc tłuste uczty i huczne pohulanki na pożegnanie karnawału.

Zwłaszcza „ostatki“, czyli „dni szalone“, były w dawnej Polsce, a więc i w Warszawie, porą wesel i słynnych kuligów. W broszurze z czasów zygmunto-wskich, zatytułowanej: „Kiermasz wieśniacki albo rozgwara Kmosia z Bartoszem na Zawisłu“, mamy podaną pieśń zapustną, zaczynającą się:

*Mięsopusty — zapusty,
Nie chcą państwo kapusty,
Wolą sarny — jelenie,
I żubrowe pieczenie...
A kuropatwy zjadłszy,
Do taneczka powstawszy.
Po tańcu z małżamizją
I tak sobie podpiją...*

Opisujący obyczaje XVI wieku Wacław Aleksander Maciejewski notuje, że gdy nadchodził Wielki Post, „gdy mięso pościć, czyli zaniechać go trzeba było, poprzedzający go mięsopust dozwalał czynić, co by kiedy indziej było zgorszeniem“. Wtedy, jak pisze Rey z Nagłowic, godziło się pijanicy, chodzić po ulicach i dać się poprzedzać muzyce, umyślnie na to zgodzonej, aż pod wiechę karczemną.

A tam pełno bywało w ostatki różnego ludu, wielu pocziwych i wielu podejrzanych obyczajów ludzi. Gawiedź przy garncu piwa kupionym za 8 groszy lub kwarcie gorzałki za złoty zabawiała się grą w karty zapłaciwszy za to karczmarce 3 grosze, zapaliwszy sobie świeczkę kupioną za grosz.

Zdaje się dziś, że była to istna „Wyspa szczęśliwości“ wymyślona przez Alojzego Żółkowskiego (ojca) w warszawskim „Momusie“ z roku 1821.

Do innego szczęścia otwierały ostatki szeroko wrota tym parom, które sobie w ciągu karnawału wytańczyły ślub i nie zdążyły go wcześniej urządzić niż w te „dni szalone“. Pięknie i tkliwie mówi o nich piosenka Berangera:

*Oto już od ślubu wiodą
Szczęsnych oblubieńców,
W krótkie hymen parę młodą
Porwie spośród wieńców
I zawiedzie w kącik cichy,
Gdzie całunki, gdzie uśmiechy.
Męski hart z niewieścią cnotą
W cudny koncert wnet się splotą...*



Rysunek Franciszka Kostrzewskiego z roku 1858 zamieszczony w szeregu ilustracji „Szkiców i obrazków“ Wacława Szymanowskiego i in.

Różne jednak różni, nawet w owym czasie, to jest przed stu laty, mieli na te sprawy zapatrywania. Byli i tacy, co zamiast wda-

wać się w tańce i zabawy z niewiastami spędzali czas karnawału wyłącznie z ostatkami w knajpkach i kawiarniach. Gdy ich żony z córkami bawiły się na herbatkach „tańczących z paczkami“ (sic!), oni przepełniali zadymione pokoiki kawiarniane racząc się ponczem. Toteż stopniowo kawiarni przybywało. Przed stu laty było ich już w Warszawie dość wiele.

Jednym z oryginalniejszych zwyczajów w ostatki było urządzenie rzekomych kazań zapustnych. Zwyczaj ten żartobliwy nazywano „kazania szlacheckie“. Mianowicie w ostatni wtorek już po skończonych tańcach jeden z uczestników zabawy przebierał się za księdza, wkładając na ubranie zamiast komży koszulę, a zamiast stuly zawiesiwszy pas lub złożony ręcznik na szyi, stawał w kącie pokoju na stołku, kobiercem do ścian przybitym, do wysokości pasa zasłonięty, i z tej improwizowanej ambony wygłaszał niby to kazanie humorystycznej treści. W okolicach Warszawy, na Mazowszu, Kujawach i Podlasiu w ostatni wtorek obwozili na dwu kółkach „kurka“ drewnianego zbierając pieniądze na wódkę.

Na takim samym wózku dwukołowym baby zaciągały kolejno do karczmy wszystkie młode mężatki, które wyszły za mąż w ciągu tych zapust.

W niektórych okolicach stawiano wieczorem w karczmie beczkę, a na niej talerz do zbierania pieniędzy od chłopców dla skrzypka. Taki datek kilkugroszowy zwie się „podkoziółek“ i chłopiec kupował zań od skrzypka żadaną dziewczkę do tańca. Jest to prawdopodobnie ślad starożytnego zwyczaju kupowania sobie dziewczyny na żonę od jej rodziny u pierwszych słowian.

Słowem na wsi w karczmie czy też w mieście na dancingu, herbatce czy balu każdy w te „dni szalone“ puszczał wodze swej chęci zabawy, wołając za Wincentym Polem w takt mazura:

„Choćbym gorzał po łopatki,
Muszę hulać na ostatki“!



Tata „pracuje“ —
rys. Kostrzewskiego
z r. 1873.



Panowie Fikalscy przybyli na bal (Rys. Fr. Kostrzewskiego z r. 1873)

JAK SZALAŁA DAWNA WARSZAWA W SYLWESTRA

Ostatni wieczór starego roku, północ z 31 grudnia na 1 stycznia uważana za narodziny roku nowego, ma w sobie coś dziwnie uroczystego i jakby tajemniczego. Jakby się coś w naturze zmieniało, jakby istotnie coś się kończyło i coś zaczynało, jakbyśmy przekraczali jakąś miedzę, jakiś szlaban graniczny. Tymczasem nic podobnego!

Owo zgaszenie na chwilę światła na sali restauracyjnej, ów gong, w który ktoś tam, gdzieś tam uderzył, kiedy wskazówka zegara była na 12, to tylko razdoroczny „psikus“ dla zdopingowania ludzkich nadziei, a może dla otumanienia pamięci, że przybywa nowe komorne za styczeń, nowy procent za weksel i nowy po-datek.

Ale to nic, ale się cieszymy, bo tak chce tradycja. Limonadą wypijamy „Niech żyje“!, całujemy, w braku młodej sąsiadki, starego sąsiada i...

Ojcowie nasi dbali o życzenia noworoczne jak o ważną żywo-ta sprawę, bo płynęły one z prostego, szczerzego serca i sąsiedzkiego afektu. Dawni Polacy, jak notuje Gloger, witali się w Nowy

Rok słowami „Bóg cię stykaj“! co oznaczało polecenie opiece Wszechmocnego. Wiedzieli wszyscy, czego komu życzyć należy, a rozum i dowcip siły się na wysłowienie życzeń.

I teraz korzystamy z okazji Nowego Roku, aby pożyczyć nie tyle komuś, ile od kogo, wysilamy rozum i dowcip na wynalezienie źródła... wszelkich pomyślności w postaci takich znajomych, których służąca nie powie nam przez drzwi na łańcuch zamknięte: „Państwo kazali powiedzieć, że wyjechali“.

Znów przyjęcie noworoczne, tak samo jak i „gwiazdkę“ z bakaliami, diabli wzięli.

Tak! Minęły dla Warszawy niepowrotnie czasy, kiedy to w mroźny zazwyczaj dzień Nowego Roku ruch na mieście był niezwykle. We wszystkie strony mknęły sanki lub karety, rozwożące w południowej porze męskich członków rodzin, zwłaszcza młodzież z wizytami. „Remizy wynajmu powozów i karet“ — dziś już rzadki zabytek — czekały na taką okazję przez cały rok jak na żniwo, rozpoczynające epokę karnawałowej pomyślności.

Panie domu i „panienki“ sprawowały honory domu przyjmując wizyty panów składających życzenia.

Ciasta, wina i bakalie były miłą tych południowych wizyt ilustracją. Odwiedziny były krótkie: przepisowo trwały minut 10 do 15. Ale ileż w ciągu tego krótkiego czasu naopowiadało się i wzajem wysłuchało wrażeń z wczorajszego Sylwestra! Młodzież zaśmiewała się przypominając tysiączne szczegóły.

— Ach, jak on tańczył zabawnie!

— Iks przewrócił się w mazurze...

— Zosi nadeptano w tańcu na przydługą sukienkę...

— Kazia miała tancerza... bez wychowania, bo tańczył bez rękawiczek...

— Myśmy były w Resursie Obywatelskiej.

— A my w Kupieckiej.

Były to przed laty kilkudziesięciu dwa najpopularniejsze „Sylwestry“ warszawskie, gdzie się zbierało tak zwane „towarzystwo“. Później przybyli Wioślarze ze swym sympatycznym lokalem w dawnym pałacu Bielińskich na Królewskiej, zwanym „Na Otwockiem“. Dziś w tym miejscu stoją olbrzymie kamienice nr 29 i 31, a Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie podtrzymuje swe tradycje sylwestrowe we własnym gmachu na Foksalu.

Sezon balów, urządzanych przez *haute volée* Warszawy, otwierał zazwyczaj wielki bal w ratuszu na „Biedne matki“, po czym szły bale na rzecz „Paralityków“, „Pań Św. Wincentego à Paulo“ itd.

Na wszystkich tych balach osobą bardzo pożądaną, przez wszystkie panie z upragnieniem oczekiwaną była nie tańcząca lecz niemniej ruchliwie wśród kół tanecznych kręcąca się z ołówkiem i notatnikiem w ręku, nieżyjąca dziś już Fela Kaftalowa, żona popularnego facecjonisty i bohatera wielu anegdot Izydora Kaftala. Jako sprawozdawczyni dzienników, pani ta, opisywała szczegółowo toalety pań co do barw i rodzaju materiałów umiając wszystkie pochwalić i przyozdobić komplementem. Choć nie należąca do arystokracji, Kaftalowa miała wstęp do najpierwszych salonów Warszawy, a panie z wielkiego świata ubiegały się o jej względy i pamięć.

Nazajutrz po balu każda z nich z drżeniem nerwowym brała do ręki gazetę, by sprawdzić, czy przypadkiem Kaftalowa nie opuściła jej toalety „z *crêpe chiffon*, koloru białego bzu, przybranej dżetami oraz staniczka z *velour satin* barwy wody morskiej“.

Wycinki takich sprawozdań rozsyłano potem w listach rekomendowanych po całej Europie koleżankom, bawiącym w Viareggio czy Cannes... żeby im trochę krwi napsuć.

Bawiono się u góry, bawili się ludziska i u dołu na „Złotej Sali“ i „Pod Trzema Koronami“, na Ogrodowej i Żelaznej, albo w Rynku Starego Miasta, gdzie była sala tańca w domu „Pod Murzynkiem“, będącym dziś własnością



W karnawale 1856 roku „Pod Murzynkiem“ (Rys. Kostrzewskiego)

Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich w Warszawie. Razem z innymi nowościami pożytecznymi jak hipoteka, lombard miejski i inne, owe sale drewniane zaprowadzili Niemcy za owych pierwszych „czasów pruskich“ w końcu XVIII stulecia. Lud zwał je po polsku, jak rozumiał „tancbudy“. Była to naiwna przeróbka niemieckiego terminu „*Tanzboden*“. Wywijał tu ludek warszawski, przeważnie młodzież rzemieślnicza, czeladź i służba domowa. Nie brakło też często i ciekawych z „towarzystwa“, oczywiście tylko mężczyzn. Stałymi gośćmi bywali tu natomiast artyści i literaci, słowem cyganeria ówczesna, epigoni romantyzmu jak Pillati i Kostrzewski — malarze, Ksawery Syrewicz — muzyk itd. Bywał też często z wielkich panów, pan szerokiego gestu, August hr. Potocki, tak zwany popularnie hrabia Gucio. Ale to był wyjątek.

W pobliżu staromiejskiego rynku była jeszcze jedna tancbuda, ale to już o zupełnie nieprywatnym charakterze, pod firmą niejakej pani Tomasowej. Zajmowała ona całe pierwsze piętro wielkiej kamienicy na rogu Podwała i Nowomiejskiej, tuż obok kościoła św. Ducha. Charakterystyczne było to, że lokal tego rodzaju, rozporządzający płcią tzw. piękną wesołego typu, nie tylko, jak mówiono, „na wynos“, ale i z wyszynkiem na miejscu, urządzono w poklasztornym gmachu oo. paulinów.

W tym samym lokalu księżna Anna Mazowiecka umieściła wszak w połowie XIV stulecia przytulisko dla starców, kalek i nędzarzy, nazwane później w przywileju z r. 1425 „*Domus pauperum hospitalis*“. Stąd w XIX wieku ten „Szpital św. Ducha i Panny Maryi dla starców“ przeniesiono na róg Przyrynka i ul. Kościelnej, a w dawnym jego miejscu znalazł się zakład Tomasowej.

Tutaj znów wśród pijanej a niewybrednej pod żadnym względem gromady gości z mniej kulturalnych sfer ludności miejskiej bywał częstym gościem słynny swego czasu oberpolicmajster Warszawy, generał Buturlin, poboczny syn cesarza Aleksandra II. Lało się wtedy szampańskie strumieniami na koszt Buturlina dla wszystkich gości.

Sprzyskrzyła się wkrótce jednak w Petersburgu rozrzutność, z drugiej strony zbytnia popularność carskiego bastarda wśród mas warszawskich i generał został odwołany nad Nowę. Wkrótce po jego wyjeździe zamknięty też został i zakład Tomasowej,



Bal w roku 1871 (Rys. Leon Kunicki)

której Buturlin pozostał winien olbrzymią na owe czasy sumę 28 tysięcy rubli.

Coś pośredniego między zabawą prywatną a zgoła odmienną były słynne piątki u Edwarda Koelichena, właściciela majątku Włochy pod Warszawą, posiadającego handel win i delikatesów w domu własnym przy rogu ulic Przejazd i Długiej.

Co piątek odbywały się tam zabawy huczne a pijackie z udziałem bardzo „dobranego“ towarzystwa. Jak rzeczywiście dobrane musiało tam bywać towarzystwo, niech opowie Fr. Kostrzewski słowami swego pamiętnika.

Gdy wieść o tych zabawach rozeszła się po Warszawie, włosy zaczęły ludziom stawać dęba na głowie. Opowiadano niestworzone rzeczy, które wywoływały zgrozienie.

Razu pewnego będąc zapytywany przez jedną z ówczesnych matron czy to prawda, że u pana Edwarda takie okropności i nieprzyzwoitości się dzieją, Kostrzewski odrzekł:

— Proszę panią, ludzie przesadzają, bo niech pani przyzna, czy biały krawat jest nieprzyzwoity?

— A nie, przeciwnie!

— A frak?

— No, nie.

— A dla dam aksamitka na szyi czy jest czymś zdrożnym?

— Przenigdy!

— Otóż właśnie, na ostatnim zebraniu odbywał się taniec literalnie tylko we frakach i białych krawatach. Panie miały tylko aksamitki na szyi...

Oczywiście, wrażenie było kapitalne, co bynajmniej opinii pana Edwarda i jego towarzystwa nie poprawiło.

Tempora mutantur!

Gdyby ówczesna rozmówczyni artysty dożyła dni dzisiejszych, kto wie, czyby się bardziej nie zgorszyła widząc opięte od góry do dołu w bluzy i szarawary nasze dzielne narciarki, nie mówiąc już o naszych mistrzyniach lekkoatletyki, trenujących wespół z męskimi kolegami.

Niechybnie zgorszyłyby się widząc na publicznym balu tanga i bluesy, które jednak ciągle dotrzymują placu przywracanym znów do czci dawnym wiedeńskim walcom.

— Niech żyje walc! Niech żyje tango!

Byle nie w ciasnych lakierkach!

W przerwie tańca „Pod Trzema
Koronami“ — r. 1856 (Rys.
Fr. Kostrzewskiego)



WARSZAWSKI KARNAWAŁ DZIŚ A PRZED LATY

Wróćmy pamięcią do owych czasów, kiedy to pomimo jarzma naród gniotącego Warszawa przez cały ciąg zapust oddychała pełnym beztroski życiem. We wszystkich domach bawiono się ochoczo i wesoło. Nie brakło młodzieży dorodnej i składnej, a wśród niej dzielnych tancerzy.

Sięgnijmy jeszcze dalej pamięcią i przypomnijmy, jak to było przed stu laty, co pisze o takich zabawach w Warszawie K. Wł. Wóycicki.

Na zebraniach tych roznoszono kawę z sucharkami lub dawano bułeczki z masłem i zaczynano tańce. Gdy się na dłuższą zanosilo zabawę, gospodyni przyrządzała kolację, złożoną z pieczeni z buraczkami lub czerwoną kapustą, czasami ze zrazów

polskich z kaszą. Całym trunkiem było piwo dubeltowe, a na wystawnym wieczorze dawano po kolacji po szklance ponczu. Światła innego przed stu laty nie znano, jak świece łojowe i przy nich wszystko co żyło, tańczyło serdecznie z młodzieńczym zapalem. W piątym lat dziesiątku przyszły dopiero lampy olejne, a w latach siedemdziesiątych naftowe „do amerykańskiego petrolu“, bo naftę z Kaukazu zaczęto sprowadzać jako tańszą dopiero pod koniec XIX wieku.

Młodzież w tańcu nie ustawała, nikt nie śmiał w czasie zabawy zapalić fajki. Cygar i papierosów wcale wtedy u nas nie znano. Muzykę stanowił klawikord, czasami z towarzyszeniem skrzypiec. Tańce ówczesne narodowe i cudzoziemskie były nieco inne. Do pierwszych należały:

polonez, mazur, krakowiak, oberek, kozak i drabant; do cudzoziemskich zaś:

gawot, menuet, kontredans albo kadryl, lansjer, walc, anglez, a później polka, zwana trzęsionka, polka-mazurka i kotylion. W modzie były też tańce solowe, tańczone przez panny: szal i tamborino, a przez kawalerów: matelot.

polonez, zabytek starożytnego „koła“, o którym wspominają pisarze nasi z XVI i XVII wieku, często bywał przerabiany z pieśni pobożnych. Trudno ustalić, lecz podobno polonez z czasów Władysława IV dał u nas początek kolędzie „W żłobie leży“. Może było odwrotnie. Faktem jest, że na dworze tego Wazy tańczono na tę melodię poloneza.

Do połowy ubiegłego stulecia tańczono polonezy Kurpińskiego, Ogińskiego „Pożegnanie ojczyzny“, jak znów kujawiaki i krakowiaki — Rajczaka i Łodwigowskiego. Potem przyszła kolej na Moniuszkę.

Pewną odmianą poloneza był „odbijany“, w którym każdy na uboczu stojący miał prawo kłaśnięciem w dłonie odbierać damę z pierwszej pary.

W odleglejszych wiekach, bo w XVII stuleciu uprawiano jeszcze inne tańce i to miało swój cel określony. W książce z tego wieku, wydanej pod tytułem „Złote jarzmo małżeńskie“, czytamy w związku z opisem tańców: Na to są tany różne, żeby się kawalerowie słusznie pannom przypatrywali. Na to „świeczkowy“, żeby, jeśli który nie dojrzy, lepiej ją widział przy świecy, którą przed sobą nosi. Na to „mieniony“, żeby z boku obaczył tym lepiej, jak chodzi; na to „goniony“, żeby

widział, jeśli nie kaleka albo nie dychawiczna; na to „śpiewany kowal“, żeby słyszał, jeśli nie niemota; na to „niemiec“, żebyście jak w garnce kołatali, czy dobra miedź i złość, jeśli się w niej ozwie; na to angielskie tańce świeżo wprowadzone, żebyście ku sobie rękami klaskali i miotali się z sobą.

Te same cele ma po części każdy bal i zabawa, zwłaszcza taneczna, gdzie się dwie „płcie“ wzajemnie obserwują oceniając swe walory. Ten sam sens ma to u góry, co i u dołu społeczeństwa. Czasami jednak jedynym celem tańca jest zabawa.

W „Szkicach i obrazkach“, wydanych w roku 1858 w Warszawie przez Józefa Ungra z ilustracjami młodego, bo 32-letniego wówczas artysty, malarza Franciszka Kostrzewskiego, znajdujemy bardzo charakterystyczny opis zabawy karnawałowej na „Złotej Sali“, pióra Wacława Szymanowskiego.

— Wież mnie do Złotej Sali — zawołał autor do dorożkarza.

Trzasnął biczem — pojechali i przyjechali.

„Antre“ kosztowało złotówkę. Było to w 1858 r. 30 groszy, czyli 15 kopiejek, a więc za tak wielką zabawę mała bardzo zapłata.

Przy wejściu do sali odurzył dziwny zaduch i hałas. Z początku nic prawie odróżnić nie było można, bo w powietrzu unosiła się mgła, pochodząca z wyziewów tańca, dymu, fajek i niezbyt „wytwornego“ oleju palącego się w lampach.

Miedzy gośćmi było tam wszystkiego po trosze począwszy od fraka aż do prostej sukmany. Niektórzy pozrzucali wierzchnią część górnej garderoby i hulali zakasawszy rękawy od koszuli. Płeć piękna trochę strojniej była przybrana, choć i tu dziwnym rzeczom można się było przypatrzeć. Więc jedne były z gołymi głowami, inne w czepcach lub kapeluszach. A co szczególne, że bez względu na zimę niektóre kapelusze były słomiane. Były też tancerki bez pończoch. Niektóre miały rękawiczki, inne były „bose“.

Sala była wielka, podłużna. Koło taneczne dwa „bochory“, synkowie pejsaci równie pejsatego dyrektora orkiestry, opasywali dookoła sznurem przed każdą „porcją“ tańca, za którą dyrektor z góry inkasował do kapelusza po „piątce“ od tancerzy, bo tancerki nic nie płaciły korzystając z „fundy“ kawalerów. Sznur zapobiegał szmuglowaniu się bezpłatnych tancerzy spośród gapiów otaczających taneczne koła. Mimo to nieraz wynikały scysje a nawet bójki.



Na „Złotej Sali“ — r. 1856 (Rys. Fr. Kostrzewskiego)

Tutaj, na „Złotej Sali“ albo na innej sali „Pod Trzema Koronami“ nie tańczono oczywiście poloneza ani gawota. Oberek, kozak, mazur, a potem polka, były tu najczęściej zamawiane przez tancerzy, bo pejsata kapela pobierając opłatę od tancerzy czekała, co ich większość za-
dysponuje.

Inny znów diapazon zabaw bywał w ratuszu, gdzie zbierała się elita towarzystwa Warszawy na balach dobroczynnych. Tutaj bywały najwspanialsze toalety. Panie „najwyższych“ rodów, z góry zapowiadane ogłoszeniami w gazetach jako gospodynie, czarowały swymi wdziękami karotując na zapowiedziane afiszami cele. Zarówno ziemianki polskie, jak i warszawianki, stałe uczestniczki tych zabaw, słynęły od dawna z czarującego powabu.

Za Królestwa Kongresowego rej tu wiodły wysokiego wzrostu, a otoczone jakby aureolą poezji: ordynatowa Zamoyska, z Czartoryskich księżna Wirtemberska, Chodkiewiczowa z młodziutką córką Zofią i wiele innych. Nie ustępowały im ani w urodzie, ani w powabie inne warszawianki oraz obywatelki z dworów wiejskich. Temu urokowi kobiet odpowiadała płęć męska dziarska i pełna życia, czy to we fraku, czy w mundurze. Głównie rej wodzili i najpiękniej wyglądali zwłaszcza w mazurze nasi ułani.

Krótką kurtka, strój obcisły, postać składna i zgrabna, brzęczące ostrogi, wąsik zakręcony z wdzięcznym uśmiechem, wszystko to składało się na podniesienie uroku tancerza. Jakże przy nim cudnie wyglądała jego towarzyszka, czy biegnąca z nim łącznie w parze, czy obiegając go w koło. Nie dziw, że wobec tak zgrabnego tancerza młode serduszka tajały jak śnieg, pomimo że nie towarzyszyły im konwulsyjne drgania rumb i fox-trottów, ani też nic nie pozostawiająca do domyslenia, lecz wszystkie detale budowy niewieściej ujawniająca opiętość kształtów tancerki.

Strona fizyczna była ukryta — w tańcu ujawniał się charakter i duch narodu, daleki od murzyńskiego.

Ale „*Tempora mutantur*“. Płyniemy z prądem czy to na Wybrzeżu Kościuszkowskim, w Alei Szucha, na Placu Teatralnym czy też na dancingu na rogu Kaczej i Okopowej.

Tu i tam... płyniemy z prądem.



Na reducie w r. 1870 (Rys. Fr. Kostrzewskiego w jego „Pamiętniku“)

MASKARADY I REDUTY KARNAWAŁOWE

Dawne przedwojenne maskarady warszawskie cieszyły się wielkim powodzeniem. Po roku 1905 było ono już mniejsze, ale w poprzednim okresie końca XIX w. dawały pozbawionym udziału w życiu politycznym warszawianom możliwość zabawy, na której można było sobie wiele pozwolić. Zresztą nie tylko na niewinne żarty o tak zwanym wtedy „politycznym“ podłożu, lecz i na dość swawolne.

Tak np. na jednej z maskarad krążył po salach reutowych naturalnej wielkości, oczywiście tekturowy i pomalowany w białe kafle, piec. Nad drzwiczkami widniała tablica z napisem „Nie otwierać“! Oczywiście, skwapliwie drzwiczki otwierano i.. czym prędzej zamykano trzymając w tajemnicy ujrzany tam widok... nagiego pośládka. Był to żart tzw. „gruby“, za który policja pociągnęła winnego do odpowiedzialności.

Innym razem zjawiły się wśród tłumu masek dwie piękne panny w strojach włoskich wieśniaczek z koszami na głowie, pełnymi cukrowych owoców. Po chwili wszystkie te owoce rozczęstowały, a same zniknęły. Wkrótce sala opustoszała, natomiast

u drzwi wyjściowych utworzył się ścisk nie do opisania, gdyż w miejscowych ubikacjach miejsc zabrakło. Jak się okazało, był to figiel dwu urodziwych córeczek właściciela cukierni Lessla.

Złośliwych żartów więc nie brakowało. Rzadsze były wspomniane już „kawały” polityczne“. Za taki uchodził wielki bury niedźwiedź, na każdą zaczepkę odpowiadający po rosyjsku „Czewo chcesz, wodki“? A w garści trzymał butelkę. Agenci policji uważając to za polityczną szykanę chcieli owego Misia zaaresztować, ale nie zdążyli. Zanim porozumieli się ze swą władzą, figlarz zwał.

Największym powodzeniem cieszyła się „Trzecia maskarada“, a później „Tombola“ z loterią fantową na dochód Kasy Zpomogowej Artystów Teatrów Warszawskich. Zamykała ona sezon w ostatnią niedzielę karnawału. Przy stolikach zasiadały, sprzedające bilety loteryjne, artystki, karotując nabywców, a złota młodzież korzystała ze sposobności, by przy tej okazji z nimi poflirtować.

Raz na tomboli poruszenie wywołał następujący wypadek. W gronie pięknych koryfejek baletu siedział za takim stolikiem w salach ređutowych popularny „Gucio“, faworyt Warszawy August Potocki. Było to w okresie, kiedy miał się żenić z narzucaną mu pod grożą wydziedziczenia przez stryjenkę Aleksandrę z Wilanowa panną Eugenią Sianożecką. Z drugiej strony było wiadomo, że „Gucio“ sympatyzuje z baletnicą Owsiankową. Z tłumu obserwującego stolik wysunął się arlekin, nieżyjący już dziś Franciszek Sandecki, i stanąwszy tuż przed hrabią zaczął pełnym głosem deklamować znaną bajeczkę Jachowicza:

*Osiótkowi w złoby dano
W jeden owies, w drugi siano,
Uchem strzyże, głową kręci:
I to pachnie — i to nęci.*

Zerwał się Guccio, lecz zanim się wypłatał z falban Owsiankowy, arlekin znikł w tłumie. Dobroduszny Potocki za chwilę ochłonął i postawił nowy kosz szampana śmiejąc się z kalamburu dowcipnisia.

W owym okresie odbywały się też maskarady na lodzie przy zbiegu ul. Koszykowej z Marszałkowską i ul. Kaliksta (obecnie

Śniadeckich), gdzie na pustym trójkątnym, oparkanionym placu Warszawskie Towarzystwo Cyklistów miało swój pierwszy tor letni, zanim przeniosło go dzięki owemu Guciowi na Dynasy.

Pierwszą jednak w ogóle w Warszawie maskaradę, wówczas bezpłatną, urządzono w r. 1801 w dniu 19 marca dla uczczenia imienin księcia Józefa Poniatowskiego w pałacu Radziwiłłowskim (Paca), przy ul. Miodowej.

Później przez cały do końca okres Księstwa Warszawskiego, przy Teatrze Narodowym na placu Krasińskich otwierano sale na Reduty. Wóycicki pisze, że tylko mężczyźni mogli na nie wchodzić bez masek, płeć piękna bez wyjątku występowała w maskach, w kostiumach charakterystycznych lub dominach.

Zmarły w roku 1911 art. malarz Franciszek Kostrzewski w „Pamiętniku“ swym, wydanym przed 40 laty przez S. Lewentala, przytacza z trzeciej maskarady parę faktów, między innymi, jak się zjawił na zabawie naciągawszy na siebie od głowy aż do pasa olbrzymi, z tektury zrobiony but wojskowy. Kolega Marcin Olszyński, który go oprowadzał, ucharakteryzowany za szewca, niektórym dandysom brał miarę z głowy.

Bawiąc na tej maskaradzie do czwartej czy piątej godziny nad ranem Kostrzewski z bandą swych kolegów-artystów spostrzegł jegomościa w czamarze, której szamerunek zrobiony był z... parówek.



— Zjedźmy go! — któryś krzyknął. No i w moment zjedzony był na miejscu.

Maskary były też w Polsce już dawniej, wzorem włoskim nieraz odbywane. Wspomina o nich Antoni Malczeski w tragicznej swej powieści o Gertrudzie Komorowskiej: „Czy znasz we-neckie zapusty“? itd.

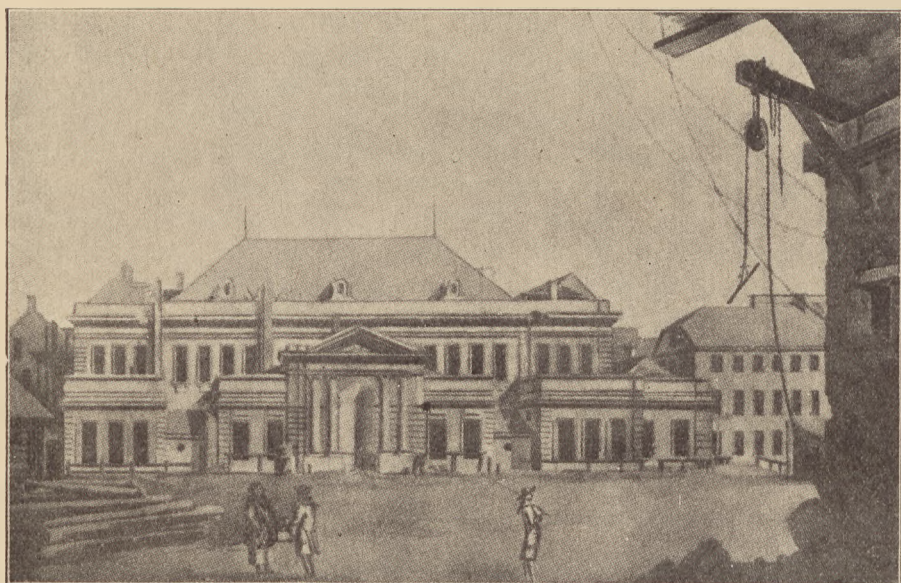
Kostrzewski z Olszyńskim
na maskaradzie w r. 1870
— rys. Kostrzewski

*My sobie jedziem kulikiem,
I w noc i we dnie
Wesołe, szalone, przednie.
Maska nas kryje, a kto chce wiedzieć
Skąd my i czyje, to odpowiedzieć
Śmiechem i krzykiem.
Szczera ochota
Otwiera wrota,
Bo krakowianki i pielgrzym stary,
Żydzi, cyganki uderzą w pary,
Wróżki, diabli, nie oszusty
W puhary.
Lecim saniami
I jadą z nami
Wrzawa, śmiech pusty.
Czy znasz ty polskie zapusty?*

Przebieranie się w charakterystyczne kostiumy w czasie karnawału jest też praktykowane u ludu.

W Warszawie młodzież staromiejska lubi też w czasie karnawału przebierać się i krążyć wieczorami po rynku i zaułkach wywołując kaskady śmiechu dowcipami, którymi atakuje napotykanym przechoźniów.

Jest to już jednak przeżytek równie, jak i publiczne bale maskowe i kostiumowe „większego“ świata.



Teatr Narodowy na pl. Krasińskich z obrazu Zygmunta Vogla
(Zbiory Raczyńskich w Warszawie)

NIECO Z DZIEJÓW TEATRÓW W WARSZAWIE

Znany każdemu z warszawian od dzieciństwa, a przybyszowi do stolicy okazałością swą przede wszystkim rzucający się w oczy — gmach Teatru Wielkiego w Warszawie rozsiadł się, a raczej rozłożył majestatycznie przed wiekiem na splantowanych ogrodach Marywilu, nadając od razu rozpościerającemu się przed nim placowi najbardziej reprezentacyjny w stolicy charakter.

Oczywiście mowa tu o samym gmachu, teatr bowiem w Warszawie miał już swoją historię.

Wszak król Władysław IV bywał za granicą, lubił widowiska sceniczne i urządził w roku 1637 pierwszy w Warszawie teatr. Był to jednak teatr tylko dworski dla prywatnej króla Jegomości i jego przybliżonych magnatów zabawy. Mimo to budził pośrednio i w całym narodzie zamiłowanie do sztuki dramatycznej, zaspokajane do owego czasu, jak zaznacza W. Gomulicki, wyłącznie przez kościelne oraz szkolne dialogi i misteria. Wóycicki w swym „Teatrze Starożytnym w Polsce“ wspomina o danej na Zamku Warszawskim w czasie Sejmu w 1661 r. tragedii Corneilla „Cyd“, spolszczonej przez Andrzeja Morsztyna.

W tym samym wieku XVII Jan Chryzostom Pasek w pamiętnikach wspomina o teatrze francuskim, utworzonym w r. 1667 za wpływem Marii Ludwiki Gonzagi. Wtedy to Francuzom „pozwolono *in teatro publico* w Warszawie tryumf czynić z otrzymanej nad Austrią wiktoryej“... „kiedy już insze odprawiły się indukcyje, jako się potykali, jako się piechoty zwierwały, jako komunik, jako strona stronie z placu ustępowała, jako brano więźniów niemieckich, szyje ucinano, jako do fortecy szturmowano i one odbierano, zgoła z wielkim kosztem i magnificencją te rzeczy odprawowały się“.

Po 60 latach inny teatr, ściśle również dworski, bez opłaty za wstęp, otwarto w r. 1725 pod dyрекcją szambelana królewskiego, barona Mordaxa. W „Estetyce“ Antoniego Magiera, której rękopis znajduje się w Bibliotece Ordynacji Zamoyskich, zanotowano, że obszerny teatr ze znaczną liczbą łóż, otaczających parter, wzniesiono obok muru opasującego ogród pałacu Saskiego od strony ul. Królewskiej (w miejscu dzisiejszego gmachu giełdy). Dawali tu przedstawienia sprowadzeni z Drezna śpiewacy i tancerze, a król August II osobiście rozsyłał zaproszenia na te widowiska.

Przedstawienia te za Augusta III przerwane wznowił uroczyście w dniu 19. XI. 1765 r. Stanisław August, przy czym przedstawienia dawali już artyści polscy i bilety można było nabywać za opłatą. Na otwarcie, które nastąpiło w obecności króla, dano na monarsze zamówienie napisaną w ciągu 2 tygodni przez Augusta Bielawskiego komedię „Natręty“. Afisz pierwszego spektaklu, rozklejony po mieście brzmiał:

„AFISZ TEATROWY“

„Aktorowie Jego Królewskiej Mości, komedyów polskich będą reprezentowali 19 listopada NATRĘTÓW, komedią w trzech aktach z dużemi baletami. Początek będzie o godzinie szóstej i będzie się płacić:

„Jeden bilet do cyrkułu, tynfów dziesięć.

„Jeden bilet do pierwszego piętra, tynfów dziewięć.

„Jeden bilet do łoży w parterze, tynfów sześć.

„Jeden bilet do parteru, szóstaków siedm.

„Jeden bilet do trzeciego piętra, szóstaków pięć.

„Bilety od południa będą sprzedawane w Operalni“.

Nadmienić należy, iż tynf ówczesny miał wartość według Tadeusza Czackiego jak złoty i groszy osiem przy kursie za rubla 200 groszy, a za guldena 150 gr.

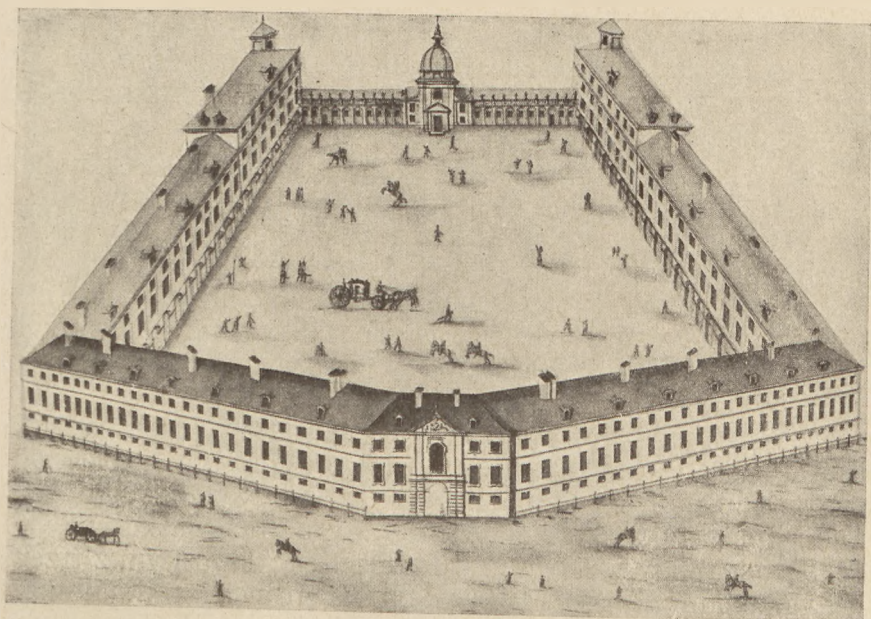
W r. 1773, kiedy budynek teatralny musiano rozebrać, gdyż groził częściową ruiną, przedstawienia dawano przez czas pewien w pałacu księcia Karola Radziwiłła Panie Kochanku (po Konięcpolskim), obecnie Rady Ministrów, przy Krakowskim Przedmieściu.

Później w r. 1775 książę Adam Sułkowski otrzymał przywilej otwarcia teatru na gruntach posesji Nowy Sułków na Nowym Świecie (Nr hip. 1315).

Po kilku latach przywilej prowadzenia teatru nabył kamerdyner królewski Franciszek Ryx, późniejszy starosta piaseczyński, który przy poparciu króla zbudował nowy teatr na placu Krasieńskich. Pierwsze przedstawienie odbyło się tu 25 listopada 1779 r.; odegrana była komedia „Amant, Amor i sługa“ przez trupę Bogusławskiego (Stefan Dziewulski, „Warszawa“ I). Teatr ten trwał pod kierunkiem twórcy sceny narodowej Wojciecha Bogusławskiego, a potem jego zięcia Ludwika Osińskiego przy współudziale znakomitych artystów i artystek dramatycznych: Halpertowej, Ledóchowskiej, Kudlicza, Werowskiego, Piaseckiego, Żółkowskiego, Dmuszewskiego i in. do r. 1833, czyli do przeniesienia go na plac Marywilu. Sam gmach, zamieniony na składy handlowe, zburzono w końcu XIX w.

Należy wspomnieć, że w międzyczasie „dawano“ i inne teatry czasowe.

Tak w r. 1796 bawił w Warszawie krótko teatr niemiecki Olhorsta, a w r. 1800 także teatr Kuchlera. W r. 1799 hrabina Teresa Tyszkiewiczowa, siostra ks. Józefa Poniatowskiego, urządziła stały teatr, złożony z amatorów; ks. Józef zaś sprawił



Gmach Marywila z kaplicą pp. kanoniczek w końcu XVIII stulecia

podobny teatr dla pani de Vauban w pałacu Radziwiłłowskim (potem Ludwika Pacy) na Miodowej, gdzie obecnie Sąd Okręgowy.

Z rozwojem sceny, kiedy tandetnie i niedbale zbudowany teatr na placu Krasińskich, mający płytką scenę i nie posiadający garderób, stawał się tym bardziej za szczupły, zrodziła się potrzeba większego gmachu i widowni oraz sceny, na której by można oprócz komedii i oper Elsnera i Kurpińskiego dawać tragedie i opery, wymagające większej wystawy.

Toteż zwrócono się o plany do młodego architekta włoskiego Antoniego Corazziego, twórcy kilku monumentalnych gmachów w Warszawie, który wezwany z Florencji przez Staszica objął w r. 1818 stanowisko budowniczego okręgu naukowego warszawskiego, a potem generalnego budowniczego Komisji Spraw Wewnętrznych. Miał on zamiłowanie do frontonów, jak zaznacza Lauterbach, zapożyczonych ze świątyń klasycznych, tak powszechne w epoce empiru. Stało się ono przewodnim motywem większości budowli Corazziego, który wyszedł ze szkoły klasycystów włoskich końca XVIII wieku. Charakter ten

mają budowane według jego planów pałace: Staszica, Mostowskich a zwłaszcza Lubeckiego, Banku Polskiego (w pierwotnej postaci), Komisji Przychodów i Skarbu (dziś Ministerium Skarbu) na Rymarskiej, a nade wszystko gmach Teatru Wielkiego.

W dniu 19 listopada, równie jak przed 58. laty, namiestnik Kongresowego Królestwa Polskiego Józef książę Zajączek w miejscu dawnej kaplicy burzonego Marywilu położył w r. 1823 kamień węgielny pod Teatr Wielki. Młodzieńczy impet jednak Corazziego został zahamowany przez wiele warunków, między nimi brak pieniędzy oraz przez tragiczne wypadki powstania listopadowego. Warunki te nie pozwoliły na wykończenie gmachu wcześniej niż w lat niemal dziesięć.

Zamknięcie Teatru Narodowego na placu Krasińskich nastąpiło 21 lutego r. 1833 wystawieniem opery Rossiniego „Hrabia Ory“, a w trzy dni później w niedzielę 24 lutego 1833 otwarto Teatr Wielki operą także Rossiniego pt. „Cyrulik Sewilski“.

Gmach wspaniały wykonano w stylu klasycystycznym z trzema kondygnacjami kolumn ciosowych na froncie, z kolumnami przy dwóch skrzydłach bocznych, o 26. oknach każde, oraz z płaskorzeźbami na froncie dłuta prof. Malińskiego i d'Acciardię. W skrzydle utworzono potem drugi teatr mniejszy dla Teatru Rozmaitości (dziś „Narodowy“) oraz Sale Redutowe, do których użyto, jak podaje A. Kraushar, istniejącą dotychczas galerię, pochodzącą z sali sejmowej w Zamku Królewskim.

Co do trudności, na które napotykała budowa tego bodaj że najbardziej okazałego gmachu stolicy, to Alf. Lauterbach podaje je szczegółowo pisząc, że początkowo widownia Teatru Wielkiego obliczona była na 3 000 osób, a zatem miał to być teatr niemiejszy od mediolańskiego „*della Scala*“ i w urządzeniu łozowym do tego teatru zbliżony. Dopiero w roku 1832, a więc już po wyprowadzeniu murów, generał Rautenstrauch, członek Rządu i prezes dyrekcji teatrów i widowisk w Królestwie Polskim, zwrócił się do komitetu budowy z projektem obniżenia i zwężenia widowni oraz rozszerzenia kulis, skutkiem czego nastąpiła redukcja miejsc: z trzech tysięcy do tysiąca. Na redukcję tę zgodzono się po odrzuceniu innego projektu Rautenstraucha, mianowicie zamiany teatru na kościół prawosławny.

W archiwum Teatru Wielkiego przechowała się obszerna korespondencja w tym przedmiocie między Rautenstrauchem a A. Idź-



Teatr Wielki

kowskim. Pierwszy z nich dowodził konieczności zamiany gmachu na kościół „grecki“, a to z powodu kosztów, mających wynieść do ukończenia teatru jeszcze milion złp. Przeciw temu pomysłowi wystąpił energicznie A. Idźkowski. Jak wynika ze sprawozdania komitetu, do budowy teatru z r. 1832 „budowniczym jeneralnym“ był A. Corazzi, „adiunktem“ zaś L. Kozubowski. Ogólne koszty budowy wynosiły 3 314 420 złp, w co zdaje się wliczono już koszty budowy teatru Rozmaitości, mieszczącego się początkowo w sali mansardowej, która już w r. 1835 miała być przebudowana. Rzeczą swą o Teatrze Wielkim w znakomitym swym dziele o Warszawie dr Alf. Lauterbach kończy słowami: „Przytoczone sumy wskazują, iż koszty budowy były jak na owe czasy bardzo znaczne, a pomimo trudności szczupłych zasobów doprowadzono gmach ten do końca wieńcząc niejako świetną epokę warszawskiej klasycystycznej architektury, potężnym na największą skalę pomyślanym budynkiem, zajmującym całą stronę placu, zespęconego później wieżą ratuszową, dwoma nowszymi domami, skwerem i wszelką bezmyślnością Warszawy wczorajszej“.



„KWIECISTY I WONNY MAJ“!

„Kwiecisty i wonny maj“ zazwyczaj uzasadnia wyrażane nad nim w rymach wszystkich języków zachwyty poetów.

Pomijając zimny dreszcz zgrozy rolników na myśl, co im wróżyć może chłód lub gorączka, cały świat topnieje wyprawiając różne dziwy. A więc nie tylko staruszek Fahrenheit skacze do astronomicznej cyfry, ale nawet urzędowy Celsjusz, a nawet najpopularniejszy dotychczas Réaumur wskazują nieraz po 30 stopni w cieniu. Innym wielu staruszkom również rtęć uderza do głowy każąc biec na plażę, by tam zatapiać się w zachwycie nad pięknem przyrodzenia.

Bzy, psy i fiołki, kurczęta i szparagi — wszystkie atrybuty mają wydają z siebie przedziwne wonie, to znów podrygują z uciechy życia, dopóki nie znajdą się na talerzu, wetkane do bezwonnego wazonika lub wzięte na smyczę z kagańcem na pysku. Boć wściec się można od upału.

Nawet raki czerwieniejąc się z gorąca na półmisku patrzą z zachwytem przez szybę pasztecjarni na opięte a odpowiednio spocone kształty przechodki...

Co to jest „przechodka“?

A co to jest „przechodzić“?!

Jednym słowem — dwa słowa. Minęły czasy, kiedy to pod koniec panowania króla Stasia, a i później, za pierwszych czasów pruskich i za Księstwa Warszawskiego — stolica w maju, zwłaszcza w święta, pustoszała. „*Im wunderschönen Monat Mai*“ — kto żyw wybierał się za miasto dążąc, gdzie kto mógł.

Tak zwane „towarzystwo“ udawało się w kierunku Żoliborza, gdzie je nęciły piękne ogrody: „*Tivoli*“ albo generała Rautenstraucha „*Fraszki*“, lub księcia Ogińskiego ogród „*Sans Gêne*“. Poza tysiącem czekających tam przybysza rozrywek i estetycznych wrażeń, opijano się tam przepyszną wodą z istniejącego do dziś pod Cytadelą gotyckiego źródła, wzniesionego przy ówczesnej ulicy Spadek przez Stanisława Augusta.

Mniej wytworne towarzystwo bawiło się na „Wiejskiej K a w i e“ przy rogu ul. Pięknej i Wiejskiej, zanim ją przeniesiono do dworku dawniej księcia Józefa Poniatowskiego „Na rozdrożu“ przy zbiegu ul. Koszykowej z Alejami Ujazdowskimi. Sfery mieszczańskie odwiedzały „Lasek na Czystem“ albo „Folwark świętokrzyski“ na miejscu dzisiejszej stacji filtrów i szpitala Dz. Jezus.

W dni powszednie ludzie wolni od pracy, a którzy nie mogli opuszczać miasta, spędzali czas w ogrodach: Saskim, Krasińskich, Szucha w Alejach Ujazdowskich, „*Vauxhall*“ (na Foksalu).



W tym to ogrodzie na Foksalu, założonym w połowie XVIII wieku przez żonę ministra Brühla, a nabytym potem przez bankiera Kabryta, puścił się balonem w dniu 10 maja r. 1790 aeronauta francuski, Franciszek Blanchard, który opadł pod Jabłonną. Zanim wylądował, wyrzucił z kosza psa, przywiązane do wynalezionej przez siebie spadochronu. Sam nie ryzykował. Pies jednak również wylądował szczęśliwie. Pięć

„W gajku zielonym“ (Rys. St. Sawiczewskiego)



W „bawarii“ przy piwie (Rys. Sawiczewskiego)

lat wcześniej ten sam Blanchard przeleciał balonem przez kanał La Manche, czym się wslawił.

Brać rzemieślnicza, której życie ogniskowało się w okolicach rynku staromiejskiego, spędzała wieczory w „bawariach“, czyli ogródkach z piwem, gdzie podawały kelnerki, a wędrowne Czeszki z towarzyszami uprzyjemniały czas grą na harfie. W okresie między rokiem 1796 a 1807, kiedy Warszawa była stolicą tak zwanych „Prus Południowych“, w ogródkach tych zaprowadzono kręgielnie. Bawarie tego typu przetrwały niemal stulecie.

Do najbardziej znanych należały ogródki: „Zacisze“ przy ul. Długiej (przechodni na ul. Podwale), „Pod Mostem“ na Podwalu 13, „Pod Lipką“ na Przejazd, „Walhalla“ na Nowym Świecie 40, „Pod Chińczykiem“ i „Warszawski“ na Elektoralnej, „Pod Lewkiem“ na Żelaznej, „Mikado“ na Chłodnej, w domu Ehlerta na Długiej, wreszcie „Tivoli“ (na Królewskiej), „Alhambra“ (na Miodowej), „Eldorado“ (na Długiej), gdzie latem dawały przedstawienia teatralne prowincjonalne trupy aktorów.

W ostatnich latach dwudziestu ubiegłego wieku przybyły do nich ogródki: „Nowy Świat“ nazwany później „Wodewil“, a w końcu „Renaissance“ na Nowym Świecie, „Belle Vue“, potem „Fantaisie“, wreszcie „Jardin d'hiver“ na ulicy Chmielnej 9, w których przez długie lata dawały przedstawienia trupy Texla, Mareckiego, Majdrowicza i jeszcze z początkiem wieku bieżącego dyrekcje Smotryckiego i Drozdowskiego (znanego pod przybranym nazwiskiem Lucjana Dobrzańskiego). Słynna była w owym czasie w cukierni Bliklego giełda aktorska. Do rozrywek majowych należały też wycieczki za most Kierbedzia, do ogródków z miodem, położonych tuż przy wale praskim. Słynne tam były zwłaszcza ogródki Prokulskiej oraz „Antokol“ i „Pod Rakiem“.

U Prokulskiej, na wprost obecnego dworca kolejki „Most“, bywali przeważnie rosyjscy wojskowi, a więc zakład ten przez szanującą się publiczność był omijany. Powód dostatecznie usprawiedliwia popularna wówczas piosenka: wyśpiewywana przez krążące po podwórzach harfiarki:

*Nie będzie mnie mama biła,
Żem sto złotych zarobiła —
U Prokulskiej pod schodami
Zarobiłam... z ułanami!*

Natomiast wielką frekwencją publiczności „przyzwoitej“ cieszyły się inne dworki z miodem, piernikami i precelkami, sprzedawanymi w ogródkach, położonych niżej wału między ul. Zygmuntowską a Panieńską i Brukową.



Harfiarka na podwórku „Dziekanki“
(Rys. St. Sawiczewskiego)

Tuż za Brukową ku ul. Kępnej, naprzeciw Wilczej Wyspy i przystani wynajmu łódek Terleckiego, były dwa pięknie okratowane, ubrane klombami kwiatów ogródki już nie tylko z miodem, ale restauracje, nazwane „Antokol” i „Pod Rakiem”. Tu i tam były wprawdzie rozrzucone po ogrodzie gabinety w formie cieniowych szwajcarskich domków, ustawionych na wysoko wzniesionych kopcach — ale niedopuszczano w nich zbytnej swobody. Na raki majowe jeździło się, jak wskazywała sama nazwa, do ogrodu „Pod Rakiem”, na szparagi zaś do „Antokolu”.

*Kiedy wiosna wieńce spleta,
Są kurczęta i sałata...*

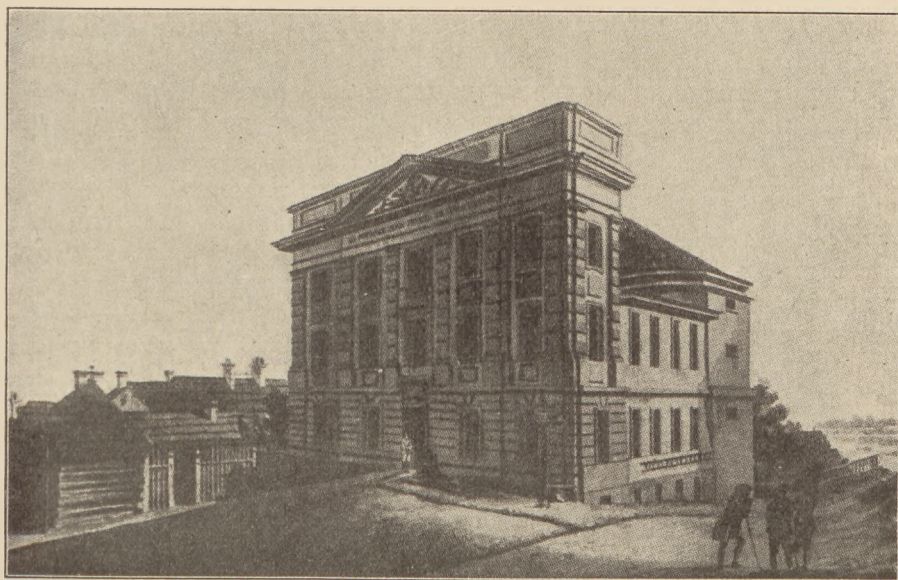
jak w „Gri-Gri” śpiewano przez cały maj w obu ogródkach popijając piwo z browarów Boenischa w ul. Żurawiej, Reycha na Grzybowskiej lub Hermana Junga albo Kijoka, znane pod żartobliwą nazwą „szato Kiżok”. Te browary i jeszcze jeden Machlejda były najbardziej wzięte na przełomie wieków XIX na XX. Minęły bowiem z latami czasy, kiedy to w r. 1776 liczyła Warszawa 126 browarów, a w 1796 r. jeszcze 86. Pomyśleć tylko! Ta mała Warszawa z roku 1776, licząca 45 tysięcy ludności, miała 126 browarów. Gdy liczba mieszkańców wzrosła, w dodatku za czasów pruskich do 120 tysięcy (r. 1796), liczba browarów spadła do 86. Teraz stolica, posiadająca z górą 1.200.000 mieszkańców, zadowala się produkcją 7, wyraźnie tylko siedmiu browarów, nie licząc oczywiście importu.

Tak wygląda pozornie. Ale browarów z drugiej połowy XVIII wieku z obecnymi browarami nie można porównywać, a więc i wyciągać powyższych wniosków. Browar z XVIII wieku to mały, dwuizbowy najczęściej zakład, zatrudniający kilku pracowników o minimalnej produkcji. Załem i spożycia piwa dawniej a obecnie nie można porównywać.

Ani więc wtedy nie rozpijaliśmy się, ani się nie rozpijamy dziś. Przynajmniej piwem, bo za to mamy w stolicy aż dziewiętnaście gorzelni, rektyfikacyj spirytusu, fabryk wódek i likierów, nie licząc importu.

Na szczęście brak gotówki, jak nie można lepiej sprzyja nie tylko abstynencji, ale abolicjonizmowi. Ani pijaństwa! ani obżarstwa! ani żadnej rozpusty!

Są raki w „menu”. Są kurczęta i sałata w poezji... i kwiecisty i wonny maj — w pełni.



Widok prochowni według Z. Vogla (zbiory Raczyńskich w Warszawie)

DZIEŃ 8 MAJA W WARSZAWIE

Z wyjątkiem Wiecznego Miasta (Roma Aeterna) i może Sewilli, jedynych dużych miast ściągających nie tylko w dni wielkich odpustów liczne pielgrzymki — różne słynące cudami Madonny, nieraz istotnie boskiego pędzla, a także i inni popularni święci obrali sobie za stolice przeważnie niewielkie miasteczka.

Tak się rzecz ma z naszą Częstochową, z francuskim Lourdes, szwajcarskim Einsiedeln, rosyjską Poczajowską Ławrą itd. Jest to rzecz naturalna. Gdyby które bądź z tych miast wyrosło było do rozmiarów i powagi stolicy, wnet tysiące innych względów związanych z jej życiem odsunęłoby na plan dalszy sprawę owego kultu.

Dla Warszawy od chwili zwłaszcza, gdy przestała być ośrodkiem życia politycznego Polski przedrozbiorowej, ewenementem były dni odpustowe w dniu Zesłania Ducha Św. na Bielanych, Św. Bonifacego w Czerniakowie, a zwłaszcza Św. Stanisława Biskupa na Woli.

Charakterystyczne jest, że nie czczono w Warszawie odpustem żadnego z jej dwóch patronów, ani Ładysława z Gielniowa, ani Klemensa Dworzaczka — (Hofbauera), który zaledwie w r. 1930 doczekał się pomniczka na Rynku Nowego Miasta, lecz — św. Stanisława. Bez względu na różne dzisiaj zdania co do działalności tego biskupa, jako patron Polski, przyćmił Stanisław ze Szczepanowa splendor wszystkich innych polskich świętych razem wziętych. Dzień jego imienin, jak w całym kraju, tak i w Warszawie i tu przede wszystkim, był obchodzony uroczystie.

W Warszawie pod jarzmem carskim uważano sobie za obowiązek patriotyczny dzień ten uważać za osobliwe i nadzwyczajne święto narodowe. Tym bardziej obchodzono je solennie, im bardziej prześladowano wszelkie manifestacje trzeciomajowe. „Święty Stanisław“ był świętym narodowym pod pokrywką religijną, która dawała niejako „przepustkę“.

Toteż w dniu 8 maja od samego rana tłumy warszawian ciągnęły pieszo, dorożkami i bryczkami przez ulicę Elektoralną i Chłodną w kierunku Woli, by tam przez cały dzień, zaczawszy od ранnego nabożeństwa w maleńkim kościółku Św. Stanisława, krążyć pośród porozstawianych dokoła kramów i przepełniać liczne oberże i szynkownie w sąsiednich ulicach.

Jeżeli Warszawa miała w r. 1884 około 400 000 ludności, to na pewno do 100 tysięcy różnobarwnego tłumu obozowało na błoniach Woli, mały bowiem kościółek romański, wzniesiony według planów Józefa Orłowskiego w r. 1860, mógł pomieścić na raz bardzo niewiele.

Po południu rozpoczynał się zwolna odwrót ku Warszawie. Po drodze wstępowano zazwyczaj na posiłek do ogrodu Rudolfa Ohma, gdzie w dniu Św. Stanisława jak i w zwykłe niedziele odbywała się zabawa z muzyką. Ogród ten, zwany „Prado“, ustąpił potem miejsca szpitalowi Św. Stanisława, dziś istniejącemu tuż za ulicą Młynarską. Początek dał mu za Stanisława Augusta komisarz mennicy Aleksander Unrug, który zbudował tu sobie nad stawem wspaniały pałac.

Sfery bardziej demokratyczne omijały ten drogi zakład i zabawiały się w tzw. „Lasku na Czystem“, gdzie była restauracja z muzyką, kręglami, strzelnicą i łódkami do wynajęcia na stawie. Kotlet cielęcy „z garniturem“ kosztował tu 25 kopiejek, duży kufel piwa bawarskiego 3 kop., miarka wódki — tyleż.



Elekcja Stanisława Augusta na Woli z obrazu B. B. Canaletta (zbiory państwowe w Zamku Królewskim w Warszawie)

Tak weseliła się w dniu 8 maja ludność Warszawy w końcu ubiegłego XIX wieku.

O sto lat wcześniej inne przeżywała wzruszenia. Po wypędzeniu pod wodzą Kilińskiego carskich wojsk, po ucieczce Igielströma, po zdobyciu jego pałacu między Podwalem a ul. Miodową, po zburzeniu pałaców Branickiego, Ogińskiego, Ożarowskiego, Szydłowskiego i innych służalców wroga uwięziono znanych ze swych stosunków z Igielströmem, opłacanych przez carycę Katarzynę, służących jej do ujarzmiania Polski zdrajców i szpiegów.

Jedni zdołali uciec, inni kryli się, gdzie kto mógł. Najwinniejsi, jak notuje Bronisław Szwarce, schronili się na Zamku pod skrzydła swego opiekuna króla, który sam był w największym strachu o swoją osobę.

Aresztowano jednak: Ankwicza, marszałka Rady Nieustającej, Ożarowskiego, hetmana w. k., Kossakowskiego, biskupa inflanckiego, Massalskiego, biskupa wileńskiego, Moszyńskiego, marszałka w. k., Zabiełłę, hetmana poln. lit. i jeszcze 14 innych i osadzono częścią w tzw. Prochowni przy ul. Mostowej, częścią w lochach ratusza w rynku Starego Miasta.

Kiedy wszczął się na mieście rozruch, lud zażądał od Komisji Indagacyjnej osądzenia uwięzionych zdrajców.

W ciągu nocy wystawiono, uprzedzając wyrok, cztery szubienice — przy ratuszu, jedną przed kościołem bernardynów.

Nazajutrz o świcie tłum zażądał od prezydenta Zakrzewskiego niezwłocznego sądu na zdrajców. Prezydent z kolei domagał się rozebrania szubienic, czemu energicznie oparł się Kiliński, z którego rozkazu szubienice stanęły.

Przyprowadzono na ratusz: Ankwicza, Zabiełłę, Ożarowskiego i biskupa Kossakowskiego. Eskortą dowodził późniejszy bohater legionów Kniaziewicz.

Po odbytym badaniu i przekonaniu ich o zdradzie wydano na nich wyrok śmierci przez powieszenie, podpisany przez przewodniczącego deputacji hr. Stanisława Tarnowskiego, dziada późniejszego prezesa Akademii, prof. Stan. Tarnowskiego.

Wezwani kapucyni wyspowiadali skazanych: biskup Malinowski zdjął sakrę z Kossakowskiego i — wyrok został wykonany.

Trzej ponieśli śmierć ze spokojem. Kossakowski omdlał ze strachu, tak że pod szubienicę przy bernardynach przyniesiono go na krzesło; płakał, klękał, chwytając pachołków za nogi, i błagał żeby mu darowano winy i życie. Daremnie. Wyrok wykonano.



Ruiny fundamentów kościoła Opatrzności w ogrodzie Botanicznym

3 MAJA NA PRZEŁOMIE WIEKÓW XIX—XX

PIELGRZYMKA DO „BOTANIKI”. NA PATELNI. BITWA POD SANS-SOUCI

Jedną z corocznych okazji do zmanifestowania w Warszawie swej niezgody z trzeźwym programem pracy organicznej oraz protestu przeciwko jarzmu niewoli dawała w okresie ucisku moskiewskiego rocznica uchwalenia Konstytucji 3 Maja. W dniu tym młodzież, oczywiście przeważnie młodzież radykalna wszelkich kierunków politycznego myślenia, dążyła demonstracyjnie z całego miasta ku pamiątkowym ruinom, a właściwie szczątkom fundamentów nigdy nie wzniesionego kościoła Opatrzności w ogrodzie Botanicznym.

Równocześnie uruchamiały swe siły przeciwnik: ochrana i żandarmeria, policja i wojsko mobilizowały się, otrzymywały i wydawały rozkazy. Dziedzińce kamienic w ulicach, sąsiadujących z Aleją Ujazdowską, a więc Mokotowskiej, Wiejskiej, Pięknej, przepelniali kozacy. W koszarach litewskiego pułku piechoty lejbgwardii przy rogu Alei Szucha (dziś Ministerstwo Spraw Wojskowych) konsygnowano grenadierów.

Oto obrazek...

Piękne wiosenne przedpołudnie. W Alejach tłumy spacerowiczów. Między nimi tu i ówdzie robotnik w czerwonym krawacie, jakaś niewiasta z czerwonym piórem przy kapeluszu. W tłumie coraz więcej studentów uniwersytetu ze wstążeczkami czerwono-białymi lub czerwonymi w butonierce. Ci i tamci razem. Jeden wspólny front przeciw wspólnemu jednej ojczyzny wrogowi. Nie ma dziś partyj, nie ma różnic klasowych!

Środkiem jezdni przejeżdża patrol kozacki, który jednak nikogo nie płoszy, jak nie płoszą nikogo kroczący coraz gęściej brzegiem chodnika policjanci, donośnym głosem nawołujący:

— Razajtiś!

W tłumie daje się zauważyć podniecenie, które się wzmacnia z każdą chwilą. Brama ogrodu Botanicznego zamknięta i obstawiona policją. Część tłumu dąży dalej ku Belwederowi, część zawraca. Wszyscy jednak krążą wolnym krokiem tam i z powrotem — demonstracyjnie.

W powietrzu nagromadzona elektryczność, czuć burzę.

Na „Patelni“, czyli w kawiarni, urządzonej na obmurowanym piękną balustradą wznoszącą się nad jezdnią, pełno ludzi, którzy chcieliby manifestację zobaczyć, ale się boją być blisko. Wołą



Rewia wojskowa
na Pl. Piłsudskiego

obserwować z góry, z daleka i bezpiecznie, przy szklance kawy lub syfonie wody.

Ale ostrożność ta wnet mści się srogo.

Skoro tylko wśród tłumu rozległ się śpiew, w jednym punkcie „Czerwonego sztandaru“, w innym „Warszawianki“, z ul. Szopena wyjechało kilkunastu kozaków, którzy natarli na sformowany już tymczasem na środku jezdni pochód. Słysząc komendę:

— W nahajki!

Dotarli do pierwszych szeregów pochodu, biją, przechylają się na siodłach i tratują. Uderzenia nahajek są straszne, nie przecinają skóry, ale odbijają mięśnie od kości, wywołują sine pręgi. Słysząc niehumaniczny krzyk oraz jęki. Tylne szeregi pochodu i tłum publiczności przez nie pchany wpadają na „Patelnię“ łamiąc swym naporem wielki szyld na słupkach nad nią wiszący z firmą „Sans Souci“, bo taka była oficjalna nazwa kawiarni, zwanej popularnie Patelnią.

Wpędzony na taras tłum poprzewracał stoły i krzesła. Przytomniejsi spośród niego zamknawszy wejście balustrady ruchomymi drzwiczkami podparli je przewróconymi stołami i stołkami utrudniając wtargnięcie na taras atakującym kozakom. Kozacy starają się poprzez balustradę dosięgnąć z wysokości koni nahajką stłoczonych na tarasie. Ktoś z tarasu rzuca w kozaków syfonem, ten trafia wydającego rozkazy komisarza. W powietrzu leci ku kozakom kilka krzesel.

Przybyła piechota, otoczyła taras, a policmajster Lichaczew

polecił go opróżnić przeprowadzając aresztowanych do koszar Litewskiego pułku na róg Nowowiejskiej, skąd część powylegi-



Pomnik Józefa Poniatowskiego na tle grobu Nieznanego Żołnierza

tymowaniu wypuszczono, resztę zaś pod konwojem odprowadzono późną nocą do aresztów ochrony w ratuszu. Wielu trafiło stąd do Cytadeli, niektórzy dalej, bo do Modlina, Brześcia, a nawet na zesłanie.

Rezultatem ostatecznym owej walki pod Sans-Souci, jak i innej podobnej „bitwy pod Wersalem“, czyli cukiernią o tej nazwie, mieszczącą się w domu Nr 22 w tych samych Alejach Ujazdowskich, było poczucie całej brutalności ucisku, który tak jaskrawo wykazał swą siłę. Było ono jednak równocześnie jedną z owych corocznych podpałek rozpłomieniających ducha narodu, nie pozwalających zapomnieć tęsknoty do wolności i dążenia do zdobycia niepodległego bytu państwowego.

Takim był dzień 3 maja w roku pańskim 1899.

A dziś po latach jakaż różnica!

Dzień 3 maja na placu wojskowych przeglądów („Dziady“ część III) jest tryumfem myśli państwowej, ucieleśnionej w jednej potężnej duchem indywidualności. Plac, oczyszczony z bolesnych stygmatów niewoli: z pomnika wzniesionego zabitym w r. 1830 zdrajcom sprawy narodowej oraz z soboru, górującego z dala nad miastem swymi kopułami, zappełniają szeregi zbrojne nie tylko orężem, ale i duchem.

Na tle Grobu Nieznanego Żołnierza rysuje się konny posąg Księcia Józefa Poniatowskiego — ze spiżu. Defilujące pod nim szeregi śledzi orla myśl i prowadzi spiżowa wola Narodu.

PANKRACY
SERWACY
BONIFACY

Wobec zmienionych na szczęście warunków politycznych nie grozi nam już nieporozumienie, jakie nazwiskiem swym wywołał w urzędzie policyjnym w czasie powstania znany artysta sceny narodowej Panczykowski. Sprowadzony do ówczesnego „cyrkułu“, zapytany przez przystawę „*Kak wasza familia*“?, co znaczy po polsku: „jak brzmi pańskie nazwisko“ — odrzekł on ze spokojem: — „Dziękuję, owszem, jako tako, tylko synek mi nie domaga“.

— Ja pytam, jak was nazywajut — wyjaśnił łamaną polszczyzną komisarz.

— A jeśli o to chodzi, jestem Panczykowski — odpowiedział artysta.

— „Da kakoj wy „pan“! Piszi jemu prosto „Czikowskij“ — dodał policjant zwracając się do protokulanta.

Nieporozumienia takiego u furty niebieskiej nie było i być nie może. „Piszi jemu Kracy“ — nikt tam nie powiedział, gdyż Pankracemu od niepamiętnych czasów towarzyszy dwóch nieodłącznych świadków, tworzących z nim jedną konstelację: „Zimnych Świętych“. W dodatku ostatni z tej trójcy — Bonifacy ma w swym rodowodzie aż 9 papieży, siedzących na Stolicy Piotrowej przez lat 1.000, bo od r. 418 do 1404.

A więc Pankracy — Serwacy — Bonifacy, to owi święci, których wszyscy, a zwłaszcza rolnicy oczekują z niepokojem.

— Jak się zachowają i co wywróżą — ciepło, chłód, urodzaj czy głód?

Martwi się na ten temat albo raduje wieś. Przeciętny warszawianin dba raczej z całą lekkomyślnością o piękną pogodę. „Cóż mu, że susza! Wnet na Czerniaków na odpust wyrusza“ przypominając sobie wiersz z poematu Kazimierza Brodzińskiego:

*„Weselna była pora majowa,
Na odpust szedłem do Czerniakowa...”*

Otacza go po drodze woń kwiatów, bo wiśnie, jabłonie, grusze okryte białym różowiącym się kwieciami, a czeremcha i bzy liliowe wędnąc pod wpływem lejącego się z nieba żaru wydają ostatnie, najwonniesze tchnienie. Balsam ten, wiejący z ogrodów: Promenady, Marcelina, Sielanki, Wójtówki... uderza wraz z kurzem do nosa rozczulającym wspomnieniem dawnej woni kurcząt, pieczonych ongi na rożnie w tych samych zamieszkich zakładach wesela.

Dziś chodzimy do Czerniakowa nie zatrzymując się na tych stacjach beznadziejnie wymarłych, gdzie hulają wspomnień nieskromnych szkielety. Nie dotykajmy grzechem pobożnej myśli.

*„Zaszumiąły leśne gąszcze,
Wyroiły się chrabąszcze...”*

W ten sposób czy w podobny zaczyna swój wiersz majowy Antoni Lange. Istotnie na drodze od Wójtówki opada nas chmura majowych żuków. Opędźmy się im i wejdźmy do kościółka.

Zbudował go w latach 1691 do 1694 kosztem marszałka wielkiego koronnego Stanisława Herakliusza Lubomirskiego twórca kościoła sakramentek na Nowym Mieście, Holender Tylman Camerini-Gamerski.

Główną atrakcją są tu relikwie św. Bonifacego, patrona kasjerów, otrzymane przez Lubomirskiego od papieża Inocentego XI w nagrodę za nawrócenie się. Ten dziedzic Czerniakowa był niedowiarkiem, piszącym traktat wymierzony przeciw nieśmiertelności duszy. Podanie mówi, że pewien nieboszczyk, którego Lubomirski dopomógł pogrześć, ukazał mu się we śnie, przez wdzięczność radząc spalić rękopis i odbyć pielgrzymkę do Rzymu. Lubomirski wykonał to polecenie, za co otrzymał w roku 1694 od papieża relikwie. Są one do tej pory widoczne za wielkim ołtarzem w szklanej trumnie, nad którą do kasaty klasztorów czuwali osadzeni przy kościele oo. bernardyni.

Charakterystyczne zdarzenie przytacza K. Wł. Wóycicki ze słów jakoby naocznego świadka „pana skarbnika”. Jakiś Tadeusz Czernielewski, napadnięty przez sąsiadów, powierzył swe akta patronowi Kozłowskiemu, aby ten wniósł sprawę do sądu przeciw rabusiom. Kozłowski klienta zdradził wydając dowody



Portal kościoła w Czerniakowie od strony wewnętrznej

winy w ręce przeciwników. Czernielewski stojąc przed kratkami sądowymi w głos wtedy wobec sędziów, obrońców i publiczności zawołał: „Św. Bonifacy! Pomścij moją krzywdę“! W tej chwili, pisze Wóycicki, Bóg ukarał Koźłowskiego pomieszaniem zmysłów. Krzyknął przeraźliwie, oczy w słup postawił, wił się jak padalec. Cud tak widoczny pobudził

sędziów do wydania sprawiedliwego wyroku. Był to rok 1786. Na zewnętrznym murze kościoła jest wiele nagrobków i tablic pamiątkowych. Jedna z nich posiada napis: Przechodniu! Stań, czytaj i ty gościu miły zmów pacierz, idąc wedle tej mogiły. Tu leży Walenty Antoni Straszewski rewizor policji, były kapitan w wojsku polskim, współtowarzysz niedoli znanego Beniowskiego w Kamczatce w 1771 r. Żył lat 72. Umarł dnia 2 maja 1822 r.

Straszewski urodzony w r. 1750, konfederat barski spod chorągwi konnej Maurycego Beniowskiego, razem z nim dostał się do niewoli. Uszedł widocznie wraz z Beniowskim z Kamczatki i przez Madagaskar dostał się do Francji, skąd wrócił do ojczyzny.

Sama wieś Czerniaków za książąt mazowieckich należała do Hińczy, herbu Łada, który się pisał „z Czerniakowa” -- a potem do potomków jego nazwiskiem „Czerniakowscy”. W XVII wieku przeszła do Lubomirskich, których zwłoki spoczywają w marmurowych trumnach w tym kościele.

Należy przypomnieć, iż Czerniaków miał krótkie chwile świetności za Augusta II Sasa, który wzięwszy go w dzierżawę urządził na jego błoniach huczne turnieje.

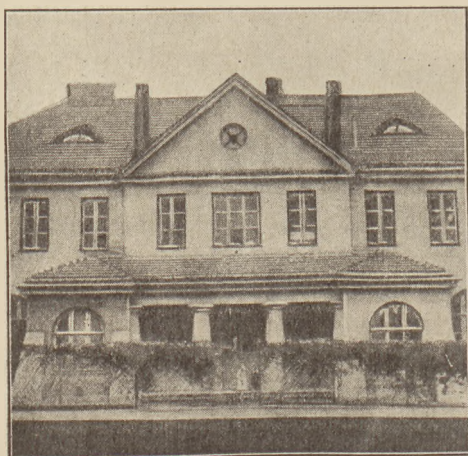
W ciągu XIX wieku bawił się tu lud warszawski popijając w karczmie i sąsiednim lasku wprost kościoła, używając łódek i huśtawki.

Dziś i tego nie ma: karczma rozwalona.

Został św. Bonifacy.

„I Msza się wciąż odprawia“!

Stary domek, mieszczący ongi biura
jarmarków wełnianych



DZIEŃ JARMARKÓW WEŁNIANYCH

Ulica Nowogrodzka róg Poznańskiej. Wspaniały gmach w najnowocześniejszym stylu, szkoda, że wciśnięty w dwie wąskie ulice, łączy nas ze światem... To biura poczty i telegrafu. Niedaleko, za rogiem ulicy Pankiewicza (dawnej Składowej) inny gmach, nie tyle strzelisty, ile rozłożysty, niestety, jeszcze bardziej skazany na pozbawienie perspektywicznego nań widoku — Państwowy Bank Rolny.

Środkiem między nimi sunie pociąg E.K.D. do Leśnej Podkowy, Włoch czy Grodziska.

Mimo tych państwowych gmachów i dzwonek kolejki, mimo zabudowania części ulicy domami czynszowymi, mimo długich dziesiątków lat dzielących nas od epoki genialnego Ministra Skarbu Królestwa Kongresowego — Ksawerego Lubeckiego — Nowogrodzka przypomina do tej pory na przeważnej części swej długości, choć od dawna już zabrukowana, owe czasy sielskie, kiedy to obramowana wysokimi, jak i Jerozolimską, wałami wiodła wśród rozłożystych lip i topoli na ulubiony przez warszawian folwark Świętokrzyski.

A wokół wszystko się radykalnie zmieniło. Nie potrzeba cofać się myślą o lat sto. Wystarczy połowa.

Choć do dziś czerwiec jest miesiącem wyścigów w Warszawie, to jednak nie nadają one stolicy tego charakteru „Zielonego Karnawału“, tego rozpędu życia i zabawy, jaki ongi nadawał miastu słynny jarmark na wełnę.

Rozpoczynał się on w połowie czerwca na placach dawnego Banku Polskiego przy ul. Nowogrodzkiej, zajętych obecnie przez ów gmach poczty i telegrafu i ciągnących się aż do cmentarza Świętokrzyskiego przy kościółku Św. Barbary.

Dzień 15 czerwca był dniem kulminacyjnym jarmarku. Na place przy Nowogrodzkiej zajeżdżały jeden za drugim ciągnące karawanami przez miasto wozy drabiniaste, zaprzężone to w czwórkę to w parę koni, naładowane worami z wełną. Ładunek taki zdobiła zwykle urodziwa wiejska dziewczyna w swym barwnym stroju, zabrana przez dziedzica do pomocy i „żeby zobaczyła Warszawę“. Co tu jej pan pokazał, zostawało zazwyczaj tajemnicą ich dwojga przynajmniej do Wielkiej Nocy.

Miedzy tym wszystkim kręciło się po placu z zadzierzystą miną obywatelstwo i służba. Krzyk, gwałt, rwetes nie ustawał przy wyładunku, wreszcie uwagi i targi.

— Co? ile? za taką wełnę zdechlacz?

— A wy chcielibyście prymę, a może superelektę?

Były to terminy, oznaczające różne gatunki wełny.

A na mieście? Mój Boże!

Dziś transakcje „wełniane“ odbywają się w Poznaniu, gdzie Międzynarodowe Targi Poznańskie wyznaczają okresowe aukcje na wełnę.

Ale nie jest to zmiana nagle. Warszawskie jarmarki wełniane wygasły od dawna jako coraz mniej aktualne.

Już „Kurier Warszawski“ w nr 164 z dnia 16 czerwca r. 1887 pisał o tym:

„Minęły te czasy, gdy w porze jarmarku wełnianego ulice miasta, ogrody publiczne, teatry, restauracje i cukiernie roiły się gośćmi. Ogorzałe, typowe i czerstwe twarze braci szlachty, buńczuczność w postawie a krzykliwość w głosie, archaiczne i przesadne toalety mam i córek dawały pochop do znanego wykrzyknika: Patrz „wełna“ idzie, „wełna“ hula, „wełna“ rozbija się wagnerkami“.

Z biegiem lat wszystko to uległo zmianie.

Dziś szlachcic produkujący wełnę, jeżeli potrafi ocalić ją przed szponami małomiasteczkowych spekulantów, przyjeżdża cichaczem do Warszawy, każdy grosz oglądając dwa razy zanim go wyda.

Tradycyjalne notatki sprawunków żon i córek spoczywają na dnie pugilaresu i najczęściej wracają niezafatwione.

W mieście więc typowej „wełny“ nikt już nie dostrzeże, lecz na placu jarmarcznym „wełniarze“ wszelkiego rodzaju znajdują się jak dawniej. Stwierdzić to i teraz jeszcze można podczas urzędowego otwarcia jarmarku.

Bywa tu i szlachcic przypominający szoberowskiego „Barnabę Fafułę“ z popularnej ongi sztuki „Podróż po Warszawie“, jest i jego „Józ Grojseszyk“ w postaci kantorzysty, wysłany w charakterze maklera, są zagraniczni oraz krajowi Müllerzy i Szulce, wreszcie cała falanga faktorów i czynnych członków giełdy „Szydłowieckiej“.

...Widzimy te same szopy sklecone z desek, wagi pamiętające lepsze czasy, wystawę maszyn i narzędzi rolniczych „warszawskiej“ fabryki, a nawet w prowizorycznym bufecie napis nieortograficzny: „goronce oraz tysz zimne napoje“.

Prócz tych szop skleconych z desek stał jednak na terenie targów budynek murowany, w którym mieściły się biura i kancelaria. Budynek ten strukturą przypominający stare śpichlerze w Kazimierzu nad Wisłą zachował się do naszych czasów w dziedzińcu wprost ul. Pankiewicza i on to jest prawdziwą, choć niestety, na prędką zagładę skazaną ozdobą ulicy Nowogrodzkiej.



Pałac Saski w r. 1702 z graw. Ricaud de Tirregaille'a

OGRÓD SASKI

Sędziwy ogród Saski w Warszawie, świadek festynów i zabaw nie tyle świetnego, ile rozpasanego dworu elektorskiego, żyjącego pod hasłem „Jedz, pij i popuszczaj pasa“, jest parkiem, który w ciągu przeszło dwu wieków może najmniej uległ przemianom.

Dzieje tego ogrodu są bardzo interesujące. August II zakupił grunty rodzin Tarłów, Leszczyńskich, Doenhofów i Małachowskich i kazał zburzyć znajdujące się na nich pałace. Równocześnie zakupił dwór Bielińskich (należący podówczas do Morshżynów) i zburzywszy go kazał zbudować sobie nowy pałac królewski.

Granice terytorium ogrodowego sięgały więc ul. Królewskiej, placu Targowego (który po wystawieniu głównej bramy otrzymał nazwę „Za Żelazną Bramą“), dalej ul. Żabiej i pałacu Brühlowskiego.



Ogród Saski w początku XIX wieku — z rysunku gwasz. Sautoire de Varenne'a

Po epoce saskiej pałac i ogród wraz ze zmiennymi warunkami politycznymi przechodziły różne koleje losu. Od 1802 do 1816 w pałacu mieści się Liceum warszawskie, a na dziedzińcu odbywają się wielkie rewie wojskowe. Wtedy też ogród ulega zniszczeniu, gdyż wielkie masy wojsk nie mieszczą się na „dziedzińcu“ i obozują w ogrodzie.

W r. 1837 rząd rosyjski sprzedaje cały gmach kupcowi Skwarcowowi za 115 200 zł pol. Wtedy na terenie dawnego „podwórca“ (obecnie „placu“ Saskiego) wystawiony został w r. 1841 na środku obelisk ku pamięci poległych a oddanych Rosji Polaków. Miejsce tego obeliska zajął potem sobór prawosławny, usunięty dopiero po odzyskaniu niepodległości.

Dawny targ koński a dziś ulica Królewska, dawny plac Czerwony dziś ul. Mazowiecka, ulice Niecała i Fredry, wytwór drugiej połowy XIX stulecia, zmieniły radykalnie swą pierwotną postać — a lipy i kasztany odwieczne, sadzone ręką Strobla i Sauvage'a nadal stoją w swoim miejscu.



Studnia w ogrodzie Saskim (Rys. St. Mucharskiego z r. 1885)

Zabudowano Patientburg, czyli uliczkę Saską, na tyłach królewskiego „Opernhausu“ na instytut wód mineralnych; zrzucono będący w ruinie główny korpus pałacu zastępując go w roku 1840 arkadami — ale te same alegoryczne figury, o charakterystycznych jakby wiatrem unoszonych ruchach baroku, zdobią narożniki zieleńców.

Rozebrano w roku 1797 pawilon ogrodowy na miejscu dzisiejszej fontanny, aby z jego resztek wznieść rotundę cukierni Lessla — ale nie tylko szpalery francuskiego ogrodu w pobliżu parkanu, lecz i większość głównych alei wytkniętych przy urządzaniu angielskiego parku w r. 1816 pozostała ta sama.

Drzewa jeno i krzewy dekoracyjne sadzone z biegiem lat przez różnych mistrzów ogrodnictwa Strobla, Hosera, Szaniora i dzisiejszego Danielewicz z podziwem spoglądają na wciąż zmieniające się przed nimi obrazy. To na wytworne francuskie kostiumy dam i kawalerów wieku XVIII mieszane z kontuszami i żupanami zachowawczej szlachty; to na biedermajerowskie tabaczkowe surduty, cylindry i *fatermoerdery*; to na krynoliny i tiur-

niury modnych elegantek; to znów na zamiatające kurz łokciowe treny damskich sukien z końca XIX stulecia, to wreszcie na krótkie do kolan dzisiejsze sukienki babek i wnuczek na jedną miarę.

Wszystkie te obrazy przesuwają się w ciągu ostatniego stulecia alejami ogrodu Saskiego i dziś jeszcze zdają się snuć nimi o zmierzchu.

Bo każda pora dnia była dawniej dla ogrodu tego, jak i do dziś jest, charakterystyczna.

Jak przed stu laty w ówczesnym „Nowym Karlsbadzie“, tak i przez całe stulecie, po wzniesieniu w r. 1847 arkad w ogrodzie wód mineralnych — od godz. 6 rano panował w nich ruch niezwykły. Bywali tu chorzy i zdrowi: jedni pijąc przez rurkę gorące lub zimne wody lecznicze, inni dla spaceru tylko opłacając takse, dla spotkania się z tym lub owym i dla gawędy, wreszcie dla wysłuchania koncertu. A koncert to był nie byle jaki. Przez szereg lat grywała tu przez 2½ rannych godzin antraktowa orkiestra teatru Rozmaitości pod dyрекcją słynnego Leopolda Lewandowskiego. Niejeden z jego modnych później mazurów tutaj zyskał sobie popularność.

W dziewiątym dziesiątku lat ub. wieku słynne bywały pojedynki muzyczne, kiedy gość Warszawy, wiedeński kapelmistrz Bilse, grywał ze swą orkiestrą po południu w romantycznej ówczesnej pełnej wawozów i pagórków Dolinie Szwajcarskiej, a Lewandowski rano u „wód mineralnych“. Obaj kapelmistrze, ceniąc się nawzajem, w miejscach tych się odwiedzali oklaskując się wzajemnie. Nieraz grywali te same utwory konkurując o lepsze, wzajemnie jednak prawiąc sobie komplementy.

W porze przedpołudniowej właściciele kamieniczek w Starym Mieście, rentierzy oraz urzędnicy obu towarzystw kredytowych spotykali się w alei „emerytów“, rozprawiając o sprawach społecznych i towarzyskich i z cicha... o polityce.

Aleja „owocowa“ nazwana tak od „budki“ z owocami i wodą sodową roiła się, zwłaszcza w porze letnich wakacyj szkolnych od młodzieży, która później zaanektowała sobie i aleję „literacką“, gdzie przechadzali się, coraz przysiadając, Bolesław Prus z Janem Kantym Gregorowiczem, redaktorem „Przyjaciela Dzieci“.

Matki z dziećmi lub niańki zajmowały od wieków w południe słoneczne miejsca w głównej alei, zwłaszcza w pobliżu pałacu.



W alei westchnień w ogrodzie Saskim w r. 1856 (Rys. Fr. Kostrzewskiego)

Z innych alei były szczególnie o zmroku nawiedzane „igielkowa“, popularna wśród zajętych przez dzień cały w szwalniach pracownic igły, lub wzdłuż ul. Królewskiej ciągnąca się zaciemiona „aleja westchnień“, mówiąca nazwą sama za siebie.

W latach 1880—1890 w tej Warszawie o 400 ledwie tysiącach mieszkańców, w której ruch i życie ogniskowały się przy ulicach Długiej, Miodowej i Senatorskiej, Nowy Świat miał wąskie chodniki i brukowany był „kocimi łbami“, a ul. Nowogrodzka i inne nie były wcale brukowane; Łazienki były dalekie, na folwark Świętokrzyski wybierano się jak do Wilanowa, a o parku Ujazdowskim jeszcze się nie śniło — Saski ogród był istotnie jedynym wytwornym parkiem w mieście. Wkrótce też zaczęły w nim razić niektóre zbyt swobodne zabawy, którym się oddawała młodzież paru szkół prywatnych, ówczesnej szkoły baletu itd. Miało to ten skutek, że dyrekcje szkół męskich zabroniły swym wychowankom uczęszczania do ogrodu. Odpowiednie instrukcje otrzymała też służba ogrodowa i policja. Uczniów wpuszczano tylko, a nawet nakazywano im bywać w ogrodzie jedynie na zabawach z loterią fantową, organizowanych przez pewien czas przez rosyjski „Czerwony Krzyż“. Wobec rusyfikatorskiego charakteru tej międzynarodowej instytucji, jaki miała w Polsce, społeczeństwo nasze zabawy te bojkotowało. Tym bardziej zmuszano do udziału w nich uczniów. Jednak i na to znajdowało się zawsze wykręty.

Wszystko to staje przed oczami jak żywe. Mijają jeden za drugim lat dziesiątki, zmieniają się ludzie, stroje, zwyczaje i obyczaje, a tło odwiecznych lip i kasztanów i rozwiewnych barokowych posągów zostaje wciąż to samo.



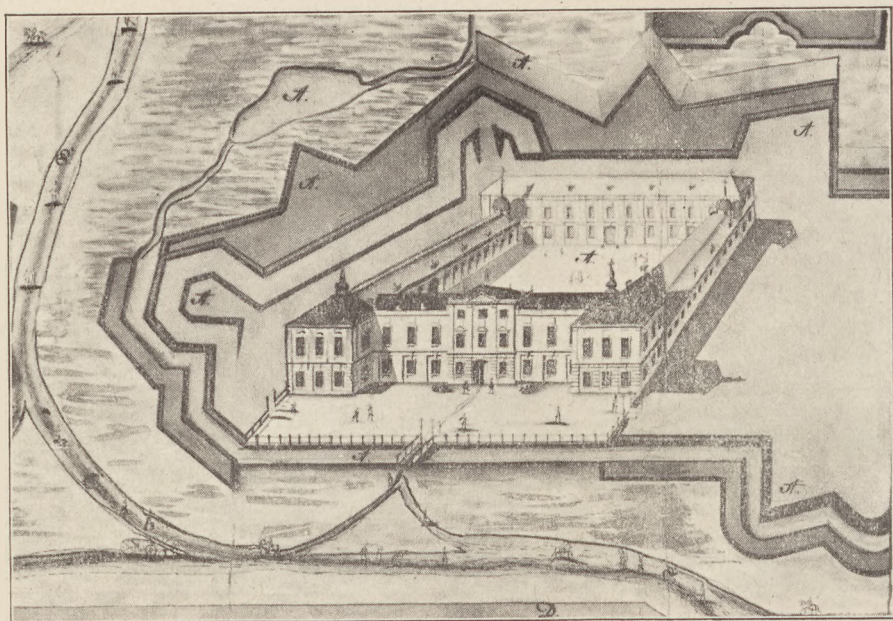
Kamień 200-lecia Ogrodu Saskiego



Arsenał i kościół brygidek p. w. św. Trójcy przy rogu Nalewek i ul. Długiej —
z obrazu Zygmunta Vogla (ze zbiorów Raczyńskich w Warszawie)

ARSENAŁ NA DŁUGIEJ

Gmach dawnego arsenału przy zbiegu Nalewek i ulicy Długiej — to budynek pamiątkowy, stojący w miejscu, gdzie król Stefan Batory (1576—1586) założył wielki szpital dla wysłużonych wojskowych, szpital w dawnym znaczeniu przytułku czy schroniska dla weteranów-kalek. Szpital ten jednak wskutek braku opieki i wyposażenia został później skasowany, aż Władysław IV (1632—1648), przebudowawszy pierwotny budynek przeznaczył go na zbrojownię, przezwaną z niemiecka „cekhauzem“. Polecenie zreformowania szpitala na „najlepszy cekhauz Rzplitej“ otrzymuje „starszy nad armatą“ JMPan Paweł Gro-



Widek i plan władysławowskiego Cekhauzu, znajdujące się w Archiwum Królewskim w Dreźnie

dzicki, który też nadał arsenałowi dzisiejszy zarys planu i murów, tylko skrzydła boczne bowiem były wówczas parterowe i to była jedyna zasadnicza różnica. Późniejsze przeróbki zaznaczyły się przede wszystkim w zmianie stylu przebudowy. Najpierw zatem nadano wówczas gmachom szpitalnym kształt czworoboku z fasadą frontową od strony dzisiejszej ulicy Długiej. Całość stanowiła wtedy jedną z osobliwości Warszawy i przedstawiała jakby rodzaj zameczka obronnego. Nad bramą główną od strony ul. Długiej wmurowana była tablica marmurowa z następującym napisem łacińskim:

„Ku podporze wojny i pokoju, na użytek dwojakiego czasu Rzeczypospolitej, Najjaśniejszy Władysław IV, król najpotężniejszy, zbrojownię tę od podwalin wznieść postarał się. Nowym zapasem machin wojennych, tudzież zdobyczami, na wrogu wziętymi, ozdobił i pomnożył. Roku Zbawienia 1643“. Tyle co do samego gmachu. Poza tym arsenał w wieku XVII



Zdobycie arsenału w noc 29 listopada 1830 r. — obraz Marcina Zaleskiego
w Muzeum Narodowym w Warszawie

był ufortyfikowany, otoczony bastionami i fosą, gdyż stał pod wałami miasta. Fosę tę zasilala w wodę przepływająca w pobliżu, nieistniejąca dziś rzeczka.

Cekhauz, częściowo zburzony przez Szwedów w 1655/6 r. nawiedza nowa klęska, bo w r. 1702 uderza weń piorun, powodując wybuch nagromadzonych prochów. Wybuch ten rujnuje skrzydło od Nalewek wraz z dachem i murem narożnym. Rozpoczętą zaraz odbudowę prowadzi początkowo generał artylerii Daniel Jausch, potem minister i faworyt Augusta III gen. art. Henryk Brühl wreszcie kończy ją syn tego ostatniego starosta warszawski i generał artylerii Alojzy Brühl, mając przyznaną na ten cel przez Sejm r. 1767 dotację w sumie 300 tysięcy złotych polskich.

Po rozbiore przejmują arsenał wojska pruskie, umieszczając w nim swą artylerię. Za Księstwa Warszawskiego mieści się tam szkoła inżynierii i artylerii.

Za Królestwa Kongresowego w r. 1816 dawny cekhaus przywrócony zostaje do poprzednich przeznaczeń. Przeprowadzona zostaje wówczas gruntowna restauracja gmachu bez naruszenia jednak murów. Dokładny inwentarz owego arsenału z czasów Władysława IV znajduje się w zapiskach słynnego Krzysztofa Arciszewskiego, późniejszego „starszego nad armatą” brzmi on jak następuje:

„Opisanie Inwentarskie budowania Cekauzu... Od miasta na południe, ku polu wyszedłszy, y przed Bramą Cekauzową stanąwszy, pada na oczy budowanie murowane, na kształt pałacu, abo klasztoru iakiego, czworograniasto postawione, mające plac wielki czworograniasty niebrukowany pośrodku. Wszystkie mury wokół, z podwórza i wnętrza wapnem tynkowane. Stoiąc in fortificatio, ato na czele tego budowania przed bramą, iawią się na rogach stojące pawilliony albo mieszkania czworograniaste na kształt wież budwane dwoie; iedno na iednym, drugie na drugim rogu. Spody dachów pod tymi pawillionami są czerwoną dachówką, jako i inne budowania, kryte; ale wendy ich albo wieżycki same są kryte ołowiem. „Miasto Powietrznika, albo Kurka, stoi na każdym z tych dwóch budowania, figura pałańska dwóch delfinów. Jednemu z nich ku miastu urwał wiatr głowę, z połową ciała. Sztuka to jest w... Między temi dwiema Pawillionami albo Budowaniami zjawia się południowa strona, albo Cortina tego Cekauzu, na której pośrodku jest Grama, dzieląca tę Cortinę na dwoie: To jest dwie Galleryje krótkie.

„Ta Cortina to iest obie te Galleryje krótkie y z Bramą także y dachy na pobocznych Galleryjach długich, jedną na wschód słońca a drugiey na zachód, leżących, iako y sam Cekauz wielki na Północy leżący, wszystkie te Budowania miały dachy czerwoną dachówką kryte, w wapnie kładzione, ale tak niedbale, że potrzebowały ra... o w wapna przekładania.“

„W końcu każdej długiey wzwyż pomienionej Galleryji, podle wielkiego Budowania, stała Wieżyczka okrągła, na kształt Ambony, ołowiem kryta, y na każdej z nich (?), miasto Powietrznika, były dwie małe a iedna wielka, kule ogniste, z drzewa rzezane, malowane.“

„Na wielkiem Budowaniu pułnocnem na każdym końcu (?) była gałka pozłocista, a na niej Orzeł miedziany, biały...,

ale teraz za czasem od słońca poczerniały, trzymający w rogach (?) promienie pierunowe pozłociste.

„Wchodząc do Cekauzu, stoi nad Bramą, wmurowana, czarna, czworograniasta marmurowa tablica, na której złotymi literami wyrysowano-że Jego Królewska Mość Władysław IV w Roku Tysiąc Sześć Set Czterdziestym Trzecim był Cekauzu tego Fundatorem.

Gmach arsenału opatrzony dziś nr 52 (hip. 563) opisał też malowniczo w swym „Gościńcu“ z r. 1643 Adam Jarzębski. Wyraża się on:

„Cekhausz, wiem, że słynie wszędzie,
Którego w Polsce nie będzie
Nad warszawski sławniejszego,
Z fortuny Najjaśniejszego
Króla Pana Władysława
Czwartego zostanie sława.
Teraz reforma w murynku,
Wielka odmiana w budynku:

Jak forteca tuż pod wałem
Miejskim i kosztem miałem
Sala jedna bardzo wielka
W której armata jest wszelka
Na wierzchu dachówka; w rogach
Orły dwa, jakby na nogach
Stoją, a wiatr ich obraca,
Gdzie chce, i zaś nazad zwraca.

... W drugą stronę tuż z przyjazdu
Niedaleko od wyjazdu
Po trzy smoki w powietrznikach,
Przy budynku w narożnikach.

O czym oberszter wojenny
Zawiaduje, nieodmienny,
Paweł Grodzicki...”

Tu nasuwa się wspomnienie. W mglisty i ponury wieczór 29 listopada 1830 r. rozegrał się przy zbiegu Nalewek i Długiej jeden z aktów powstania — zajęcie przez lud warszawski pod wodzą podchorążych gmachu arsenału i rozebranie broni.

W samym arsenale i u jego progów toczyły się zacięte boje. Świadczy o nich m. in. kamień pamiątkowy.

Moment ten uwiecznili Marcin Zaleski na swym obrazie oraz Piwarski na jednym ze swych sztychów, ilustrujących ulice Warszawy.

Jakby mszcząc się za to, władze rosyjskie po zgniecieniu powstania przeznaczyły zbrojownię przy ul. Długiej na więzienie karne, które przedtem mieściło się w poklasztornych zabudowaniach oo. karmelitów, wprost dawnego ratusza na Lesznie.

Dziś gmach batorowego szpitala, a władysławowskiego „cekhauzu“ przestał służyć swym ponurym, narzuconym przez zaborców celom. Po skasowaniu w nim więzienia rozpoczęto we wrześniu r. 1936 kosztem miasta odbudowę całego gmachu, którą prowadzi inż. Bruno Zborowski. W toku robót wewnątrz dziedzińca odkryto szereg starych arkad, natomiast na froncie gmachu od strony Nalewek dodano nowe podcienia, kryjące chodnik dla pieszych, którego w tym miejscu nie było.

Doniosła ta zarówno dla historycznej, jak dla dzisiejszej i przyszłej Warszawy renowacja pamiątkowego gmachu odbywa się pod czujnem i fachowem okiem historyka, jako powołanego przez pana prezydenta Starzyńskiego na odpowiedzialne stanowisko Dyrektora Archiwum Miejskiego, na którego pomieszczenie gmach jest przeznaczony.



Kryty korytarz na dziedzińcu b. klasztoru oo. augustianów (fot. H. Poddębski)

WARSZAWSKIE MOSTY WESTCHNIEŃ

Błądzącego po staromiejskiej dzielnicy Warszawy miłośnika zabytków zainteresują na pewno w różnych miejscach miasta przerzucone bądź przez dziedziniec, bądź przez ulice wiszące murowane zamknięte korytarze. Jest ich w Warszawie niewiele. Trzy. Wszystkie do siebie podobne, a każdy inny. Dalekie od tego, co może dać turyście wenecki „*Ponte dei Sospiri*“, bliższe raczej do szeregu korytarzy, nad rzeczką bawarską Pegnitz w Norymberdze, najbliższe może do owego „*Henkerstegu*“ — katowskiej ścieży norymberskiej, mają wszakże charakter, jak na Warszawę oryginalny. Nie mają tego tragizmu, jaki nam przychodzi na myśl pamiątek Silvia Pellica, co Most Westchnień, gdy nań patrzymy z „*Ponte di Paglia*“; nie prowadzą one do żadnych ołowianych

poddaszy, jak w Wenecji, ani nie mają zapadającej się posadzki nad głębią śmiertelną kanału. I nie prowadzą do katowni norymberskiego mistrza miecza. Jednak i one, te skromne warszawskie łuki, mają swe tragiczne wspomnienia.

Najmniej ma ich korytarz, przewieszony nad międzymurzem, i łączący w XV wieku z sobą otaczające średniowieczną Warszawę mury wewnętrzny z zewnętrznym.

Gdzież on jest — ten zabytek?

Żeby go zobaczyć, wystarczy wejść w dziedziniec kościoła św. Marcina (oo. augustianów). Wszak dzwonnica tego kościoła przy ul. Piwnej, dziś stojąca, była wtedy obronną basztą u załomu ciągnących się wtedy murów. To książę Janusz I Starszy był twórcą obwarowań m. Warszawy. Było to około roku 1379, kiedy po rozdziale Mazowsza stryjeczny brat jego Ziemowit IV (szwagier Jagiełły) otrzymawszy ziemię płocką ubiegał się o królewską Polski koronę, a on, Janusz, otrzymawszy część warszawską: Czersk, Zakroczym, Wyszogród, Ciechanów i Ziemię Ruską, wznosił mury otaczające zamek i miasto. Były to mury wewnętrzne.

Poza tym ku większemu zabezpieczeniu miasta zawarł w dzień św. Klemensa 1379 roku z mieszczanami umowę, na co jest jego przywilej, a mocą której obowiązani byli do otoczenia miasta drugim murem, zewnętrznym. Mieszczanie zwolnieni za to zostali z wszelkich podatków i powinności na rzecz księcia przez lat 8, nadto dostali w posiadanie okoliczne wioski: Młociny, Jazdów, Mostki, Wawrzyszew. Mur zewnętrzny skręcał od Zamku kawałkiem dzisiejszej ul. Piwnej do owej baszty — dzwonnicy, a potem ku Ślepej i Rycerskiej, wreszcie utykał w końcu zamkniętej dziś ulicy Rzeźniczej w nowomiejską bramę Północną. Późniejszy mur zewnętrzny od kościoła przy Piwnej skręcał ku ul. Podwale i biegł nią w tym samym kierunku do zewnętrznego barbakanu na samym rogu Podwala i Frety.

Mury te kazał zburzyć zajmwszy w czasie „Potopu“ stolicę szwedzki Karol Gustaw, pozostawiając tylko fosy i wały, wzniesione przez Zygmunta III. Z tych czasów to pozostał jeszcze ów murowany korytarz w podwórzu kościelnym przy ul. Piwnej.

Odbywały się tu za Jana Kazimierza walki ze zdobywającymi miasto Szwedami, ale była to krew w szlacheckich zapasach przelana.

Korytarz zamkowy prowadzący do katedry (fot. H. Poddębski)

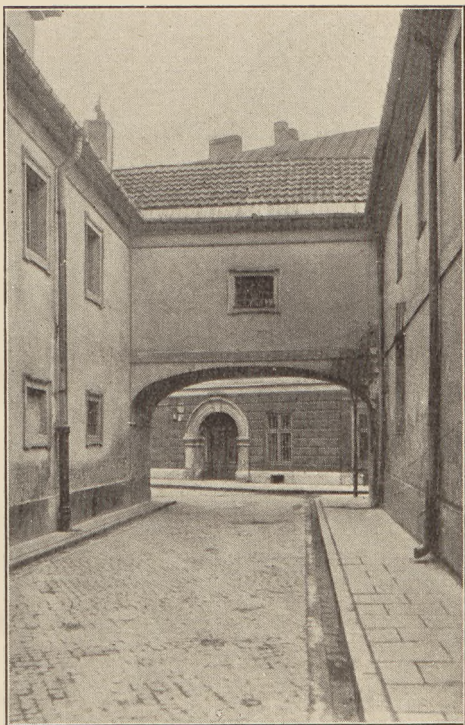
Innego rodzaju wspomnienia nasuwa widok korytarza przeźrzonego z Zamku do katedry nad ulicą Dziekanią u wylotu na zaciszny placzyk Kanonię. Kryty ten korytarz zbudowany przez wyjątkowo pobożnego, jak wszyscy prozelici, Zygmunta III dla ułatwienia częstego przejścia bezpośrednio z komnat zamkowych do katedry stał się w dniu 15 listopada r. 1620 widownią zamachu na króla. W fakcie tym uderzają 2 szczegóły. Jest to jeden z dwu wszystkiego zamachów na monarchę, jakie były w ciągu prawie tysiąca lat w Polsce; drugi — Strawińskiego i Łukawskiego na Stanisława Augusta. Obydwa zamachy były w listopadzie, w którym to miesiącu najwięcej w ciągu dziejów Polski zaszło doniosłych wypadków.

Szlachcic Michał Piekarski ze wsi Bieńkowice w Sandomierskim powziąwszy w czasie rokoszu Zebrzydowskiego nienawiść do Wazy, zaczaiwszy się w owym korytarzu rzucił się na króla z czekanem. Idący za ojcem królewicz Władysław ciął jednak w tej chwili szaleńca szablą w głowę ścinając mu kawał skóry. Skóra ta z włosami przechowuje się do dziś w Muzeum Narodowym, w okrągłym pudełku mieszczącym też współczesne zamachowi pismo:

1620

15 Novembris

Znak zdraycy Jej Królewskiej Mości Y
całej Korony Polski Piekarskiego, wycięty
w Kościele, przez Królewicza Imci
Władysława.



Zamachowiec oddany został natychmiast pod sąd sejmowy. Osnowa wyroku mieści się w księdze XXII *Conventionalium* na str. 301 Archiwum Głównego warszawskiego. Wyrok sejmowy z piątku przed Katarzyną przekazał obranie kary śmierci i rodzaj katuszy przedwstępnych marszałkowi koronnemu Michałowi Wolskiemu, staroście krzepickiemu, fundatorowi klasztoru oo. kamedułów na podkrakowskich Bielanach.

Okrutny ten wyrok brzmiał, jak następuje: ..., „najprzód z miejsca więzienia, z którego zostanie wyprowadzony, przez kata i jego oprawców wsadzony będzie na wózek, do tego sporządzony, mając skrępowane ręce i nogi, przywiązany do wozu tak zostanie, aby postać siedzącego zachował. Zasiądzie przy nim swe miejsce kat z oprawcami, mający swe narzędzia ogień siarczysty rozżarzone węgle, obwożony będzie przez rynek i ulice miasta. W miejscach wyznaczonych obnażonego czterema rozpalonymi szczypcami oprawcy ciało szarpać będą. Gdy na miejscu kary stanie, z wozu na rusztowanie, umyślnie wystawione, na 8 łokci od ziemi wyniesione, przeprowadzony zostanie. Tam mu kat ów czekan żelazny, którym na Najjaśn. Króla I-mci targnął się, do ręki prawej włoży i z nim razem rękę bezbożną i świętokradzką nad płomieniem ognia siarczanego palić będzie. Dopiero gdy wpół dobrze przepalona będzie, mieczem odetnie, toż i z lewą ręką, bez przypalenia jednak uczyni.

Po czym czterema końmi ciało na 4 części roztargane, a obrzydłe trupa ćwierci na proch na stosie dREW spalone zostaną. Na koniec proch w działo nabity, wystrzał po powietrzu rozproszy“. Tak też i zginął w mękach na rynku Starego Miasta niedoszły królobójca, którego imię uwieczniło popularne przysłowie: „Plecie jak Piekarski na mękach“.

I nie dziw, że nieszczęsny skazaniec, jeśli pierwiej nie był obłąkany, bo i tak niektórzy współcześni twierdzą, to w czasie tak srogich męczarni oszalał i plół „duby smalone“.

Włość Bieńkowice ten sam wyrok sejmowy nakazał zrównać z ziemią, a na miejscu dworu postawić słup pamiątkowy.

Miecz katowski, którym „butle“ lub „hycle“, jak zwano pomocników „mistrza“, ćwiartowali Piekarskiego, przechowuje się wraz z innymi. Kat ścinał tylko głowy, a do kar hańbiących jak kaleczenia, ćwiartowania, łamania kołem lub wieszania używał pachołków, ubranych w skórzane kurtki, podczas gdy sam używał kurty czerwonej i takiego samego płaszcza. A miesz-



Placyk „Piekielko“, ongi podmiejskie miejsce kaźni

kał kat ówczesny we własnej kamienicy przy ul. Nowomiejskiej nr 8 z drugim frontem wychodzącym na Wąski Dunaj. Niedaleko miał do pracy!

Nie do ołowianych więzień więc, jak Silvia Pellica most Westchnień, ale do „dub smalonych“ i nieludzkich jęków doprowadził polskiego szaleńca ów korytarz nad ulicą Dziekanią.

Jest to bodaj że jedno tak okrutne wspomnienie z dziejów Warszawy, jeśli oczywiście nie liczyć podobnego wyroku, wykonanego za Sobieskiego na Łyszczyńskim za ateizm i poprzednio jeszcze w r. 1526 spalenia na Piekielku pod Wałem dwu niewiast, oskarżonych o otrucie ostatnich książąt Mazowieckich.

Mniej krwawych wspomnień ma trzeci korytarz podobny, znany przechodniom ulicy Koziej, a zawieszony między dwiema kamienicami hotelu Saskiego. Właściwie nie w samym tym ganku, ale w jego pobliżu u wylotu ul. Koziej w Krakowskie Przedmieście rozegrała się tragiczna omyłka 29 listopada (także listopada) r. 1830. Z ulicy Koziej spod tego samego ganku wyjechał zamkniętą karetą zacny patriota generał

Nowicki. Zastąpili mu drogę dążący spod Belwederu powstańcy pytając:

— Kto jedzie?

Otrzymałszy odpowiedź, a nie dojrawszy w ciemności rysów twarzy wzięli go za gen. Lewickiego, jednego z oddanych carowi i księciu Konstantemu oficerów.

Padł strzał. Nowicki nie żył.

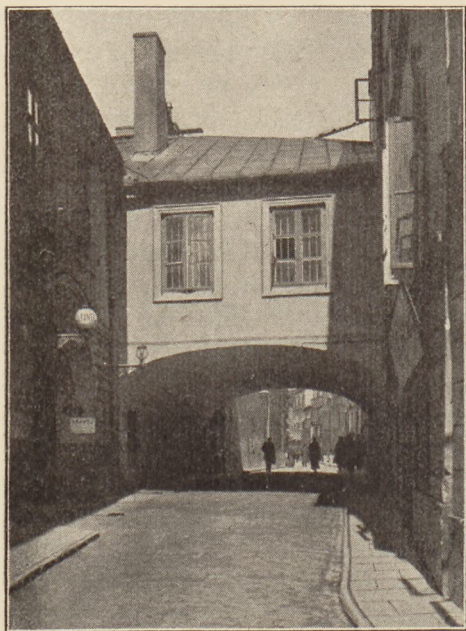
W dodatku dotknęła go po zgonie niezasłużona hańba, bo nazwisko jego car postanowił uwiecznić w szeregu innych nazwisk „wiernych swemu monarsze“ Polaków na wzniesionym na Saskim dziedzińcu w r. 1841, a dziś na szczęście nieistniejącym obelisku, do którego patriotyczna Warszawa przez długie czasy stosowała epigramaty:

*„Ośmiu lwów — czterech ptaków
Pilnuje siedmiu łajdaków“*,

albo też:

*„Czterech ptaków — ośmiu lwów
Pilnuje tu siedmiu psów“*.

Do nazwisk tych polskich dygnitarzy wojskowych, którzy istotnie pozostali przy carze wypowiadając się przeciw powstaniu, a więc do: Haukego, Potockiego, Trębickiego, Bluamera, Meciszewskiego i Siemiątkowskiego dołączono tam niezasłużenie nazwisko Nowickiego.



Korytarz hotelu Saskiego nad uliczką Kozią (fot. H. Poddębski)

ZNASZ-LI TEN KRAJ?

„Trzeba życie rozłamać w dwie wielkie połowy: Jedną godziną myśli trzeba w przeszłość wrócić, i przeszłość, jako obraz ściemniały i płowy, pełny pobladłych twarzy, ku słońcu odwrócić i ścigać okiem światła obrazu i cienie jak lśniące rozprysniętych mozaik kamienie. Tam pod okiem pamięci... piękne rodzinne miasto wieżami wytryska...”

Tak wracał w *Godzinie* myśli wspomnieniem ku umiłowanemu rodzinnemu Krzemieńcowi Słowacki.

Tutaj nie będziemy liczyli wież świątyń warszawskich ani szukali w nich lśniących barwami mozaik. Zresztą znaleźlibyśmy bodaj, że tylko jeden mozaikowy portret, o którym bez względu na wartość artystyczną należałoby raczej zapomnieć. Jest to portret zdrajcy, prymasa Michała Poniatowskiego, tkwiący niezasłużenie w murze pod chórem katedry. Dostał się tam, jako dzieło niepospolitego artysty Rafaelliego, przysłane królowi Stanisławowi Augustowi w podarku przez papieża Piusa VI. Tej okoliczności ów jurgieltnik moskiewski i pruski agent zawdzięcza honor znalezienia przytułku w świątyni, jak swemu bogactwu inny zdrajca Radziejowski zawdzięcza schron swój w dominikańskim kościele św. Jacka. Nie jest to więc fakt wyjątkowy.

Nie architekturą kościołów zatem ani zdobiącymi świątynie warszawskie dziełami sztuki zajmiemy uwagę czytelnika.

*Znasz-li ten kraj,
Gdzie cytryna dojrzewa,
Pomarańcz blask
Majowe złoci drzewa?
Gdzie wieńcem bluszcz
Ruiny dawne stroi,
Gdzie buja laur
I cyprys cicho stoi?*

Tak naśladowując Goethego, zapytywał Henrykę Ankwiczównę, wzywając ją do Neapolu, Adam Mickiewicz.

Znasz-li ten kraj, swoje rodzinne miasto, miły warszawiaku? zapytam z kolei.

A gdzie tu „cytryna dojrzewa?” — zauważysz. Odpowiedź: w koszykach przekupniów na ulicy Wielkiej, Koszykowej i w halach.

Gdzie „pomarańcz blask?” — odpowiedź: blask „za szybami śmieje się” z nas niedostępną dla zwykłego śmiertelnika ceną...

Laur, cyprys, bluszcz? — odpowiedź: to są u nas przyjemności katafalkowe.

Tym niemniej chodząc po mieście nie zauważamy wielu rzeczy godnych widzenia. Ze zdziwieniem dostrzegamy je dopiero na pocztówce, nieraz podziwiając piękno obrazka i szukając podpisu, pytamy:

— Gdzie to jest?

I niespodzianie dowiadujemy się, że to u nas, w Warszawie, że setki razy koło tego przechodziliśmy nie widząc.

Tak na przykład, jak piękny jest zakątek na tyłach kościółka panien kanoniczek pod wezwaniem św. Andrzeja. Ile uroku ma ta oficynka z podwójnie łamanym dachem. Jest ona o wiele starsza od wzniesionego dopiero w r. 1722 pierwotnie dla jezuitów kościółka i od wszystkich sąsiednich kamienic. Mówi o tym struktura dachu, rozpowszechniona w XVII stuleciu przez Fr. Mansarda, współtwórcę stylowej siedziby pani de Sevigné (*Hotel Carnavalet* w Paryżu).

W tej samej dzielnicy miasta, ale na terenie pałacu Paca, mieszczącego Sąd Okręgowy, sprowadzony przez tego magnata z Włoch w r. 1822 architekt Henryk Marconi, przebudowując dla generała Ludwika Paca dawny pałac Radziwiłłowski wznosił m. in. parterowy półkolisty budynek, zamykający perspektywę ogrodu. Był on przepołowiony sklepioną łukiem bramą, ozdobioną dwoma posągami gladiatorów dłuta Ludwika Kaufmana, ucznia Canovy. Niestety, z budynku tego została mniej niż połowa, bo lewe skrzydło i bramę zburzono pod budowę gmachu hipoteki. Na zdjęciu widzimy pozostałe do dziś prawe skrzydło, ozdobione, jak dawniej całość, tokańskimi trzyczwierćkolumnami.

Zanim przejdziemy do nowszych dzielnic Warszawy, zatrzymajmy na chwilę uwagę na zabytku, który mimo ciągłych

nawoływań prasy przez okrągłe lat sto niszczał i kruszał na wietrze i słońcu, otłukiwany i łamany na kawałki przez profanów. Mianowicie na rogu placu Bankowego i ul. Senatorskiej, wprost figury św. Jana Nepomucena, stoi kamienica zwracająca na siebie uwagę dziwnym kształtem. Jest to dom bawiącego od wielu lat stale w Paryżu p. Jana Przeździeckiego, syna znanego estety i zasłużonego mecenasa sztuk i nauk, twórcy biblioteki rodzinnej śp. Aleksandra Przeździeckiego.

Nie tylko jednak zewnętrzny profil wspomnianej kamienicy nr 2—4 od ul. Rymarskiej, a nr 44 od ul. Senatorskiej, jest godzien uwagi.

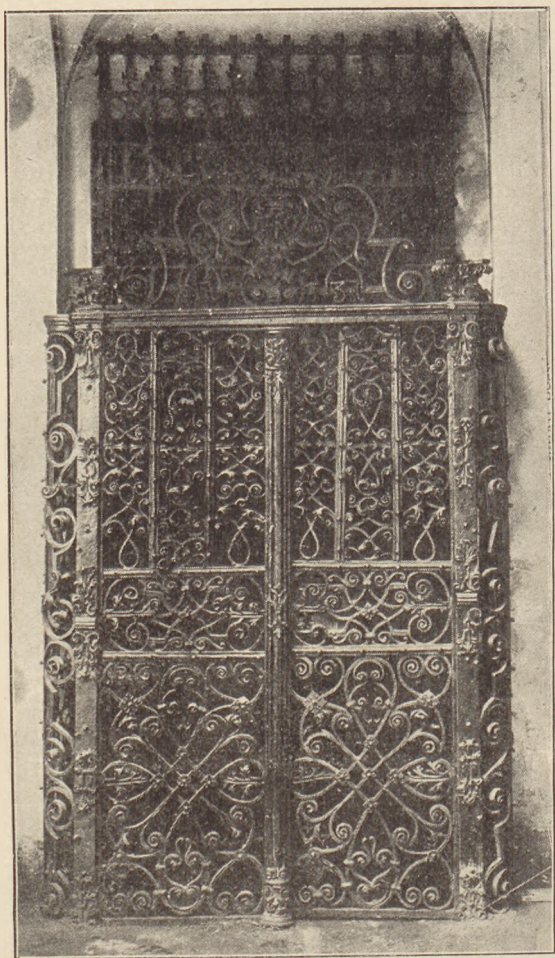
Jest tam wewnątrz dziedzińca cenna pamiątka ubiegłych stuleci, to kamienny krużganek z kutą ręcznie z żelaza balustradą na pierwszym piętrze, taką samą kroksztyną i latarnią, a przede wszystkim są tam drzwi ażurowe przedziwnie kunsztownej roboty. Drzwi te wytrzymują na korzyść porównania z piękną amboną takiejże roboty, kutą ręcznie a koronkowo w żelazie przez braciszka zakonnego Mikołaja Tretera i zdobiacą główną nawę kościoła Św. Krzyża.

Podwoje te wielkiej wartości pamiątkowej i historycznej, a przede wszystkim artystycznej, odkupił w 1833 i następnego roku w dziedzińcu biblioteki swej, wzniesionej na gruntach ogrodu Mniszchów na dawnych Wałach Szwedzkich a dziś placu Bankowym, ustawił wymieniony Aleksander Przeździecki.

Odkupił je z dawnej kamienicy Rongiuszowskiej w Rynku Starego Miasta nr 38, gdzie zamykały klatkę schodową. Odkupił chcąc je uchronić od zniszczenia, nie przeczuwając, że jego spadkobiercy obojętnym okiem patrzeć będą na zagładę arcydzieła.

Tak, bo teraz od lat wielu drzwi te koronkowe, rzadko delikatnej roboty, kruszeją na deszczu i wietrze, rdzewieją i gubią coraz to więcej delikatnych listeczków, w które je ubrał twórca. Drzwi te bowiem zamykają jeden ze składów towarowych, mieszczących się w tym podwórzu. Trudno wymagać od ludzi przywożących i wyładowujących skrzynie, żeby się znali na wartości arcydzieła i obchodzili się z nim z pietyzmem, który obowiązuje właścicieli.

W muzeach Gdańska, Berlina, Norymbergi okazy takie są ozdobą działów sztuki zdobniczej wieku XVIII, bo z tego stulecia drzwi te pochodzą, jak świadczy umieszczona na nich



Misterne drzwi z kutego żelaza
z 1737 roku

data „1737“ pod słowami „*Laudetur Jezus Christus*“, skróconymi do inicjałów „L. J. Ch.“ Tak je oznaczył artysta. Czas i barbarzyństwo jednych, niesłuchane niedbalstwo i ignorancja innych skróciła ten napis jeszcze o jedną literę, bo już ostatnie „h“ odpadło. I nie dziw, bo przy trzaskaniu podwojami koronkowej roboty, jak wrotami tajni czy obory, niedługo całe drzwi się rozlecą.

Czyż w nikim sumienie się nie odezwie?

A jednak, powtarzamy, był inny czas i byli inni widocznie ludzie, o czym świadczy skromny, bo bezimienny dla inicjatora i fundatora napis na umieszczonej na krużganku płycie:

„Krużganek ten
„Kamienny i żelazny oraz dwoje „Drzwi żelaznych
„Pięknej kowalskiej roboty z r. 1737
„Zdobiące przedtem podwórze domu nr 51
„W Rynku Starego Miasta Warszawy,
„Zakupione d. 7 czerwca 1833 r.
„Odnowiono, uzupełniono i ustawiono

d. 1 czerwca 1834 r.

Pod tym napisem ledwo widnieją półzatarłe imiona kamieniarzy i ślusarzy, pracujących nad ustawieniem całości na nowym miejscu. Nic o Aleksandrze Przeździeckim.

Czyż nie warto, aby obok napisu „Mathias Kurowski“, którym twórca tego arcydzieła uwiecznił na jednej z jego koronkowych części nazwisko ówczesnego w roku 1737 właściciela — aby obok tego nazwiska znalazło się w katalogu naszego Muzeum Narodowego imię Jana Przeździeckiego, jako szlachetnego ofiarodawcy?

Nie tylko jednak artystycznym obiektom drobnych wymiarów grozi nieraz zagłada. Coraz bardziej znikają z powierzchni ziemi również całe budowle, nieraz bardzo piękne i stylowe, burzone w celu postawienia na ich miejscu nowożytnych gmachów dochodowych. Na pośpiech ten dopingująco wpływa wzrost ceny placów w śródmieściu. Wysokość gmachu, liczba pięter musi równoważyć, opłacać drożyznę gruntu.

Dlatego też policzone są, jeśli nie dni lub miesiące, to na pewno lata charakterystycznego domku z pierwszej ćwierci XIX stulecia, do tej pory stojącego bokiem do ul. Nowogrodzkiej, a wprost ul. Pankiewicza (dawniej Składowej). W domu tym mieściły się ongi biura słynnych Jarmarków Welnianych.

Ukryty za wysokim murem jest on z trudem dostępny dla uwagi przechodnia, który z ulicy zaledwo dostrzeże jego charakterystyczną przybudówkę na stronie szczytowej. Upodabnia go ona od tej strony do znanych spichrzów w Kazimierzu nad Wisłą. Spichrze te ukryte na prowincji zostaną, domek warszawski padnie ofiarą rozrostu stolicy.

Ale — życie płynie. Słabą wprawdzie jest to pod tym względem pociechą, ale gdy ulegają zburzeniu dawne piękne zabytki — gdzie indziej powstają nowe gmachy, godne tego, by o nich w przyszłości, gdy je okryje patyna wieków, mówiono tak samo, jak dziś o tamtych.



Straż ogniowa jadąca do pożaru w 1870 roku — z obrazu olejnego
J. Brodowskiego

POŻARY W WARSZAWIE

I WARSZAWSKA STRAŻ OGNIOWA

Pomimo że już za Ziemowita III, księcia mazowieckiego, bo w roku 1374 znajdujemy ślady pierwszych zarządzeń przeciwogniowych w postaci uchwał poszczególnych rad miejskich, czyli tak zwanych „Porządków Ogniwych“ albo „Wilkirii“ — to jednak stan bezpieczeństwa ogniowego w Starej Warszawie przez długie wieki był, jak to się mówi popularnie, niżej krytyki. Toteż klęska pożarów nawiedzała ją często.

Pomijając poszczególne drobne wypadki pierwszy z wielkich pożarów nawiedził Warszawę w r. 1431. Rynek zabudowany był wówczas przeważnie domami drewnianymi, które co do jednego spłonęły. Katastrofa ta wywołała rozkaz książęcy, zabraniający wznoszenia w obrębie murów miejskich wszelkich budowli z drzewa.

Niewiele to jednak pomogło, gdyż pozostała część miasta ówczesnego poza rynkiem była wyłącznie drewniana. Toteż w roku 1478 ogromny pożar zniszczył całą dzielnicę Dunaju i ulicę Piwną. Bolesław V mazowiecki uwolnił wtedy mieszczan od podatków i powinności na przeciąg lat 14, aby się łatwiej mogli odbudować.

Po tej klęsce przez lat 130, niszczący ten żywioł oszczędza Warszawę, ale w r. 1607 wybucha jeszcze straszniejszy pożar. Oto podczas sejmiku szlachta, zajmująca „gospody“ na Starym Mieście, dla szczupłości miejsc, jak pisze Gomulicki, urządziła kuchnie na rynku, przed domami, do czego wrywano bruk i wznoszono drewniane szałas. Otóż od ognia kuchennego wszczął się pożar, który obrócił w perzynę trzy czwarte domów na rynku Staromiejskim, wyrządzając nieobliczalną szkodę mieszczanom, miastu i... potomności.

Po tym pożarze pozostał jeden z gotyckich łuków, odkrytych przed paru laty w kamienicy nr 19 21 po Kołłątajowskiej stronie rynku. Przeciwna strona Barssa, gdzie dziś kamienice nr 2 do 26, jak i cała ul. Jezuicka spłonęły całkowicie. Tablica na domu nr 20 hip. 79 przy ul. Kanonie głosi, że ten dom był ostatni, który strawiły płomienie i że w 4 lata po pożarze odbudował go ksiądz Zalasowski, kanonik pułtuski.

Zamieszkujący wówczas najbliższą część zamku król Zygmunt III, przerażony podchodzącym pod zamek pożarem opuścił w popłochu miasto i wrócił z rodziną i dworem dopiero po ugaszeniu ognia. O tym samym pożarze wspomina napis na wmurowanej w ścianę domu nr 6, hip. 67 na rynku kamiennej tablicy. Zaczyna się on:

*„Mille et sexcentos septem nameravimus annos cum
sub rorosa flamma donos rapuit hoc fatum crudele...”*

Julian Ursyn Niemcewicz w swych „Dziejach panowania Zygmunta III“ wspomina, iż zgorzały wtedy w samym rynku 22 domy, a mury miasta były też nadwyrężone.

Jeszcze straszniejszy pożar nawiedził Starą Warszawę w niedzielę Zielonych Świąt, 9 czerwca 1669 r. Było to podczas trwającej przeszło 10 miesięcy elekcji króla Michała Korybuta. Wojewoda wileński Jan Antoni Chrapowicki, marszałek izby poselskiej z roku 1668, opisując ten pożar w swym „Dziaryuszu“ pisze, że ogień zniszczył „niemało domów, pod sto w dzielnicy Starego Miasta. Był srogi ogień i hałas, bo rabowano srodze“.

Istotnie trzecia część miasta była zniszczona. Tłumy rzuciły się na rabunek i złupiły towary kupców i mienie mieszkańców stolicy. Była to rzesza awanturników, jak twierdzi St. Dziwulski („Warszawa“), którzy ścignęli za 90 tysiącami szlachty przybyłej na elekcję Wiśniowieckiego.

Zgorzała wtedy cała ul. Piekarska, gdzie stały wyłącznie drewniane domy; ocalały na niej jedynie 3 kamieniczki. Na Dunaju, po lewej ręce idąc od rynku, wszystko zgorzało; po prawej zostało tylko 5 kamienic. Pożar sięgnął aż Długiej ulicy (*platea Longa*), na której zostały 3 kamienice. Ocalała natomiast ul. Miodowa, na której nie było ani jednej kamienicy tylko same drewniane dwory i 3 pałace.

Trzeci dotkliwy pożar w ciągu tego samego XVII stulecia wydarzył się w r. 1697, kiedy spłonęło na Krakowskim Przedmieściu z górą 200 domów.

Wiek XVIII był na Warszawę łaskawszy. Klęski żywiołowej nie było, jedynie pojedyncze wypadki, jak między innymi pożar pałacu Gozdzkich (księcia de Nassau — na dzisiejszym Sewerynowie).

Za Księstwa Warszawskiego też były dwa tylko wielkie pożary. Jeden obrócił w perzynę dawną bibliotekę Załuskich przy ul. Daniłowiczowskiej, a drugi zniszczył prawie cały pałac Kazimierowski na Krakowskim Przedmieściu (dziś uniwersytet).

Ogień więc hulał, zwłaszcza w XVII wieku bezkarnie po Warszawie, mimo że jak wymienia Mikołaj Izidor Prokopp, b. komendant główny Warszawskiej Straży Ogniowej, w swej cennej „Historii bezpieczeństwa ogniowego w Królestwie Polskim w latach 1830—1855“ — wydawane w latach 1560 do 1570 „Notaty Gospodarskie“ Anzelma Gostomskiego, wojewody rawskiego, dotyczyły już przeciwpożarowych zarządzeń ochronnych. Ten sam autor w swym wszechstronnie opracowanym i na źródłach opartym dziele mówi o postanowieniach Zygmunta I Starego, Stefana Batorego i Jana Kazimierza w kierunku zapobiegania pożarom, o działalności marszałków Bielińskiego i Mniszcha, wreszcie pisze o czasach późniejszych.

A więc — „Panowanie pruskie zaznaczyło się zarządzeniem dyrekcji policji w r. 1797, czyniącym odpowiedzialnym każdego właściciela domu za wynikły pożar i uprawniającego go do poszukiwania strat swoich na winnym nieostrożnego obchodzenia się z ogniem“.

Pierwszą organizacją o wyłącznym zakresie ratowniczym w wypadku pożarów było prywatne Stowarzyszenie Ratunkowe od ognia, założone w 1800 r. w Warszawie. W 6 lat potem zorganizowano oddział pożarowy przy komendzie policji.

Podczas wojny 1831 r. powstał batalion ogniowy w Warszawie spośród oficerów i szeregowych wojska polskiego. Stanowił on jednak integralną część wojska i przestał istnieć z chwilą upadku stolicy.

Myśl założenia w Warszawie stałej, fachowej Straży Ogniowej mniej więcej w dzisiejszej formie powziął pierwszy właściciel domu nr 719 hip. przy ul. Leszno, Jan Rudnicki. On to przedstawił władzom 17 lutego 1829, opracowany przez siebie, na wzór straży petersburskiej, projekt. Formalności trwały długo, wreszcie 23 grudnia r. 1834 Rada Administracyjna postanowiła taką straż założyć. Rok czekano na zatwierdzenie tej decyzji przez cara. Gdy to nastąpiło — z dniem 1 stycznia 1836 r. zaczęła istnieć Warszawska Straż Ogniowa.

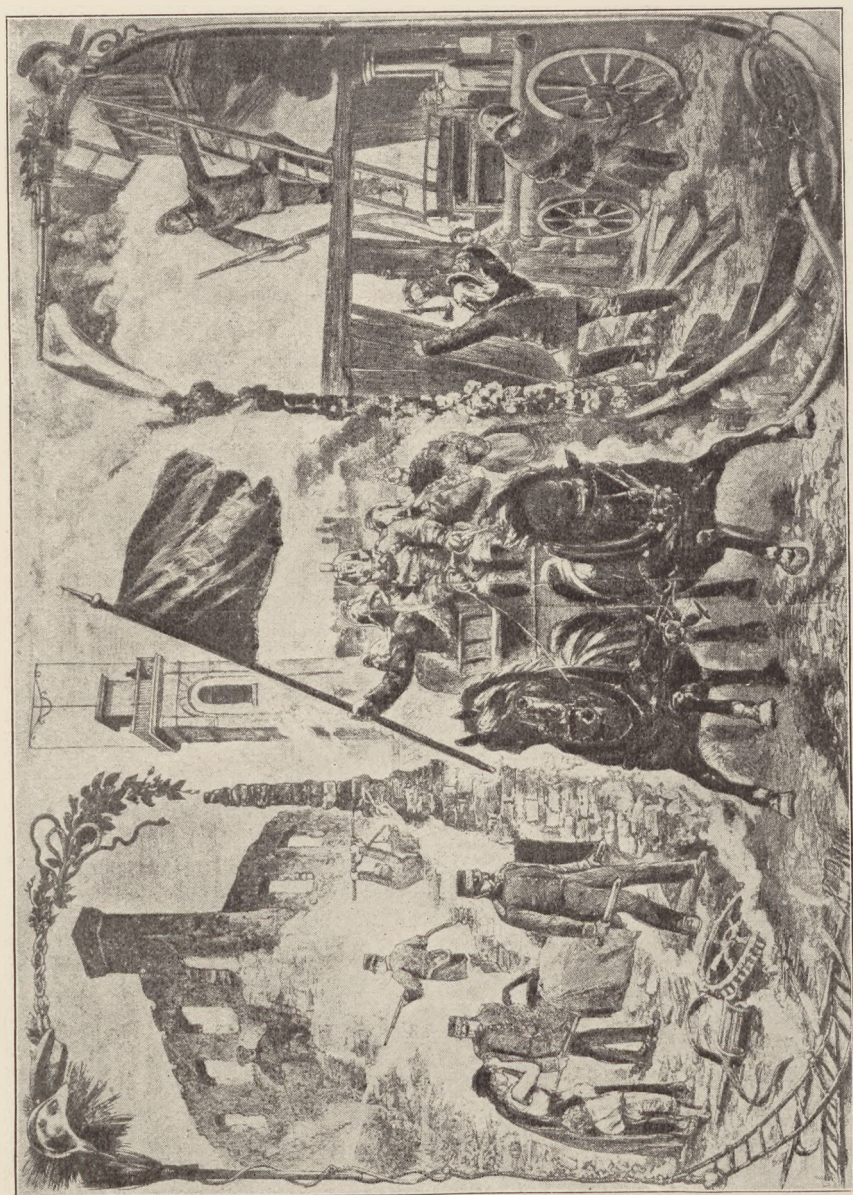
Na razie były jej trzy oddziały w Warszawie, czwarty na Pradze. Pierwszy na Nalewkach, drugi do pamiętnego pożaru 8 października 1863 r. w dawnym gmachu ratusza (gdzie dziś Zarząd Miejski) i trzeci do r. 1873 na rogu Nowego Świata i Alei Jerozolimskiej. Czwarty oddział do r. 1851 był na Pradze. W tym roku utworzony został dla Warszawy jeszcze jeden oddział w koszarach Mirowskich i ten nazwano czwartym zamieniając praski oddział na piąty.

Straż Ogniowa jest od tej pory przez cały czas swego pełnego pracy i poświęceń istnienia chlubą Warszawy.

Jeszcze przed wojną światową miała ona opinię najlepszej w Europie. Zjawiała się do pożaru z szatańską szybkością. Trzeba było widzieć te rwące naprzód z rozwianymi grzywami rumaki, kiedy przez ulice Warszawy pędziły do ognia. Maszyny i beczki napelnione wodą, kiedy jeszcze hydrantów nie było, podskakiwały na kocich łbach jezdni jak w tańcu. Lśniące, mosiężne hełmy, nazywane wtedy „kaski“, gdy pożar wypadł wieczorem, świeciły się w blasku pochodni tworząc malowniczy obraz.

Konna straż ogniowa pędząca wichrem — jak huragan przez ulice Warszawy należy już do niepowrotnej przeszłości, jak do przeszłości należą niektóre związane z nią typy.

Słynny był ongi tak zwany „brandmajster“ nieistniejącego 6-go oddziału, nieżyjący już dziś redaktor założonego w r. 1876



Na 50-lecie Warszawskiej Straży Ogniowej — r. 1886 (Rys. Ksawerego Pillatego 1843—1910)

„Kuriera Porannego“ Feliks Fryze. Zimą i latem w słomkowym kapeluszu pierwszy przybywał do pożaru razem ze strażakami, jeśli nie w powozie z naczelnikiem straży, to na drabinie, to sie-

dząc na koźle któregoś wozu albo po prostu okrakiem na beczce. Był to przyjaciel i opiekun, i brat-lata straży i strażaków. Niemniej znany był dawniej jeszcze opisywany przez K. Wł. Wójcickiego Alojzy Lasocki, majster profesji kuśnierskiej, żyjący w pierwszej ćwierci XIX wieku.

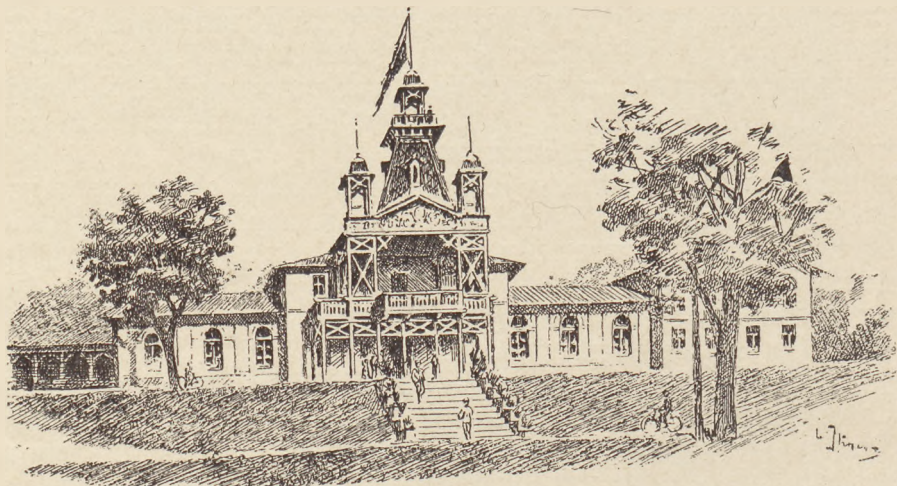
Ubrany zawsze w kapotę jasnozieloną, długą, w czapkę rogatywkę z barankiem i hajdawery karmazynowe; codziennie obchodził całą Warszawę węsząc za pożarem. Gdzie się tylko wszczął ogień, zawsze pierwszy bywał na dachu i nie zważając na własne niebezpieczeństwo niósł dzielny ratunek. Często, zanim przeraźliwe grzechotki i dzwony kościelne dały hasło pożaru wzywając pomocy mieszkańców i bijąc na gwałt, już Lasocki nieraz stawał się panem ognia i przygaszał pożar.

Trzeba było widzieć wtedy dzielnego kuśnierza wśród kłębow gęstego dymu i słupów płomieni, pośród deszczu iskier, na trzeszczących i walących się belkach, jak Lasockiego krzepka postać jaśniała. Donosiłym głosem nieustraszonego obrońca nawoływał na pomoc, dawał rozkazy, jak kierować sikawkami, gdzie zapalony dach zrywać. O, był to obraz godny pędzla malarza!

Te gromady przestraszonego ludu biegnące, w siekiery i bosaki uzbrojone, inni z konewkami; tam spocona czereda, pchająca sikawki i beczki z wodą; popłoch uciekających mieszkańców z płonących domów; kupy sprzętów wyniesionych i w stosy zwalonych; a tłem tego obrazu pożar, który, jeśli w nocy wybuchł, straszliwe przybierał rozmiary i klęską groził miastu. Nad tym wszystkim górowała postać Lasockiego.

Poświęcenie to i czynna pomoc w powstrzymywaniu klęski ognia zwróciły uwagę władzy miejskiej, która z kasy Miasta Warszawy przez lat przeszło 10 wypłacała mu pensję po zł 30 miesięcznie. Mieszkał przy ul. Piwnej pod nr 104. Umarł po trzydniowej chorobie w r. 1823, mając lat 57.

Nie ma konterfektu dzielnego kuśnierza, ale jest kilka obrazów i rysunków: Ks. Pillatiego, J. Brodowskiego i A. Mucharskiego, uwieczniających nie poszczególną postać, ale dzielną naszą straż lat dawnych jako całość. Dzisiejsi jej następcy godnie i z honorem pielęgnują jej tradycję.



Klub cyklistów na Dynasach (Rys. Ilinicza z roku 1893 w zbiorach autora)

W. T. C. NA DYNASACH

Na walnych dorocznych zebraniach członków znanego nie tylko na terenie Warszawy, ale w kraju Warszawskiego Towarzystwa Cyklistów zaludnia się sympatyczna sala prowizorycznego pałacyku — willi na Dynasach jeszcze sympatyczniejszymi kolarzami, przeważnie ludźmi młodymi o sprężystych członkach i sprężystej pamięci, ale nie sięgającej z natury rzeczy tak daleko, jak może sięgnąć pamięć tych nielicznych ich kolegów, którzy byli obecni przy narodzinach Towarzystwa.

A warto przypomnieć tę chwilę. Był rok 1886. Upłynęło zaledwie lat 20 od czasu ostatecznego zlikwidowania powstania styczniowego.

W czasie tym, kiedy nie tylko wykłady na uniwersytecie i we wszystkich szkołach średnich rządowych i prywatnych musiały się odbywać w języku rosyjskim, ale w ogóle uczniom w murach szkolnych pod surowymi karami nie było wolno nawet między sobą używać języka polskiego, kiedy we wszystkich in-

stytucjach nie tylko publicznych, ale i prywatnych — handlowych, jak np. bankach, towarzystwach akcyjnych itp. księgi handlowe musiały być prowadzone po rosyjsku; kiedy system szpiclowski stosowany był na „całą parę“ nie tylko w życiu publicznym, ale prywatnym i towarzyskim, zdawało się, że chwila nie jest stosowna ani łatwa do zakładania nowych ognisk polskości.

Bo takim było od samego początku swego istnienia pośród morza przeciwności Warszawskie Towarzystwo Cyklistów.

Był rok 1886. Była wiosna. Rozzłociło się słońce budząc poryw do życia, do działania w całej naturze, a więc i w gronie pierwszych pionierów polskiego sportu, kilkudziesięciu warszawskich cyklistów, budząc ducha inicjatywy

Używano wówczas wysokich niepomniernie bicykli, a więc maszyn o pierwszym kole b. wysokim, a drugim tylnym b. niskim. Ale nie wolno było jeździć na bicyklach po mieście, bo zabraniały tego przepisy policyjne. Prawdziwa swoboda zaczynała się dopiero od rogatek. Gdzieś na Powiślu albo pod cytadelą można się było przemycać, ale chcąc zorganizować (sam ten wyraz był niecenzuralny, a co najmniej podejrzany) na przykład zbiórke na placu podówczas Saskim, trzeba było uzyskać, nie bez starań i trudności, pozwolenie oberpolicmajstra.

Pomimo tych przeciwności w dniu 6 kwietnia tego właśnie roku 1886 w mieszkaniu zapalonego cyklisty hr. Edwarda Chrapowickiego zebrało się grono amatorów, celem omówienia powyższego przezeń zamiaru założenia klubu, bo o jakimś związku sportowym, jako zbyt niebezpiecznym dla państwa rosyjskiego, nie mogło być mowy. Opracowano wspólnymi siłami projekt statutu i dzięki energii wnioskodawcy oraz jego stosunkom osobistym uzyskano zatwierdzenie.

Tak powstało „Warszawskie Towarzystwo Cyklistów“ mając jako pierwszą siedzibę placyk u zbiegu ulic Koszykowej i Kaliksta (obecnie Śniadeckich), po składzie desek Frumkina. Tu zbierano się dla treningu.

Ale nie tylko sprawność mięśni leżała na sercu założycielom Towarzystwa. Nie zaniedbywali oni ducha, jednocząc i wyrabiając młodzież ideową, prowadząc równoległe z rozwojem swego sportu również pracę kulturalno-oświatową w duchu czysto polskim. Po czterech latach bledowania na Marszałkowskiej wydzierżawiono od jednego ze swych protektorów, mianowicie księcia

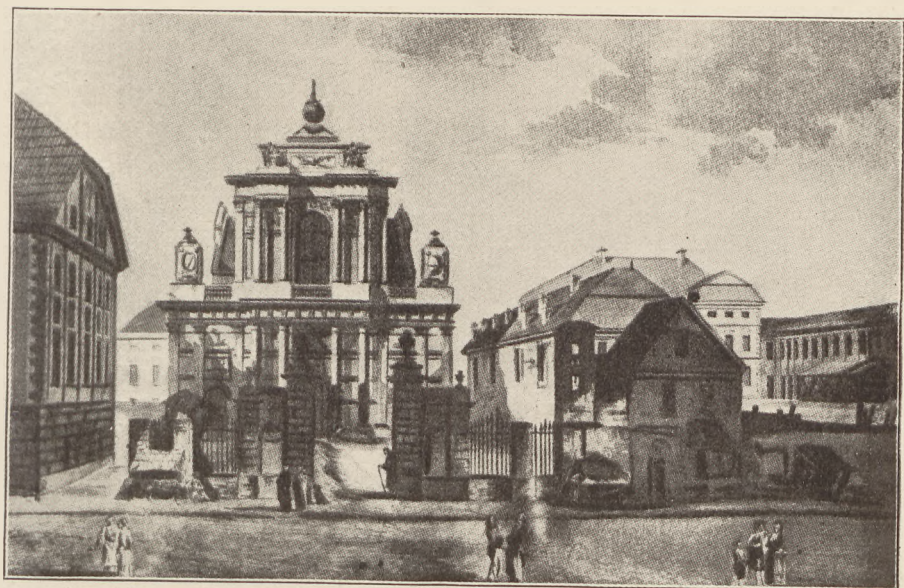
Włodzimierza Czetwertyńskiego, park na Dynasach, zasypano sadzawki, urządzono na ich miejscu welodrom ziemny, zamieniony stopniowo z biegiem czasu na betonowe tory, wreszcie na miejscu resztek ruin dawnego pałacu, który w końcu XVIII w. Karolina z Gozdzkich, rozwiedziona z marszałkiem wielkim litewskim Januszem Sanguszką, wniosła w wianie księciu Karolowi de Nassau, umontowano swą stałą siedzibę.

Nazwa tej miejscowości „Denasy“ lub spolszczona „Dynasy“ pochodzi właśnie od wspomnianego księcia de Nassau-Siegen, słynnego z przygód i podróży a znanego z opowiadanej w „Panu Tadeuszu“ przez Wojskiego:

„Historii o dziku Nalibockich lasów

„I o kłótni Rejtana z księżciem Denasow...“

Teraz Dynasy tym bardziej się spopularyzowały wśród ludności warszawskiej, że nazwa ta zespoliła się ściśle z imieniem otaczanych taką sympatią „naszych sprężystych“ członków zasłużonego Warszawskiego Towarzystwa Cyklistów.



Kościół oo. karmelitów i sąsiedni pałac Radziwiłła „Panie Kochanku“ (obecnie Rady Ministrów) w połowie XIX w. według rys. Vogla (ze zbiorów hr. Raczyńskich w Warszawie)

KAROČĄ W 4 NIEDŹWIEDZIE DO KRÓLA

Zjednał sobie zasłużenie poczesne stanowisko w literaturze światowej genialny płód fantazji Cervantesa. Któż bo nie zna poza nieco już nużącą ludzi XX wieku rozwlekłością przedziwnych przygód Don Kiszota, jego adlatusa Sanszo Panszy i pocziwego rumaka Rosynanta. Kto w dzieciństwie nie połykał Guliwera a w latach młodzieńczych plastycznych obrazów walki fantastycznego rycerza z wiatrakami, ataków na owce lub zalcanek do Dulcynei z Tobozzo, nie dopatrując się zresztą genialnych aluzyj i poetyckich przenośni.

Kto nie zna innego znów rodzaju nadzwyczajnych przygód niemieckiego barona Münhausena, siodlającego w lot kulę armatnią, lub figlów i psot także germańskiego sowizdrzała Till Eulenspiegla.

Wszystko to były figury wymyślone, twory rozbijającej fantazji poetyckiej owych czasów.

Tymczasem u nas w Polsce był taki Till Eulenspiegel z krwi i kości. Był, żył i wyprawiał sztuki niegorsze od owych, które dały sławę wymyślonym postaciom.

Był i to nie byle kto, lecz wojewoda wileński, przedstawiciel starego magnackiego rodu Radziwiłłów, syn „Rybeńki“, ksiązę Karol „Panie Kochanku“, w drugiej połowie XVIII stulecia właściciel warszawskiego pałacu, będącego dziś siedzibą Rady Ministrów, a fundator sąsiedniego kościoła oo. karmelitów.

Siedziba jego Nieśwież, miasteczko nad rzeką Górną Uszą w województwie nowogródzkim, dziś o 10 km od granicy sowieckiej położone, posiadające obecnie 8.000 mieszkańców, wrzało wtedy daleko większym życiem niż Warszawa z dworem królewskim.

W warownym, renesansowym zamku nieświeskim, położonym między dwoma jeziorami Pionierskim i Panieńskim, ścisk bywał ogromny, bo ksiązę utrzymywał dwór, jak zaznacza Wóycicki, niemniejszy od królewskiego. Pełno tam było rezydentów, pieczeniarzy i darmozjadów, kuglarzy i awanturników; był teatr i kapela, była stała załoga wojskowa. Zamek był ufortyfikowany, a wojewoda rozporządzał własnym wojskiem w liczbie 6.000 żołnierzy.

Ten to wojewoda był facecjonistą pierwszej klasy.

Toteż leciał pod stropy sal śmiech nieraz i szczery, gdy „Panie Kochanku“ wykombinował pewnego razu anegdotę o wyprawie swej na polowanie na białe niedźwiedzie „w krajach hyperbo-rejskich“.

— Taki był mróz tam siarczysty, panie kochanku, żeśmy nie strzymali — opowiadał Radziwiłł — teraz mię w gardle jeszcze strzyka, dajcie no a rychło roztruchan!

— Taki był mróz — mówił dalej, pociągnawszy sporo — żeśmy zawrócili do sań i do domu. Ale cośmy się nakłęli, napomstowali — to niech ksiądz Katembryng poświadczy.

— Ale to nic, mości panowie! Słuchajcie dalej. Kiedy przyszło lato, w Borejach wiadomo, że cieplej, więc jazda na polowanie. Kiedyśmy z sań wysiedli, sprawdziliśmy, prawda, ciepło. Więc w las. A tu na nas i stąd, i stamtąd, tuż koło ucha, prosto w nos, wymysły, klątwy i wyzwiska! Skąd, kiedy wokół nie ma żywego ducha?



Jeden z czterech kamiennych lwów przed pałacem Rady Ministrów
(fot. Władysław Brzozowski)

— Co powiecie, mości panowie? To nasze klątwy zimowe pozamarzały w powietrzu, nasze gadanie, jak zmarzło w zimie, tak teraz na odwilży odtajało... i wyrazy latały w powietrzu jak bąki!

Anegdotka naiwna, ale wystarczająca, żeby dwór nieświeski pękał ze śmiechu, a pan był z konceptu zadowolony.

Ten sam magnat miewał czasami dowcipy lepsze. Miał on w Warszawie na Bykowcu pałac, najpiękniejszy podówczas, a może dziś najpoważniejszy w Warszawie. Jest to dzisiejszy pałac Rady Ministrów na Krakowskim Przedmieściu. Zbudowany w r. 1645 przez nadwornego architekta Władysława IV i twórcę pomnika Zygmunta III Włocha Costantino Tencallę dla hetmana Stanisława Koniecpolskiego, dziś po przebudowie dokonanej w r. 1818 przez Piotra Aignera i po pożarze w r. 1852 przez Alfonsa Kropiwnickiego, wygląda on inaczej niż wówczas. Dziś attykę jego zdobi szereg figur alegorycznych, z których 5 (z dwóch krańców) pochodzi z rozebranej w latach 1817—1818 bramy Krakowskiej. Natomiast dwu wjazdów od ulicy strzegą 4 lwy kamienne dłuta Kamila Landiniego z Carrary.

Facecje Radziwiłła „Panie Kochanku“ widocznie zrosły się i z owym pałacem, gdyż jedna z nich, krążąca po Warszawie powiada, że w pewnych okolicznościach lwy sprzed pałacu Rady Ministrów żywym głosem zaryczą... Ma się to stać, gdy przejdzie przed nimi „panna“. Niestety, pomimo że tysiące przemitych osóbek niezamężnych tamtędy codzien przechodzi, lwy milczą, jak... w kamień zaklęte.

Tak samo co do owych 10 figur na attyce pałacu, Alojzy Żółkowski twierdził niegdyś, że wyobrażają 9 muz.

W XVIII stuleciu pałac był trochę zaniedbany, gdyż „Panie Kochanku“ przez dłuższy czas nie bywał w stolicy będąc z królem w niezgodzie. Mógł sobie na to pozwolić: dojeżdżał tylko do Białej podówczas Radziwiłłowskiej, dziś Podlaskiej, gdzie miał zamek nad rzeczką Krzną położony.

Z czasem jednak, doszło do zgody z Poniatowskim, który w dobrotności swej oświadczył publicznie, że nie ma już urazy do tego „litewskiego niedźwiedzia“.

Toteż książę wybrał się do niego z wizytą. W pierwszym podwórzu zamku warszawskiego stanęła pewnego ranka karetą Radziwiłła „Panie Kochanku“, zaprzężona w 4 rosłe litewskie niedźwiedzie, które wywołały straszny popłoch między ludźmi, a zwłaszcza końmi, będącymi w zaprzęgach pań i panów, przepelniających, jak zwykle, dziedziniec. „Rżenie ich, rzucanie się, łamanie dyszłów, rwanie uprzęży sprawiły wielki rozruch“ — powiada kronikarz.

Stanisław August wysłał pazia, żeby zobaczył, co się tam stało? Ten wraca i donosi, że książę wojewoda wileński Radziwiłł kazał zameldować, iż

— Niedźwiedź litewski przyjechał pozdrowić Najjaśniejszego Imć króla Jegomości.

Podczas tego to pobytu w Warszawie powołał Radziwiłł Efraima Schrögera, który budował na Miodowej pałac bankierski Tepperowi, do nadania dzisiejszej formy fasadzie sąsiedniego z pałacem kościoła św. Józefa Oblubieńca (oo. karmelitów), pokrywając wielkie koszty tej budowy.

Raz u stołu „Panie Kochanku“ przebrał trochę miarkę, a przy tym może za długo siedząc potrzebował jakiegoś ujścia dla temperamentu. Przypomniało mu się opowiadanie któregoś z domowników, że są dowody w archiwum na to, iż jeden z dawno

już zmarłych sług domu książęcego sprzeniewierzył się jego antenatom.

Zerwał się więc rozsierdziony Radziwiłł ze stołka, każe kulbać konia, przypasuje szablę, nabija pistolet i posyła wyzwanie nieboszczykowi na pojedynek pod słowem książęcym, że stanie na cmentarzu i rozprawi się z nim krzyżową sztuką lub na pistolety, co wybierze.

Posłaniec pobiegł do Fary, bo na kościelnym cmentarzu ów dworzanin był pochowany w podziemiu murowanej kapliczki. Ksiądz Katembryng, proboszcz i kapelan książęcy, ze zdumieniem owo pisemne wyzwanie przeczytał i rozmyślał, co zrobić.

Kiedy wojewoda nadjechał i stanął w rzekomym oczekiwaniu na nieboszczyka, ksiądz wyszedł z grobowca i w długim przemówieniu w imieniu zmarłego zaczął księcia przeproszać za owe winy prosząc, żeby mu darował i jego spokoju pozagrobowego nie mącił.

Ale „Panie Kochanku“ się uparł, coraz głośniejsze wołając:

— Pod kpm, niech wychodzi!

Ksiądz tymczasem widząc, że inaczej nie uradzi i trzeba użyć fortelu, posłał jednego z dworzan na wieżę, żeby uderzył w dzwony, a drugiego do zakrystii, żeby przyniósł dzwonki od Mszy i grzechotki wielkopiątkowe.

Kiedy Radziwiłł usłyszał ponury jęk dzwonów, drewniany klekot terkotek jakby stuk pischeli, nadto wołanie księdza:

— Idzie już, idzie!

czym prędzej podwinął poły żupana i wzięwszy nogi za pas dalejże uciekać ku bramie.

Wbiegłszy na komnaty zamkowe posłał po spowiednika błagając go, żeby mu wyjednał przebaczenie u zmarłego, którego już nigdy niepokoić nie będzie.

Przebaczenia tego jednakże zażądał na piśmie. I dostał je za pośrednictwem tegoż księdza Katembrynga, oczywiście po zakupieniu kilkudziesięciu Mszy za zakłócony spokój duszy nieboszczyka.

Tak się kończy nie tylko radziwiłłowski, ale każdy pojedynek głupstwa ze zdrowym rozsądkiem.



Pałac Lucypera, ongi siedziba Szczęsnego Potockiego obecnie Resursy Kupieckiej

TAJEMNICE „PAŁACU LUCYPERA“

Jak są nieraz ludzie mający „pecha“, tak samo bywają prześladowane przez los również obiekty martwe, na przykład pewne domy, lokale itp. Znane są kamienice „uprzywilejowane“ przez różne klęski natury materialnej: kradzieże, pożary etc.; lokale sklepowe, gdzie żadne przedsiębiorstwo nie utrzyma się kończąc bankructwem; hotele „ulubione“ przez samobójców itp. Są też posesje i gmachy tradycyjnie pechowe, z którymi związane są niedole natury jakby na urągowisko zdrowemu sensowi... zwanej „moralną“.

Do takich należy pałacyk przy ulicy Senatorskiej nr 40, gdzie się mieści tak szanowna instytucja, jak Resursa Kupiecka, w której salonach w pamiętnym dniu 27 lutego 1861, po krwawej masakrze na Krakowskim Przedmieściu, wybrano delegację do namiestnika Gorczakowa ze skargą na generała Zabołockiego

za mord tzw. „Pięciu Poległych“. Pech zawisł już wcześniej nad gmachem, będącym od roku 1829 siedzibą resursy, a znanym wśród ludności warszawskiej pod nazwą „Pałacu Lucypera“.

Stał w tym miejscu od wieku XVI wielki dwór drewniany Ossolińskich, potem Kazanowskich, Radziejowskich i Reyów, o którym Adam Jarzębski, „muzyk“ jego królewskiej mości Władysława IV, pisze w swym „Gościńcu albo opisanu Warszawy 1643 r.“:

*W budynku kształt z proporcją,
Wielki jest w przestronności
I budynek w ogromności,
Wydatny na ludzkie oko;
Widać go dosyć wysoko.
Tam zwykło myślistwo stawać.*

W owym czasie (r. 1643) dwór ten myśliwski, leżący za miastem, był własnością ulubieńca królewskiego, marszałka nadwornego Adama Kazanowskiego, posiadającego na Krakowskim Przedmieściu pałac słynny ze swej architektury w całej Europie, a dziś w zmienionej do niepoznania postaci będący siedzibą Warszawskiego Tow. Dobroczynności pod egidą na frontonie wypisaną „*Res sacra miser*“.

Dwór myśliwski przy ul. Senatorskiej, stojący w poprzek dwu włók świętokrzyskich, Reyowie sprzedali Lipskim i wtedy wynikł spór — pierwszy pech. Do gruntów tych rościli prawa księży misjonarze. Długo trwał proces ze zbrojnymi najazdami i gwałtami, aż sprawa zakończyła się układem.

W r. 1730 dwór nabył od Lipskich marszałek wielki koronny Józef Wandalin Mniszech, który na miejscu drewnianego kazał sobie wznieść tutaj pałac murowany, niewielki, ale bodaj że najwspanialszy w mieście. Zdobiły go piękne posągi i rzadkie malowidła, wspaniały ogród z wodotryskami itd.

Od Mniszchów w spadku rodzinnym pałac ten przeszedł do Potockich. I to pech drugi, gdyż w ostatnich dziesiątkach lat XVIII wieku zamieszkiwał go nieszczęsny Szczęsny Potocki, jurgeltnik moskiewski, targowiczanie i zdrajca.

Smutne były jego ostatnie chwile, przytacza Bronisław Szwarce za Chrząszczewskim. Nieraz widywano go z wlepionymi w jakikolwiek przedmiot oczyma po całych godzinach w milczeniu ponu-

rzym zadumanego; nie kazał wpuszczać do swego pokoju żony (pośądzał ją, że go truła), a synowi gniewu jawne dawał oznaki.

Tym synem był Szczęsny Jerzy, który miał potajemny romans ze swoją macochą Greczynką (słynną z piękności Zofią Celice Clavone). To ojca dobiło. Ciało mu zgniłe odpadało od kości za życia. Gdy po śmierci zwłoki jego tymczasowo złożono w kaplicy przy cmentarzu, złodzieje odarłszy je z bogatego munduru generała moskiewskiego postawili nagie przy ścianie.

Następnie pałac ten został siedziskiem „Łoży Masońskiej” i przez zabobonną ludność warszawską omijany od tej pory nazywany był „pałacem Lucypera”.

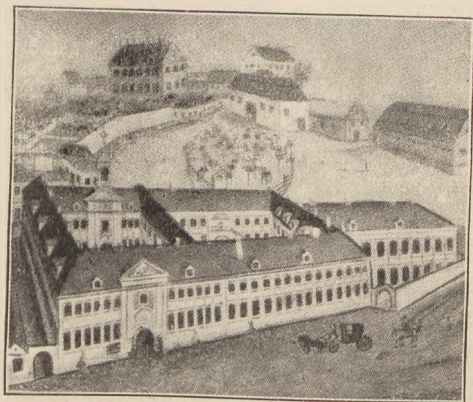
Nazwa ta nie odstraszyła urzędującego w Warszawie za czasów „pruskich” E. T. A. Hoffmana, muzyka, twórcy oper i sławnego autora opowieści fantastycznych, który założone przez siebie w r. 1800 w pałacu Ogińskich Towarzystwo Muzyczne „Harmonia” przeniósł wkrótce do dzisiejszego pałacu Resursy Kupieckiej, gdzie dawał koncerty.

Obciążony długami, zniszczony pogorzelą (trzeci pech) w r. 1805 i opuszczony przez właścicieli pałac nabyty został w części przez urzędnika pruskiego Wilhelma Mosqua (Moskwa), który jednak nie mógł podolać ciężarom. Pałac w r. 1828 zajęty został przez głównego wierzyciela szambelana Antoniego Hussarzewskiego i sprzedany przez licytację Józefowi Kaplińskiemu. Ten wynajął go Ledóchowskiemu na skład mebli. Wtedy to całe bogate i wykwintne wnętrze uległo zniszczeniu.

Odrestauirowany został dopiero, gdy go w trzecim dziesiątku lat XIX w. nabył Piotr Steinkeller i gdy przeniosła się tu z ul. Miodowej Resursa Kupiecka, która cały gmach w r. 1829 stosownie urządziła. Przebudował go dla niej kompletnie arch. Adolf Franciszek Schuch, syn Jana Chrystiana, twórcy parku łazienkowskiego, intendenta ogrodów królewskich.

Resursa Kupiecka w chwili swego założenia, skupiająca na razie tylko przedstawicieli stanu kupieckiego, który po części był izolowany, po części sam się izolował, wkrótce zaczęła grać wśród „górných” warstw społeczeństwa ożywioną rolę skupiając wielu wybitnych obywateli. Rola ta w przełomowych czasach 1830—31 oraz 1861—63 była polityczna, w spokojniejszych okresach towarzysko-społeczna. Słynne były np. w Resursie Kupieckiej koncerty (w 1829 grał tu Chopin), przyjęcia i bale, mające opinię wyjątkowo wytwornych.

Ale pech poza już wyżej wymienionymi wypadkami nieraz dosięgał w różnych okresach ten gmach. Stąd porwany został przez siepaczy moskiewskich Kajetan Sołtyk, tu popełnił samobójstwo jeden z wielkich uczonych polskich a zięć Szczęsnego, Jan hr. Potocki, słynny podróżnik, tu wreszcie w roku 1935... Wystarczy jednak i tego.



Pierwotne zabudowania Domu dla Podrzućków i Szpitala Dz. Jezus przy placu Wareckim.

Gmach poczty i telekomunikacji na rogu ul. Poznańskiej i Nowogrodzkiej (fot. Photo-Plat.)



NAJWYŻSZE GMACHY WARSZAWY

Warszawa, jak i inne miasta, powstałe w średniowieczu, zamknięta w ciasnym kole murów obronnych, rosła pierwotnie nie tyle wszerz, ile w górę. Na jednym łokciu kwadratowym ziemi wyciągano wielopiętrowe naówczas budynki, najpierw drewniane, potem murowane, czego przykładem rynek Starego Miasta oraz przyległe ulice. Były to domy mieszczańskie. Z chwilą przeniesienia do Warszawy sejmów, a w końcu XVI w. i samej stolicy, zjeżdżający tu magnaci zaczęli za murami miejskimi, nie krępując się miejscem, wznosić obszerne dwory, nie tyle wysokie, ile rozległe, a otoczone parkami. Tak powstały w wieku XVII i XVIII istniejące do dziś pałace, będące wzorem przeważnie baroku.

Należy nadmienić, że wiele z nich zmieniło w mniejszym lub większym stopniu swą szatę zewnętrzną i wewnętrzną, gwoili innemu, praktycznemu przeznaczeniu. Inne znikły zgoła z powierzchni ustępując miejsca dochodowym kamienicom.

Że historia się powtarza i śródmieście z biegiem lat przesunęło się poza obręb starych a już zburzonych murów na miejsce dawnych peryferyj, tu więc w sąsiedztwie owych pięknych pałaców lub na miejscu powstałych już na ich gruncie parupiętrowych domów wyrastają kolosy, imponujące wysokością obywatelowi, nieprzyzwyczajonemu do widoku amerykańskich „skyscryperów“.

Pierwszym takim budynkiem, wywołującym podziw swą wysokością, była dla Warszawy „Baszta Cedergrena“ przy ul. Zielnej. Pierwszy gmach Centrali Telefonicznej zbudował tu na posesji nr 37/1408, według planu arch. J. G. Clasona ze Stockholmu, zmarły w r. 1921 inż. arch. Bron. Brochwicz-Rogóyski, ten sam, który wybudował dom Gebethnera i Wolffa na rogu ul. Zgody i Sienkiewicza oraz dom Warsz. Tow. Wioślarskiego na Foksalu (dziś ul. Bronisława Pierackiego).

W kilka lat później, bo w r. 1908, na sąsiednim placu nr 39/1407 stanęła według projektu szwedzkiego architekta Artura Gurnera, od fundamentów 63 metry, a od poziomu ulicy 51 i pół metra wysokości licząca „Baszta“. Zajmuje ona sobą 400 m² placu, a kubatura jej wynosi 26 i pół tysiąca m³. Budowa tego kolosu trwała około 4 lat. Kiedy była ukończona, zjeżdżano z dalekiej prowincji, by ten dziw oglądać.

A teraz?

Teraz uwagę prowincjonalisty, łakomego na rzeczy godne obejrzenia w stolicy, zwraca przede wszystkim gmach „Prudential House“ na rogu placu Napoleona i ul. Świętokrzyskiej. I to nie dlatego, żeby był znacznie wyższy od Cedergrena, bo mierzy od poziomu chodnika 66 m wysokości, wobec 51,5 m Cedergrena, ale dlatego, że jest podzielony na 16 pięter i że opanowując chaotyczną architekturę placu Napoleona, tworzy interesujące zamknięcie perspektywy od ulic Szpitalnej i Brackiej oraz że będąc widocznym z wielu punktów śródmieścia stanowi w architekturze Warszawy wydatny akcent urbanistyczny. A Cedergren zamknięty jest w ciasnej stosunkowo ul. Zielnej.

Gmach ten, wzniesiony według projektu inż. arch. Marcina

Weinfelda oraz projektu fundamentów i konstrukcji żelaznej prof. inż. Stef. Bryły, zajmuje powierzchnię 1,918 m². Do budowy jego użyto przeszło 1500 ton żelaza, 2000 ton cementu i z górą 2 miliony cegieł.

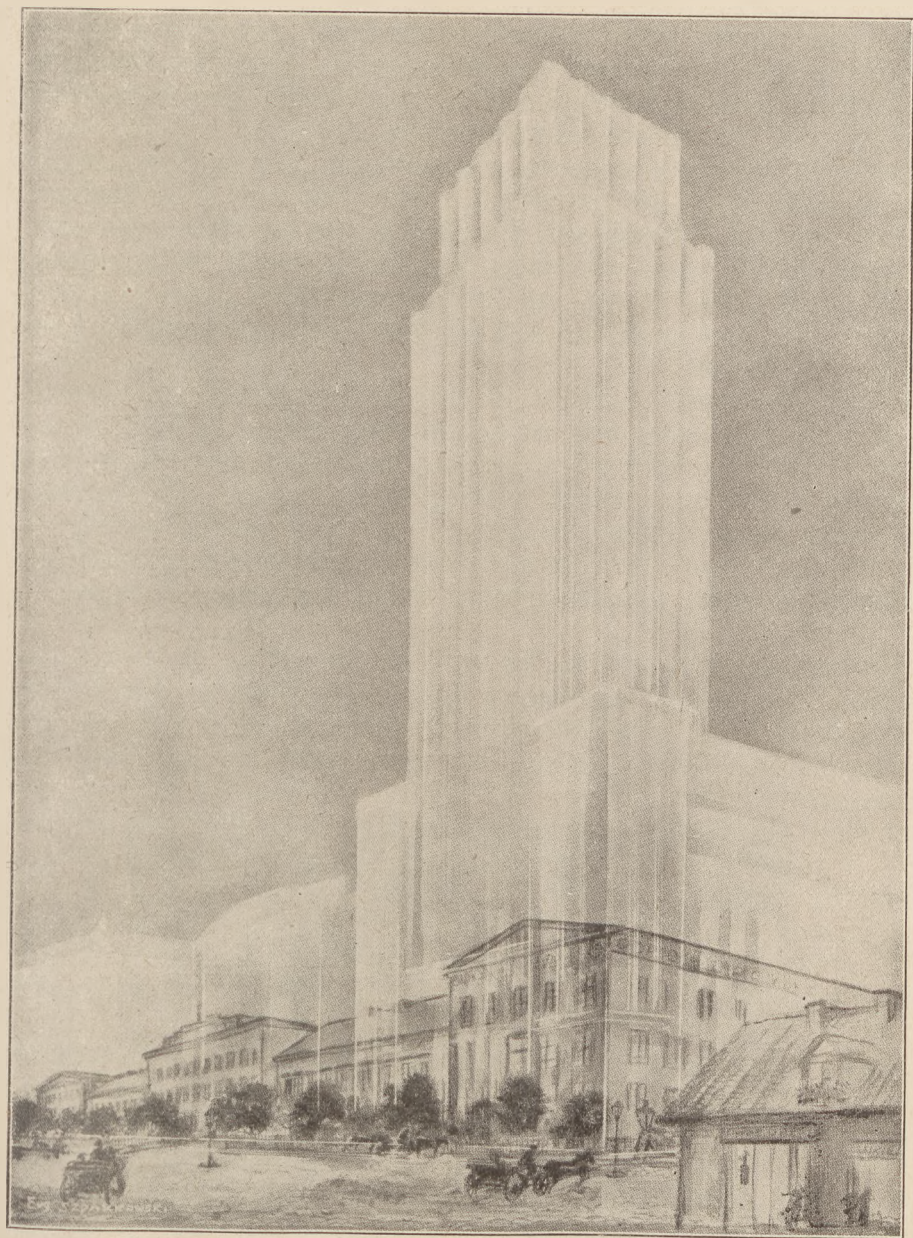
Z powstaniem tego kolosa wiąże się pewna anegdota, ku zdziwieniu P. T. Czytelnika, autentyczna. Oto po zburzeniu istniejącego od roku 1757 między ówczesnym placem Wareckim a ul. Marszałkowską, ulicami Świętokrzyską a Przeskokiem — szpitala Dzieciątka Jezus i po rozparcelowaniu jego gruntów pod ulice: Jasną, Sienkiewicza i Moniuszki — działki, na której stanął teraz „drapacz nieba“, należały do rodziny Ajzensztadtów, właścicieli domu nr 4 przy sąsiedniej ul. Moniuszki.

Otóż na korzyść tej ostatniej nieruchomości w książce hipotecznej wpisana była służebność światła i widoku, obciążająca plac „drapacza“. Ponieważ olbrzym ten zasłonił widok niektórym oknom kamienicy z Moniuszki, więc rodzina Ajzensztadtów wystosowała na wiosnę 1934 r., kiedy już gmach był na wykończeniu, rejentalne wezwanie do dyrekcji „Prudential House“ żądając ani mniej, ani więcej, jak niezwłocznego zburzenia 16-piętrowego gmachu!

Oczywiście, cel tego wezwania był jasny i musiało się znaleźć wyjście z sytuacji, ale na razie właściciele domu przy ul. Moniuszki nie chcieli słyszeć o pieniężnym załatwieniu sporu i domagali się kategorycznie zrównania z ziemią najwyższego gmachu w Warszawie.

Tak czy owak, ale fakt faktem, że na gruzach wspomnienia o dawnym szpitalu Dz. Jezus powstał gmach, wysokością swą nowoczesną świdrujący niebo.

Za głowę złapałby się zacny inicjator i twórca szpitala na placu Wareckim ksiądz Piotr Gabriel Baudouin, jak i wykonawcy jego planów architektki Antonio Fontana (1690—1758), Alex de Grofé (1771—1808), Andrż. Gołński (1799—1854), budowniczemu domu położniczego przy ul. Zgoda, oraz Wład. Kosmowski (1830—1889), który wznosił gmach prosektorium od ul. Zgody, wreszcie sam nawet Józef Pius Dziekoński (1844—1927), twórca nowego kompleksu zabudowań szpitalnych między ulicami: Żelazną, Oczki, Chałubińskiego a Nowogrodzką (dawny Folwark Świętokrzyski na Koszykach) — gdyby dane im było z grobów powstać i spojrzeć na to, co dziś na miejscu szpitala się dzieje, na tę sieć ulic nowych, na 16-piętrowego olbrzyma...



Dawny plac Warecki ze szpitalem Dzieciątka Jezus a dzisiejszy plac Napoleona z obecnym drapaczem chmur, widziany od rogu ul. Mazowieckiej (rys. Eug. Szparkowski)

Mówiąc o tym gmachu nie [podobna nie zwrócić uwagi na dwie piękne symbolowe wypukłorzeźby Ryszarda Moszkowskiego, polskiego artysty-rzeźbiarza z Paryża, umieszczone od ulicy nad dwoma wejściami na wyższe piętra.

Jeśli nie wysokością, to kubaturą imponuje znów inny gmach w latach 1928—33 powstały między ulicami św. Barbary, Poznańską a Nowogrodzką. Gmach ten w stylu nowoczesnym, według projektu inż. Butermana wzniesiony, wysoki jest częściowo 24 m, częściowo zaś 30 m, posiada jednak wieżę wysokości 42 m. Kubatura, czyli pojemność jego, sięga 120 000 m³.

W gmachu tym, odznaczającym się wyjątkową przy nowoczesnym stylu harmonijnością i proporcjonalnością linii, mieszczą się (w roku 1934) od ul. Barbary nr 2 biura: wydziałów technicznych Dyrekcyj Poczty i Telegrafów tudzież Ministerstwa, Muzeum poczty i telekomunikacji, wreszcie urząd techniczny — Warszawa. Od ul. Nowogrodzkiej nr 45 znajdują pomieszczenie: telegraf, telefon międzymiastowy i urząd pocztowy Warszawa — 30.

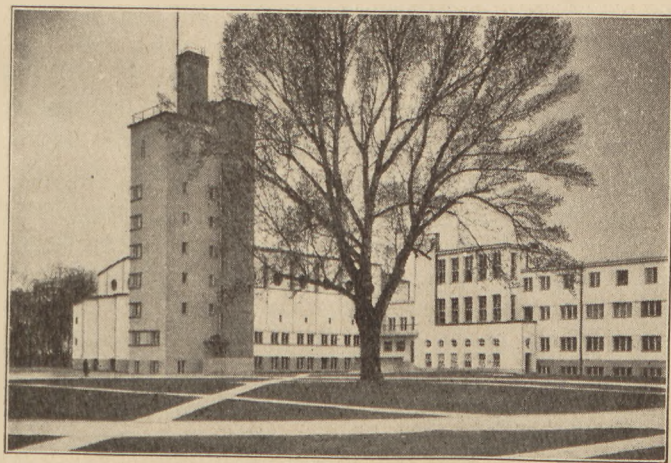
W innej dzielnicy miasta, bo przy ul. Kopernika nr 36/40 stoi gmach oryginalny zarówno w planie przyziemia, jak i całej strukturze. Jest to gmach Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych, wykończony w roku 1928 według projektu inż. arch. Jawornickiego. Postawiony na miejscu dawnej targowicy, przeniesionej na plac Kercelego, a założonej w obrębie b. jurydyki Aleksandrii przez hr. Seweryna Uruskiego i od jego imienia nazwanej Sewerynowem, zwraca on uwagę nie tyle zajmowaną przestrzenią placu lub wysokością czy też kubaturą, ile wrażeniem ogromu. Wywiera je potężna baszta środkowa, z daleka już górująca nad Warszawą, gdy się dojeżdża ku stolicy od strony Pragi.

Są tu biura ubezpieczeń płonów od gradobicia i budynków od pożaru, który potężnym murem tego gmachu nie grozi. Ale była chwila w wieku XVIII, kiedy klęska ognia dotknęła stojący pośród znajdującego się tu parku wspaniały pałac słynnego z waleczności i awantur księcia de Nassau Siegen, o którego kłótni z Rejtanem wspomina Mickiewicz w 12. księdze „Pana Tadeusza“, przez usta Wojskiego.

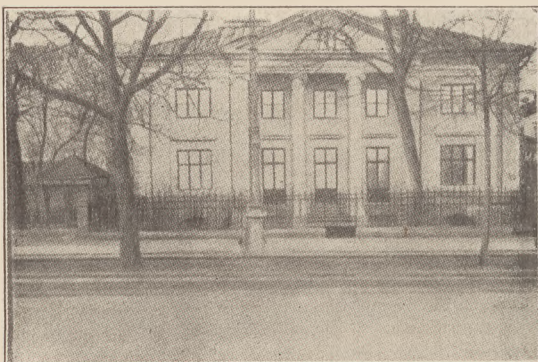
Do tego szeregu gmachów zbliżony jest stylem kompleks zabudowań Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego

na Bielanych (ul. Marymoncka nr 90). Któż nie zna popularnego skrótu C. I. W. F., który przypomina dziś w miejsce dawnego „firyka z marymonckiej mąki“ ogorzałe po dahomejsku i jędrne golenie i bicepsy CIWF-owych bielańczyków.

Zabudowania Instytutu, mieszczące m. in. zakłady: biometrii, fizjologii, chemii i anatomii, muzeum itd., wzniesione w latach 1927—29 według projektu inż. arch. Norwertha, nie imponują rozmiarami, ale wystrzelająca z nad 80-hektarowego terenu wieża około 30-metrowej wysokości z daleka głosi imponującą zasługę społeczno-wychowawczą tej placówki i jej wielkie znaczenie państwowe.



Centralny Instytut Wychowania Fizycznego na Bielanych
(fot. H. Podłębski)



KARTKA Z DZIEJÓW ALEI UJAZDOWSKICH

Ma Paryż swoją *Avenue des Champs Elysées* — ma Warszawa swoje Aleje Ujazdowskie. Wprawdzie nieco młodsze od tamtej, ale i tam zaledwie przed stu laty zamknięto bajeczną perspektywę wzniesionym w r. 1836 Tryumfalnym Łukiem Zwycięstwa.

Arc de Triomphe!

Warszawa nie ma (w r. 1937) ani jednego łuku, choćby się przydał na placu Marszałka Piłsudskiego. Coś skromniejszego niż Łuk *Carroussel*u, coś mniejszego od łuków Tytusa czy Konstantyna w Rzymie. Łuk Zwycięstwa! Łuk Niepodległości!

Plac Marszałka po prostu prosi się o to zamiast niefortunnych projektów, pragnących pokryć go utrudniającym ruch pieszy dywanem trawników, sekundowanym polichromią sąsiednich kamienic!

Jedyny projekt łuku tryumfalnego w Warszawie na pamiątkę wjazdu Aleksandra I w r. 1815 wolą carską zrealizował się po latach dziesięciu w aignerowskiej postaci kościoła Św. Aleksandra, zamykającego perspektywę Alei Ujazdowskich.

Aleje! — To ulubione miejsce spacerów warszawian stanowiły w ciągu XIX wieku całe pasmo ogrodów z porozrzucanymi wśród

nich willami i pałacami *high-life'u* warszawskiego. W ciągu jednak ostatnich lat 50 padły pod siekierą wyniosłe i piękne drzewa, a miejsce ich zajęły nieraz wielkie kamienice, kłócące się często z estetycznym otoczeniem. Wystarczy jeden przykład, bodaj że najjaskrawszy: secesyjna kamienica sukces. M. Spokornego na rogu ul. Szopena. Niech Bóg jej twórcy, zmarłemu w roku 1928 arch. Dawidowi Landemu (z miasta Łodzi), tego śmiertelnego grzechu nie pamięta!

Nie odpuściłby go ani Fr. Arveuf, autor przeciwległej willi Rzyszczewskich, ani tym bardziej Corazzi, twórca pałacików nr 25 i 49 w Alejach, ani dynastia Marconich, którym zawdzięczamy dziesiątki pięknych, stylowych budowli w tej dzielnicy. Dość wymienić monumentalny wysoce szlachetny w liniach dom Antoniego Strzałeckiego z dwoma tytanami, podtrzymującymi balkon po dwu stronach bramy (Aleja Ujazdowska nr. 34).

A wszystkie wymienione budynki od ul. Piusa XI do kamienicy Spokornego włącznie i dalej ku Al. Róż stanęły w miejscu, gdzie w połowie wieku XVIII było pustkowie, należące do wsi Ujazdowa. W r. 1768 oddano je oo. bazylianom pod budowę konwiktu dla młodzieży ruskiej. Księżom jednak zabrakło pieniędzy na budowę i zrzekli się gruntów, które włączono do Łazienek. Tak trwało do roku 1825.

W księdze hipotecznej nr 1713 pałacyku nr 25 przy rogu ulicy Pięknej znajduje się akt następujący: „Komisja Nadzoru Budowli Korony postanowieniem Xięcia Namiestnika Królewskiego z 7. X. 1825 nr 7822 tytuł własności przyznany 10. V. 1823 kapitanowi Stanisławowi Śleszyńskiemu za opłatą czynszu rocznego złp. 90 zmienia na wieczysto-emfiteutyczną z warunkiem, ażeby czynsz roczny złp. 90 poprzednio ustanowiony za uzyskaniem takowego dobrodziejstwa do kwoty złp. 100 zwiększony został. Udziela się Stan. Śleszyńskiemu, kapitanowi batalionu saperów, konsens na posiadanie gruntu do Majętności Łazienek Królewskich należącego, po-bazylikańskie zwanego, morgów ośm nr 8 prętów stosiedmnaście nr 117 na lat 40 od poprzednio nadanego konsensu z 23. V. 1923 (?)“.

Akt podpisał „Prezes Wielki Marszałek Dworu A. Broniec“. Budynki na tym gruncie były drewniane. Dopiero 5. VI. 1826 r. Urząd Muncypalny Miasta Stołecznego Warszawy za podpisem Rady Stanu Prezydenta Woyny zezwolił dla odróżnienia tego

gruntu od sąsiedniego, należącego pod tymże nr 1713 do Szanowskich, oznaczyć posesję Śleszyńskiego literą B.

Uzyskawszy to Stanisław Śleszyński i jego żona Gertruda Emilia z Jakubowskich w połowie roku 1826 przedsięwzięli wspólnie z jakimś Józefem Foxem budowę pałacyku. Plany sporządził Antonio Corazzi, twórca teatru Wielkiego, pałacu Staszica i Mostowskich, trzech gmachów na placu Bankowym itd. Dziś (w r. 1937) niebezpieczeństwo grozi tej pamiątkowej pod względem historycznym posesji nr 25/1713 B w Alejach Ujazdowskich przy rogu ul. Piusa XI (Pięknej). Jest to pałacyk empirowy, piętrowy, z dwiema jońskimi kolumnami od frontu, własność obecnie pp. Kirchmajerów. W pałacyku tym, przedstawiającym wewnątrz obraz kompletnego zniszczenia, w pierwszych dniach powstania listopadowego miał kwatery sztab artylerii. Pułki rosyjskie i wierny ks. Konstantemu pułk polski strzelców konnych gwardii z gen. Kurnatowskim — stały wtedy za ulicą Nowowiejską (dziś 6 Sierpnia), a potem odsunęły się za ówczesne roгатki, gdzie ks. Konstanty obrał sobie kwatery w zachowanej do dziś karczmie w Wierzbnie.

Pałacyk ten lada chwila by runął, bo mimo że zarejestrowany jako zabytek, podlegał właściwie ochronie i winien być otoczony opieką, nie był b. długo wewnątrz remontowany jakby rozmyślnie, żeby się rozsypał w ruinę. Stał pustką niezamieszkaną. W księdze hipotecznej pałacyku nr 1713-B zanotowane są kolejno m. in. następujące pozycje:

1. IV. 1833 Śleszyńscy oddają posesję w dzierżawę Janowi Riedlowi za sumę złp. 10.000 rocznie na rok jeden.

8/20. VII. 1836. Cukiernik Ludwik Chrościcki dzierżawi w ogrodzie „Altanę“ i piwnicę do spółki z właścicielem „przez lato tylko, ten ugodził się bowiem za utrzymywanie w ogrodzie różnych chłodników złp. 150“.

Latem 1836. Sadownik Wojciech Dobrzeński wydzierżawił „same frukta tylko tegoletnie za 300 złp.“

21. VI. 1838. Śleszyńscy wypuszczają dom na lat 3 „na kwaterek dla wojskowych rosyjskich po 10.000 złp. rocznie od 1. VII. 1838“. Kontrakt zawarty z „Komisją Kwaterniczą Miasta Warszawy“.

1. I. 1843. Dom oddany na mieszkanie konsula Wielkiej Brytanii pułkownika wojsk angielskich Gustawa Karola du Plat za cenę roczną 3.000 złp. równą 450 rb. sr.

5. XI. 1844. Dzierżawili ogród Karol i Julianna Szczepańscy.

29. IX. 1845. Wynajęto na 3 lata pałacyk po 500 złp. rocznie Andrzejowi Boholubowowi, radcy dworu, inspektorowi Szkoły Felczerów na szkołę, a resztę lokalu za 300 złp. rocznie na mieszkanie inspektora.

24. X. 1846. Stanisław Józef Franciszek Śleszyński, podoficer 2 batalionu, 4 Muszkieterskiej rotty, 11 Muromskiego pułku piechoty, konsystującego w Wilnie, uwzględniając długi, poczynione przez ojca na urządzenie ogrodu „Dolina Szwajcarska“ zwanego, sprzedaje ojcu swemu kpt. Stanisławowi Śleszyńskiemu swoją połowę posesji nr 1713-B, odziedziczoną po zmarłej w r. 1837 matce, za sumę 6.000 r. sr., czyli prawie 40.000 złp. Przez lat niespełna 30 posesja ta należała do Śleszyńskich. Dopiero 13/25. V. 1852 przeszła na własność w połowie Stanisława i Rozalii z Żydoków małż. Dziechcińskich, w połowie zaś Antoniego i Pelagii z Bemów małż. Winnickich — za sumę złp. 190.000 równe rb. sr. 28.500 i porękawicze rb. 150 (!).

Winnicy 15/27. V. 1857 sprzedali swą część Karolinie z Wisnowskich Wedel.

Dnia 7. I. 1860 kupuje od Dziedzickich pałacyk za 61.300 r. sr. Stecki, a od tego w dniu 16. IX. 1863 r. Daniel Lesser za 54.000 rb. srebrnych

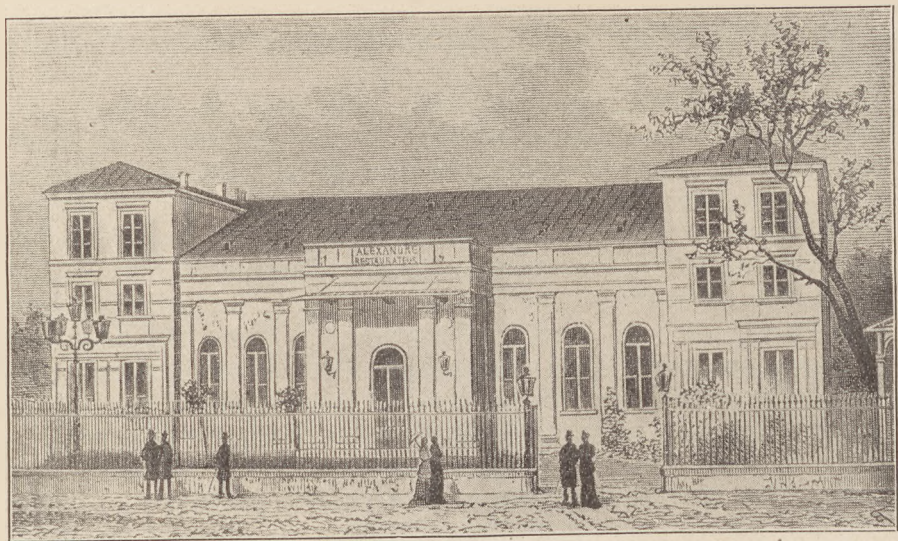
Dopiero w r. 1866 pałacyk z gruntem kupuje za 188.000 rb. sr. Emilia z Aszertów Lesserowa, która w maju r. 1912 sprzedaje posesję Ryszardowi Edwardowi Kimensowi za 203.151 rb. 50 kop., a ten w kwietniu następnego roku 1913 odstępuje ją za 203.500 rb. sr. Franciszkowi Salezemu Potockiemu.

Takie są dzieje przedwojenne tego zabytku.

Po wojnie dopiero w r. 1928 za aktem, zeznanym 15. II., nieruchomości ta przeszła na własność w dwóch trzecich na Sp. Akc. Zakłady Przemysłowe „Strzemieszyce“, a w jednej trzeciej części, właśnie pałacyk, na p. Janusza Kirchmajera niepodzielnie za 75.000 dolarów.

Ciekawe jest jak zmieniał się szacunek pałacyku wobec wyznaczonych z biegiem lat licytacji, a więc był on: w r. 1901 — 65.000 rb., 1912 — 150.000 rb., 1921 — 300.000 marek, 1927 — 400.000 zł.

Jak wspomniano wyżej, Śleszyński zaraz po nabyciu prawa własności do gruntów po-bazylikańskich, na znacznej ich części,



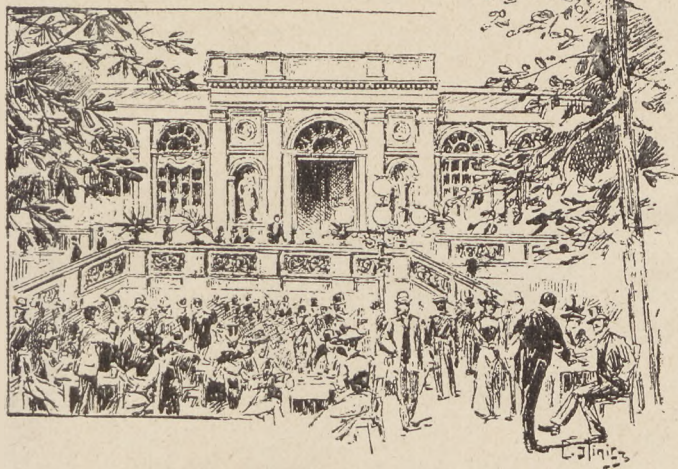
Dolina Szwajcarska od str. Al. Ujazdowskich w roku 1880
(z „Ill. Przew. po Warszawie“ Gomulickiego i Szmidberga)

odleglejszej od budowanego pałacyku, a pełnej wzgórz i parowów, urządził ogród publiczny, nazwany „Doliną Szwajcarską“. Wzniósł tam kilka altan w rodzaju szwajcarskich domków górskich i wynajmował je różnym przedsiębiorcom: cukiernikom, piwarzom, kielbaśnikom itp. Na lato sprowadzał orkiestrę, która przygrywała spacerowiczom. Różni tu swe mazurki, krakowiaki i kujawiaki: słynni Rajczak i Łodwigowski...

Następni właściciele „Doliny“ — Dziechcińscy zbudowali w r. 1855 podług planu arch. Ignacego Leop. Essmanowskiego zimowy gmach koncertowy z salą największą podówczas w mieście, bo o 1.600 łokci kw. powierzchni. Gmach ten powiększył i ozdobił w r. 1867 nowy właściciel, znany warszawski kupiec bławatny Włodkowski.

Ten wynajął salę słynnemu restauratorowi ulubionego przez obywatelstwo Hotelu Krakowskiego Aleksandrowi Jałoszyńskiemu. Tu też dawał sobie *rendez-vous* cały *beau-monde* warszawski. W ciągu całej drugiej połowy wieku XIX „Dolina“ była ulubionym miejscem zabaw i spotkań eleganckiego świata Warszawy. W ogrodzie koncertowały tu co rok sprowadzane z zagranicy słynne orkiestry: Bilsego, Straussa, Fliegego, Mans-

Dolina Szwajcarska od strony ogrodu podczas koncertu — rok 1875 (rys. L. Ilinicza)



felda i Laubego oraz swojskie: Osmańskiego i Namysłowskiego. Urządzano tu „Noce Weneckie“ i maskarady ogrodowe, powtarzane zimą wewnątrz gmachu. Przez szereg lat był tu cyrk letni, w którym na zimę urządzano ślizgawkę.

Tu też był pierwszy w Warszawie „Skating-ring“, czyli ślizgawka na kółkach, zanim po latach 20 urządzono wrotniko w „Colosseum“ na Nowym Świecie.

W cyrku tym w r. 1887 odbyła się pamiętna demonstracja studencka przeciwko Tantiemu, clownowi Salomonskiego, za jego ubliżające Polkom błazeństwa.

Wreszcie Warszawskie Tow. Łyżwiarskie nabyło cały teren Doliny wraz z gmachem, zasłoniętym dziś przez dom Spokornego.

Wracając do pytania jaki los czeka zabytek historyczny na rogu ulicy Pięknej (Piusa XI) i Alei Ujazdowskiej, nie będziemy się sprzeczali o to, czy wartość realna tego obiektu wzrasta czy upada, to pewne jest jednak, że wartość moralna, jako dworu, w którym opracowywał swe świetne plany wojenne szef sztabu gen. Ignacy Prądzyński, plany, niestety, wskutek chwiejności naczelnych wodzów niewykonywane — jest do tej pory niezmienna. Winna być przeto zachowana.



Most Anny Jagiellonki wprost dzisiejszej ul. Mostowej wyobrażony na widoku Warszawy w dziele Jerzego Brauna i Franciszka Hogenberga: „Theatrum Urbium praecipuarum mundi“, wydanym w Kolonii w lat. 1593—1613

ŚWIĘTO WISŁY

Na wsi jeszcze jako tako, ale w miastach, a przede wszystkim w Warszawie o święcie „sobótek“ nie wszyscy wiedzą, a nawet ci, co znają je jako zwyczaj starosłowiński, obchodzony niegdyś ku czci słońca wieczorem najdłuższego dnia w roku, nie łączą go w pamięci z obchodem wianków.

A przecież jest to to samo, ten sam zwyczaj „kupały“, jeno zmodyfikowany, bo przystosowany do miejsca i czasu, a przede wszystkim do ludzi.

A więc nikt w Warszawie ognisk nie rozpala i przez nie nie skacze, coraz rzadziej panny wianki swe puszczają, przynajmniej na wodę, bo zwyczaje te zachowały się tylko u ludu. Żaden też z chłopców o wianek na wodzie by się nie ubiegał, zwłaszcza w okresie łatwo wywrotnych kajaków. Lasek pewniejszy, a jednak i do lasku po kwiat paproci nikt się nie fatyguje.

Ale żeby tradycji stało się zadość, zamiast „sobótek“ i „kupały“ organizuje się na Wiśle „wianki“.

Najpierw urządzali je w Warszawie przewoźnicy i piaskarze jako łącznicy między starym a nowym zwyczajem. Rozpalali jeszcze na brzegu, a jeśli woda była niska, to na ławicach piasku pośrodku Wisły beczki smolne lub po prostu ogniska, co było bardzo efektowne, zwłaszcza w nocy. Dziewczęta ich istotnie zwijały wianuszki, przymocowywały do deseczki z zapaloną świecą i puszczaly z biegiem wody. Kto chciał, ten je gonił, czasami złapał, o ile miał na dziewczynę ochotę. O ile ona chęć miała odbywało się bez tej gonitwy. Już było po wianku.

Z czasem udział w tych obchodach zaczęły brać warszawskie cechy, młodzież rzemieślnicza pod wodzą starszych swoich majstrów, a ludność stolicy przyglądała się tym igrzyskom na wodzie z mostu najpierw drewnianego wprost ulicy Bednarskiej, potem od r. 1864 z żelaznego mostu Kierbedzia.

W tym okresie batutę nad tym obchodem czysto słowiańskiego charakteru trzymał ze znikomym zresztą efektem pierwszy w Warszawie Klub Wioślarski, założony przez Niemców pod nazwą „*Yacht Club*“ mający swą siedzibę na lądzie praskim na wale wprost parku.

Z chwilą założenia Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego „*Yacht Club*“ upadł i ono objęło ster życia klubowego na rzece mając swą siedzibę w pobliżu mostu Kierbedzia. Polscy więc wioślarze zaczęli organizować „wianki“. Były to czasy najświetniejsze. Miasto się wyludniało. Co żyło, biegło przed wieczorem nad Wisłę, by na razie bezpłatnie, a po paru latach za drobną opłatą zająć miejsce na prawym chodniku mostu, skąd najlepszy był widok.

Pierwej jeszcze, bo z początkiem XIX stulecia, jak wspomnieliśmy już za Wóycickim, w obchodzie tym brały udział „wszyst-

kie cechy, równo jak obywatele i najuboższe rodziny, gdzie tylko było młode dziewczę“.

„Już od godziny 4. po południu tłumy ciągle przepełniały ulicę Bednarską, most pływający na łyżwach (a potem żelazny), całe wybrzeża nadwiślańskie tak od strony Warszawy, jak i Przedmieścia Pragi.

Niektóre cechy, jak szewców, stolarzy, rybaków i rzeźników ogromne wieńce puszczały na Wisłę, a za unoszonymi biegiem wody młodzież upędzała się na łódkach wśród radosnego okrzyku zebranych widzów.

W połowie XVIII wieku marszałek wielki koronny Fr. Bieliński zabronił tego ze względów bezpieczeństwa, ale po krótkiej przerwie zwyczaj ten wrócił i do dziś trwa.

Nie dość tego, bo przybyły ognie sztuczne, słońca, gwiazdy, świece rzymskie i inne fajerwerki, na które zdobywa się umiejętność i pomysłowość fachowych pyrotechników.

Nie miał o tym pojęcia Jan z Czarnolasu, który jednak zalecał obserwowanie zwyczaju, przez przodki dzieciom przekazanego; w swej „Pieśni świętojańskiej o sobótce“ Jan Kochanowski (ur. 1530, zm. 1584 r.) pisał:

*„Tak to matki nam podały,
Same także z drugich miały,
Że na dzień świętego Jana,
Zawždy sobótka palana.
Dzieci rady mej słuchajcie,
Ojcowski rząd zachowajcie.
A teraz ten wieczór sławny,
Święćmy jako zwyczaj dawny:
Niecąc ognie do świtania,
Nie bez pieśni, nie bez grania“.*

Toteż w myśl testamentu Kochanowskiego przed wyruszeniem do lasu na poszukiwanie złudnego kwiatu paproci, która ma z hukiem ognić o północy rozkwiąć, nadobne wioślarki i dzielni wioślarze warszawscy ze wszystkich klubów wyruszają o zmroku ze swych przystani tradycyjnie na Wisłę barwnym korowodem, a niebo iskrzy się nad nimi tysiącem rozpryskujących się gwiazd i gwiazdek różnokolorowych.

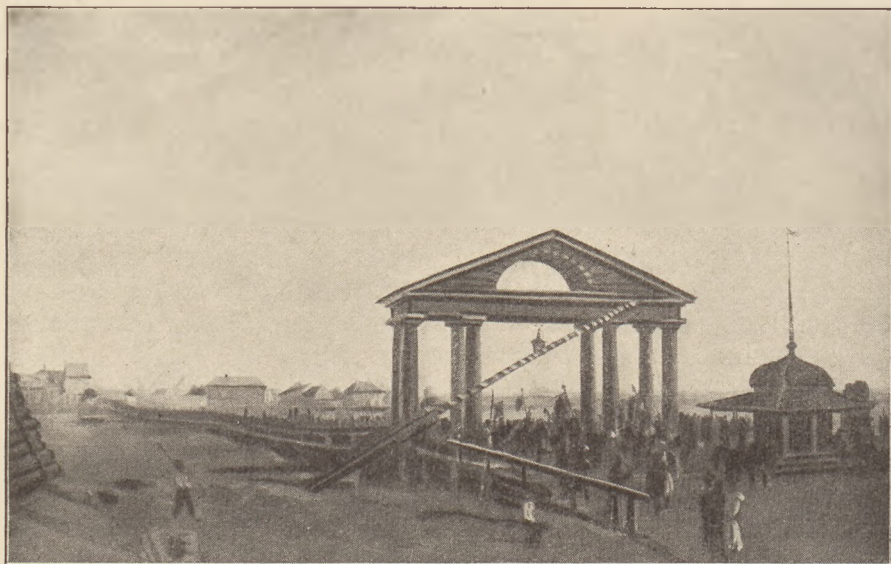
Tysiące ludzi, corocznie zalegają wybrzeże, przepełniając statki parowe, obserwując „od podszewki“ popisy taneczne na krypach

i żywe obrazy, zajmując chodniki mostu Poniatowskiego. Popatrzą się, nadziwią, nagrodzą grzmotami oklasków i przed północą rozchodzą się do domów, by nazajutrz z rana znów wstać do codziennych kłopotów, o których w blasku ogni bengalskich i świcie rakiet tak mile się zapomina.

I bywa, jak bywało: pięknie i kolorowo, głośnie i mokro. Tylko na Saskiej Kępie ruch z dawnych krzaczków, okalających nieistniejące dziś kolonie „pod Lwem“, „pod Dębem“, „Prado“, „pod Różą“, przenosi się po zakończeniu obchodu „Wianków“ do pięknych i zacisznych wewnątrz stylowych willi na ich miejscu powstałych.



Dawna przymostowa komora wodna przy ulicy Bednarskiej



Brama drewnianego mostu od ul. Bednarskiej w 1831 r. według obrazu Marcina Zaleskiego — w chwili wprowadzania przez nią przez wojsko polskie sztandarów, zdobytych w bitwie grochowskiej (Muzeum Narodowe w Warszawie)

POWODZIE W WARSZAWIE

Wiśła, jako że jest rodzaju białogłowskiego i „płci“ niewieściej, nie jest w istocie swej stała i wyczyny jej bywały czasami po prostu fantastyczne. Trudno. W tym wieku może się cierpieć na histerię.

Tak więc, kto ciekaw, niech spojrzysz na żelazne szyny, wmurowane w ścianę domów nr 2 przy ulicy Mariensztadt i nr 2 przy ulicy Bednarskiej, a znajdzie na nich oznaczony najwyższy stan wody na Wiśle podczas pamiętnych przyborów wody w latach 1813, 1839 i innych, kiedy to klęska powodzi dotknęła wszystkie dolne ulice Warszawy. W nowszych czasach lata 1884 i 1887, a potem 1923 i 1929 były katastrofalne.

Z tej okazji warto zwrócić uwagę na niektóre zabytki z lat ubiegłych, pamiątki, koło których można by inaczej przejść obojętnie.

Oto przede wszystkim obecne mosty warszawskie są wszystkie tak mocnej konstrukcji, że przybór wody, choćby najsroższy, nie jest dla nich groźny.

Ale niegdyś inaczej bywało. Najpierw most, rozpoczęty przez Zygmunta Augusta w r. 1568 wprost ul. Chwaliszewo, a wykończony przez Annę Jagiellonkę w r. 1573, zniosła doszczętnie powódź w r. 1603.

Ten sam los spotkał zbudowany przez Kazimierza Sapiechę wprost własnego pałacu na Solcu most na Kępę Kawczą w roku 1656, jak również późniejszy most, dzieło Jana Kazimierza i następny z r. 1707.

Były to mosty jedne na palach, inne na łodziach, a więc łatwo ulegały rozbiciu. Nie znano u nas jeszcze budowy mostów z kamienia, jakich tyle przez Rzymian jeszcze zbudowanych do dziś od lat półtora tysiąca stoi np. na Renie.

Toteż powódź znosiła wszystkie późniejsze mosty: Adama Ponińskiego z r. 1775, most palowy z r. 1807 wprost ul. Mariensztadtu i takież most marsz. Davoust'a z r. 1808 wprost ul. Bednarskiej. Dopiero wykończony w r. 1864 przez inż. Stanisława Kierbedzia most żelazny, będący na owe czasy rewelacją na całą Europę, mógł się ostać niebezpieczeństwu rozbicia podczas powodzi, zwłaszcza wiosennych.

Z początku ubiegłego stulecia, z okresu budowy mostu wprost ul. Bednarskiej przez Francuzów w r. 1808, zachowane są dwa gmachy pamiątkowe, jeden na brzegu warszawskim, drugi na praskim. Z mostów nie ma śladu, ale do dziś zwraca na siebie uwagę piękny jednopiętrowy budynek w stylu cesarstwa przy ul. Szerokiej nr 1 na Pradze, o monumentalnym portyku w jońskie kolumny, a uwieńczonym tympanonem z alegoryczną płaskorzeźbą. Była to strażnica mostowa, gdzie pobierano myto od wjeżdżających przez most do miasta.

Od strony Warszawy stoi, jak stał wtedy, gdy był tu most przy ul. Bednarskiej nr 2, obszerny pałac o potężnym portalu, wspartym na sześciu korynckich kolumnach. Tu mieściła się ongi komora wodna. Dziś pałac wewnątrz i zewnątrz jest do niepoznania przebudowany.

Przed laty, kiedy tu był most, ulica Bednarska została uporządkowana, przestano na nią wywozić śmieci i nadano jej właśnie tę nazwę, zamiast poprzedniej — Gnojowej.

Co do katastrofalnych wylewów Wisły, to kroniki miejskie notują ich wiele. Dość, gdy prócz już wymienionych, wspomniemy tu, że w roku 1475 woda zalała i zniosła wszystkie osady, rozciągające się wzdłuż brzegów rzeki od murów miejskich aż do Solca. W roku 1493 za przedostatniego udzielnego księcia mazowieckiego Konrada III olbrzymi wylew Wisły zniszczył wiele domów, położonych nad brzegiem rzeki, a prócz tego i kościół oo. trynitarzy na Solcu. Wreszcie pomyślny rozwój Warszawy za Władysława IV został zaćmiony wylewami Wisły, która stale od czasu do czasu niosła miastu zniszczenie.

W r. 1635 Wisła tak rozlała, że na Pradze, jak podaje A. S. Radziwiłł w swych pamiętnikach — tylko dachy domów było widać i na cztery mile ku Radzyminowi pola i wioski zalane z wielką szkodą gospodarzy.

Dziś, przy obecnych środkach komunikacyjnych, telegrafie i parowych statkach, tracą tysiące ludzi nie tylko mienie swe i dobytek, ale często i życie. Cóż dopiero dziać się musiało przed 300 laty, kiedy niszcząca fala nieprzewidywana przyszła zniecka, nieraz w nocy, zalewając ludzi w beztróskim śnie pogrążonych.

Tempora mutantur!

Kto spojrzy z wysokości mostu na Wisłę, tę królową rzek naszych, ten niewątpliwie „prosto z mostu“ orzeknie, że jest na ogół wyjątkowo płytka, co się i królowym zdarza.

Te ławice białego piasku, wylaniające się tak plastycznie po obu stronach mostu z wody, przypominają bardziej płaski niż plastyczny, wyschnięty, modny do niedawna biust krypto-temperamentowej, jak nasza Wisła, warszawianki.

Bo i ona ma ukryty temperament. Ona, to znaczy warszawianka. Ona, to znaczy Wisła. Temperament ten czasami wybucha głośno, zwłaszcza na przełomie wiosny i lata, w okresie „Świętojanki“.

Burzą się zmysły ogniście. Burzą się żywioły. I ten najgroźniejszy po ogniu — woda, która nieraz przed laty, podczas świętojańskiego przyboru na Wiśle, sprawiała katastrofalne szkody. Na św. Jana bowiem stan wody zazwyczaj bywał wysoki i bardzo wysoki, powodując powódź.

Z długoletniego doświadczenia jednak wiadomo, że najbardziej obawiać się trzeba innych dwu powodzi rocznie: pierwszej — to puszczenia kry ku końcowi zimy, zwykle na początku marca

(„marcówka“), bo zdarzały się wypadki, jak np. w r. 1813 i 1839, że straszny stan powodzi znoszącej: mosty, budynki, tamy, najsilniejsze liny i łańcuchy jak nitki pajęczne — trwał dni 10 do 12; drugiej — to powodzi zwanej „jakubówką“ w końcu lipca.

A powódź świętojańska rzadko dochodzi do katastrofalnych rozmiarów, jak to było w r. 1884, kiedy nastąpiwszy zniecka wywołała klęskę.

Głównym powodem świętojanki bywają rzeki i rzeczki wpadające do Wieprza oraz San ze swymi dopływami. Toteż rolę niejako barometru pod tym względem odgrywa Zawichost i otrzymywane stamtąd depesze o stanie wody dają miarę tego, czego można się spodziewać pod Warszawą.

Dawniej jeszcze w r. 1813 nie było nad Wisłą bulwarów, przeto woda zalała ulice: Solec z kościołem, Czerniakowską, Fabryczną, Przemysławą, Dobrą, Topiel, Furmańską, Browarną, Sowią i Rybaki z przecznicami. W r. 1839 były już bulwary kamienne, ale zbyt niskie, zostały więc od razu zalane. To samo powtórzyło się podczas katastrofy w r. 1867.

Pisma z roku 1884 podają, że Saska Kępa była zalana cała na przestrzeni przeszło 5 wiorst w kwadrat. Tak samo Zerkno i Goćław, dokąd docierały parowe statki „Warszawa“, „Wisła“, „Płock“, „Maurycy“ dowożąc żywność i ratując ludność, która się chroniła z częścią dobytku na dachach domostw. Wyżej położone kolonie: „Pod Dębem“, „Prado“ i „Pod Lwem“ wyglądały jak wyspy, gdzie koczowało ratując życie po kilkadziesiąt osób, które zdążyły tu uciec. Członkowie Warsz. Tow. Wioślarskiego i szarytki od św. Kazimierza z Tamki dowozili im żywność.

Wiele dobytku zabrała woda. Według obliczeń kompetentnych, samego siana porwały fale za 100.000 rb. Woda unosiła różne przedmioty, płynące z góry rzeki. Oto płynie jakaś chałupka z wywróconym kominem. Po chwili ukazuje się krypta napełniona sprzętami domowymi; są tam i... psy. Brakuje ludzi, którzy musieli to przecież ułożyć. Ten brak nasuwa myśl, że ludzie owi ratując dobytek a nawet czworonożnego przyjaciela sami nie zdążyli się ocalić i albo walczą jeszcze z bliską śmiercią, albo też już zginęli w mętnych falach wzburzonego żywiołu.



Ulica Sowie podczas wy-
lewu Wisły w r. 1867

Drugi filar mostu kolejowego pod cytadelą zarysował się. Filary starego mostu Kierbedzia w $\frac{3}{4}$ pogrążone są w wodzie.

Widzieliśmy, pisze sprawozdawca „Kuriera Warszawskiego” z dn. 23 czerwca 1884 roku, niesiony przez fale most drewniany długości kilkudziesięciu stóp, na dwu łożach z poręczami, zupełnie cały. Przewoźnicy puścili się na łodziach za tą zdobyczą. Widziano też

część dachu pędzoną prądem wody. Na słomianym pokryciu trzymało się kilka owiec beczących żałością. Gdzie indziej — stado młodych kaczek dzikich płynęło pod wodę. Biedactwa próbowały co chwila wzlatywać, ale zmęczone coraz zapadały w wodę.

W pobliżu mostu kolejowego spostrzeżono konia w uprzęży płynącego wraz z wozem. Biedne zwierzę udało się przyciągnąć do brzegu. Wprost Tamki płynął drugi koń, a obok miotane wściekłą falą szczątki tratów, krzaki, belki, drzewa i stogi siana.

W dniu 23 czerwca 1884 roku poziom wody na Wiśle dosięgł o godz. 3 rano 21 stóp 2 cale.

Park wilanowski zalany był aż do tarasu pałacowego. Pod wodą były: Morysin, Augustówka, Zawady, Siekierki oraz Czerniaków. Tutaj o zmroku reporter „Kuriera” spotkał



Strażnica mostowa przy ulicy Szerokiej na Pradze

makabryczny kondukt. To pogrzeb na łodziach: przewożono zwłoki nieboszczyka ze dworu na cmentarz pobliski.

Park praski i ul. Wałowa na Pradze były zalane. Przez wał wprost Bednarskiej woda przelewała się w ulicę jak z przepełnionej szklanki.

Naprzeciw Bieleńki zatonała łódź z dwiema kobietami i mężczyzną. Widziano okropną walkę nieszczęsnych ofiar z góry bieleńskiej, lecz mimo najgorętszych chęci świadkowie z braku środków nie mogli dać pomocy. Zniknęli więc nieszczęśni w mętnych falach, a łódź pomknęła dalej.

W drodze koleją z Warszawy do Dębina jedzie się aż do Wawra brzegiem rozlanych wód Wisły, która sięga szosy. W Dęblinie woda porwała będący w budowie most kolejowy, co dało straty przeszło pół miliona rubli.

Oczywiście w tych warunkach uroczysty obchód wianków został odłożony. Jak notuje jednak „Kurier Warszawski“ w nr 173 A z 24 czerwca 1884 r., około Solca puszczono na

fale wiślane skromny wianek z przymocowanym doń wierszem, który brzmiał, jak następuje:

*Płyń, mój wianku!... Tam w nizinie
Rozpaczliwe słyhać echa,
Więc wraz z tobą niechaj płynie
Dla nieszczęsnych ta pociecha,
Że choć klęska spadła sroga,
To otuchę naszą budzi,
Iż nad sobą mamy Boga
A dokoła dobrych ludzi!...*

Toteż zgodnie z tą ufnością wszystkie dzienniki, nie tylko warszawskie, ale w całym kraju, wzywały czytelników do ofiar otwierając listy składek na powodzian. Magistrat zawiązał komitet pomocy. Redakcja tygodnika „Wędrowca“ zainicjowała na rzecz powodzian jednodniówkę „Na pomoc!“, a Zygm. Noskowski skomponował utwór muzyczny pod tytułem „Polonez elegijny“.

Wszystko to nie ujmowało grozy położeniu. W dniu 24 czerwca na Gocławku wprost karczmy „Bluszcz“ utonął kolonista Tomasz Szuba. Nazajutrz ryzykowny przewoźnik Tomasz Walerczak, pragnąc dowieźć żywność więzionym na Saskiej Kępie swym bliskim, wskutek uderzenia silnej fali w łódź, która się wyrzuciła, wpadł do wody i zaczął tonąć. Uratowali go z trudem inni przewoźnicy Redman i Sommerfeld. Ale Walerczak zmagając się z falami widział zwłoki człowieka unoszone prądem wody.

Podczas największego przyboru w dniu 26 czerwca r. 1884 „Kurier Warszawski“ przytaczał następujący obrazek:

Zgromadzeni w bliskości przewozu na Solcu byli świadkami rozrzucającego i budującego widoku: Do brzegu rzeki zbliżył się zrozpaczony mężczyzna, a za nim postępował ksiądz S., wikariusz kościoła św. Trójcy z Olejami Św. Szczery kapłan, wezwany do chorej kobiety, spełniając swój obowiązek z prawdziwie chrześcijańskim poświęceniem wstąpił do łódki i z przewodnikiem swoim, mężem chorej, odpłynął. Obecni ze wzruszeniem i trwogą śledzili bieg miotanej falami łódki... Opatrzność jednak czuwała nad swoim sługą: po dwu godzinach kapłan powrócił szczęśliwie.

„Panowie jadą“ (Rys. Fr.
Kostrzewskiego z 1889 r.
ze zbiorów autora)



EPSOM A MOKOTÓW

W kulminacyjnym dniu wiosennego sezonu wyścigów konnych w Warszawie rozgrywana bywa największa i najbardziej honorowa i zaszczytną dla zwycięzcy nagroda „Derby“.

Nagroda ta jest od r. 1780 koroną sezonu wyścigowego zarówno w *Epsom*, gdzie jej *lord of Derby* dał początek, jak i na wszystkich torach świata, podniecając zarówno szczerych miłośników sportu, jak i zagorzałych graczy w „totka“.

Mokotów nie jest w dniu tym ani gorszy, ani lepszy od *Epsom*, *Auteuil*, *Aspern* czy *Kołomiąg*, bo wszystkie *Ascoty*, *Dawentry*, *Chantilly* czy *Longchampsy* w dniu wielkich rozgrywek wyglądają jednakowo. Edward *earl of Derby*, ojciec szlachetnego oswobodziciela murzynów, ustanawiając w roku 1780 tę nagrodę dał nią tylko zastrzyk dopingujący. Podniecenie to ogarnia więc i tysiące warszawian, zbierających się od lat w dni goniw na Mokotowie, skąd tor przeniesiony zostaje wkrótce na Służewiec.

Od roku 1841 do 1886 warszawski tor wyścigowy, nieogrodzony, był w głębi pola Mokotowskiego, dokąd tzw. elita towarzystwa warszawskiego przybywała w powozach, faetonach, landach i piętrowych brekach zaprzężonych w cztery i sześć koni, aby z¹ pośrodku toru obserwować przebieg i rezultat biegów.

Szary tłum widzów 15 kopiejkowych wewnątrz toru, jak również okrażających bezpłatnie tor od zewnątrz, a także późniejsi spacerowicze podczas *Corsa* w Alejach Ujazdowskich podziwiali ekwipaże „hr. Gucia“ (Augusta Potockiego), ulubieńca Warszawy, prezesa Towarzystwa Wyścigów Konnych, który parupiętrowym brekiem, zaprzężonym w czwórkę białych koni, wyjeżdżał na wyścigi z pałacu swego przy kościele PP. Wizytek. Towarzyszył mu zwykle tłum rezydentów, jeżdżących na jego wierzchowcach, używających jego ekwipażów, a nawet garniturów ubrania, zamieszkujących nadto w oficynach pałacu.

Spacerujący w Alejach patrzyli z podziwem na tę kawalkadę i na inne breki i koczce obywateli z Podola i Ukrainy: Leona Podoskiego, Jana Drzewieckiego, Ludwika Jaroszyńskiego, Kazimierza Korwin-Piotrowskiego i innych.

Dzień „*Derby*“ albo „Nagrody Cesarskiej“ był czymś w rodzaju „g alówki“ w tym świecie. W roku 1887 odbyły się po raz pierwszy wyścigi na bliższym torze przy ul. Polnej, dokąd też przeniesiono z dawnego i totalizator, założony w Warszawie w r. 1880. Ludziska się zgrywają coraz to w inny sposób. Gra ta była na razie ograniczona, dostępna tylko dla publiczności zamożnej, bo dla bogatych właścicieli stajen wyścigowych, hodowców itd., zaczęła się natomiast na szerszą skalę dopiero z chwilą założenia toru, tuż w pobliżu ul. Marszałkowskiej.

Starsi z bywalców pamiętają może, a może z notatek swych przypomną sobie ostatni dzień wyścigów na starym torze w roku 1886. Z nazwisk właścicieli stajen na programach ówczesnych widać, że do towarzystwa wyścigów należała i stajnie utrzymywała tylko arystokracja rodowa z pewną domieszką plutokracji. Krzywo patrzono np. na Władysława Rawicza, konsula Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i na paru bankierów, którzy bawili się w hodowców.

Głównie jaśniały tam nazwiska okraszone mitrą i dziewięciopątkową koroną, mianowicie: Radziwiłłów, Lubomirskich, Wielopolskich, Drucko-Lubeckich, Potockich, Krasińskich, Kozieli-Poklewskich, Czapskich, Morstinów, Komorowskich, wreszcie —

Wotowskich, Grabowskich, Myssyrowiczów, Reszków, Rzewuskich, Kronenberga itd.

Był to okres, kiedy królowały na torze: słynna „*Fine Mouche*“ i „*Madame de Cose*“.

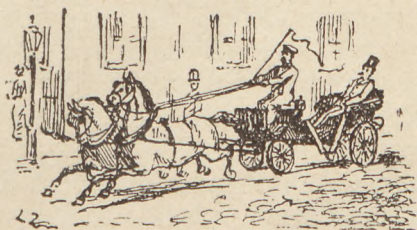
Większość owych właścicieli stajen wraz ze swymi „crackerami“ a przynajmniej ich splendor wygasły już dawno, ale jak i dawniej, tak i dziś na obecnym torze:

*Żwir trzeszczy pod nogami,
Tłum do kas wciąż pcha się...
Bomba w górze! Już na dół opadła! — o nieba!!
Czy ten przyjdzie, czy tamten?
W rosnącym hałasie
Żwir trzeszczy pod nogami,
Tłum do kas wciąż pcha się,
Szczęśliwyś, gdy z biletem
Stoisz pan, przy kasie!
Wzrok dumny mówi:
Czegóż mi więcej potrzeba!
Bomba w górze! Już na dół opadła!
O nieba!*

Tak wzruszenia gracza odtwarza w jednym ze swych pięknych wierszy z cyklu „Warszawa w trioletach“ utalentowany poeta Zygmunt Michałowski.

„Kto nie ryzykuje — ten nic nie ma“, a kto ryzykuje, ten... nie ma nic.

Zapominają o tym totalizatorowicze w dniu uroczystym rozgrywania walki o nagrodę Derby.



„Na gumach“ w Aleje — rysunek
z roku 1880.

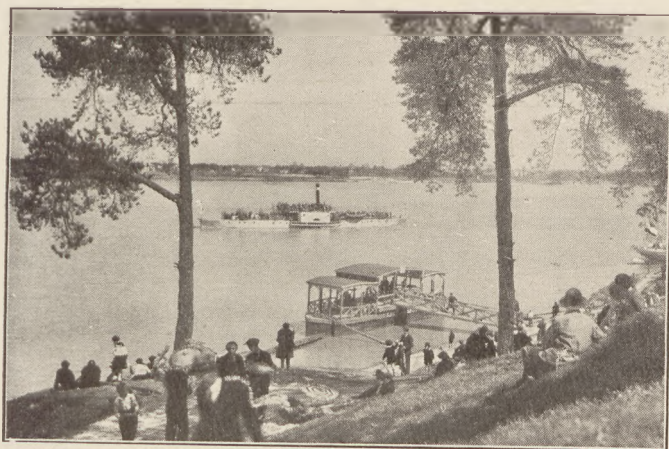


Na Bielanych — rys. Michała E. Andriollego (1836—1893)

ZIELONE ZAPUSTY

Słońce wiosenne szybko pokrywa zielenią parki. Bzy przekwitają, a upajający zapach akacji błądzi nawet po wielkomiejskich ulicach Warszawy. W dawne lata na Zielone Świątki stroiła się stolica w zieleni i kwiaty. Nie było chłopca, by nie wygrywał na łądogach tataraku skocznych melodii. W każdym domu, w każdym oknie zieleniło się od gałęzi wierzbowych, akacjowych i brzozowych. Dekorowano bramy. Nawet dorożkarze umajali na zielono swoje konie i wehikuły.

Warszawa świętowała uroczyście te zielone i kwietne zapusty. Kto żył — jechał na Bielany dać upust swojej radości. Mógł tu też ukoić swoje smutki. Na „diabelskim młynie“ za „dychę“ lub na „drewnianej sali“ za „szóstkę“ wykręcono z niego zwycięzajnie i na „odsibkę“ wszystkie umartwienia. Pobliskie Młociny, zagajniki, upajające młode sosenki i chojaki aż zapraszały do zwierzeń i szeptów miłosnych.



Świętowanie „zielonych zapust“ na Bielanych ma u nas długą i chwalebną tradycję. W „Zielone Świątki“ zjeżdżali tu nawet królowie. Mówi nam o tym historyk Łukasz Gołębiowski w „Opisaniu Warszawy“ z początku XIX stulecia. Czytamy w jego dziele:

„Kto z cudzoziemców w drugim dniu Zielonych Świątek ujrzy na Bielanych tę ludność, całkiem niemal ze stolicy wylaną (sic!), to mnóstwo powozów, ten ubiór kobiet różnaitością i pięknoscią zadziwiający, tyle bogactw i wdzięków tyle, zachwycony bywa“.

Słowa te wskazują, iż Warszawa sprzed lat półtorasta pod względem reprezentacyjnym przedstawiała się zamożnie. O Bielanych i zapustach zielonych pisze tenże historyk:

„Powab tego miejsca i prostota wspaniałej natury ujmuje każdego; tu wyższego stanu osoby snujące się gromady mile bawią oko. Tam mimowolnie pociąga szczeroci zabaw ludu, pod namiotami po całym lasku przyległego klasztoru kamedułów i przyjemnych, wyniosłych nadbrzeżach Wisły rozsypanego. Rozbawione w kilku miejscach przygrywają orkiestry, kuglarze pokazują sztuki, inne sprzedają tu trunki i chłodniki“.

Pod tym względem tradycja przechowuje się po dziś dzień bez zmiany. I teraz przecieź „przygrywają orkiestry“, kuglarze zapraszają do swoich bud, sprzedaje się wodę sodową, kwasy, lody i różne smakołyki.

Nie zanotował kronikarz tylko, w jakie gry na boczkach, po ciuchtku łupiono wesolych warszawiaków. Teraz wiadomo, że po

Kościół i eremy kamiedułów na Bielanach



każdyh Zielonych Świątkach urzędy policyjne notują kilka „wypadków“ obłupienia zagazowanych majówkowiczów „w pasek“ lub „oko“. Za to dowiadujemy się, iż przed dwoma wiekami:

„Zawsze bywał na Bielanach August II i III. Za czasów Stanisława Augusta przejażdżka ta była modna i widziano na Bielanach powozy poprzedzone przez biegaczów, mnóstwem dworzan i kozaków dworskich na koniach otoczone“.

Jeszcze przed pół wiekiem na Bielany w „Zielone Świątki“ śpieszył nie tylko lud, ale prawie wszystkie warstwy społeczne. Odwiedzano przy sposobności mogiłę wielkiego polskiego statysty śp. Stanisława Staszica, dyskretnie składając wieńce, co przez władze zaborcze uważane było za „polityczne“, jeśli nie przestępstwo, to wykroczenie.

„Zielone Świątki“ — kwietne zapusty są najprzyjemniejszym, słonecznym świętem naszego kalendarza.



Przystań statków przy moście Kierbedzia

WARSZAWA W ZIELONE ŚWIĄTKI

Zielone Świątki są po Wielkiej Nocy i Bożym Narodzeniu, najbardziej uroczyste, zwłaszcza w Polsce, obchodzone.

W Warszawie, jak i na całym obszarze Rzplitej, zachowywany jest zwyczaj ubierania domów, chat, drzwi i okien zielenią, a wysypywania chodników i podłóg krajaniem tatarakiem. Do połowy XIX wieku niektóre dwory szlacheckie obchodziły Zielone Święta powtórным święconem.

Huśtawki, urządzone przez lud na Wielkanoc, zwykle służą jeszcze i na Zielone Świątki. Tak jest nie tylko w Warszawie, lecz i w Krakowie, Lwowie, Wilnie, Poznaniu i innych większych miastach, gdzie urządzone są igrzyska i zabawy.

W Warszawie tradycja każe udawać się w dni te na Bielany, gdzie od dawna w kościele przy klasztorze oo. kamedułów odbywa się odpust.

Dzisiejsze Bielany warszawskie jeszcze w początku XIX wieku zwały się Polkową Górą. Król Władysław IV podczas wojny z Moskwą w r. 1634 ślubował wystawić klasztor. Gdy wojnę wygrał, ślubu dopełnił i wzniosłszy na Polkowej Górze w r. 1639 drewniany kościółek i klasztor sprowadził do nich kamedułów spod Krakowa. Zakonników tych i tu, jak w Krakowie, zwano bielanami od białych szat, które nosili. Taka sama nazwa utarła się dla ich siedziby i tak została zarejestrowana.

Kościół murowany zaczęto stawiać za Jana Kazimierza, a ukończono go dopiero w początku XVIII wieku. Jest on najbardziej stylową budowlą barokową w Warszawie i okolicy. Niewielki, ale bardzo ładny, posiada b. piękny główny ołtarz, dobre obrazy Smuglewicza oraz wspaniałe stukatury rokokowe.

Dla zakonników zbudowano za kościołem 13 eremów, czyli małych domków-pustelni z ogródkami, oddzielonych jeden od drugiego wysokim murem. Każdy z nich oprócz celi mieści małą kapliczkę.

Tuż przy kościele bielańskim z lewej strony znajduje się, jak wspomnieliśmy, grób znakomitego uczonego i męża stanu Stanisława Staszica, zmarłego w r. 1826, a który zgodnie z ostatnią swą wolą został tu pochowany. Pogrzeb jego był manifestacją narodową i towarzyszył mu od samej Warszawy wielotysięczny pochód. A i później przez długie lata przy tym grobie zbierano się nie tylko w rocznicę jego śmierci i w Zielone Świąta, ale i w rocznice narodowe.

Teraz już tradycja wycieczek gremialnych w dni Zesłania Ducha św. na Bielany nieco osłabła, zresztą majówki bliższe i dalsze, campingi, week-endy urządzają sobie ludziska częściej, nie raz ani dwa do roku. Dawniej jednak w Zielone Świąta trzeba było koniecznie z rodziną pojechać na Bielany powozem lub bryczką zabierając służbę i kosze prowiantów i trunków. Antałki piwa w tym bagażu nie były rzadkością.

Potem uruchomione zostały statki parowe. Fajans i Górnicki królowali w te dni na Wiśle w r. 1885, kiedy Warszawa miała 400 tysięcy ludności, statki przewiozły na Bielany w ciągu trzech dni przeszło 30 000 ludzi.

Oprócz Bielany liczne rzesze, o ile pogoda dopisze, wyruszają też łodem i wodą do leżących za nimi nieco dalej w dół Wisły — Młocin, gdzie stoi piękny pałac, siedziba wszechwładnego ministra i złego ducha króla Augusta III Sasa, hr. Henryka Brühla.



Pałac, ongi Brühla, w Młocinach

Wież ta należała ongi do książąt mazowieckich, potem do starostwa warszawskiego. Brühl, posiadający pałac w Warszawie przy ul. Wierzbowej pod bokiem pałacu królewskiego, wybudował drugi w Młocinach, żeby być blisko króla, gdy August polował w sąsiednim Marymoncie.

Chcąc ściągnąć króla do siebie założył w Młocinach park i zwierzyniec.

Wspomniany Marymont, również miejsce licznych wycieczek, górzyste i malownicze, znajduje się w sąsiedztwie Bielan od strony Warszawy.

Saska Kępa też miała przed laty swych zwolenników. Jako położona tuż naprzeciw Solca, a więc bliżej miasta niż Bielany, była miejscem zabaw nie tylko w Zielone Świątki, ale przez cały rok.

Tu, gdzie dziś wznosi się piękna dzielnica, pełna estetycznych domków murowanych, stały drewniane dworki, otoczone ogródkami owocowymi. W każdym z nich była knajpka, a przy niej w ogrodzie kręgielnia, huśtawki i karuzela. Były tu takie kolonie

przy wale nad samą Wisłą: „Pod Wiankiem“, „Pod Różą“ (dwie najpopularniejsze z bliskich) i dalej w głąb Kępy kolonia z restauracją „Pod dębem“ i „Prado“. Dąb ów do tej pory stoi na rogu Alei Zwycięzców i ulicy Francuskiej w sąsiedztwie pałacyku hrabiów Kossakowskich. Na b. kolonii „Prado“ istnieje teraz wielka plantacja kwiatów.

Dzisiejsza ul. Miedzeszyńska była wtedy niezabrukowanym wysokim wałem, porośłym wielowiekowymi topolami, chroniącym Kępę przed zalewem podczas częstych przyborów Wisły. W roku 1881 nie pomógł wał i woda zalała niemal całą Saską Kępę. Nie obeszło się tutaj bez ofiar w ludziach, nie mówiąc o licznych zwierzętach domowych. Porwaną przez wodę kołyskę z dzieckiem z wielkim bohaterstwem wyciągnął z fal znany wówczas Koc, zawodowy początkowo przewoźnik, a potem urzędowy „ratownik“. Popularnością w Warszawie cieszyły się potem jego dwie córki — artystki baletu.

Dojeżdżało się do Saskiej Kępy wtedy za 3 kopiejki od osoby z Solca od młyna, stojącego w pobliżu wylotu na Wisłę wawozu Alei Jerozolimskiej. Łodzie z malowanym na żaglu godłem i napisem „Krakus“, „Warszawianka“, „Burza“ itd. zabierały po 20 do 30 osób, które wysiadały na dziki brzeg Kępy w miejscu, gdzie potem była plaża T. Kozłowskiego. Brzeg ten roił się od wycieczkowiczów, którzy zanim udali się w głąb na kolonie, wypijali i zjadali z miejsca przyniesione z domu zapasy.

Utrzymały się jeszcze Bielany i Młociny. Saska Kępa pod tym względem należy do przeszłości. Gdzie grzmiała muzyka i wybijano hołupce na drewnianej sali lub gdzie się kręcono na karuzeli i wypijano beczki piwa — teraz wznoszą się wytworne pałacyki na tle pięknie utrzymanych kwietników.

Bieleją one z dala i dobrze je widać z mostu Poniatowskiego, o którym również nikt wówczas nie myślał. Jedyne było wtedy w Warszawie od r. 1864 żelazny most Kierbedzia, spod którego, jak dziś do Młocin i Bielany, odpływały w dzień Zielonych Świątek parowe statki również i do Saskiej Kępy.

SKĄD SIĘ WZIĘŁY W WARSZAWIE HALE MIROWSKIE

Jakiś p. Mirowski, dziwak czy też po prostu nieświadom historii, wniósł w r. 1933 do magistratu m. st. Warszawy pretensję o należność przypadającą mu jakoby za grunty będące rzekomo własnością jego rodziny, a zajęte ongi przez miasto na wytyczenie ulicy Mirowskiej oraz na zbudowanie hal targowych Mirowskich. Otóż jest to nieporozumienie, wywołane z jednej strony zbieżnością nazwisk, z drugiej — nieznanomością, jak wspomnieliśmy, historii Warszawy.

Należy wyjaśnić, że nazwa hal „Mirowskie“ nic wspólnego z nazwiskiem Mirowskich nie ma, została bowiem przez nie odziedziczona po koszarach, w dodatku nie „Mirowskich“, lecz „Mierowskich“, wzniesionych w r. 1732, a więc za Augusta II Sasa dla pułku pieszej gwardii koronnej, założonego i dowodzonego przez generała Wilhelma Miera.

Koszary te wymienione są w rękopiśmiennej taryfie z końca XVIII w. i posiadały, jak do dziś hale targowe, nr hip. 934. W taryfie tej powiedziano:

„Ulica Koszary Mierowskie, nr 934. Koszary Pawilonów, po prawej ręce od Woli, osiem. Zawierają łokci 810 i ćwierć. Odtrąciwszy na ulicę Ciepłą, zwaną przy najbliższym pawilonie 15 ł. 3 c., reszty rozległości koszar zostaje 794 ł. 1 c. Szerokość ulicy Koszary Mierowskie 38 ł. 1 c. Z drugiej strony pawilonów sześć obejmują 810 ł. 1 c. W tyle koszar uliczka ma się zwać Zatyłki“.

W „Miesięczniku heraldycznym“ (Z. 7—8 rok 1933) znajdujemy następujące ciekawe szczegóły o wymarłej rodzinie Mierów, pióra Włodzimierza Egiersdorfa:

Mierowie — wygaśli po mieczu w końcu ubiegłego stulecia — to rodzina patrycjuszowska gdańska, nobilitowana w Szwecji w XVII wieku, uzyskała indygenat w Polsce na sejmie grodzieńskim 1726 roku przybywszy z Saksonii do Rzeczypospolitej — posiadając już świadectwa potwierdzające szlachectwo ze Szkocji wraz z tytułem baronów of Park and Rowallan. Tytuł hrabiowski otrzymali Mierowie w Austrii w 1777 roku. Mierowie spokrewnieni byli u nas m. in. z Ossolińskimi, Sapiehami, Tarnowskimi i innymi znanymi rodami polskimi i litewskimi. Wilhelm Mier, kasztelan słoński (1746), później generał gwardii koronnej, prócz owych koszar w Warszawie, zamkniętych z obu końców, a więc od ulicy Chłodnej i od ul. Zimnej, żelaznymi sztachetami z taką bramą, przekształcił na sposób szkocki około r. 1739 zamek swój w Woźuczynie o 3 mile od Zamościa, o czym wspomina F. M. Sobieszczański, a po nim Słownik Geograficzny.

Około roku 1890 zburzono ostatecznie większą część dawnych budynków koszarowych, wzniesionych w 1732 r. przez Daniela Jana Joachima Chrystiana Jaucha (ur. 1674, † 1754), generała i dyrektora budowli za Augusta II, pozostawiając tylko pawilony narożne z ulicą Ciepłą i noszące do dziś pewien swoisty charakter. Otwarto wówczas już na stałe przejazd tamtędy.

Wreszcie 15. X. 1899 na gruzach dawnych koszar położono kamień węgielny pod budowę nowych, a pierwszych wzorowych w Warszawie hal targowych, według projektu inż. Bolesława Miłkowskiego. Część architektoniczną hal wykonał zmarły w r. 1922 arch. Apoloniusz Paweł Nieniewski, prócz którego brał jeszcze udział w ich budowie twórca ślimaka przy ul. Karowej, również już (w r. 1930) zmarły arch. Kazimierz Edward Cezary Dankowski.

Niestety, hale te jako budynek stoją estetycznie bardzo nisko będąc mieszaniną stylów i szczytem pretensjonalności.

Nawiasem zauważyć należy, iż w nazwie hal wypadło ostatecznie owo „e“ z nazwiska protoplasty Wilhelma Miera i utarła się nazwa w formie zmienionej „Hale Mirowskie“.

Jak widać z powyższego, nie należy również płatać nazwy hal ani pobliskiej targowicy „Wielopole“ z nazwiskiem Wielopolskich, którzy się piszą „margrabiowie Myszkowscy“. Łatwo i ten błąd popełnić, gdyż koszary, a potem i owa targowica, zbudowane były na gruncie wydzielonym z jurydyki „Wielopole“.

Zamek Mirów, położony w nadzwyczaj malowniczej okolicy o 2 kilometry od Częstochowy, był siedzibą Zygmunta Myszkowskiego, który, będąc przyjęty do herbu i rodziny przez księcia Mantuańskiego Vincenzo Gonzagę, otrzymał od papieża Klementa VIII Aldobradini w r. 1596 tytuł „margrabiego na Mirowie“. Tytuł ten w XIX w. przeszedł na pana na Chrobrzu itd., który odtąd pisze się „hrabia na Chrobrzu Wielopolski, margrabia na Mirowie Gonzaga Myszkowski“.

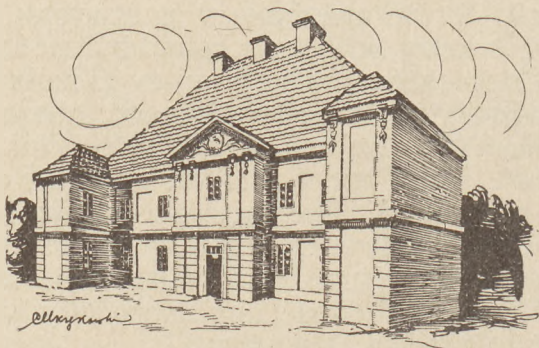
W Warszawie Myszkowscy z Mirowa i Myszkowic nabyli w końcu XVIII w. od Adama Ponińskiego jurydykę Polkowską za dziesięć Cytadela (Małcużyński).

Hale jednak z rodzinnym gniazdem Myszkowskich — Mirowem nic wspólnego nie mają, jak nie mają też nic wspólnego z zamkiem w Mirze w pobliżu Nieświeża.

Dawne „Zatyłki“ mała i krzywa uliczka, łącząca ul. Elektoralną z koszarami dziś zowie się Mirowską i prowadzi z hal do Elektoralnej na wprost fabryki firmy Fraget. Urzędownie „Zatyłki“ w r. 1784 miały tylko 7 posesyj, a w r. 1844 dziesięć.

Nazwa ta, dawniej popularna dziś jest już zapomniana, nie dając powodu do nieporozumień ani do kalamburów, w rodzaju zamieszczonego przez Alojzego Żółkowskiego w „Momusie“ (wprawdzie było to przed stu laty): „Jeśli pani chce dojść do koszar Mirowskich, to idąc Elektoralną proszę się trzymać „Zatyłek““.

Dziś stara ta nazwa uliczki, jak i wielu innych: Zgodna, Wyjazd, Gnojna, Targowica, Ogrodniki, Śpichlerzna itd. poszła, zresztą bez głębszego żalu, w zapomnienie.



POWIŚLE JAKIEGO NIE ZNAMY

Powiśle!

Czy znacie je wy, którzyście może niejednokrotnie przemierzali wszystkie *quais* paryskiej Sekwany, florenckie *lungarna*, upstrzone pomnikami, świetne *rakparty* (wybrzeża) Dunaju w Budapeszcie — czy znacie warszawskie najbliższe was terytorialnie i chyba sercu waszemu najbliższe Powiśle?

Uderzcie się w piersi, jeśli macie w nich serce, i podążcie tam, dokąd zwrócić wam do tej pory do głowy nie przyszło. Bo któż by bez nagłej potrzeby z prostej drogi naszej Marszałkowskiej magistrali lub z lekkołukowatej linii Zamek—Belweder zbaczał w kręte dróżki dolnego miasta? A jednak pewien ojciec synowi umierając mówił: „Pamiętaj synu, że krętą drogą daleko nie zajdziesz, a prostą... z miejsca nie ruszysz...”

Toteż nie na żadną daleką wybierzmy się wyprawę, nie na peryferie miasta, zabudowane z pośpiechem nowoczesnymi gmachami dla szkół i różnych instytucyj państwowych lub modernistycznymi willami prywatnych pojedynczych albo zrzeszonych właścicieli. Bo Warszawa jakby przywdziała siedmiomilowe buty z baśni. Tak wielkimi krokami dąży do zajęcia światowego stanowiska w Europie. Małuczko nie małuczko, a z czasem będąc sercem starego kontynentu stanie się największym na nim miastem.



Malowniczy domek na Solcu (fot. Leon Jarumski)

Nie czekajmy tej chwili radosnej dla naszych wnuków i zboczmy z prostej drogi Nowego Świata w dół ku Wiśle. Nie kędyś na krańcach, ale tutaj, tuż u boku gwarnego i ruchliwego śródmieścia przytuliła się dzielnica o zupełnie odrębnym charakterze, nie nadążająca za górnym miastem w rozwoju.

Chociaż i tu od chwili odrodzenia państwowości polskiej wdziera się współczesność, i to falą nie rujnującej, ale budującej powodzi, to jednak w pobliżu takich gmachów, jak ZUS'u na rogu ul. Ludnej i Czerniakowskiej, ZZK — Związku Zawodowego Kolejarzy z teatrem „Ateneum“, Związku Nauczycielstwa Polskiego, Akademii Sztuk Pięknych i wielu innych, dochowały się do dziś zabytki dawnego budownictwa. Trafiają one do naszych serc swoją prymitywną prostotą, zarazem malowniczością, godną utrwalenia za pomocą pędzla lub ołówka, zanim znikną z powierzchni ustępując miejsca chmur drapaczom.

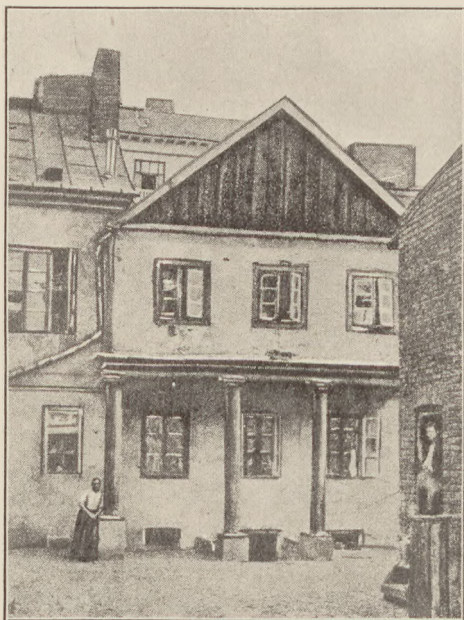
Rzadki bo jest tu zabytek taki, jak stylowy pałacyk ongi książąt Sanguszków, ukryty przed okiem nieświadomego przechodnia głęboko w dziedzińcu posesji nr 37/2932 przy ul. Solec. Choć z wierzchu odrapany, tu i owdzie świeci krwawiącymi jakby ranami odartej z tynku czerwonej cegły, to jednak na zewnątrz

zachował jeszcze poza piękną strukturą, ślady dawnej świetności. Ale wewnątrz jaka zmiana! Nic tu nie daje się domyślać, że to tu najczęściej książe Pepi spotykał się z „Anusią z Powiśla“, zanim ją zainstalował na krótko w dworku „Na Rozdrożu“.

Drobnego rozmiarami pałacyku tego nie widać dziś z ulicy, bo go zasłania imponujący spichrz również z połowy XVIII wieku, stojący tuż przy ulicy. Jest to bodaj jedyny tego rodzaju zabitek, nie przerobiony jeszcze na kamienicę mieszkalną, jak szereg dawnych spichlerzy steinkellerowskich przy rogu Alei 3 Maja i Solca.

W bezpośrednim sąsiedztwie owego potężnego murami swymi spichrza stoi w podwórzu budynek w dolnej swej kondygnacji murowany, w górnej — drewniany z czterema oknami w szczycie. Przyjęte jest mówić o pięknych żywych kwiatach, że są „jak malowane“. I na odwrót — o malowanych, że są „jak żywe“. To samo powiedzenie można zastosować do tego budynku lichego, a jednak jakże mocnego, skoro wiek przetrwał z okładem. Jest on „jak malowany“! Jak z obrazka, nie z natury.

I więcej jest takich nad Wisłą nie gmachów, ale niskich, najczęściej parterowych lub jednopiętrowych domków z filarkami zwykle z drewna, jak ten na rogu Solca i ul. Ludnej nr 1/2916-A. Nierzadko, jak tu właśnie, jest jeszcze jedno piętro zamieszkanе. To suterena, złożona z kilku izdebek, zwanych tu, może i słusznie „izbetkami“. Wszak są to małe „izby“, z których w każdej mieści się nie tyle w dzień, ile nocą po kilka osób. Dzień spędzają na świeżym powietrzu. Działwa na kopcach nadwiślańskiego



Stara oficynka na Ludnej



Dawna gospoda flisacza na Solcu (fot. L. Jarumski)

piachu na wybrzeżu, starsi po większej części rybacy lub żwirnicy na rzece, inni wreszcie w pracy — szczęśliwsi, a w gorzkim nie w słodkim *far-niente* ci, których dotknęło bezrobocie. Ci z rękami w kieszeniach wystają godzinami na schodkach lub podpierają słupki grzejąc się na słońcu.

W tej samej okolicy, bo pod nr 39/2931 na Solcu na froncie posesji, którą w głębi zajmuje fabryka farb firmy „E. Werner i J. Setzer“, stoi unikat może nie tylko warszawski, ale i na terenie całej dawnej Kongresówki, bo na Wołyniu i Polesiu jest ich więcej. Na zewnątrz jest to zwykły dworek drewniany z podcieniami o czterech filarkach ze stromym dachem ceglany. Ale wewnątrz?

Wnętrze właśnie zasługuje na uwagę. Podzielone na szereg oddzielnych izb z kuchenkami nie posiada ono przewodów kominiowych więcej nad jeden. A raczej od wszystkich kuchenek wyłoty prowadzą do jednego otwartego na przestrzał komina nad sienią. Świadczy to o tym, że chata owa była ongi chatą „kurną“. Istotnie była to gospoda, gdzie flisacy, spławiający drzewo do Gdańska, zatrzymując się u brzegów Soleckiej Kępy rozniecali pośrodku klepiska ogień, z którego dym ulatał przez



Knajpka „Pod Retmanem“ na Powiślu (fot. Leon Jarumski)

otwór zrobiony w szczycie dachu. Ruch wtedy bywał tu wielki. Gospoda leżała nad samym brzegiem rzeki, której nurt szedł w tym miejscu, gdzie dziś parzysta strona Solca, dalej parzysta stroną ulic Dobrej, Bugaja tuż pod Zamkiem, i Rybaków. Później rzeka się odsunęła i Solec, i owe ulice z prawej strony zabudowano.

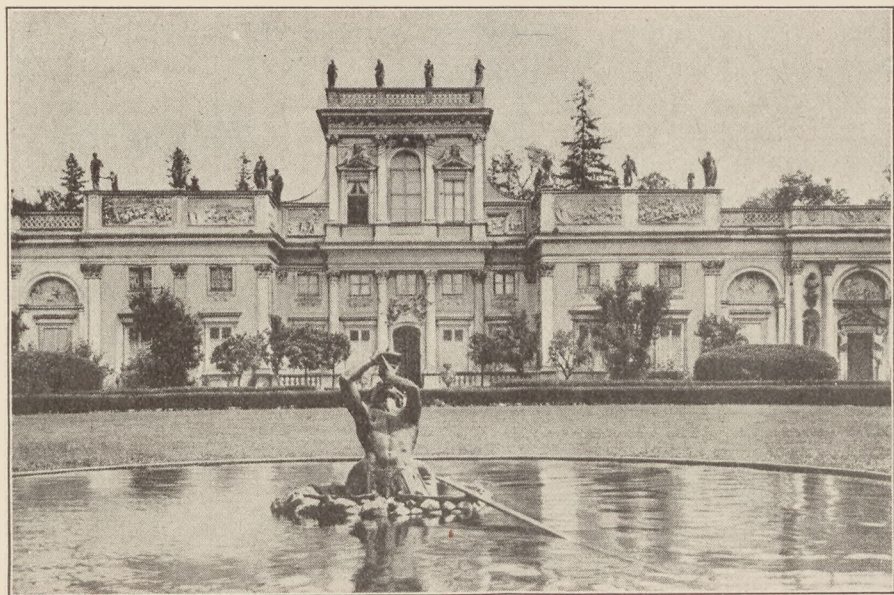
Po dalszym wzroście Warszawy, już w wieku XVIII, kiedy były mosty naprzeciw ulicy Bednarskiej, stanął przy rogu Mariensztadtu budynek z cegły, w którym mieściła się gospoda do tej pory istniejąca, ale już jako zwykła restauracja „Pod Retmanem“. Dawnym jednak zwyczajem jest ona i dziś chętnie odwiedzana nie tylko przez „ludzi rzecznych“ — obywateli Wisły, dobywających żwir i piasek, przez obsługę statków parowych z pobliskich przystani, ale również i przez spacerowiczów tutaj zabłąkanych. Dworek się zapadł, a raczej z biegiem lat podniósł się poziom ulicy tak znacznie, że na równej wysokości z wałem znalazło się piętro mieszczące knajpkę. Toteż połączono ją z ulicą czymś w rodzaju zwodzonego mostu. Parter robi wrażenie sutereny wyglądając okratowanymi oknami na

rodzaj fosy. Niegdyś, zanim usypano wał ochronny, patrzyły one prosto w Wisłę... nieraz w dni powodzi wdzierając się przez nie do wnętrza.

Do dziś świadczą o tym wmurowane w zewnętrzną ścianę od rogu Mariensztadtu znaki z pamiętnymi datami wylewu rzeki. Wisła i Powiśle ze swoimi niebogatymi, skromnymi, ale pełnymi wspomnień i dawnego sprzed wieków kolorytu budowlami i dworakami warte są poznania przez tych warszawian, dla których nieobce są przebogie czary *Posilippa* i koronkowe ramy *Canal Grande*.



Domek flamandzki przy ul. Belwederskiej



Główny korpus pałacu w Wilanowie

PRZELOTEM PRZEZ OKOLICE WARSZAWY

Rozsłoneczniło się niedzielne przedpołudnie. Przypuśćmy. Tak samo bowiem może padać deszcz. Ale rozsłoneczni się nie dziś, to jutro. „Niech żywi nie tracą nadziei“.

A więc przypuśćmy, że rozsłoneczniło się piękne letnie przedpołudnie. Celsjusz z Torricellim podali sobie ręce. Termometr z barometrem w świętej zgodzie. Wiadomo: lato... Co więc robić z czasem wolnym od ocierania potu z czoła, zatroskanego myślą o długach? Bo wskutek gorąca i kłopotów mózg wysycha. Woda paruje osiadając kroplistym potem na łysej czaszce. A więc, co robić z czasem, jeśli się nie posiada auta dla długodystansowych podróży, ani pieniędzy na paszport zagraniczny? Tudzież, jeśli się nie ma groszy, żeby pojechać do Truskawca lub na Hel.

Zresztą bywaliśmy tam może za lepszych czasów. Nie są nam te dziwy obce. Nie imponuje Kair z Helouanem, tym mniej siwy Bałtyk.

Ale „cudze chwalicie — swego nie znacie“. Mamy tuż pod bokiem, o miedzę niemal od granic Wielkiej Warszawy albo zgoła w jej granicach, piękno godne porównania z najwspanialszymi zabytkami Grecji lub Rzymu, albo z sielankowością Beocji. Trzeba tylko bez uprzedzeń i bez snobistycznego *lorgnon* z ametystem spojrzeć gołym swojskim okiem na otaczające nas rodzime piękno.

A więc zadajmy sobie mniej trudu niż z wykupem biletu na Lux do Paryża i pojedźmy własnym Fordem lub taksówką, a jeśli chcemy skromniej, to autobusem lub zgoła samowarkiem kolejki podmiejskiej w najbliższe okolice Warszawy.

PROMENADA. Znajdziemy tu na pierwszej linii za Belwedere obszerny, względnie dobrze utrzymany park ze stawem, nazywany Promenadą, wydzielony z dawnego Mokotowa, leżącego wyżej. Park ten, dziś nieco głuchy, miał swe świetne czasy w latach 1900—1905, gdy królowała w nim ze swym przyjacielem Rydeckim słynna właścicielka Eldorada, Fantazji i innych tinglów warszawskich, madame Leonie Regnault, za strzelona później przez wspomnianego przyjaciela w Łodzi. Łał się tu szampan strumieniem, oficerowie huzarów i ułanów rosyjskiej lejbgwardii puszczały majątki, współzawodnicząc z włoskim chórem „Yambo“, w pełnych humoru wyczynach. Dziś należy to do przeszłości, zresztą bez żalu. Park i lokal porestauracyjny zapuszczone — ale wszystko pełne smętnego uroku.

SIELCE. O kilometr dalej na wprost słynnych restauracji Marcelina i Sielanki, godny jest widzenia, jeśli kto nie chce oddalać się zbytnio od miasta, park sielecki z estetycznym, choć małym pałacikiem.

WÓJTÓWKA. Trochę bliżej przed nim skręca droga w lewo ku Wójtówce z nieciekawą wprawdzie karczmą narożną, jednak licznie odwiedzaną, jako że leżącą na drodze do Czerniakowa, połączonego ze śródmieściem linią tramwajową.

Rzeczy te należą już do historii, a raczej wspomina się je jak legendę, ale był czas, gdy nie było tramwaju, a droga do Czer-

niakowa, szczególnie bliższa miasta ulica Czerniakowska tonęła w mrokach krwawej grozy i oparach alkoholu. To nie był sztuczny, specjalnie dla cudzoziemców fabrykowany Montmartre. To było istotne dno Warszawy.

*„Na Czerniakowskiej, Górnej i Woli,
W ciemnych spelunkach, gdzie życie wre,
Tam czarna Mańka...”*

śpiewano w szyfmanowskim „Momusie” na placu Teatralnym wywołując w słuchaczach pewien dreszczyk... Zresztą nie tylko „Czarna Mańka”, ale i „Poszła Felka”! i

*„Wiatr za szybami śmieje się,
Psiakrew, to życie takie złe!
Nie, już nie będę więcej pić,
Jutro inaczej zacznę żyć”!*

rozczulające w swoim czasie warszawskich snobów, zrodziły się pod wpływem nastrojów będących powszednim chlebem na tej Czerniakowskiej drodze.

CZERNIAKÓW. Czerniaków znany jest z majowych odpustów na św. Bonifacego, odprawianych w kościele, ufundowanym przez marszałka w. kor. Stan. Herakliusza Lubomirskiego. Od Czerniakowa gorszą drogą, wprost zaś od parku Sieleckiego piękną, dogodną, wyasfaltowaną szosą dojeżdża się do dawnej siedziby Króla Jana III w Wilanowie.

WILANÓW. „Bajeczkę tę znacie — a więc posłuchajcie”. Pałac wilanowski, bez dzisiejszych skrzydeł, wznosił Sobieski według projektu Józefa Bellotiego i przyozdobił bogato w dzieła sztuki, wspaniałe brązy i marmury, sprowadzone z Rzymu. Kazał więc na froncie wypisać słowa „*Quod vetus urbs coluit, nunc nova villa tenet*” (co stare miasto czciło, nowa wieś posiada). Podobieństwo brzmień wyrazów „*villa nova*” i Milanowa, dawnej nazwy tej miejscowości, jako siedziby rodziny Milanowskich, dało początek nowej nazwie Wilanów.

Wilanowa i jego parku z wodotryskami, wspaniałymi starymi topolami, sadzonymi ręką Sobieskiego, ze strzyżonymi grabowymi alejami, pięknymi tarasami i schodami, nie można nie znać i zna go każdy warszawianin.



Budynek folwarczny w Natolinie

MORYSINEK. Za łąką wiślaną, przez którą przejeżdża się promem, leży na wyspie drugi park, do tych samych dóbr należący, zwany „Morysinek“ z domkiem holenderskim i chatką pustelnika, skąd rozpościera się bardzo ładny widok na okolicę. Nazwę „Morysin“ nadał temu parkowi w swoim czasie Stanisław Potocki na pamiątkę chrztu swego wnuka Maurycego.

KABATY i POWSIN. Za Wilanowem można zboczyć do pięknych lasów Kabackich, obieranych dawniej często za miejsce pojedynków, a nie chcąc zbaczać z drogi pojechać kolejką prosto do Powsina, z barokowym kościołem z r. 1725, przy którym od 1803 r. był proboszczem poeta Jan Paweł Woronicz, jezuita, arcybiskup warszawski.

NATOLIN. W połowie drogi między Powsinem a Powsinkiem leży urocza siedziba magnacka, również do dóbr wilanowskich należąca — Natolin.

„O imię miejsca tego — wieść niesie — przed laty
Spór wiodły między sobą zdobiące je kwiaty.
Każdy prawo nazwania słusznie sobie rości,
Skromny nawet fiołek róży pozazdrości.
Wtem świeższa Natalia pośród nich się rodzi,
Miejsce zwą Natolinem i sprzeczka się godzi“.

Tak któryś z poetów uczcił przeszło przed wiekiem to miejsce napisem znajdującym się dotychczas na kamieniu w zacisznym lasku, w którym stoi na wzgórzu po prawej stronie szosy za Wilanowem piękny pałac, wzniesiony w r. 1780 według planów Merliniego przez Augusta Potockiego. W miejscu tym za poprzednich właścicieli Lubomirskich i Czartoryskich była bażantarnia. Późniejszy dziedzic Stanisław Potocki nazwał to Natolinem dla upamiętnienia narodzin wnuczki swej Natalii, późniejszej małżonki Romana Sanguszki, zmarłej w 1830 r. Park tutejszy ma wiele wspaniałych budowli, przeważnie w stylu klasycznym, jak przede wszystkim główny pałac z otwartą półkolistą kolumnadą, jak piękny spichrz z doryckimi filarami, w rodzaju greckiej świątyni, szereg mostów i tarasów, a głównie z grobowcem w stylu etruskim, wspomnianej Natalii z Potockich Sanguszkowej (zrzeźbą Ludwika Kaufmana), doktóręgo prowadzi most ozdobiony lwami.

URSYNÓW. O dwa kilometry od Wilanowa w kierunku szosy mokotowskiej, na skraju wzgórza widnieje Ursynów, pałac zbudowany w r. 1830 przez Ludwika Krasieńskiego podług

Fragment willi Ursynów pod Warszawą



planów arch. Z. Rospędowskiego. Mieszkał tu ongi we dworze, stojącym w tym parku, Julian Ursyn Niemcewicz, który dawną nazwę „Rozkosz“ zmienił na „Ursynów“.

W r. 1830 odwiedził tu starego twórcę „Śpiewów historycznych“ Słowacki, który był zachwycony pięknością tej siedziby. Główną jej ozdobą są tarasy i schody, przypominające willę d'Este w Tivoli pod Rzymem.



Historyczna karczma w Wierzbnie



Plac Unii Lubelskiej i rogatka mokotowska w r. 1894 — rys. L. Ilinicza
w zbiorach autora.

OD MOKOTOWA DO CZĘRSKA

Przypuśćmy, że znów pogoda, że zakonnik w babcinym sprzed stu lat barometrze opuścił swą budkę i wyszedł na spacer, że łakmus też poczerwieniał i także wróży pogodę.

Skorzystajmy z niej zatem skwapliwie i znów wyruszmy dawnym szlakiem, tylko nieco dalej, za Warszawę.

Gdy zboczymy od Wilanowa w kierunku zachodnim, w bezpośredniej niemal bliskości napotkamy romantyczny zakątek jakby ilustrację do elegii „Na wiejskim cmentarzu“ o kolorycie i w ujęciu Ruysdaela. Jest to maleńki Gucin.

GUCIN. W pobliżu drogi łączącej Wilanów z szosą górno-kalwaryjską jest ogród z domkiem mieszkalnym i maleńkim „Gaikiem“ z roku 1816, ogrodzonym, zarosłym mnóstwem drzew różnych odmian, sadzonych ręką znakomitych ludzi owej epoki. Gaik, jak cmentarzyk, pokryty jest nagrobkami, pomnikami i kamieniami.

To rzeźbiarze, sprowadzeni z daleka przez Stanisława Kostkę Potockiego i jego żonę Aleksandrę z Lubomirskich, kuli z szarego piaskowca dla ozdoby parku postacie sławnych Polaków, obeliski, tablice pamiątkowe itp., których szczątki spoczywają teraz w zaniedbaniu jak na zapomnianym cmentarzu. A przez lat jeszcze wiele po zgonie Potockiego, swego wielkiego mistrza,

pamiętali o tych pamiątkach przyjaciele zmarłego, wolnomularze, odbywający tutaj swe zebrania.

Wzniesli oni przy wejściu do gaju stojący tam do dziś obelisk z napisem poświęconym pamięci swego duchowego wodza Stanisława i jego brata Ignacego Potockich.

GAY
POŚWIĘCONY OD
PRZYJACIOŁ PAMIĘCI
STANISŁAWA I IGNAČEGO
POTOCKICH.

Straż GAYU tego
w najpóźniejsze czasy powierzoną
jest tym, którzy cenią cnotę
i Zasługi Publiczne.

Wśród gaju stoi też do tej pory odrapany sarkofag marmurowy, postawiony przez wdowę Stanisława Kostki.

Gucin nazwę swą otrzymał, podobnie jak Morysin i Natolin, na pamiątkę Augusta (zdrobniałe: Gucio), wnuka Stanisława Kostki Potockiego (zm. 1821 r.).

LETNISKA. Klarysew, Jeziorna, Słomczyn z kościołem fundowanym w r. 1725 przez Hieronima Wielopolskiego. Konstancin, Skolimów, Chylice i Chyliczki, z wyjątkiem Jeziorny, osady fabrycznej (papiernia „Mirków“), są coraz bardziej po europejsku urządzoneymi letniskami.

Zwłaszcza w Konstancinie las i malownicza wstęga rzeki Jeziorki dopełniają pięknej całości.

W Chyliczkach zachowany do dni naszych w zupełnie dobrym stanie stoi dworek ks. Józefa Poniatowskiego, w którym przebywał całe tygodnie samotnie rozmyślając w cieniu lip rozłożystych.

PIASECZNO. Tak zbliżamy się do Piaseczna, niegdyś wsi książęcej, zamienionej w roku 1429 przez Janusza Starszego ks. mazowieckiego na miasto. Piaseczno leżało wśród lasów, do których wysłano na leczenie chorą na płuca Annę Jagiellonkę.

W końcu XVIII wieku starostą piaseczyńskim, jak wiadomo, był Franciszek Ryx, ulubiony i zaufany kamerdyner króla Stanisława Augusta.

Jest tu ciekawy kościół z XV wieku fundacji książąt mazowieckich, przebudowany w r. 1736.

Na cmentarzu groby powstańców z r. 1863, w okolicy dotychczas widoczne są liczne ślady walki z r. 1914.

MOKOTÓW. Jeżeli z pl. Unii Lubelskiej udamy się nie w dół ku drodze Belwederskiej na Sielce i Wilanów, ale ul. Puławską w kierunku szosy górnokalwaryjskiej, to przede wszystkim jeszcze na terenie Wielkiej Warszawy zwróć naszą uwagę znane pawilony i baszty pseudogotyckie u wejścia do parku Szustra.

Park ten jest resztką dawnego Mokotowa, należącego za ks. mazowieckich do mieszczan warszawskich i gdańskich Burbachów, a w XVIII wieku do marszałkowej w. kor. Elżbiety Lubomirskiej, która wystawiła tu wiele pseudoklasycznych budynków, ruin itd., jak to było ówczesnym zwyczajem, a także do dziś zachowany pałacyk (patrz str. 251).

WIERZBNO. Graniczy z Mokotowem Wierzbno, gdzie jest też piękny park, malowniczo spadający urwiskami ze wzgórza Mokotowskiego ku Sielcom. Jest w parku kilka ciekawych swą architekturą domków, z których jeden zwłaszcza wyróżnia się fantastycznie, ale harmonijnie połamanymi liniami.

Naprzeciw parku po prawej stronie szosy stoi karczma empirowa, w której w. ks. Konstanty, uciekły z Belwederu pod spódnicą ks. Łowickiej a swej żony (Joanny Grudzińskiej) spędził noc z 29 na 30 listopada r. 1830 koncentrując swe wojska.

KRÓLIKARNIA. Dalej przy tej samej drodze i po tej samej lewej stronie, idąc od Warszawy, co Wierzbno jest Królikarnia. Tak nazwana od prowadzonej tu za królów Sasów hodowli królików. Dziś p. Marta Krasieńska urządziła tu schronisko dla nieuleczalnie chorych. Ciekawa jest historia pałacu. Polecił go wznieść Merliniemu Karol hr. Thomatis, dyrektor teatru za Stanisława Augusta, sądząc, że król go odkupi zaniechawszy kłopotliwej i kosztownej budowy Łazienek, a on na tym zarobi. Omylił się jednak: pałac nie zadowolił wybrednego gustu króla, więc Thomatis użył go na miejsce zabaw i klub, w którym zgrywali się w karty wspólnie z magnatami i dwora-



Pałac w Królikarni

kami królewskimi różni awanturnicy, nawiedzający Warszawę, jak Casanova, Cagliostro i in. W parku stoi m. in. budynek kuchenny, wzorowany na słynnym „Capo di bove“ przy rzymskiej *Via Appia*.

Dalej przez Służewiec, gdzie jest tor wyścigowy i przez Szopy z dworkiem z roku 1840, parterowym z klasyczną fasadą na czterech jońskich kolumnach, wreszcie przez Pyry zbliżamy się znów do Piaseczna. Tu rozwidła się tor kolejki grójeckiej prowadząc w prawo do Grójca, gdzie urodził się Skarga, a w lewo do oddalonej o 32 km Góry Kalwarii.

GÓRA KALWARIA. Miasteczko, położone na wysokim brzegu nad Wisłą, warte jest zwiedzenia z wielu względów, przede wszystkim dla niezwykle malowniczego widoku na niziny nadrzeczne i zawiśle, a potem choćby dla bliskości ruin Czerska, gniazda rodowego książąt mazowieckich.

Góra, jako miasto, znacznie starsza jest od Warszawy, bo już w r. 1252 biskup poznański Bogufał nakazywał składanie

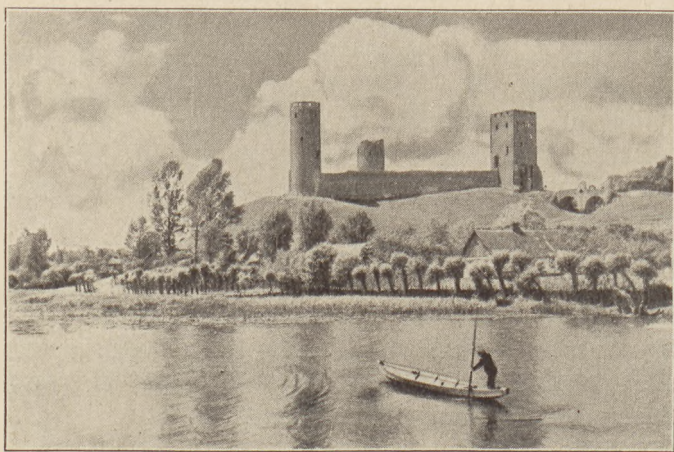
dziesięcin tamtejszemu kościołowi ze wsi Warszewice. Nazwę dodatkową Kalwarii otrzymała Góra dopiero w końcu XVII w. od stacyj Męki Pańskiej, ustawionych tu przez biskupa poznańskiego Teodora Wierzbowskiego, pochowanego w Górze w kościele św. Krzyża.

W drugim kościele pobernardyńskim, stojącym pośrodku rynku, spoczywa marszałek w. kor. Franciszek Bieliński. Trzeci maleńki kościółek św. Antoniego stoi w bardzo malowniczym zakątku na lesistym zboczu wzgórza i tu bywają słynne odpusty 13 czerwca, ściągające licznych warszawian.

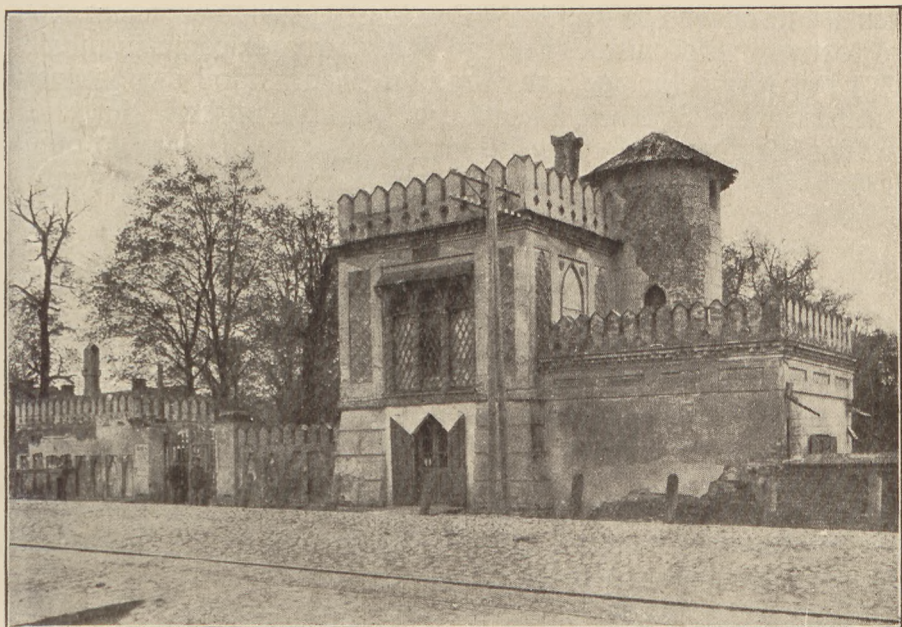
Wśród żydów słynęła przez długie lata Góra, jako siedziba rabina cudotwórcy-cadyka, do którego ortodoksi odbywali tłumne pielgrzymki.

CZERSK. O niecałe 3 km za Górą znajduje się wioska Czersk, niegdyś gród, pierwotna stolica ks. Mazowieckiego, z ruinami zamku z XIII w., dominującymi nad rzeką i okolicą trzema połączonymi grubym murem obronnym wieżami.

W zamku tym założyciel dynastii ks. mazowieckich, wnuk Krzywoustego, Konrad I, więził w r. 1230 śląskiego księcia Henryka Brodatego. Bardzo często też tu przebywała królowa Bona wyjeżdżając na łowy. Zamek zniszczony został podczas „potopu“ szwedzkiego za Jana Kazimierza, jednak dziś jeszcze ruiny jego robią potężne wrażenie.



Ruiny zamku w Czersku



Domek maurytański przy wejściu do parku Szustra

MOKOTÓW I PARK SZUSTRA

Mieszkańcy dzielnicy mokotowskiej znają dobrze rzucające się w oczy na tle nowoczesnych kamienic i dworców niezwyklej strukturą dwie baszty, stojące u wchodu do parku tak zwanej kolonii Szustra. Odbijają one rażąco od całej ulicy Puławskiej wywołując u wielu zaciekawienie.

Jest to jeden — domek maurytański o zębatej attyce, jednym wielkim oknie lekkimi kolumnkami na trzy podzielonym; drugi zaś — coś w rodzaju wielkiego czworobocznego gołębnika o spiczastym czterospadkowym dachu, zakończonym na rogach wieżyczkami.

Skąd się tu owe budynki tak niezwykle wzięły i kiedy? Chcąc się dowiedzieć zajrzyjmy do W. Małcużyńskiego „Rozwoju terytorialnego miasta Warszawy“. Dowiemy się tam, że

niezależnie od warszawskiego wójtostwa istniało tu od wieku XVI wójtostwo mokotowskie, którego dzierżawcą dziedzicznym w r. 1775 był Kłopotcki, podczaszy rawski. Ten ustąpił swych praw Stanisławowi i Elżbiecie z Czartoryskich Lubomirskim, marszałkostwu koronnym. Podług lustracji 1777 r. wójtostwo to obejmowało trzy włóki, do których Lubomirska dokupiła sąsiednią włókę księży wikariuszów i założyła na nich ogród z parkiem i pałacym.

Księżna, jedna z osławionych przez Kajetana Węgierskiego „Pięciu Elżbiet“, mieszkając w Mokotowie nazywała go, stosując się do ówczesnej francuskiej mody — „*mon coteau*“. Stąd też niektórzy nazywali tę miejscowość błędnie „Mąkotów“. Taka nazwa często figuruje nawet w aktach b. komisji skarbu. A jednak nazwa „Mokotów“ wymieniana była już w aktach z XIV wieku, jako przysługująca włości książąt mazowieckich. Lubomirska, chociaż przebywała przeważnie w swym zamku w Łańcucie albo w Wiedniu, pragnąc nie pozostać w tyle za Czartoryskimi z ich pretensjonalnie zabudowanymi Puławami i Powązkami, jak również za księciem podkomorzym Kazimierzem Poniatowskim z jego feerycznie urządzonymi ogrodami na tak zw. „Książęcym“ na Solcu (dziś szpital św. Łazarza, Frascati itd.), wezwała z Niemiec słynnego podówczas ogrodnika planistę Simona polecając mu założenie pięknego parku.

W charakterze pomocnika Simona pracował tu Jan Krystian Schuch, również sprowadzony z Niemiec, od r. 1781 intendent ogrodów królewskich w Warszawie, twórca parku Łazienkowski. On to rozplanował dzielnicę Warszawy między obecnymi ulicami Polną, Koszykową, Alejami Ujazdowskimi a Baga-
telą i nazwisko jego uwiecznione zostało nazwaniem jednej z ulic „Aleją Schucha“. Do dziś nadto potomstwo jego spolszczone zamieszkuje w Warszawie.

Drugim pomocnikiem Simona był w Mokotowie sprowadzony z Erfurtu przez księżnę Izabelę Karol Barthel (zm. 1855), późniejszy twórca parku wilanowskiego w dzisiejszej formie.

Ci trzej „ojcowie“ Mokotowa pracowali nad parkiem.

Czwarty Szymon Bogumił Zugk, przybyły z Drezna do Warszawy architekt saski, któremu Polska i specjalnie Warszawa zawdzięcza wiele gmachów, zbudował owe dwie baszty przy wejściu z ul. Puławskiej na kolonię Szustra. Wzniósł on przed tym już (1777—1779) kościół ew.-augsburski na placu Czerwonym



Wieża neogotycka przy ul. Puławskiej
(fot. L. Jarumski)

(dziś na placu Małachowskiego — przy ul. Królewskiej), pałac Dückerta „Pod czterema wiatrami“ przy ul. Długiej, gdzie ongi był hotel Drezdeński, pałac księcia podkomorzego na Solcu, groty podziemne, kaskady, pawilony ogrodowe i do dziś istniejący na terenie szpitala św. Łazarza minarecik itd., wreszcie słynną „Grubą Kaśkę“, studnię na Tłumackim.

Zugka dziełem jest właśnie cała architektura ogrodowa Moko-

towa Lubomirskiej, a więc: pałac, dziś już przerobiony, wieże, budyneczki, przypominające „*hameaux de la reine*“ w *Petit Trianon* w Wersalu, chatki, młyn itd. Pracował nad tym od roku 1768 do 1780.

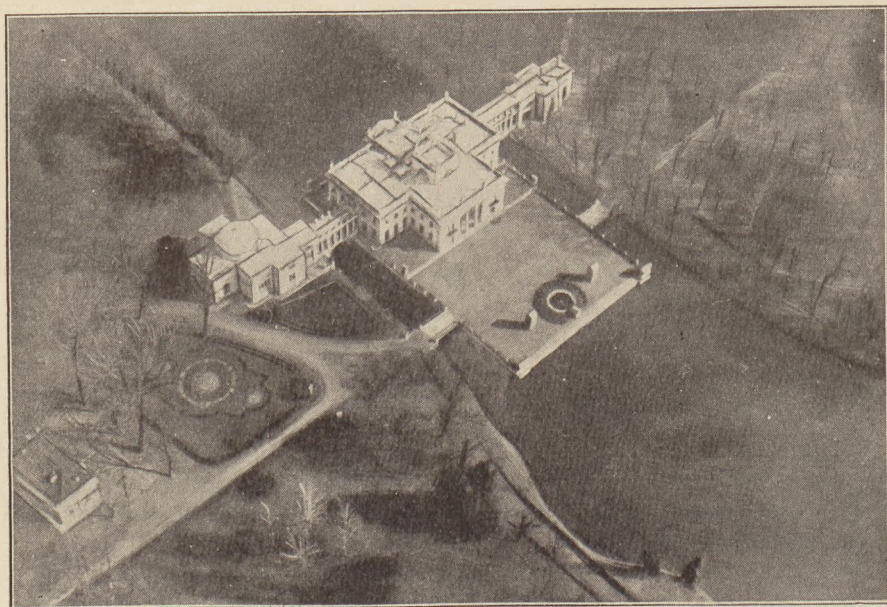
O fantazyjnych budynkach pomysłu Zugka wspomina drwiąco biskup warmiński, ks. Ignacy Krasicki, w swym liście z podróży do księcia Stanisława Poniatowskiego:

„Jadąc dalej przez ulicę
„Postrzegłem jadąś świątnicę.
„Gust pięknej architektury,
„Wieżę, baszty, mosty, góry,
„Więc się nieco zatrzymałem.
„A gdy: co to jest? — pytałem,
„Roześmiał się ten, com go pytał.

i ponieważ miał sprawiedliwą przyczynę, dowiedziałem się albowiem od niego z niezmiernym moim podziwieniem, iż zmówiłem pacierz przed kuchnią, a com dla baszty sądził fortecą, było gołębnikiem“ itd.

„Kalendarz Warszawski“ na rok 1848 zamieścił w tłumaczeniu artykuł „Ogrody w Warszawie i jej okolicach, opisane w r. 1784 przez Szymona Amadeusza Zug“, w którym współtwórca parku

mokotowskiego tak się o nim wyraża: „Nad brzegiem jednej z sadzawek są chatki rybacze, otoczone narzędziami do rybołówstwa służącymi, ułożone smakowicie, ale bez wysilenia sztucznego. Niedaleko od chatki jest szalas okrągły indyjski i ściany jego formują pnie młodych zgiętych brzoź, a dach piramidalny okryty trzciną i sitowiem, wewnątrz malowane w sposobie indyjskim. Rodzaj zwodzonego mostu, z obu stron ozdobnego kwiatami, wiedzie stąd do większej wody, u brzegu której jest namiot wspóltwarty, wewnątrz w arabeski pomalowany, przed którym piękny rzut wody wpada w sadzawkę otoczoną kwiatami i pomarańczami. Tu widok swobodny na piękną łąkę, czyli trawnik zielony za wodą położony, ozdobiony pojedynczymi, rozrzuconymi brzozami. Za nimi odkrywa się w pewnej odległości mały folwark, złożony z kilku na pozór bardzo starych budowli. Wszelkiego rodzaju ptactwo: pawie, żurawie, bociany ożywiają to miejsce. Z jednej strony łąki jest kilka chatek, przy nich pasieka z ładnymi mieszkaniami, za nimi znów las gęsty“... Istotnie ogród ten ze wszystkimi fantastycznymi budynkami przypominał, jeśli nie wymienione parki Poniatowskiego Kazi-

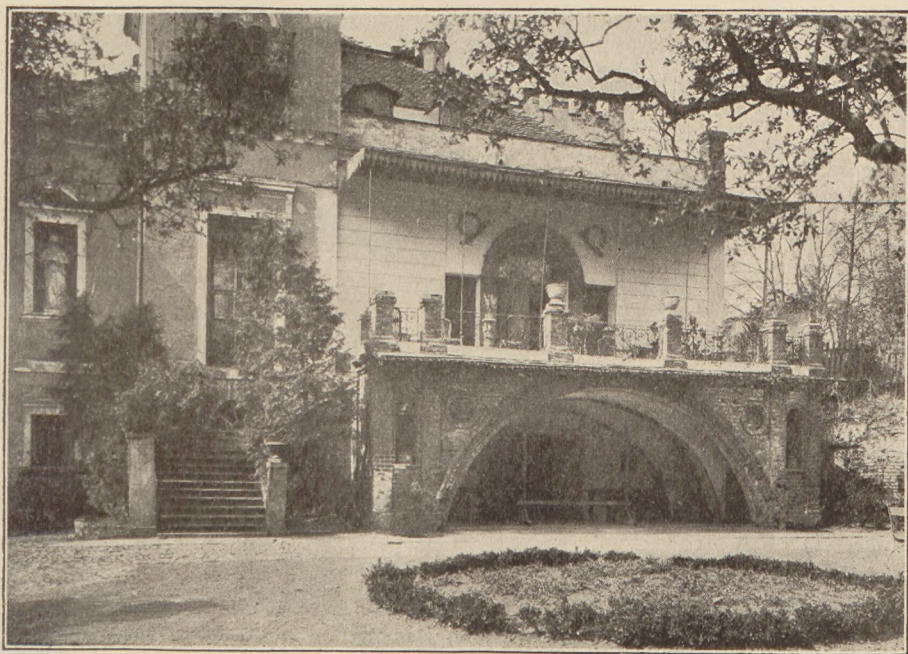


Pałac łazienkowski — zdjęcie z aeroplanu

mierza i Czartoryskich, to Potockich w Natolinie i Radziwiłłów w Arkadii pod Łowiczem.

Książęta mazowieccy, pierwotni dziedzice tych włości, w żadnym razie by ich po gospodarce warszawskiej księżny — nie poznali, tym bardziej, podczas wymyślnych bali i festynów, organizowanych przez Lubomirską na cześć Najjaśniejszego Monarchy i Drogiego Kuzyna a króla Stasia.

Po Lubomirskiej Mokotów dostał się hrabinie Annie z Tyszkiewiczów Aleksandrowej Potockiej, z drugiego męża Dunin-Wąsowiczowej, która podzieliła go na kolonie. Jedna część, właśnie główna, z pałacem i parkiem, sięgającym ulicy Belwederskiej (Sieleckiej), gdzie tworzy ogród zwany „Promenada“, przeszła w r. 1845 na własność litografa warszawskiego Franciszka Szustra.



Stara willa w Mokotowie



Na jesiennym słońcu (Rys. Sawiczewskiego)

W ŻŁOCISTEJ SZACIE JESIENI

Jesień!

Owa polska jesień, opiewana przez poetów, jako najpiękniejsza u nas pora roku!

Jak przystało na faworytkę dziatwy promienistego Apollina, pogodą swoją nie tylko rozpromienia lica rwącej się do życia, niby na wiosnę, młodzieży, ale rozpogadza najbardziej nawet zasępione oblicza hipochondryków. Dość przejść się po Alejach lub zajrzeć do Łazienek, gdzie wygrzewają na słońcu swe zreumatyzmowane członki. Ich twarze zdobi uśmiech na przekór wszelkim ischiasom i podagrze!

Na dwudziestu stopniach południowego słońca ci ludzie jesieni czują w sobie wiosnę powtarzając za Wincentym Polem, tak niesłusznie zapomnianym przez młode pokolenie:

*O! jesieni złota nasza!
Tyś jak darów Boża czasza,
Dziwnie mądra, pełna cześci
I kojącej pełna treści...*

Dokoła nich wre bowiem ruch i życie. Ostatni mohikanie letnisk ściągają do stolicy i pragnąc w spokoju i ciszy rozmyślać nad nowymi kłopotami, wysyłają swój narybek precz z domu na słońce.

Toteż w parkach i ogrodach pełno dziecięcego gwaru, czy to w malowniczych Łazienkach, czy w malarycznym parku Paderewskiego, w pełnych swoistego charakteru ogrodach Saskim i Krasińskich, czy też na łysych górach parków Żeromskiego i Traugutta. Po powrocie z letnisk istotnie dzieci przybywa coraz więcej pomimo że, jak o tym ten sam wyżej cytowany poeta powiada:

*Odleciały już bociany,
Wiejskiej strzechy gospodarze;
Już i żuraw rzuca strażę
W klucz powietrzny zawiązany
I już tylko od jeziora
Słychać jeszcze wrzask kaczora
Lub szum długi, gdy gromada
Już wędrownych gęsi spada.*

Z tym kaczorem jest gorzej, ale to prawda, że raduje się dusza na widok całych gromad pensjonarek, spadających z szumem ze wzgórza w łazienkowską dolinę, by tam na tle złocistej jesieni rozigrać się całą pełnią swej wiosny.

Tak jest rankiem i w południe, ale później:

*Słońce rzuca blask z ukosa,
I dzień krótszy — chłodna rosa —*

parki się wyludniają, pustoszeją aleje; zwolna pod wieczór zacierają się przebajecznie kolorowe, dziwnie przez naturę zharmonizowane kontrasty barw; nie ma już złota, nie ma czerwieni; zalega szarość i cisza, przerywana od czasu do czasu to odgłosem spadającego na ziemię kasztana, to znów jakby szmerem pocałunku.



Grupa z marmuru na tarasie
Łazienkowskiego pałacu

Rozchylają się tu i ow-
dzie drżącą ręką odgar-
niane krzewy, ukazują
się z nich splecione o za-
tartych w mroku rysach
twarzy dwie, jakby jed-
na, postacie... Ktoś nuci
z cicha znaną piosenkę:

*Jesienny już opada liść,
Ostatnia wędnie trawy
kiść,
I pora mi od ciebie iść
Hen w świat daleki...*

wnet jednak inny głos
przerywa:

*A gdy będziem znów we
dwoje...*

Dyskretniej, zarazem
ostrożniej zachowuje się
inna para, bo milczy jak
z kamienia.

Być może, zmroził ją chłód wieczora. Bo znów lekkomyślnością
było, nawet przy wiosennym temperamencie, stanąć jesienią
na kamiennym cokole przed pałacem króla Stasia — w takim
negliżu jak tych dwoje wykutych z białego marmuru przez
Le Bruna. Żeby tak przestać półtorasta jesieni — trzeba wy-
trwałości nielada. I w dodatku nie dostać grypy!

Ale kogóż nie pociągnie urok jesiennej przyrody, tak pełny
efektów malarskich. Zwłaszcza drobne stosunkowo perły archi-
tektoniczne rozrzucone po parkach: belwederskim, łazienkow-
skim, wilanowskim, natolińskim, ursynowskim i innych.

Najmniej znane jest bodaj piękno pobliskiego Ursynowa, który
jesienią wygląda najbardziej uroczo. Jest on teraz bardzo za-

puszczony, ale przez to właśnie wywiera jeszcze silniejsze wrażenie.

Dla ludzi wrażliwych na piękno plastyczne, zwłaszcza na grę barw, jesień jest porą najbardziej interesującą, gdyż bogactwem kolorów przewyższa każdą inną porę roku.



Tak zwana „Pustelnia“ przy moście Sobieskiego na Agrykoli

Dawny cmentarzyk
między kościołem
św. Anny a dzwon-
nicą



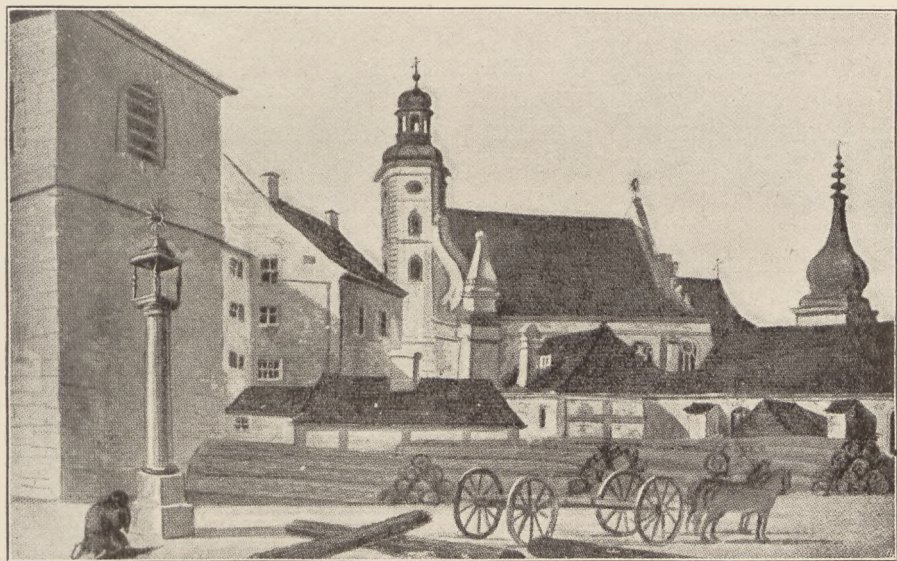
DAWNE CMENTARZE WARSZAWSKIE

Dzień Zaduszny!

Święto Zmarłych nasuwa zawsze pewne refleksje i wspomnienia. Chociaż glob ziemski jest tak obszerny, że mierzy przeszło 500 milionów km kw., to jednak zdaje się nie ulegać wątpliwości, iż nie ma na nim miejsca, żeby w ciągu milionów lat bytowania ludzkiego na ziemi, nie spoczęło w nim na wieki jakieś istnienie. Inaczej — cała ziemia jest jednym, wielkim cmentarzem.

Tak samo nie ma chwili, żeby się gdzieś ktoś nie rodził i nie umierał.

W mniejszym nieco stopniu niż globu dotyczy to poszczególnych krajów, jeszcze mniej miast. Jednak w przeszło milionowym mieście, jakim jest Warszawa, na każdym kroku i co chwila życie nam to przypomina.



Kolumnienka między dzwonnica a kościołem bernardynów zachowana do dziś na pamiątkę dawnego cmentarza. W głębi kościół św. Klary, zburzony w roku 1843 i wieża zamkowa. (Z akwareli Karola Albertiego znajdującej się w zbiorach p. Zuzanny Rabskiej)

Niemal przy każdym kopaniu ziemi pod fundamenty nowych budynków, przy robotach wodociagowych i kanalizacyjnych, przy budowaniu nowych dróg itp. natrafiają kopacze na szczątki ludzkie. Są to bądź pojedyncze szkielety, bądź wspólne doły mogilne ofiar walk w minionych wiekach stoczonych, bądź wreszcie pozostałości dawnych cmentarzy, dziś już nieistniejących, więc zapomnianych.

Cmentarzy takich w Warszawie było wiele. Przede wszystkim prawie do końca XVIII stulecia grzebano zmarłych co dostojniejszych w podziemiach kościelnych, pospólstwo zaś na poświęconej ziemi, otaczającej kościół.

Najstarszy cmentarz w Warszawie był przy farnym kościele św. Jana tu, gdzie obecnie ulica Kanonia, a właściwie placyk za katedrą. Tam chowano przeciętnych mieszkańców miasta Starej Warszawy. Patrycjat mieszczański spoczywał w podziemiach sklepionych pod kościołem.

Najuboższych wywożono za miasto i grzebano przy kościele św. Jura przy dzisiejszej ul. Świętojerskiej. Tak trwało od końca

XIII prawie do połowy XVII wieku. Warszawa ludności miała niewiele, więc miejsca wystarczało.

Gdy jednak liczba mieszkańców wzrosła, nadto, że na cmentarzu świętojurskim grzebano również straconych skazańców, wiele rodzin nie chciało tam składać swych bliskich i starało się o chowanie na klasztorным cmentarzu bernardyńskim. Zakonnicy w r. 1643 zamienili swój cmentarzyk przy kościele św. Anny na publiczny. Pamiątką tego jest mała kolumnienka na placyku między dzwonnica a kościołem oo. bernardynów na wprost ul. Miodowej.

Przez pewien czas grzebano parafian należącej do Starej Warszawy wsi Solec na gruntach oo. augustianów, gdzie potem w r. 1662 Krzysztof Pac wzniósł dla swej pięknej żony Włoszki Lascarisówny pałac „Belweder“. Chowano tu również mieszkańców Nowej Wsi. Ujazdowa itd.

W drugiej połowie XVII w. przeniesiono ten cmentarz na miejsce dzisiejszej ul. Topolowej.

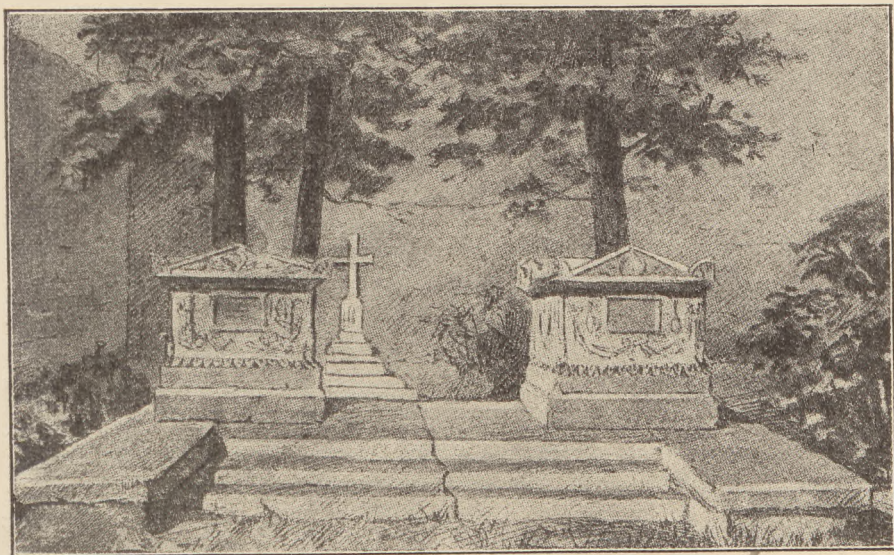
Na tyłach kościoła św. Krzyża, między dzisiejszą ul. Traugutta a Świętokrzyską aż do Mazowieckiej były na gruntach oo. misjonarzy cmentarze dla mieszkańców Bożydaru, Kałęczyna, Aleksandrii itd. Potem przeniesiono je na Koszyki do kościoła św. Barbary, zamienionego teraz na kaplicę przedpogrzebową kościoła św. św. Piotra i Pawła.

Cmentarz ten poświęcony w r. 1783, a założony w r. 1781 był przeznaczony na razie tylko dla księży i sióstr miłosierdzia. Dopiero od r. 1788 zaczęto tu chować osoby świeckie.

W r. 1830 założono cmentarz specjalnie dla wojskowych,



Kościół oo. kapucynów przy
ul. Miodowej



Grobowiec gen. Rautenstraucha i jego córki Laury Buynowej oraz zmarłych w r. 1708 na morową zarazę w zaulku ul. Kapucyńskiej według rysunku, znajdującego się w posiadaniu autora

zmarłych w szpitalu Ujazdowskim. Istniał on do r. 1840 na placach, należących dziś do Politechniki od ul. Koszykowej hip. nr 1753.

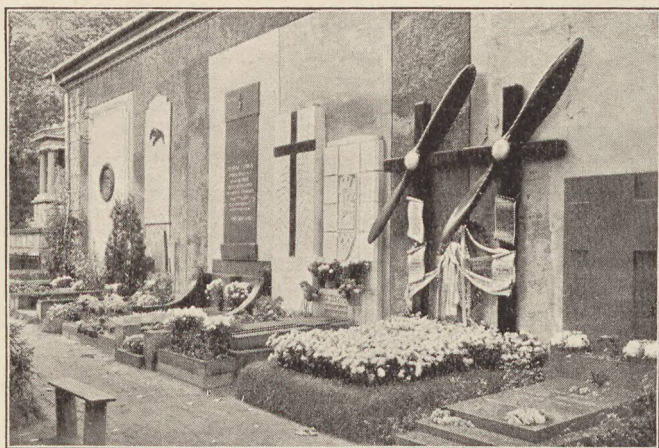
W latach 1797—1806 zmarłych w szpitalach wojskowych grzebano na cmentarzu Jazdowskim nad Górną Agrykolą, gdzie dziś część ogrodu Botanicznego wprost szpitala Ujazdowskiego. Pochowano tam wówczas pruskich majorów Dycelskiego i Mleczkę oraz kapitana Donoppa, zmarłych w 1801 i 1803 r.

Poza tym, chociaż świeckich zmarłych przy kościele oo. kapucynów na ul. Miodowej na ogół nie chowano, to jednak nieraz czyniono wyjątek. Tak np. do dziś zwraca uwagę zabłąkanego w głąb ul. Kapucyńskiej turysty, owiany tchnieniem romantyzmu zakątek z sarkofagami gen. J. Rautenstraucha, jego żony Łucji z książąt Gedrojców i córki Laury Buynowej, którzy złożyli w swoim czasie znaczną sumę z warunkiem, by spokoju ich prochów po wieczne czasy nie zakłócano. Toteż ogrody pokapucyńskie rozparcelowano pod szereg kamienic, a sarkofagi pozostały na miejscu.

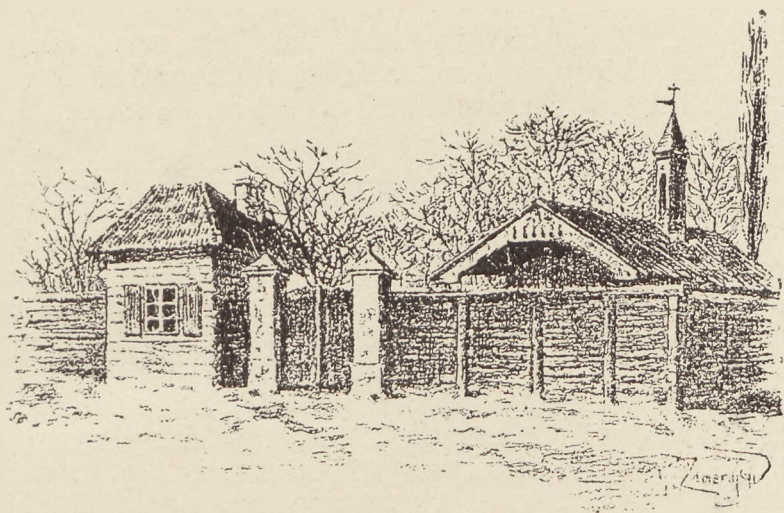
Pozostał tu też pomnik zmarłych na zarazę morową w roku 1708. Prócz wspomnianych wyżej są jeszcze w Warszawie ślady cmen-

tarzy, istniejących przy kościołach Panny Marii na Nowym Mieście, oo. franciszkanów na Zakroczymskiej, oo. reformatów przy ul. Senatorskiej oraz cmentarza przy zburzonym już szpitalu Dz. Jezus na dawnym placu Wareckim, dziś Napoleona. Pozostał po nim zaledwie maleńki ogródek przed kościółkiem na ul. Moniuszki. Stał tu do niedawna kamień z napisem: „Boże, bądź miłościw zmarłym w szpitalu od r. 1757 a tu do 30.000 pogrzebionym. A. D. 1799“.

Jeśli wspomnimy istniejący w XVII i XVIII stuleciu cmentarz na górze Szubienicznej (dla skazańców), zamknięty ostatecznie z chwilą zbudowania cytadeli, cmentarz dla cholerycznych w pobliżu st. Praga na Pelcowiznie, oraz założony w r. 1635 cmentarz na 'Kamionku, zamknięty wskutek otwarcia cmentarza na Bródnie a teraz zupełnie skasowany — to będą mniej więcej wszystkie nieistniejące już dawne katolickie cmentarze warszawskie.



Aleja zasłużonych na cmentarzu Powązkowskim



Cmentarz na Kamionku w r. 1893 (Rys. Wł. Zamarajew)

MILIONY MOGIŁ I KRZYŻÓW

Data 20 listopada r. 1884 była dla Warszawy w swoim rodzaju epokową. Do tej pory, po zamknięciu cmentarzy terytorialnych tu i ówdzie po krańcach miasta porozrzucanych, Warszawa miała tylko jeden cmentarz ufundowany hojnością klonowskiego starosty Melchiora Szymanowskiego na Powązkach, a którego dzieje są ogólnie znane.

W ósmym jednak dziesięcioleciu XIX w. rozsiadłe na gruzach wspaniałej siedziby Czartoryskich nasze Campo Santo powązkowskie groziło już przepełnieniem. To samo dotyczyło przedmieścia Pragi, którego jedyny cmentarz na Kamionku, datujący się od XIV stulecia, musiał być zamknięty.

Pomyślano więc o założeniu nowego cmentarza na razie dla Pragi i wybrano na ten cel sapy i piaski, leżące szerokim pasem na gruntach folwarku Bródno. Zdecydowała tak komisja, wyłoniona do tej sprawy przez magistrat. Decyzję prezydent miasta generał Starynkiewicz zatwierdził i w styczniu 1883 stanął akt kupna-sprzedaży.

Przy tej okazji zrobił dobry interes i szpital św. Ducha, który był od 400 lat tych gruntów właścicielem, otrzymał je bowiem w darze od swej fundatorki księżny Anny Mazowieckiej w roku

1444, a więc w roku bitwy pod Warną. Tak, są to tak stare dzieje. Czasy, kiedy na Wawelu siedzieli pierwsi Jagiellonowie, a udzielne księstwo mazowieckie było w pełni rozkwitu. Kiedy Warszawa dopiero się tworzyła.

Wprowadzie tuła się po ludziach gadka, puszczone przez redakcję „Wędrowca“ w Ilustrowanym Przewodniku po Warszawie na r. 1893 i powtórzona potem przez cały szereg „Przewodników“ (E. Jezierski, E. Muszalski i T. Rudnicki i inne), odnosząca datę powstania cmentarza bródzińskiego do roku 1878, ale jest to data błędna, bo istnienie tego cmentarza datuje się dopiero od r. 1883.

W styczniu bowiem tego roku nabyto od szpitala 60 dziesięcin 2112 sąż. kw., czyli 126 morgów 208 prętów (dzisiejszych 65 ha i 8020 m kw.), wydmy piaszczystych i tak zwanych przez ludność miejscową Łysych Gór i z wiosną przystąpiono do ich niwelowania.

Od wiosny r. 1883 do jesieni 1884 trwały roboty niwelacyjne, po czym 20 listopada tegoż roku arcybiskup metropolita warszawski Wincenty Chościak Popiel uroczyście nowy cmentarz poświęcił.

Zaraz nazajutrz odbył się pierwszy pogrzeb rocznego dziecka — Marychny Skibniewskiej, a do Nowego Roku 1885, czyli przez dni 40, usypano tam już 161 mogił. W roku kalendarzowym 1885 było 2.048 pogrzebów, a w r. 1933 aż 7.823, były jednak lata, że ich liczba sięgała aż 12.257 (r. 1914), a nawet 16.583 (r. 1917).

„Przeludnienie“ to wywoływało co pewien czas konieczność powiększania terytorium cmentarza. Toteż stopniowo dokupywano terenów, głównie w 1916 r. (31 ha) i 1921 r. (17 ha), tak że w r. 1934 cmentarz na Bródnie zajmował 113 ha 3.867 m kw. i był największym cmentarzem w Europie, więcej „zaludnionym“, jeśli się można tak wyrazić, niż każde z „żywych“ poza Łodzią miast Polski.

W r. 1887 wybudowano na cmentarzu podług projektu arch. Edwarda Cichockiego (zm. 1899) kościół drewniany używając nań materiału drzewnego z rusztowania, służącego przy restauracji kolumny pobożnego króla — prozelity, Zygmunta III. Kościół poświęcono św. Wincentemu à Paulo, a w głównym ołtarzu umieszczono wizerunek Ukrzyżowanego, dłuta art. rzeźbiarza Panasiuka.

„Hej-że ha!“ na dziadowskim balu (Rys. Fr. Kostrzewskiego w wydany w r. 1891 przez S. Lewentala jego „Pamiętniku“)



DZIADOWSKIE BALE

Kult dla zmarłych u większości szczepów ludzkich, nawet bałwochwalczych i zgoła dzikich trwa od niepamiętnych czasów. Mieli go też pierwotni chrześcijanie, ale usankcjonowany został w świecie chrześcijańskim dopiero w początkowym okresie rozdziału kościołów, bo dopiero w r. 990 za papieża Grzegorza V i Jana XVI razem z kanonizacją świętych.

Różne powstałe później wyznania religijne i różne narody poświęcają mu inny dzień w roku. Kościół rzymskokatolicki obchodzi go nazajutrz po dniu Wszystkich Świętych, świecki lud jednak już w przeddzień rozpoczyna pielgrzymki do miejsc wiecznego odpoczynku swych bliskich paląc na grobach światła i przystrajając mogiły zielenią i kwieciami.

Z „dniem zadusznym“ związany jest cały szereg przysłów, ubranych w ludową formę wierszowaną, jak np.:

*Dzień Zaduszny bywa pluśny.
Niebo płacze, ludzie płaczą.
A ubogich chlebem raczą
Rozdając jałmużnę
Za duszyczki różne.*

Istotnie dzień ten przypada około połowy jesieni, gdy po większej części padają deszcze, nierzadko ze śniegiem. Nie przeszkadza to całym rzeszom żebraków zbierać się pod kościołami i u wejść cmentarzy na Powązkach i Bródnie. Korzystają oni z rozrzewnienia i dobrej wiary tych, którzy im dają jałmużnę z prośbą o pobożne „Zdrowaś Maria“ za spokój duszy najdroższych osób zmarłych.

Czy taki dziadek lub babka zmówi ową „zdrowaśkę“, to pytanie, ale tym razem ofiarodawcy wystarcza intencja.

Warszawskie dziady do niedawna od lat wielu zbierały przez owe dwa dni żałobne obfite plony. Był to ich doroczny benefis. Toteż słynne były ongi w pobliskim za Powązkami miasteczku, „Czarny Dwór“ zwanym, bale dziadowskie wyprawiane w dniu 3 listopada.

Na balach tych bawiono się nie gorzej niż na redutach i maskaradach w teatrze Wielkim.

Bo były też to istne maskarady. W uczestnikach zabawy trudno było rozpoznać nieszczęsnych i kalekich nędzarzy spod wrót cmentarnych. Działy się tu istne cuda i czary. Kulawym odrastały nogi, a bezrękim — ręce; wczorajsi ślepcy odzyskiwali wzrok, głuchoniemi — słuch i mowę, a sparaliżowani wywijali hołubce — aż miło.

Był to festyn składkowy, wyprawiany kosztem groszowych ofiar na „zdrowaśki“.

Toteż świadomi tego, na jaki cel użyta będzie jałmużna, nieraz urządzali sobie krotochwile. Znany był w dawnej, naiwnie poczciwej jeszcze z pierwszej połowy XIX wieku Warszawie „kawał“ popularnego facecjonisty i ulubieńca publiczności, aktora Żółkowskiego, naśladowany później przez wielu. Dawał on trójce żebraków do równego podziału 10 groszy. Był to żart naiwny, zarazem złośliwy, można sobie bowiem wyobrazić, jaki spór wynikał między obdarowanymi. Każdy chciał wziąć



Karta tytułowa ks. Baki „Uwag o śmierci niechybnej“ z r. 1855.
(Rys. A. Zaleski) — ze zbiorów autora

4 grosze, żeby dwaj inni wzięli po trzy. Zwróćmy uwagę przy tym na to, jakie grosz miał wówczas znaczenie.

Sięgając dalej wstecz, z „*Silva rerum*“ ks. Żery z w. XVIII dowiadujemy się o obchodach zaduszkowych wiele. W Warszawie księża lub służba kościelna zbierają na ten cel dary w naturze i gotowiznie. Na cmentarzu Powązkowskim zbiórka taka odbywa się na tyłach kościoła.

Z dniem zadusznym związane też są liczne wierzenia i legendy. Między innymi lud wierzy lub wierzył do niedawna, że wśród nocy poprzedzającej dzień zaduszny powstaje w kościele wielka jasność i dusze wszystkich zmarłych parafian zbierają się o północy na modlitwę przed wielkim ołtarzem, po czym odwiedzają swe rodziny.

Jedno z podań przytaczane przez Z. Glogera powiada, że pewna kobieta oplakując zmarłą córkę, pragnąc ją zobaczyć w Dzień Zaduszny, pozostała na noc w kościele.

I oto, co ujrzała:

Przed północą zaczęły gromadzić się duszyczki i przybyła jej córka. A miała ona w ręku wielki dzban, który pokazała matce. Mówiąc, że są w nim zebrane wszystkie łzy, jakie matka płacząc po niej wylała.

Inna opowieść mówi, że pewien człek, ukrywszy się w kościele, gdy uderzyła północ, widział, jak jasność wielka ogarniała całą świątynię wewnątrz. Organy same zagrały i uderzyły wszystkie dzwony, otworzyły się podwoje kościelne, a przed nimi na cmentarzu stanął wielki orszak zmarłych w szatach bogatych i ubogich, poprzedzany przez księży, zakonników i biskupów, z których ze światłem w ręku, kropidłem i kadzidłem w uroczystym pochodzie, każdy wprowadził swoją gromadę do kościoła.

U nas jadła ani napitków, jak gdzie indziej, na mogiły się nie znosi, ale ubiera się groby, jako wspomnienia, kwieciami, światłem i zielenią, natomiast ociera się łzy żalu po zmarłych — jeśli idzie o szerokie warstwy warszawskiego ludu — przy zastawionych trunkami i jadłem stołach w pobliskich cmentarzach traktierniach.

Właściciele tych zakładów do niedawna w dniu zadusznym, równie jak dziady, obfite zbierali żniwo.

Dziś i to ustało.

DWA BIEGUNY ZADUSZNYCH ROZMYŚLAŃ

W związku z dniem zadusznym, poświęconym pamięci zmarłych, każdemu niemal nasuwa się myśl o tym, że u końca doczesnej pielgrzymki czeka go śmierć nieunikniona. Nie jest to myśl wesoła, raczej tragiczna. Ale bywają wypadki w życiu, że z tragizmem graniczy, i to bardzo blisko, humor. I nie dziw, boć stare wypróbowane przysłowie powiada: „*Les extrêmes se touchent*“, co znaczy: „Przeciwięństwa się stykają“.

Jednym z dowodów prawdziwości tego powiedzenia są „Uwagi o śmierci niechybnej wszystkim pospolitej“, wierszem wyrażone przez X. Bakę — jezuitę, sumptem Imć Pana Xawerego Stefaniego, obywatela miasta Wilna, do druku na pożytek duchowny podane w r. 1776.

W przedmowie do tego wydania czytamy między innymi, co następuje:

„*Śmierć, jak o tym niżej będzie,
Swoje figle płata wszędzie.*

*Bogacza — zahacza,
Magnata — przygniata,
Młodzika — spotyka,
Na dziada — napada,
W rycerzy — uderzy,
I księży — zmitręży“.*

Tragizm śmierci w charakterystycznym ujęciu wileńskiego profesora poetyki nabiera pewnych cech humorystycznych. Oto drugi przykład:

„*Za igraszkę śmierć poczyta,
Gdy z grzybami rydze chwytą“.*

albo znów nieco dalej:

„*Wiwat Jezus i Maryja,
Śliczna w niebie kompanija“.*

wreszcie:

„*Chociaż krytyk sługa śmierci,
Sam się od niej nie wywierci“.*

Na tego rodzaju swawolny stosunek do śmierci nie miał jednak monopolu ksiądz Baka.

Na cmentarzu w powiatowym mieście Słupcy nad Wartą przed kilkunastu jeszcze laty zwracał uwagę nagrobek z szarego piaskowca, na którym pod krzyżem był wyryty napis:

P. A. X.
tu leży
MATKA BOSKA
i
SYN BOSKI

Oboje proszą o pobożne westchnienie.

Przez długi czas znać było u dołu na pół zatarty napis, z którego z trudnością można było odczytać zaledwie parę początkowych wierszy:

*„Nie dziwcie się słupcy,
Że leżą w Słupcy —
D... w... gdy óra
.....onura“.*

Należy wyjaśnić, że był to nagrobek zmarłych równocześnie właścicieli pobliskiego folwarku nazwiskiem Boscy, matki i syna Boskich.

Mniej atoli beztrąsko przedstawiają się inne napisy, jak ten na przykład, o którym wspomina niezapomniany kronikarz Warszawy Kazimierz Władysław Wóycicki w szkicach obyczajowych, drukowanych w ósmym dziesiątku lat ubiegłego stulecia, w redagowanym przez J. I. Kraszewskiego „Ateneum“, a wydanych potem pod tytułem „Warszawa i jej społeczność w pierwszej ćwierci bieżącego stulecia“. Widział on na kamieniu, wmurowanym w ścianę powązkowskiego kościoła, napis:

Tu leży
ofiara przesądu
W A N D A M O R S K A
umarła dnia 20 lipca 1830 roku.

Podanie głosiło, że Morska umarła z miłości dla wojaka z legionu Dąbrowskiego, a kawalera Legii Honorowej i Krzyża Virtuti Militari, za którego, jako że był ubogi, ojciec dumny herbem i majątkiem wyjść jej nie pozwolił.

Kochające się małżeństwo, które jeszcze za życia pomyślało o wspólnym miejscu wiecznego spoczynku, takim lapidarnym aforyzmem ozdobiło swój grobowiec:

*Pod tym ciężkim głazem
Mąż i żona spoczywają razem.*

Najbardziej patetyczne, znamienne dla epoki są epitafia na warszawskich mogiłach z początku ubiegłego wieku.

Tymi słowy żegna w 1821 r. wdowa zmarłego męża:

*Mężu, jeżeli związek za grobem nie ginie,
Łzy żony z łzami dzieci racz przyjąć w daninie.
Niechaj te łzy, co płyną z przykrej sercom straty
Na grobie, gdzie spoczywasz, służą Ci za kwiaty.*

Na innej znów, żona z gromadką sierot skarży się żałośnie:

*Ciężkim trudem dotknięty znalazłeś śmierć skorą
Ty, coś swej żony i dzieci podporą,
Spoczywaj w pokoju biorąc tylko z sobą
Pamięć żony z ośmiorgiem dzieci okrytych żałobą.*

A na innej mogile:

*Spoczywaj drogi cieniu na aniołów tronie
I z górnego mieszkania pomyśl o twej żonie!*

Czasami napisy potrącają o nuty bardzo intymne. Na kościele powązkowskim na zniszczonej, wytartej płycie zaledwie od-
czytać się daje:

Tu leży

*Brigida Świderska a z męża Więckowska w tym grobie złożona
Dobra była matka dla dzieci, a dla męża żona.*

*Tu ciało ulubione żony spoczywa,
Nad tym pomnikiem serce męża ubolewa.*

Ma też swój tragizm, zarazem sporą dozę złośliwości napis na nagrobku w najnowszej części cmentarza powązkowskiego w Warszawie stojącym:

ś. p.

JAN KOŚNIK

Padł ofiarą Kasy Chorych

Żył lat 31, zm. dn. 22. IV. 1925.

Niektóre z epitafiów zastanawiają swoją lapidarnością, a nieraz prostotą zawartych prawd:

*Przechodniu miły westchnij do Boga,
Bo ciebie czeka ta sama droga.*

Przeciwieństwo tych smutnych napisów stanowią rzadkie epitafia wierszowane na sąsiadującym z Powązkami cmentarzu żydowskim. Oto jeden z nich, w którym „utulona w żalu“ wdowa uczciła pamięć swego zmarłego małżonka:

*„Tu leży mój mąż,
Co dręczył mnie wciąż.
Teraz leży w grobie
Ulżył mnie i sobie“.*

Wreszcie popularny był niegdyś wiersz nagrobny zmarłego w roku 1828 Piusa Kicińskiego, nieszczęśliwego poety, ale znakomitego obywatela, a którego syn Brunon był założycielem „Kuriera Warszawskiego“:

*„Pod tym głazem pan śpi razem
I poddany;
Bo już w grobie równe sobie
Wszystkie stany.
Więc, przechodniu, pomyśl o dniu
Zgonu twego;
Wynijdz z błędu i bez względu
Czcij bliźniego —
Nędznych wspieraj, łzy ocieraj
Wszystkich braci.*

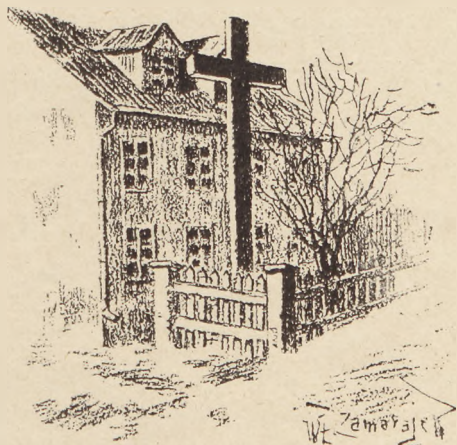
*Gdy cię z nimi złożą w ziemi,
Bóg zapłaci!*



Wystarczy tych kilka przykładów, bo chcąc przytoczyć wszystkie z tej dziedziny *curiosa* trzeba by ciągnąć w nieskończoność... A tam można się spotkać z ich autorami, czego do czasu lepiej unikać!..

Charakterystyczny nagrobek na cmentarzu powązkowskim

Grób Rozalii Zamoyskiej na Pradze
(Rys. Wł. Zamarajewa z roku 1893
w zbiorach autora)



ZAPOMNIANY GRÓB NA PRADZE

Róg ulic Wileńskiej i Konopackiego... Założycielem tej dzielnicy przed pół wiekiem i parcelantem owych gruntów był miejscowy bogacz ówczesnej Nowej Pragi, Konopacki, którego dawny pałac dotychczas istnieje przy rogu ulic Środkowej i Strzeleckiej. W miejscu, gdzie w roku 1934 umieszczono narożną stację benzynową, do niedawna istniała pewna osobliwość Pragi.

Był to grobowiec Rozalii Zamoyskiej. Przed piętrowym domem, oznaczonym od ul. Wileńskiej nr 33, stał w ogrodzeniu ze sztachet wysoki krzyż drewniany, a pod nim leżał szary granit polny z napisem, wykutym w końcu XVIII wieku.

Napis ten brzmiał krótko: „Tu leży Rozalia Zamoyska, umarła r. p. 1795“. Na wierzchu kamienia był otwór, w którym zapewne był umieszczony krzyż metalowy, bardziej wartościowy, zrabowany przez częstych dawniej w tych stronach opryszków i włóczęgów. Na miejscu skradzionego krzyża wystawiono obok drewniany i przeniósłszy szczątki zwłok do grobów rodzinnych kamień z krzyżem umieszczono opodal w ogródku domu nr 47 przy ul. Wileńskiej, gdzie się do dziś znajduje.

Otóż, według podań, powtarzanych przez starszych wiekiem mieszkańców Pragi, Zamoyska miała być tu w przejeździe zamordowana i przez zbrodniarzy głęboko w piasku zakopana. Po odnalezieniu zwłok rodzina ten pomnik na grobie ofiary wystawiła.

Nalewkowski handlarz starzyzny —
rys. Fr. Kostrzewskiego z r. 1880
w „Ilustr. Przewodniku po Warsza-
wie” Gomulickiego i Szmideberga



JAK PIĘKNA WARSZAWIANKA UCIEKŁA Z „TAMTEGO ŚWIATA“

W pierwszych tygodniach postu kędyż myśl skierować? Czy nie najwłaściwiej — na drogę prowadzącą ku wieczności, inaczej ku jej ziemskiemu przypomnieniu, ku cmentarzowi, ku śmierci i ku tym, co z nią się pokumali.

Jeśli chodzi o cmentarze w Warszawie, to „historycznym“ jest, założony przed 145 laty przez Melchiora Szymanowskiego, starostę Klonowskiego, cmentarz Powązkowski, na który prowadzi z centrum Warszawy dawna droga Bielańska, dziś ulica Bielańska i Nalewki. Bielańska, bo prowadzi w kierunku Bielan.

Nalewki, bo tutejsze grunty w r. 1476 przez księcia Bolesława V Mazowieckiego подарowane, a zasilane obfitymi źródłami poddały myśl Magistratowi Nowej Warszawy stworzenia tu zakładu dostarczania wody dla swoich mieszkańców. Dzisiejsze Nalewki, gdzie

*Tramwaj ledwie się może przecisnąć w tym tłoku,
motorniczy bez końca dzwoni, dzwoni. dzwoni...
Każdego dnia w tygodniu, każdej pory roku
Tramwaj ledwie się może przecisnąć w tym tłoku...
Gdzież jest, patriarcho! gdzie jesteś proroku.*

woła autor trioletów o Warszawie, utalentowany poeta Zygmunt Michałowski,

byś zatrzymał wybrany twój lud w tej pogoni?...

Nalewki wraz z sąsiednimi kilku ulicami koncentrują hurtowy handel żydowski. Dziś prawie całe domy, nie tylko sklepy, lecz mieszkania od suterren do poddaszy na froncie i w oficynach zajęte są na składy hurtowe.

Ale nie zawsze dzielnica ta miała taki charakter. Dowodzą tego bardzo obecnie zaniedbane, ale zakrój pałacowy posiadające kamienice w stylu cesarstwa lub biedermajerowskim, wzniesione po większej części w pierwszej połowie ubiegłego stulecia przez takich architektów, jak: Corazzi (twórca teatru Wielkiego, pałaców Staszica, Mostowskiego itd.) A. Czaki, A. Gołoński, A. Kropiwnicki, L. Żychliński i inni.

Wcześniej jeszcze zanim stanęły te domy, a więc w pierwszej ćwierci XIX wieku, ulica Nalewki z rzadka tylko była zabudowana i to drewnianymi dworami, a jezdnia była niebrukowana, pełna na wiosnę i jesień błota i kałuż, ale zato pierś tu oddychała świeżym wiejskim powietrzem, bo każdy dworek otaczał ogród owocowy i warzywny, a nie brakło w nich bzu i kwiatów.

W jednym z takich dworców na Nalewkach na wprost ogrodu Krasińskich rozegrał się dramat jakby ze sceny albo filmu makabrycznego wyjęty, a o którym przez lat wiele rozprawiały wychodząc z kościoła staromiejskie kumoszki.

Była słotna, wietrzna i ponura jesień roku 1806, kiedy właściciela owego dworku dotknęła ciężka troska... Zachorowała mu ukochana małżonka Klara, którą przed pół rokiem poślubił. Żadne leki ani porada lekarzy nie skutkowały. Aż przyszła katastrofa.

Pan Ignacy Zadora, bo takie imię nieszczęśliwemu mężowi daje kronikarz, wezwał słynnego podówczas lekarza Lafontena, bo ten jakoby czynił cuda. Ale i to nie pomogło. W obecności tego cudotwórcy opłakiwana przez męża pani Klara zmarła. Lekarz odjechał do siebie na Podwale i rozpoczynając przyjmowanie oczekujących jego porady pacjentów ową wizytę u Zadory w swoim dzienniczku zanotował.

Nazajutrz ustawiono w jednym z pokoiów dworku skromny katafalk, otoczony świecami, a mąż spłakany, z załamanymi rękami wpatrywał się w zastygłe lica zmarłej, nic wokół nie słysząc, nie widząc odwiedzających dom żałoby. Zajechał karawan, ale on nie chciał rozstać się z ukochaną, zwlekał i zwlekał opóźniając odwiezienie jej na miejsce wiecznego spoczynku. Wreszcie nie można było opóźniać pogrzebu. Ustawiono trumnę na karawanie i przewieziono na Powązki. Tu jednak wskutek ciemności jesiennych na cmentarzu złożono trumnę w miejscowym kościele zdjawszy ówczesnym zwyczajem wieko.

Rano miano odprawić nabożeństwo i pochować zwłoki.

Zadora wrócił do opustoszałego dworku już po ciemku i nie zaraz kładąc się do łóżka oddał się smutnym rozmyśleniom. Służąca pierwaj jeszcze bojąc się ducha zmarłej pani wyprosiła sobie zwolnienie i poszła na noc w sąsiedztwo do siostry. W domu był jeszcze tylko służący Piotrek, który spał w izdebce przy wejściu. Tu dajmy głos kronikarzowi:



Do nocy przesiedział nieszczęśliwy wdowiec przy kominku, aż osłabiony położył się do łóżka. Jak długo drzemał nie wiedział, gdy go nagle niezwykle rozruch w przedpokoju rozbudził, a wkrótce usłyszał, jak Piotrek biegnie z pośpiechem do jego sypialni rozbijając się po drzwiach i ścianach... Ciem-

Pan Zadora przerażony wieścią
o powrocie małżonki —
rys. Fr. Kostrzewskiego z r. 1889
(ze zbiorów autora)

ność była dokoła... Piotrek stanął w drzwiach i zaczął ochrypłym od strachu głosem wołać:

— Pa... pa... pa... panie! pa... pa... panie! pa... pa... pani przysła!

Zadora zadrżał na te słowa. Krzyknął na Piotrka:

— Skrzesz prędko ognia!

Ale Piotrek tak drżał cały, że zamiast stałą uderzać w krzemień, kaleczył sobie palce powtarzając wciąż:

— Pa... pa... panie! pa... pani przysła!

Pan Ignacy wreszcie wyrwał mu krzesiwo, rozdmuchał zatlone próchno i gorejącą siarniczką zapalił świecę. Blask jej przeraził go, gdy spojrzał na Piotrka, który zbłądły jak trup, z sinymi ustami, z wylupionymi oczyma, drżąc cały jak w febrze bełkotał coraz ciszej:

— Pa... pa... panie! pa... pani przysła!

Zadora zapalił kilka świec pozostałych od katafalku zmarłej i dając jedną w rękę Piotrkowi zawołał:

— Idź i drzwi otwórz!

Posłuszny chłopak wyszedł chwiejnym krokiem z sypialni, ale gdy usłyszał kołatanie we drzwi i straszny głos z ganku:

— Piotrek, otwieraj mi prędej!

nogi stracił, upadł jak długi. Świeca zgasała.

Wtedy pan Ignacy sam pośpieszył do drzwi...

* * *

W kościółku na Powązkach spoczywały zwłoki zmarłej Zadorzyny, a cztery świece woskowe gorzały przy katafalku i słabo rozświecały pomrokę świątyni.

Dziad kościelny czuwający przy zwłokach drzemał, gdy go świst wichru rozbudził. Przetarłszy zaspane oczy wstał i przypatrując się zmarłej dostrzegł na jej palcu grubą złotą obrączkę. Na widok tak łatwej zdobyczy oczy dziada zajaśniały szczególnym blaskiem, wziął jedną świecę, obszedł kościół i sprawdzwszy jeszcze, że jest sam, wrócił do katafalku, by z palca ściągnąć obrączkę. Ale metal wpił się w ciało.

Już dobył noża, żeby odciąć palec, ale przypomniał sobie, że zwłoki będą do chwili wyniesienia z kościoła otwarte, więc łatwo ktoś fakt ten spostrzeże. Stanął więc na stopniach katafalku i przycisnąwszy kolanami zwłoki zmarłej zaczął ściągać obrączkę.



Długo opowiadały sobie kumy wychodząc z kościoła historię Zadorów — (Rys. Józefa Rapackiego znajdujący się w posiadaniu p. kpt. Korczakowskiego w Toruniu)

W tej chwili usłyszał cichy jęk dobywający się z piersi, trup otworzył oczy i podniósł głowę. Na ten widok dziad krzyknął i zaczął uciekać, ale ocuciona z letargu pani Klara zaczęła go wołać, żeby wrócił. Dziad powoli ochłonął, zbliżył się do trumny i po przekonaniu się, że ma do czynienia nie z upiorem, lecz żywą istotą, pomógł pani Zadorzyni wydostać się i za obietnicę sowitej nagrody podjął

się odprowadzić ją do męża na Nalewki.

Ponieważ pani Klara leżąc dłuższy czas w lekkich szatach w chłodnym kościele skostniała, więc na drogę dziad okrył ją swoim płaszczem i tak wyruszyli w drogę.

Wichura ustała, chmury, co okrywały horyzont, zaczęły się rozpyływać i księżyc drogę rozświetlił — pisze kronikarz. — Przy samym dopiero dworku Zadory wiatr gwałtowny zadął, gdy pani Klara zziębniętą ręką pochwyciła za klamkę i dobijać się zaczęła do mieszkania.

Długo stać musiała i użyć pomocy pięści dziada, zanim się dobudzano Piotrka.

Zadora poznał jednak głos ukochanej żony, radość i podziwienie na przemian go wzruszały. Otwiera drzwi z pośpiechem i cofa się nieco na widok wchodzącej w obdartej czapie i płaszczu dziadowskim. Żona rzuca mu się w objęcia, a wycieńczona wrażeniami tej nocy — omdlewa.

Wkrótce jednak przeniesiona przez męża do sypialni wróciła pani Zadorzyna do przytomności i rozgrzana paru szklankami lipowego kwiatu, bo herbaty wtedy jeszcze u nas nie pijano, opowiedziała swą niesamowitą przygodę.

Piotrek tymczasem przepadł bez wieści, dopiero po długim poszukiwaniu znaleziono go wystraszonego pod łóżkiem, gdzie się

ukrył przed mniemanym duchem swej pani, powracającym z tamtego świata.

Nazajutrz całą Warszawę obiegła wieść o cudownym zmartwychwstaniu zmarłej, przyjaciele i sąsiedzi składali powinszowania, a nawet z miasta ciągnęły ogrodem Krasińskich ze Starej Warszawy i drogą Bielańską od Marywili i Nowego Świata karawany ciekawych, pragnąc ujrzeć, jeśli nie panią Zadorzynę, to chociaż jej dworek z gankiem i białymi firankami w oknach.

Doktór Lafonten dowiedziawszy się o tym zajrzał do dzienniczka i odczytał wpisaną doń przed paru dniami uwagę.

„Ulica Nalewki. Zadora. Choroba dziwna. Pogrzeb wstrzymać“.

O notatce tej jednak, zastawszy wówczas w domu wielu chorych, zapomniał i Zadory nie ostrzegł.

A dworek nalewkowski zyskał od owego czasu wielką popularność. Liczna publiczność, odwiedzająca ogród Krasińskich, pokazywała go sobie przez długie lata opowiadając te dzieje.

Ogród ten założony w r. 1692 przez Dobrogosta Krasińskiego na gruntach nabytych od Gizów, Dzianottów i Kleinpostów przy pałacu zbudowanym przez tych samych architektów, którzy wznieśli dla Sobieskiego Wilanów, otwarty został do użytku publicznego dopiero od 1 kwietnia r. 1768 po przerobieniu go przez ogrodnika Knalfusa.



Ogród Krasińskich w r. 1890 według rysunku L. Ilinicza — ze zbiorów autora



Poranek w ogrodzie Instytutu Wód Mineralnych (z litografii F. Brudera z 1824 r.)

Były lata, w których cały elegancki świat Warszawy, zamieszkujący dzielnice ulic Długiej, Miodowej, Senatorskiej, w tym ogrodzie się gromadził, a dzisiejszej publiczności z sąsiedniego teraz ghetta tam się nie widziało.

Szczególniej po nabożeństwie niedzielnym u pijarów, tutaj, nie w odległym ogrodzie Saskim, odbywały się południowe przeglądy eleganckich pań i panów.

Przez dłuższy czas modna tu była cukiernia Haberkanta, mieszcząca się w rogu od ulicy Świętojerskiej i Nalewek, gdzie orkiestra słynnego wirtuoza na trąbce Rajczaka wygrywała rzewne kujawiaki i skoczne krakowiaki.

W przyległym od ul. Długiej ładnie urządzonego ogródka pałacu Dückerta „Pod czterema wiatrami“ założony był w r. 1824 pierwszy w Warszawie Instytut Wód Mineralnych, gdzie od godz. 6 rano grywała orkiestra. Instytut ten przetrwał do końca XIX wieku, pomimo otwarcia w r. 1847 zakładu wód mineralnych w ogrodzie Saskim, gdzie wzniesiono od strony ul. Granicznej na miejscu dawnego Patientburga specjalny gmach z arka-

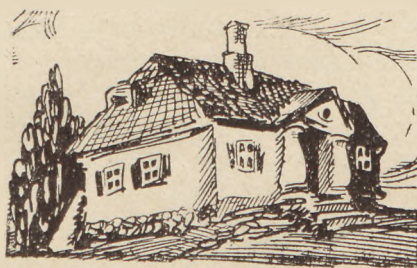
dami na wzór rzymskich łaźni Dioklecjana podług planu Henryka Marconiego.

Obydwa te ogrody straciły swój styl, jaki miały w epoce pp. Zadorów, i inna w nich bywa publiczność. Bywało ongi z wieczora:

*Saski ogród pokrywa nocy pomrok szary,
Na ławkach zasiadają rozmarzone pary:
Rozpoczyna się pora miłosna i słodka,
Którą kończy zawistna strażników grzechotka...*

Dziś i tego nie ma, bo i Ogród Saski przestał być tym „salonem” i buduaem Warszawy. Jak na salon — nie ma salonowej publiczności, a jak na buduar — jest zbyt dobrze oświetlony. Teraz zastąpiły go pod tym względem odleglejsze od środka miasta parki, a zwłaszcza park Skaryszewski im. Paderewskiego ze swoimi skrytymi przed niepowołanym okiem, a niestety czasami tragicznie zdradzieckimi zakątkami.

„Bo nie wiadomo nigdy, co na człowieka czyha i gdzie, czy jak w dworku Zadorów śmierć z powroćeniem do życia, czy jak gdzie indziej pełnia życia z nawrotem do śmierci”.



SZOSĄ ZAKROCYMSKĄ

Dziś to są echa przeszłości. Romantyzm po klasycyzmie poszedł w kąt. Lepsza część młodych warszawian oddaje się sportom. Gorsza przepełnia pole wyścigowe cisnąc się do kas totalizatora i topiąc tam sprzeniewierzone pieniądze, wreszcie przepełnia duszne bary w mieście, a jeśli śpiewa, to inne zgola piosenki, cienko śpiewa o ogólnej goliźnie.

Ale są i tacy, co mając kilka groszy w kieszeni chętnie udają się za miasto. Ci zamiast utartym i znanym już sobie chadzać szlakiem, gdzie nic dla siebie nowego nie zobaczą, niech się wybiorą w kierunku Żoliborza. Znajdą tam właśnie reminiscencje owych czasów romantycznych.

GROSSÓW. Niesłusznie zapomniane ustronie leżące za Żoliborzem tuż przed Marymontem. Posiada ładny, ale już zaniedbany ogród z niewielkim stawem, nad którym stoi młyn wodny. Założycielem Grossowa był znany przed stu laty rękawicznik warszawski Michał Grosse, który urządził tu modne naówczas lotnisko i miejsce wycieczkowe dla spragnionych świeżego powietrza i zimnej kąpieli. Odstraszała ich jednak pobliska karczma, kiedy do niej zaczęły ściągać w ślad za wycieczkowiczami okoliczne podejrżane elementy. To wpłynęło na zmniejszenie się frekwencji. Miejsowość ta, w której chętnie zakładają gniazda bociany, przez późniejszego właściciela nazwana została „Aleksandrówką“.

SŁODOWIEC. O kilkaset kroków dalej, idąc szosą, stoją z lewej strony drogi gmachy znanego młyna „na Słodowcu“.

Stoją tu od lat dwustu, bo młyn założyli za Augusta II przybyli z nim Sasi. Za Stanisława Augusta mąka marymoncka zasłynęła białością i dobrocią, jak i bułki znane pod nazwą „montowych“ od Mary-mont.

FIRCYK Z MARYMONCKIEJ MĄKI

Oprócz tego wielkiego młyna na Słodowcu po drugiej, prawej stronie szosy, a więc na właściwym Marymoncie, pełnym stawów, bajor i strumieni, był cały szereg młynów wodnych. Mąka z tych wszystkich młynów uważana była do końca XIX wieku za przednią.

Toteż równocześnie na określenie urodziwego i gładkiego młodzieńca utarło się w Warszawie wyrażenie „elegant z marymonckiej mąki“.

Jeden z mniejszych młynów marymonckich, wodny, stojący w głuchym ongi parowie, jest pamiętny tym, że spędził w nim część nocy z 3 na 4 listopada r. 1771 i przy pomocy skruszonego Kuźmy uciekł porwany z ulicy Miodowej przez konfederatów barskich Strawińskiego i Łukawskiego król Stanisław Poniatowski.

W r. 1820 założono tu fabrykę wyrobów jedwabnych i wełnianych nad stawem, na którym z drugiego brzegu była Szkoła Pływania dla Wojska Polskiego. Wyborowi pływacy dawali tu, jak przytacza K. Wł. Wóycicki, „dowody zadziwiającej zręczności, gdy w stawie głębokim płynąc w postawie stojącej nabijali broń i celnie strzelali“.

KOBYŁKA U PŁOTU

Jeszcze przed Słodowcem po 10 minutach pieszej drogi od placu Wilsona skręca się na właściwy Marymont. „Marie-Mont“ — nazwała Maria Kazimiera pałacyk, który wystawiła za miastem na wzgórzu na swą letnią siedzibę. Lubił też tu przebywać Jan III oddając się polowaniu w okolicznych kniejach. Tutaj to zastał go w r. 1683 hrabia Wilczek, poseł cesarza Leopolda, błagając o ratunek dla Wiednia, zagrożonego przez Turków Kara Mustafy.

Również tutaj urodziło się przysłowie „Słowo się rzekło — kobyłka u płotu“. A było to tak. Podlaski szlachcic chodackowy Jakub Zaleski, jadący do króla z prośbą o nadanie mu wójtostwa po zmarłym bracie, spotkawszy Sobieskiego na drodze i nie wiedząc z kim rozmawia, na uwagę:

— A jeśli król waścinej prośbie odmówi? to co będzie? — odrzekł gniewnie:

— To niech moją kobyłę pod ogon pocałuje.

Jakież było zdziwienie szaraczka, gdy na audiencji się przekonał, że królem właśnie był ten, do którego się tak niefortunnie wyraził. Jednak nieskonsternowany, co tylko w Polsce wobec monarchy było możliwe, na zapytanie Sobieskiego:

— A co będzie, panie bracie, jeśli odmówię? — odrzekł:

— Ha, cóż. Słowo się rzekło — kobyłka u płotu, Najjaśniejszy Panie.

Pamięć Marymontu zrosła się z postacią króla „Sobka“ niemniej niż Wilanowa. Po zgonie Sobieskiego mieszkała tu wdowa, a po jej wyjeździe do Francji — królewicz Konstanty, który sprzedał potem Marymont Augustowi II. Ten dawał tu świetne uczyty i polowania, jak i syn jego — August III.

Po śmierci Sasa Marymont jako prywatna własność dworu saskiego został wydzierżawiony Tomaszowi Wroughtowi, angielskiemu posłowi, który otworzył go dla publiczności. Następny dzierżawca dziwak i odludek Franc. Rzewuski, nie dopuszczając obcych, mieszkał tu samotnie do r. 1796, w którym to roku Marymont nabyty przez rząd pruski stał się własnością skarbu. W r. 1818 założono tu słynny Instytut Agromomiczny, czyli Gospodarstwa Wiejskiego, który połączony ze Szkołą Leśnictwa istniał tu do chwili przeniesienia go w r. 1863 do Puław. Wykładał tu znakomity uczony Wojciech Jastrzębowski.

W kotlinie nad stawem, do którego prowadzi malownicza kręta między wzgórzami droga, zwana dziś ulicą Marii Kazimierzy, odbył się tu głośny w dziejach pojedynek wojewody lubelskiego Adama Tarły z podkomorzym królewskim Poniatowskim.

KASKADA Było to dawniej ulubione miejsce wycieczek, dziś opuszczone i zaniedbane, dopiero teraz powoli się zabudowuje. Leży ono po prawej stronie szosy za Marymontem nad stawem przy drodze, usypanej w r. 1818 i prowadzącej przez

niżej położoną Rudę (dziś ulica Rudzka) do brzegu Wisły, a brzegiem tym do Bielán. W końcu lasku nad stawem był tu urządzony w r. 1820 mały wodospad, od którego i miejscowość przeznaczona do zabaw otrzymała nazwę „Kaskada“. Była tu do niedawna restauracja z altankami, łódkami itd.

RUDA FABRYCZNA ALBO MARYMONCKA. Poniżej Kaskady ku Wiśle jest wspomniany malowniczy zakątek „Ruda“, założony przez fabrykanta warszawskiego Karola Mintra w połowie XIX w. Był on w stolicy właścicielem pałacu sprzedanego pocztę na rogu placu Wareckiego i ul. Ś-to Krzyskiej oraz pałacyku dziś Branickich przy zbiegu Nowego Świata i Smolnej. Były w Rudzie ogrody pięknie urządzone, stawy zarybione, na kępie pośrodku wody kilka domków, do których przechodziło się lekkimi mostkami na wzór japoński albo dopływało się łódkami. I tu były łazienki letnie i szkoła pływania. Nadto olejarnia i niezbędny w tych stronach młyn wodny. Teraz jest tu zaledwie ślad dawnej świetności, ale jeszcze ciekawy.

KĘPA POTOCKA. Na wprost Rudy na Wiśle oddzielona wysokim wałem i łachą znajduje się „Kępa Potocka“, nazwana tak bynajmniej nie od imienia Potockich, lecz od wielu potoków, które tu wpadały z Marymontu, Kaskady itd. do Wisły. Do samej wojny była na tej kępie restauracja letnia, dość licznie odwiedzana, zwłaszcza przez chcących się zakonspirować. Dziś ona nie istnieje.

BIELANY. Skoro jest się już nad Wisłą, to można pójść z biegiem rzeki drogą prowadzącą od samej Warszawy i znaną w części jako ul. Kamedulska ku Bielánom. Minąwszy źródł tryskający z kamienia ustawionego przez Stanisława Augusta i wszedłszy pod dość stromą górę znajdziemy się tuż przy dawnym klasztorze oo. kamedułów, w którym dziś księża marianie utrzymują gimnazjum z internatem.

Któż nie zna Bielán, do których nieraz czy to drogą wyżej wskazaną, czy też końmi, na rowerze lub autem szosą wprost przez Marymont i CIWF — obok Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego czy wreszcie statkiem parowym spod mostu Kierbedzia — nie bywał tu w tradycyjny dzień Zielonych Świątek? Kto nie zna Bielán? Zbyteczne je zalecać.

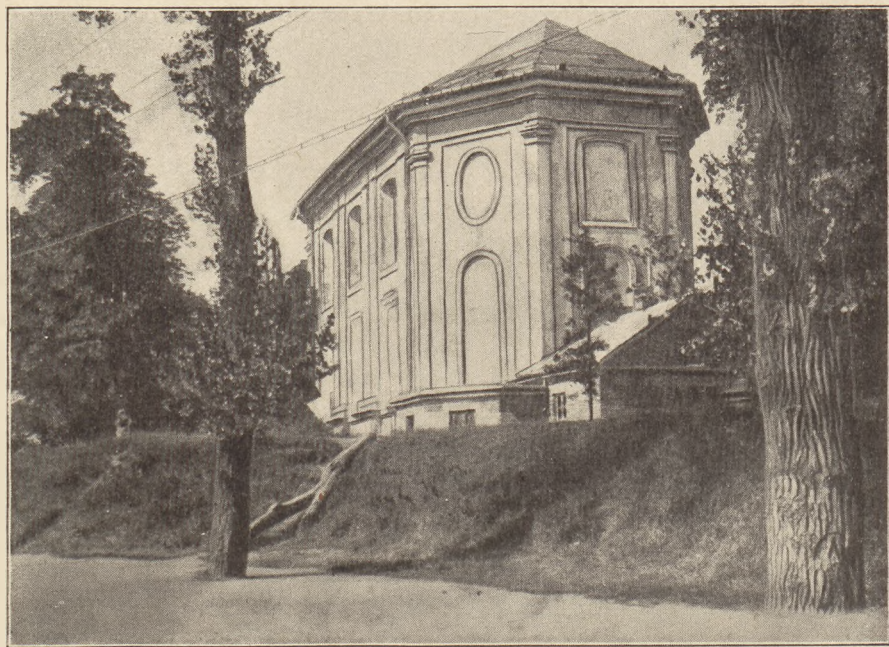


Fasada kościoła bielańskiego

Przypomnieć jedynie można, że kościół pierwotnie drewniany fundował w r. 1634 oo. kamedułów spod krakowskich Bielan król Władysław IV jako spełnienie votum za wygraną wojnę. W sąsiedztwie na tej samej Polkowej Górze wznosił dla nich 13 pustelni do dziś zachowanych. W jednej z nich Jan Kazimierz zwykł był odprawiać rekolekcje.

W lewym filarze kościoła przechowuje się serce króla Michała Korybuta i jego matki Gryzeldy Jeremiaszowej Wiśniowieckiej, a na prawo od wejścia — serce starościny Alojzowej Brühlowej. Na cmentarzu pod lewą ścianą kościoła — grób zmarłego w 1826 r. Staszica.

MŁOCINY. Za Bielanami, jak i one nad samym brzegiem Wisły, leżą Młociny z parkiem i pałacem, wystawionym w r. 1748 przez hr. Henryka Brühla, ministra i faworyta króla Augusta III, a właściciela warszawskiego pałacu „Bryłowskiego“. W Młocinach rezydował po nim syn Alojzy, bohater niezwykle zajmującej powieści J. Ig. Kraszewskiego pt. „Starosta warszawski“. Po nim Młociny należały do osławionego Adama Ponińskiego, którego duch jako zdrajcy, do tej pory się tu, wedle podania, kołata pokutując. Pałac o 4 doryckich kolumnach, w r. 1898 odrestaurowany, uległ w maju 1934 roku częściowo pożarowi. Wejścia do parku strzegą tu dwa empirowe lwy z kamienia. Obecnie w Młocinach na terenach zakupionych przez magistrat m. st. Warszawy ma być urządzony park miejski.



Kościółek wolski i szaniec, na którym zginął gen. Józef Sowiński (fot. Photo-Plat)

KU ZACHODNIEJ PATRZĘ STRONIE...

W ciągu letnich dni niedzielnych korzystając z pięknej pogody wyruszają Warszawianie z rozpalonych słonecznym żarem murów stolicy to na południe, to na północ, to we wschodnim kierunku, na zawiślańskie szlaki, by tam w lasach wawerskich lub nadświdrzańskich zaopatrzyć płuca w ich woń balsamiczną, a ożywczą na cały tydzień.

Ma starczyć na całe długie dni siedem, jako paliwo dostateczne do przelecenia oceanu tygodniowych trudów bądź nad obowiązkową pracą w biurze, fabryce, sklepie czy warsztacie, bądź nad poszukiwaniem tej pracy, jeśli nas los wpisał na listę bezrobotnych. A to gorzej.

Tymczasem PIM zapowiada na najbliższe dni jak zwykle pogodę o zachmurzeniu zmiennym, z możliwością przelotnych deszczów i chłód; nadto umiarkowane wiatry... północno-zachodnie i zachodnie.

Więc wobec przewidywanych deszczów może przyjdzie siedzieć w domu, wobec chłódów otulić się szalem... („I wy mnie pytacie z pijanym hałasem...“), wyciągnąć nogi przy kominku, a raczej przy kaloryferze i marzyć, marzyć... — bo cóż pozostaje?

A co do wiatrów, to te są zawsze przykre czy wschodnie, czy zachodnie. Toteż pójdźmy niebezpieczeństwu na spotkanie i wyruszymy myślą na zachód od Warszawy, by zwiedzić, nie siłąc się na wyczerpanie tematu, chociaż niektóre z bliższych i dalszych od stolicy a ciekawych miejscowości.

I tu jest wiele rzeczy interesujących, godnych widzenia lub choćby wspomnienia.

WOLA. Taka na przykład bliska sercu Warszawy, a leżąca na jej zachodnim krańcu Wola. Wspominana już w wieku XIV jako własność książąt mazowieckich należała w XVIII stuleciu do starostwa warszawskiego będąc we władaniu Alojzego Brühla, który miał tu swój pałacyk. Gdzie stał ten dwór? Podobno na miejscu obecnej posesji nr 3084, a więc tu, gdzie z początkiem drugiej połowy ubiegłego stulecia architekt Józef Orłowski wznosił dla Adama Biernackiego, słynnego właściciela wielkich obszarów Woli oraz popularnych w Warszawie trzech córek, estetyczny pałacyk. Zwraca on uwagę przechodniów do tej pory, jako jedyna niebanalna i nieszporna budowla przy ul. Wolskiej, opatrzona nr 27—29.

Wielka Wola, a właściwie sąsiadujące z nią i przez większość ludności identyfikowane z nią Koło, pamiętne jest tym, że tu odbywały się począwszy od Stefana Batorego elekcje królów, z których tylko jeden August III obrany był nie tu, lecz na zjeździe szlachty w Kamieniu za Wisłą, czyli na dzisiejszym Kamionku.

KOŁO. Właściwe pole elekcyjne, rozciągało się od miejsca gdzie teraz jest cmentarz ew. reformowany aż za prawosławny kościół wolski i ul. Księcia Janusza. W tym celu był tam usypany wał z rowem, w którym były 3 bramy, dla Wielkopolski, Małopolski i Litwy, któredy wjeżdżali posłowie. Żołnierze mar-

szalkowscy strzegli bram nie wpuszczając gawiedzi. W środku okopu wznosiła się szopa, gdzie zasiadał Senat, a większą część placu w okopie zajmowały ławy dla koła rycerskiego i izby poselskiej, które obradowały pod gołym niebem. Miejsce to było świadkiem wielu ważnych wypadków i pamiętnego w różnych czasach krwi rozlewu.

Dalej na granicy Koła i właściwej Woli jest wzgórze tuż przy szosie, przesiąknięte krwią bohaterskich obrońców Warszawy w roku 1831. Tu poległ Sowiński. Z tym miejscem związana jest, dzięki bogatej wyobraźni Mickiewicza, powstała legenda o bohaterskim wysadzeniu w powietrze reduty wraz z sobą przez Ordona, który, jeśli chodzi o ścisłość, długie jeszcze lata po wzięciu Woli żył jako emigrant we Francji.

*„Słyszę, jakoby w sercu, moim, pieśń wieczystej sławy,
To obrona ostatniej Reduty Warszawy,
Gdzie krew najwaleczniejszych szance Woli zlewa,
Nigdy nie zmilknie w sercach naszych Reduta Ordona,
Nigdy męstwo Sowińskich nie zginie w Narodzie!
Jeno trzeba, by wszyscy w przyszłości pochodzie
Jeden szdandar podnieśli!*

Tak jeden z epigonów powstania listopadowego, pod wpływem Mickiewicza będący, wzywa do jedności w narodzie.

Nie tylko jednak Grochów i Wola nasuwają wspomnienie przeszłych naszych zmagañ się o wolność, bo na południowym zachodzie Warszawy mamy jeszcze Raszyn i Falenty.

RASZYN. Z Woli, pełnej do dziś jeszcze wielu, coraz bardziej jednak zanikających wiatraków, będących głównym źródłem dochodu jej obywateli, kierując się na południowy zachód dochodzimy do leżącego przy szosie grójeckiej Raszyna. Raszyn, do którego od dawnych rogatek jerozolimskich dojeżdża się szosą przez Opacz, słynny jest z bitwy, jaką w dniu 19 kwietnia r. 1809 stoczył 14-tysięczny korpusik księcia Józefa Poniatowskiego z 50-tysięczną armią austriacką. Bitwa była przegrana — arcyksiążę Ferdynand wkroczył do Warszawy. Nadto w bitwie tej poległ żołnierz poeta Cyprian Godebski. Śmiertelnie ranny skonał na rękach księcia Józefa pod przydrożną podówcza kapliczką, zachowaną do tej pory, otoczoną jednak z biegiem czasu późniejszymi zabudowaniami. Tragiczną chwilę skonu tego poety-żołnierza ilustruje popularny obraz.

Jest tu też kościół fundowany w r. 1654 przez Opackich z pobliskiego Opacza, a do których też należały Falenty.

FALENTY. O dwa kilometry w bok od Raszyna znajdują się Falenty, jedna z najstarszych wsi w okolicach Warszawy z pałacem wzniesionym w końcu XVI wieku przez Opackich. Pałac ten należał potem przez pewien czas do króla Zygmunta III, który tu zjeżdżał nieraz na lato, potem był własnością kolejno: Ignacego Załuskiego, Ignacego Przebendowskiego, wreszcie słynnego bankiera Piotra Teppera, który tu podejmował w roku 1787 króla Stanisława Augusta. W XIX wieku pałac ten został przebudowany.

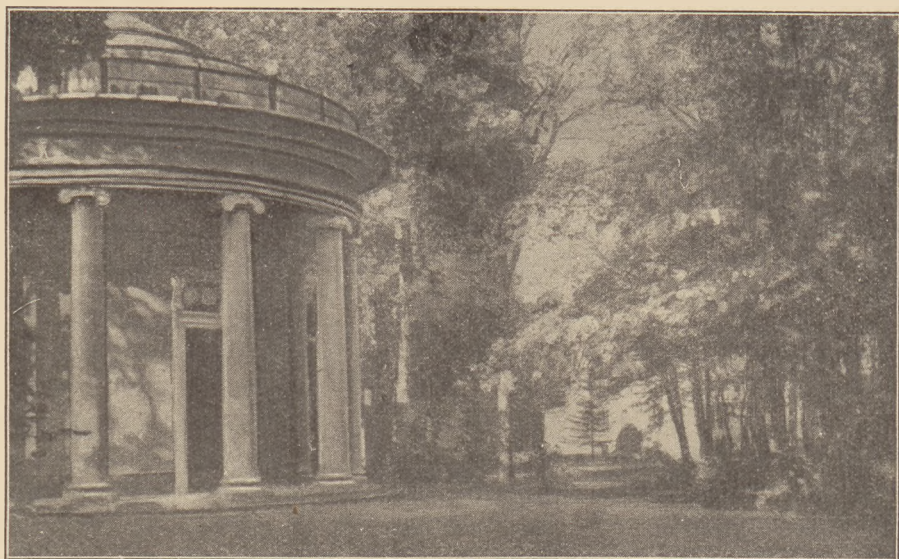
Jeśli ktoś ma więcej czasu, choćby ze dwa dni, ten dojechawszy koleją do stacji Błonie lub do Sochaczewa albo z innej strony statkiem w dół Wisły do Leoncina może zwiedzić słynną, choć już znacznie przetrzebioną Puszcę Kampinoską.

Po drodze warto zauważyć w Błoniu ratusz w stylu cesarstwa z początku ubiegłego wieku, a w Sochaczewie, dawnej stolicy jednego z dzielnicowych księstw mazowieckich, ruiny zamku, będącego w XIV wieku silną fortecą.

NIEBORÓW I ARKADIA. Między Warszawą a Łowiczem znajduje się wielkopańska rezydencja, jeden z cudów XVIII wieku, bo stojąca na równi z Powązkami Czartoryskich lub ich Puławami, z ogrodami czarodziejskimi księcia podkomorzego na Solcu w Warszawie, a o wiele przewyższająca parki Lubomirskich w Mokotowie i wiele innych. To radziwiłowski Nieborów ze słynnym parkiem Arkadią. Park ten, urządzony niegdyś przez słynną Helenę z Przeździeckich Radziwiłową, a należący w r. 1937 do ks. Janusza Radziwiłła, do dziś jest pełen najróżniejszych, pod względem artystycznym bardzo wartościowych posągów oraz budynków w stylu klasycznym. Za jeden z wzorów służyć może dobrze zachowana do dziś, a słynna ongi na równi z puławską świątynią Sybilli — Świątynia Minerwy o czterech jońskich filarach i z napisem na architrawie:

„Dove pace trovai d'ogni mia guerra“.

Wszystkie te arkadyjskie cuda nie będą dziwne, jeśli uprzytomnimy sobie, że projektował je dla Radziwiłłowej twórca domku gotyckiego i Świątyni Sybilli w Puławach tudzież Zofiówki Potockiego w Humaniu — Wojciech Jaszczołd, pod-



Fragment parku w Arkadii ze świątynią Diany

czas gdy Świątynia Minerwy oraz cyrk są dziełem włoskiego architekta, Ittara.

U UJŚCIA BUGU — NARWI. Z drugiego krańca puszczy Kampinoskiej na wprost prawie wspomnianego Leoncina, a w pobliżu ujścia do Wisły Bugu, połączonego z Narwią, stoi też ciekawy, niewielki pałacyk. Zniszczony w czasie wojny, dziś pieczętowanie odbudowany, mieści od listopada roku ubiegłego Państwową Żeńską Szkołę Rolniczą.

Pałacyk ten, zwany Willa-Góra, jest pamiątką mało znaną po księciu Józefie Poniatowskim, który za czasów Księstwa Warszawskiego, budując za wskazówką Napoleona w tym miejscu potężną twierdzę Modlin, wzniósł nie opodal Narwi w bardzo malowniczej wtedy zwłaszcza okolicy myśliwski pałac i chętnie spędzał w nim chwile wolne od pracy.

Tak więc wokół Warszawy mamy co krok pamiątki świetnej przeszłości, opromienione pełnymi chwałą czynami naszych bohaterów, nadto ciekawe ze względu zarówno na przyrodzone z natury warunki krajobrazu, jak i na połączone z nimi i odpowiednio zharmonizowane zabytki budownictwa.

Omnibus warszawski w roku 1880
(z „Illustr. Przew. po Warszawie“
Gomulickiego i Szmidberg)



GWIAZDKA W R. 1885

Chociaż nieśmiertelny Dante powiada „*Nessun maggior dolore, che ricordarsi del tempo felice nella miseria*“, chociaż wspomnienia takie o dawnych błogościach ranią nieraz, jak sprężyny starej kanapy, to jednak również jak te pracowicie i z temperamentem wygniecione sprężyny przypominają przeżyte rozkosze.

Jednak dziś są to tylko bądź co bądź wspomnienia. Dziś, po pięćdziesięciu latach są one, jak — z jednej strony — zasłużone kroniki uszeregowane na półkach biblioteki, z drugiej — jak bóle artretyczne w zasłużonych kościach.

Tak po pięćdziesięciu latach!

Spójrzmy, jak to było przed półwiekiem.

Gwiazdka za pasem. Za trzy dni wigilia. Mróz mniej albo więcej „trzaskający“. Suchy śnieg skrzypi charakterystycznie pod nogami, czasami prószy w oczy. Wtuliwszy uszy w podniesiony kołnierz bobrowy, o ile nie spotkasz na drodze omnibusu (mój Boże!), biegniesz w kaloszach „Prowodnika“ kupionych za bezcen w sklepie Lessera na Rymarskiej przez Krakowskie i Nowy Świat.

Mijając na wyslizganych, jak twoja dzisiejsza łysina, flizach wąskiego na jedną osobę chodnika znajomą damę kłaniasz się szarmancko również bobrową (lub karakułową od Weigta lub Wilferta) czapką, nadeptując równocześnie na wlokący się

po chodniku, ach, przepraszam, trotuarze, półokciowy „tren“ damy, majestatycznie spływający spod „tiurniury“.

„Ej, ty na szybkich“ nogach, „gdzie pędzisz“, człowiecze? Dokąd cię gna przeznaczenie?

Śpieszysz na Nowy Świat do handlu win „i delikatesów“ Skorupskiego koło wielkiej księgarni Maurycego Orgelbranda, wprost Kopernika, boć trzeba na święta kupić parę pudełek sardynek, a tych zabrakło na razie u Dobrycza przy placu Zamkowym, bo cały zapas 25 pudełek już wyprzedał.

Gdzie indziej tak zbytkownego „delikatesu“ nie dostać w Warszawie. Dobrycz, Stępkowski, Wróbel i Skorupski. Chyba jeszcze może u Purwina na Miodowej lub u Gouta na Elektoralnej. U pierwszego palestra, u drugiego rosyjscy urzędnicy banku państwa jadają takie smakolęki.

Po drodze trzeba by kupić żonie gwiazdkę. Dobra i niedroga będzie z wełnianych pończoch, w sam raz do prunelowych bucików. Jedwabnych nie włożyłaby. Przecież nie jest żadne „ladaco“, żeby nosić jedwabne pończochy albo lakierki. Dzieciom pod choinką postawi się nową „pozytewkę“, grającą dwa najmodniejsze walce: „Na falach Dunaju“ i „O moja ty królowo“, bo dawny „Tyrol i jego syn“ już im się znudził.

Matka od paru dni przestała już chodzić o świcie z latarką na roraty, choć od początku adwentu ani jednego dnia nie opuściła. Kościoły staromiejskie zwłaszcza bywały zawsze na jutrzni przepełnione. Jarzyły się światła, biły łuną. Z kościoła bernardyńskiego szedł daleko w ulicę głuchy odgłos kotłów, w które walili zawzięcie przed ołtarzem ku chwale Bożej ministranci.

Grzmot ten budził ze snu nie tylko mieszkańców sąsiednich domów „Pod Dzwonnica“, ale zrywał z łóżek zaspanych lokatorów przeciwległej kamienicy Roeslera; niósł się nad dachem b. pałacu Małachowskich, nad dworem z popularną restauracją „Pod Gwiazdą“ (w miejscu dzisiejszej Nowomiodowej) od ul. Senatorskiej i rozpraszał się gdzieś hen, w dal. Matka zajęta pieczeniem strucli z makiem, masą migdałową i pistacjową (maślane kupowało się w piekarni) nie miała już dziś czasu na roraty. Odbije to sobie na pasterce, na której najpiękniej śpiewają u Fary. Tam grywa orkiestra Opery, czasami śpiewa Myszuga. Podobno mają śpiewać Seideman i Pinkertówna, choć nie-chrześcijanin. Ale co zrobić: Chodakowski pono się zakatarzył.

W pierwsze święto trzeba zrobić przyjemność dzieciom i zawieźć je niedawno zaprowadzonym przez Belgów (1881 r.) konnym tramwajem do Mokotowa. Trzeba tylko uważać, żeby się nie pomylić, a więc należy pamiętać, że to wagony z białą tablicą, bo czerwone dochodzą tylko do placu Trzech Krzyży, przezwany z rosyjska placem Aleksandra.

Tramwaje niestety numerów nie mają. Dyrektor Choraży zaopatrzył je tylko dla odróżnienia kursów w kolorowe tablice na dzień a w latarnie na noc. A więc z placu Teatralnego na Wolę — niebieskie; z Mokotowa Marszałkowską do Muranowa — niebiesko-żółte; plac Bankowy-Stalowa — zielono-żółte; stacja towarowa-Powązki — różowe; plac Teatralny-kolej „Nadwiślańska“ (sic!) — żółte itd.

Dzieciom kupi się bilety drugiej klasy w pierwszej połowie wagonu po 5 kopiejek, rodzicom nie wypada jechać drugą; pojedzie się pierwszą na wyściełanych czerwonym pluszem ławkach tylnego przedziału po 7 kopiejek. Zresztą chłopcy mogą stać na platformie za 3 kopiejki.

W drugie święto trzeba dzieci posłać na „Jasełka“. Działwa z zakładu sierot Towarzystwa Dobroczynności dobrze je pod kierownictwem sióstr zakonnic odgrywa na specjalnie urządzonej scenie w korytarzu dawnego klasztoru oo. dominikanów za kościołem Św. Jacka na Freta. Ławki na widowni zawsze są tam przepełnione przez dziecięcych widzów. Ileż tam rozkoszy, ile wzruszeń, gdy na scenie zjawia się pochód trzech króli w purpurze i w złotych koronach, aby złożyć hołd Boskiemu Dzieciątku. Jak gorąco biją młodociane serduszka, gdy śmierć goni Heroda, jakie przerażenie, gdy ścina mu głowę. Wrażenie to zostanie na całe życie. Przycmi z czasem pamięć o żelaznej kunie, a więc w tym samym klasztornym korytarzu w ścianę wbitej i do dziś zachowanej żelaznej obroży, którą przykuwano parę wieków temu wstecz za karę na długie godziny krnąbrnych braciszków.

W Trzy Króle urządzi się w domu dla swojej i znajomej zgromadzonej działwy „Migdałowego Króla“. Upiecze się wielki piernik z ukrytym w środku migdałem. Które z dzieci znajdzie w swoim kawałku ów migdał, będzie przez cały wieczór królowało korzystając z wyjątkowych zaszczytów. Toż to będzie uciechy!

Ale dosyć tego. Kupiwszy poszukiwanych sardynek i parę funtów bakalii trzeba wracać do domu, by z dziećmi przepowiedzieć z grubego czerwonego tomiku kantyczek parę tradycyjnych kolęd. Byłby to wstyd dopiero, gdyby które z dzieci przy śpiewaniu po wigilijnej wieczerzy kolęd zapomniało tekstu.

„*Bóg się rodzi —*
„*Moc truchleje —*
„*Pan Niebiosów obnażony...*

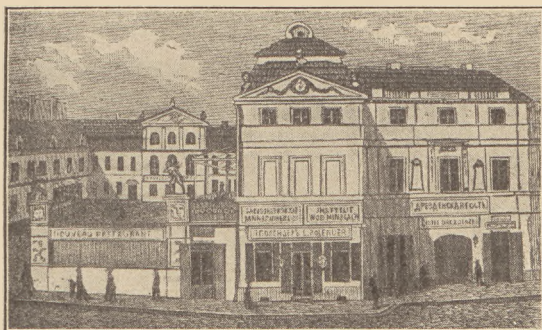
Albo

„*W żłobie leży, któż pobieży itd.*

Dosyć tych wspomnień. Łysina nie porośnie, gościec nie ustąpi młodzieńczej nóg zwinności. Tu jest cały sekret narzekania, cały sekret formuły „Dawniej było lepiej“. I dziś, i wczoraj, i jutro jest, było i będzie „jednym lepiej, innym gorzej, jak komu los życie ułoży“.

Sekret w tym, żeśmy byli o 50 lat młodszy, że pełni radości życia nie przeszłego, ale przyszłego, innymi oczyma patrzyliśmy na świat widząc go w barwach słonecznych. Sucho czy słońce, termometr zawsze grał na zwyżkę.

Pałac „Pod Czterema Wiatrami“ w końcu w. XIX z charakterystycznymi napisami rosyjskimi na szyldach sklepowych. (Z „Illustrow. Przew. po Warszawie“ na r. 1880 Gomulickiego i Szmideberga)



Z DZIEJÓW WARSZAWSKIEJ ŚLIZGAWKI

Do przeszłości należą owe trzaskające mrozy ze skrzypiącym pod nogami śniegiem, gdy to tysiące łyżwiarzy holendrowało w takt słynnego walca Waldteufła albo strausowskiego „Symplijusza“ na upstrzonych weneckimi lampionami stawach Łazienkowskich, w zacisznej kotlinie Doliny Szwajcarskiej, na Koszykowym pierniczku cyklistów lub na nie zasypanym jeszcze stawie Dynasów.

PRZED PÓLWIEKIEM

Wielką frekwencją cieszyła się przed laty ślizgawka urządzona po raz pierwszy w cyrku, wzniesionym wtedy na terenie Doliny Szwajcarskiej, należącej ongi do St. Dziechcińskiego, właściciela również słynnego hotelu Drezdeńskiego przy ul. Długiej.

Jak ów hotel niepodobny był do odnowionego w r. 1933 na siedzibę Ministerstwa Opieki Społecznej pałacu Dückerta „Pod Czterema Wiatrami“ — tak i ówczesna a popularna „Dolina“ niczym nie przypominała obecnej. Nie było wówczas owej splantowanej i wygładzonej równiny wzdłuż ulicy Szopena, którą wytknięto dopiero później. Na terenie dzisiejszej ślizgawki było wówczas kilkanaście pagórków, poprzerzynanych wąwozami. Na pagórkach tych stały drewniane pawiloniki i domki szwajcarskie z zielonymi okiennicami lub żaluzjami, za którymi odprawiały się różne misteria wśród zakochanych par szukających odosobnienia przy okazji zamówionego w miejscowej restauracji posiłku.

Zwłaszcza w symbolicznej porze szparagów, raków i kurcząt, a więc na wiosnę życie w owych chatkach wrzało. Zimą ogród pustoszał. Toteż właściciel wpadł na pomysł zbudowania na największej polance budynku cyrkowego.

DOWCIP BŁAZNA

Tutaj to w r. 1887 studenci urządzili demonstrację przeciwko słynnemu klownowi Tantiemu, który pozwolił sobie na dowcipy drażniące uczucia narodowe polskie. Obrzucili go wtedy zgniłymi jajami. Tanti, chcąc się nie tyle zrehabilitować, ile zdobyć na nowo dobre imię u publiczności i sympatię polskiego społeczeństwa, wpadł na pomysł zadrwienia z nielubianego oczywiście oberpolicmajstra von Gressera.

Wyprowadził więc w następnym programie na arenę trzy różnej wielkości świniaki i przemówił do nich mniej więcej w te słowa: „Ty jesteś mała świnią, ty jesteś *bischen grösser*, trochę większa, a ty jesteś sam *grösser* (Gresser) największa świnią“.

Widownia zatrzęsa się od oklasków, ale nie tylko Tanti naza-jutrz z rozkazu oberpolicmajstra opuścił Warszawę, lecz i zamknięto cyrk, przerywając przedstawienia.

LÓD ZBAWCA

Wówczas właściciel wpadł na pomysł urządzenia w opustoszałym budynku ślizgawki, która wkrótce stała się modną i tym bardziej odwiedzaną, że boczne ściany cyrku chroniły ślizgających się od zimna i wiatru.

Nie było wtedy mowy nie tylko o radio, ale i o patefonach, na bardziej uczęszczanych więc ślizgawkach grywały orkiestry wojskowe. Szczególniej wesoło bywało na Dynasach i na trójkątnym pierniku Towarzystwa Cyklistów na rogu ówczesnej ulicy Kaliksta i Koszykowej tuż przy Marszałkowskiej. Grywała tam orkiestra gwardyjskiego pułku ułanów, uważana za najlepszą. Tutaj odbywały się tłumne maskarady na lodzie; parę jednak zabaw kostiumowych odbywało się w sezonie również w cyrku i na Dynasach.

Skromniejsze ślizgawki, przeważnie uczęszczane przez dziatwę i młodzież były w Saskim Ogrodzie, w ogródku na Foxalu, zanim jeszcze zrobiono tu ulicę, a po zburzeniu zabudowań dawnego szpitala Dzieciątka Jezus i po rozplanowaniu na jego terenie nowych ulic również na trójkątnym placu u zbiegu ulic: Jasnej, Zgody, Złotej i Boduena.

ZAWODY ŁYŻWIARSKIE

Na długo przed dzisiejszym rozwojem sportów zimowych już na tych skromnych terenach lodowych odbywały się różne zawody, przeważnie wyścigi łyżwiarskie. I te nie były pierwsze w Warszawie, gdyż jeszcze przed stu laty w gazetach warszawskich znajdujemy notatki, że „tak w Powązkach, jak pod Marymontem amatorowie odbędą kursa na łyżwach o zakład. W tych dniach prawie wszystkie łyżwy będące w sklepach żelaznych rozkupiono“.

W dziesięć lat później, bo w r. 1845 używali warszawianie ślizgawki specjalnie urządzonej w Izabelinie, należącym do dawnych Powązek księżny Izabeli Czartoryskiej. „Na tę zabawę licznie przybywają warszawianie, zwłaszcza, że w przyległych pokojach dostać można różnych posiłków potrawowych i napojowych“ — pisze sprawozdawca gazety ówczesnej.

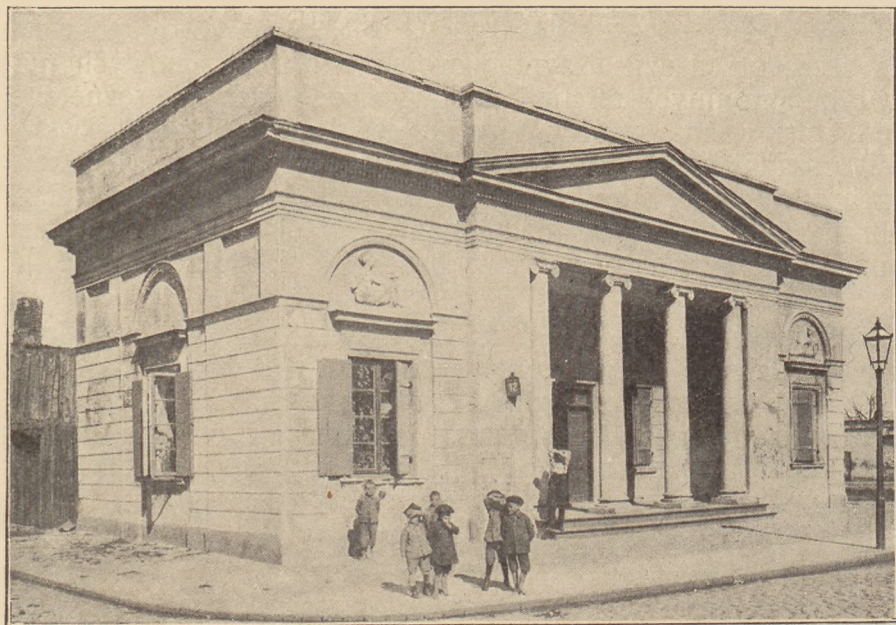
PIERWSZE WYŚCIGI

Najpierwsze jednak co do czasu zawody w Warszawie, a zapewne i w Polsce, odbyły się za panowania Augusta III Sasa, bo w roku 1755, kiedy to:

„Wisła całkowicie okryła się lodem. Król dla urozmaicenia zimowych zabaw kazał urządzić drogę ślizgawkową od Saskiej Kępy do Solca i polecił, aby młodzież dworska odbywała na łyżwach wyścigi, wyznaczając 200 tynfów nagrody temu, kto naprzód doślizgnie się do mety, oznaczonej chorągwią. Jakież było zdziwienie, gdy co dzień prawie, przez cały tydzień, wszystkich ślizgających prześcigała jedna z garderobianych dworu królowej (Marii Józefy), a zatem co dzień otrzymywała nagrodę, co przez tydzień wyniosło 1.000 tynfów. Ta garderobiana nazywała się Szarlotka.

„Ostatniego dnia ślizgawki między ślizgającymi się i goniącymi Szarlotkę był jeden z kamerdynerów królewskich, młody, przystojny i powszechnie lubiany; już prawie dościgał Szarlotkę, lecz upadł i złamał rękę.

„Szarlotka bardzo martwiła się tym przypadkiem i oświadczyła, że owemu kalece odstępuje całą nagrodę otrzymaną za wyścigi. Król dowiedziawszy się o tym oświadczył, że da znaczny posag Szarlotce, a kalece przeznaczy dożywotnią pensję, jeżeli ta para połączona zostanie węzłem małżeńskim.

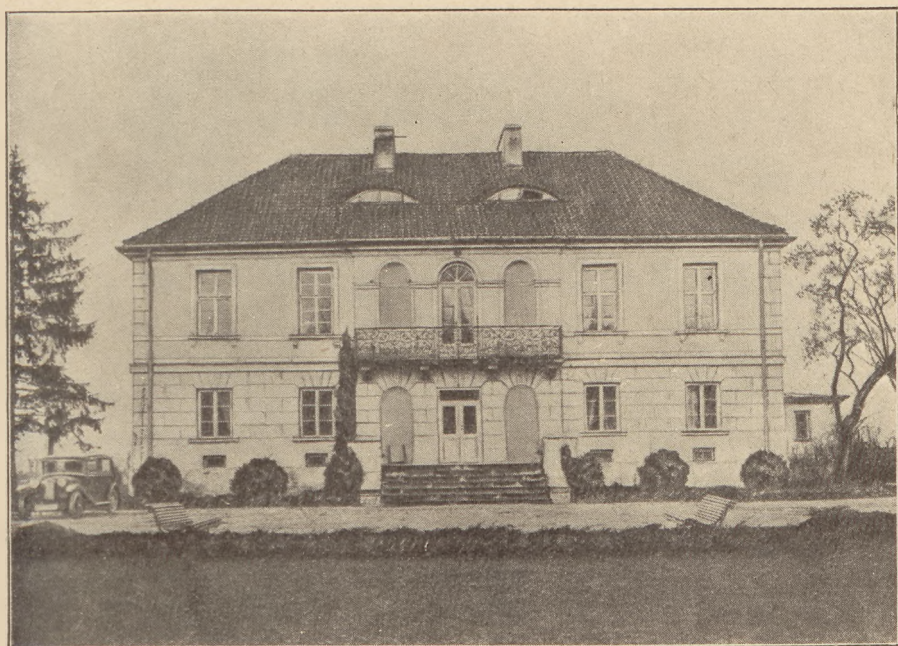


Budynek rogatki grochowskiej z r. 1823 — proj. Jakuba Kubickiego

NA PRAWYM BRZEGU WISŁY

KAMIONEK I GROCHÓW. Mijając dawne rogatki grochowskie zwracamy uwagę na dwa stylowe pawiloniki wzniesione, jak i wszystkie inne rogatki warszawskie, w roku 1823 według projektów arch. Jakuba Kubickiego (zm. 1833 r.), twórcy pałacu Belwederskiego w dzisiejszej formie, gmachu giełdy przy ul. Królewskiej, cerkwi na Podwalu, wreszcie projektu niewykonanego kościoła Opatrzności w ogrodzie Botanicznym na pamiątkę uchwalenia konstytucji 3. maja.

Tuż za nimi uderzy naszą uwagę wielki gmach nowego kościoła Bożego Ciała na Kamionku w nowoczesnym stylu. Staje on



„Pamiętkowy“ pałacyk jakoby z r. 1831 w Grochowie

na gruntach cmentarza, na którym pochowano w r. 1831 wielu poległych przy obronie Warszawy, a wcześniej jeszcze liczne ofiary suworowskiej rzezi Pragi w r. 1794. Wtedy to przy obronie pozycji na Kamionku zginął bohaterski generał Jakub Jasiński odpowiadając na wezwanie do poddania: „Polak umiera, ale się nie poddaje“! Tutaj wraz z innymi pochowany ten bohater, wojak i poeta, autor popularnej piosenki „Chciało się Zosi jagódek...“ ma przed kościołem pośrodku kwietnika pamiętkową tablicę.

Dalej dążąc ulicą Grochowską, pełną domków drewnianych i niewielkich murowanek, których monotonię urozmaica kilka potężnych gmachów fabrycznych oraz rozległy kompleks budynków Wydziału Weterynaryjnego Uniwersytetu Warszawskiego, mijamy cmentarz starowierców — z prawej, a żelazny nie opodał obelisk z lewej strony drogi. Jest to znak ukończenia szosy w r. 1821. Nie są to żadne pamiątki, choć zatrzymują oko przechodnia.



Ludwik Solski w roli starego wiarusa z „Warszawianki“ (pastel St. Wyspiańskiego z r. 1904)

OLSZYNKA — ROK 1831. Ale pójdźmy dalej, a znajdziemy drogich wspomnień kaplicę. Jest ona ukryta skromnie przed wzrokiem nieświadomego warszawianina, który wie o rozegranej w dniu 25 lutego r. 1831 bitwie grochowskiej, słyszał o Olszynie, widział nieraz na obrazku wśród walczących czwartaków generała w cylindrze i długim biedermajerowskim surducie, na koniu, z olimpijskim spokojem obserwującego przebieg krwawej bitwy — ale nie przeczuwa, że właśnie teraz stąpa po ziemi, krwią ówczesnych bohaterów przesiąklej, że tu właśnie, w pobliżu rozegrała się owa tragedia dziejowa, a właściwie jeden z jej aktów.

Tu wzdłuż ul. Grochowskiej, między ulicami Bitwy Grochowskiej a Kwatery Głównej ciągnie się kilkumorgowy park z pałacykiem pośrodku. Domek ten piętrowy, o szerokości 5 okien, korzysta z niezasłużonej sławy. Tuła się bowiem, zwłaszcza wśród mieszkańców Grochowa, legenda, jakoby był kwaterą główną, siedzibą sztabu naszych wojsk w dniu bitwy grochowskiej. Tu miano przygotowywać plany operacyjne, o jego mury obijały

się jakoby echa huku dział, których pociski do tej pory dekorują zewnętrzne ściany domu.

Nic podobnego! Pałacyk ten w roku 1831 jeszcze nie istniał, a z drewnianych dworców Grochowa, zajmowanych przez wojsko polskie nie ma dziś śladu. Ale wewnątrz tego pałacyku, opatrzonego dziś w nr 159—163, rozgrywa się według legendy scena „Warszawianki“ Wyspiańskiego. Tu w tym saloniku pierwszego piętra, gdzie dziś wiszą na ścianach portrety wodzów i obrazy bitwy, śpiewają jakoby Anna i Maria przy klawikordzie:

*„Oto dziś dzień krwi i chwały,
Oby dniem wskrzeszenia był;
W gwiazdę Polski Orzeł Biały
patrząc, lot swój w niebo wzbił,
a nadzieją podniecany,
woła na nas ze wszech stron:
— Powstań, Polsko, skrusz kajdany,
Dziś twój tryumf albo zgon!“*

Nie tylko więc jako wielkiego twórcę „Akropolisu“ i „Wyzwolenia“, ale i jako stwórcę potężnego witrażu „Stań się Polsko!“ u krakowskich franciszkanów natchnął Wyspiańskiego moment bitwy grochowskiej.

KARCZMA BATOREGO. Po drodze do Wawra, pięknego dziś letniska w lesie, a na którego polach również w r. 1831 rozegrały się dwie zwycięskie dla nas bitwy 19 lutego i 31 marca, stoi z lewej strony drogi, choć w ostatnich czasach rozbudowana, ale jeszcze utrzymana w charakterze XVI stulecia karczma murowana z zajazdem, w której według podania nocował Stefan Batory idąc z wojskiem pod Psków. „*Se non e vero, e ben trovato*“.

Od Wawra rozpoczyna się szereg letnisk, jak Anin, Międzylesie do niedawna wdzięcznie zwane Kaczym Dołem, Radość, Międzeszyn, Falenica, Michalin, Józefów, szczególnie malowniczy Świder, wreszcie Otwock.

OTWOCK. Któż nie zna Otwocka? Jak na lewym brzegu Wisły wie każde dziecko warszawskie o Wilanowie, tak na praskiej stronie znane są: Jabłonna w dole rzeki, a Otwock w górze od Warszawy.



Widok wewnętrzny Kościoła Najcz. Serca Marii na Grochowie. Proj. arch. G. A. Boni

Otwock, do niedawna osada, dziś miasto-leśniczka z własnym magistratem i setkami wygodnych, zdrowotnych wili, z uwagi na piaszczyste i suche, wśród lasów szpilkowych położenie, rozwinęło się, jako najbliższa stolicy miejscowość uzdrowska dla chorych piersiowych.

Toteż stoi wzniesione dla nich przez m. st. Warszawę pierwszorzędne Sanatorium Miejskie, imponujące nie tylko gigantycznymi rozmiarami, ale i urządzeniami wewnętrznymi, mogącymi konkurować z renomowanymi sanatoriami zagranicznymi.

Inny gmach okazały o pięknych schodach tarasowych i frontonie, opartym na kolumnach — to świątynia rozrywki i zabawy: Kasyno Otwockie. Otwock, jak i wszystkie poprzednio wymienione letniska od Wawra począwszy, jest połączony ze stolicą zarówno normalną koleją w kierunku na Dęblin, jak i kolejką dojazdową Jabłonna—Wawer, odchodzącą ze stacji „Most“ pod mostem Kierbedzia po stronie Pragi.

STARY OTWOCK. Jeśli chodzi o pamiątki, to nie w Nowym Otwocku, a więc wspomnianym uzdrowsku ich szukać, ale w odległym odeń o 8 kilometrów Starym albo Wielkim Otwocku. Chcąc się tam dostać trzeba dojechać do krańcowej stacji tej samej kolejki, a więc do leżącego za Nowym Otwockiem Karczewa, skąd już tylko 4 km dzieli nas od dawnej letniej siedziby Franciszka Bielińskiego, od r. 1742 do 1766 marszałka wielkiego koronnego. Do tej pory stoją tu na wyspie wśród wielkich stawów ruiny pałacu, wzniesionego w końcu XVII wieku

przez marszałka w. kor. Ludwika Kazimierza Bielińskiego, ojca marszałka Franciszka.

Pałac otwocki świetność swoją zawdzięczał Franciszkowi, założycielowi położonej w sąsiedztwie ogrodu Saskiego i nazwanej od niego ulicy Marszałkowskiej, jurydyki Bielin. Tu, zakładając w r. 1737 ową jurydykę, zbudował Franciszek Bieliński wyjątkowo piękny, rokokowy, ku Końskiemu Targowi naówczas a potem do ulicy Królewskiej frontem zwrócony nieistniejący dziś pałac.

Pałac ten dotykał tyłami do ogrodu zabaw „Tivoli“, znajdującego się w połowie XIX wieku przy dzisiejszej ulicy Kredytowej nr 12 i 14, a przed tym w w. XVIII do mieszczącego się przy późniejszym Zielonym placu (a dziś placu Dąbrowskiego) tzw. „Pociejowa“. Tu bowiem z ul. Senatorskiej przeniesiono pierwotnie ten żydowski targ starzyzną, zanim umieszczono go ostatecznie na Bagnie.

Warszawski pałac Bielińskich przy ul. Królewskiej, od owych dóbr zawiślańskich zwany „Na Otwockiem“, zburzono ostatecznie na przełomie XIX i XX wieku pod budowę kamienic nr 27 i 29-A. Domy te, nawiasem mówiąc, zbudował arch. Karol Kozłowski, ten sam, który wznosił gmach panoramy na Karowej (1897), Filharmonię (1902) i panoramę na Dynasach. Na powrotnej drodze z Otwocka do stacji Most pociąg będzie mijał rozległe błonia Saskiej Kępy.

SASKA KĘPA. Po części już zabudowana estetycznymi domkami bądź w klasycznym, bądź w nowoczesnym stylu, z szeregiem już wytkniętych ulic, jeszcze dziś pełna jest zieloności, ogrodów kwiatowych i owocowych. W porze kwitnienia drzew owocowych jest najbardziej czarująca. Nigdzie nie ma tyle słowików w maju, co tu, nigdzie nie występuje tak pięknie czar wiosny.

Często jednak Kępa ta pokrywa się mgłami, od których nie jest wolny i leżący tu park Skaryszewski, obecnie im. Paderewskiego, z pomnikiem płka Housa i pięknymi rzeźbami Bierneckiego, Jackowskiego i in.

Wilgoć ta tłumaczy się niskim położeniem i tym, że Saska Kępa oderwana została w początku XV wieku od wsi Solec przez Wisłę, która zmieniła koryto płynąc dawniej przez dzisiejsze jezioro Kamionkowskie, a później po wielkim wy-

lewie wiosennym obierając teraźniejsze mniej więcej łożysko. Stąd zwana Kępą, pierwotnie Solecką albo Kawczą. Na początku XVII wieku osiedlili się tu wychodźcy holenderscy, prześladowani w ojczyźnie i od tej pory Kępę zwano „Olendry“. Wreszcie nazwano ją „Saską“ od chwili, gdy stąd atakowały stolicę wojska saskie Augusta II w walce o tron z Leszczyńskim. Wreszcie, jak chwilowy właściciel w końcu XVII stulecia królewicz Jakób Sobieski, tak obaj królowie Sasi wyprawiali tu huczne zabawy. August II w r. 1735 wziął ją od magistratu w 30-letnią dzierżawę, w wieczystą zaś oddał ją magistrat w r. 1806 rodzinie Habelmanów, którzy rozprzedali grunty drobnym kolonistom. Ci założyli tu restauracje, piwiarnie, kregielnie, huśtawki i karuzele, które do wojny cieszyły się powodzeniem. Takich „knajp“ było tam aż 23, dziś należą one do przeszłości. Kępa stała się piękną dzielnicą willową. Jeśli wybierzemy się tą samą kolejką od st. Most brzegiem Wisły z jej biegiem, ku północy, to mijając osady podmiejskie leżące przy szosie, którą biegnie kolejka, osady mające stare karczmy i nowe „kawiarnie“, jak: „Gołędzinów“, Pelcowizna, Żerań, Piekiełko, Wiśniewo, Henryków, Dąbrówka, Buków i Buchnik — przybędziemy do Jabłonny. Po drodze jednak zawadzimy o niewielką posiadłość, ale ciekawą.

TARCHOMIN. Tarchomin odległy o 8 kilometrów od Warszawy posiada kościół, wzniesiony w r. 1583 przez Ossolińskich oraz ładny dworek w stylu cesarstwa z dachem podwójnie łamanym i z gankiem, opartym na czterech filarach. Dworek ten postawił sobie podług planów Antoniego Corazziego, minister Królestwa Kongresowego Tadeusz Mostowski, który tu przemieszkiwał.

JABŁONNA. Jeszcze o 8 km dalej dojeżdżamy do Jabłonny, miejscowości, niegdyś należącej do biskupów płockich a potem do ostatniego prymasa Polski przedrozbiorowej Michała Poniatowskiego, brata królewskiego, który w r. 1778 wystawił tu piękny pałacyk, powierzwszy budowę Dominikowi Merliniemu. Ten nie korygowany przez króla wznosił tu pałacyk niewielki, będący wytworem jego własnej, ściśle osobistej inwencji architektonicznej, skłonnej do wielu odchyień od zasad klasykistycznych i nie wolnej od wpływów baroku.

Pałacyk ten, położony w pięknym nadwiślańskim parku zamieszkiwał przez pewien czas po tragicznej śmierci stryja książę Józef Poniatowski, po którym pozostało tu do dziś wiele pamiątek, zwłaszcza w urządzeniu wnętrza. Z całą delikatnością nie daje wiary ich autentyczności Alfr. Lauterbach, pisząc, że urządzenie wnętrza, jako pamiątka po bohaterze narodowym przechowywane z pietyzmem, „odnosi się poważnie do późniejszego czasu“.

Dziś Jabłonna należy do hr. Maurycego Potockiego, do którego rodziny przeszła drogą spadku.



Procesja Bożego Ciała według rys. M. E. Andriolliego (1836—1893)

W BOŻE CIAŁO

Kiedy Konrad II, „udzielne na Czersku książę Mazowieckie“, rozpoczął w r. 1382 na stromym brzegu warszawskim budowę bezpieczniejszego od Jazdowa kasztelu i opodal zamku gród założyć zamierzył, o święcie Bożego Ciała jeszcze w Polsce nie wiadano. Wprawdzie zaprowadził je już w r. 1226 biskup Robert Torot w diecezji Leodyjskiej (Liège), a nuncjusz apostolski, kardynał Hugo, na całą Belgię to święto rozszerzył, to jednak papież Urban IV zmarł, zanim zdążył odpowiednią

bullę ogłosić. Uczynił to dopiero jego następca Klemens V (Betrand de Gotte) na soborze w Vienne rozszerzając obchód Bożego Ciała na wszystkie kraje katolickie. Było to w r. 1311, w czasie pobytu papieża w Avinionie.

Od tej pory więc i w Polsce przodującej zawsze chrześcijaństwu, acz bez kastylskiego fanatyzmu, święto to bywa obchodzone z niezwykłą okazałością, a w Krakowie i Warszawie z udziałem w procesji królewskiego dworu, monarchy i dostojników państwa. W Krakowie król Kazimierz Wielki na gruncie wsi Bawół funduje dla oo. augustyanów kościół Bożego Ciała (r. 1397), z którego najwspanialsze wychodzą procesje. Znany jest obraz Matejki „Wyjście procesji Bożego Ciała z kościoła św. Barbary“.

W Warszawie z początku wieku XVII wychodzi uroczysta procesja z kościoła św. Jana na rynek Starego Miasta. Na czas procesji zaprzestaje się w bramach podratuszowych wyszynku miodów i piątkowskiego piwa. W procesji również uczestniczy król, purpuraci, senatorowie, hetmani obecni w stolicy i szlachta tudzież patrycjusze miejscy i lud. Wojsko czyni honory. Biją bębny i kotły, a odgłos kościelnych dzwonów daleko wybiega za Wisłę. W organizacji procesji duży udział biorą cechy rzemieślnicze.

Ołtarze wznoszone są przez lat pół tysiąca na rynku Miasta Starej Warszawy, z czterech stron stojącego pośrodku ratusza. Jedną z procesji Bożego Ciała w Warszawie, odbytą z udziałem Imć Króla Jegomości Jana III w dwa lata po wiktorii wiedeńskiej malowniczo opisuje Or-Ot w wierszu pt. „Boże Ciało“ r. 1685“:

*„Za kapłanem blask niezmierny
By girlanda łśni tęczowa:
Król jegomość prawowierny,
Królewiecią i królowa
Wraz jaśniejąc jako różę
Dworskie damy i panienki
Suną w bieli i lazurze
Za śladami Marysieńki“.*

Miedzy nimi, opisuje poeta: i kanclerze i hetmany, siwobrode senatory, wojewody, kasztelany...

Dopiero w r. 1818 po przeniesieniu ratusza ze Starego Miasta do pałacu Jabłonowskich, tj. w dzisiejsze miejsce i po odsłonię-

ciu zamku i utworzeniu przed nim placu przez zburzenie stojących na nim budynków stojennych, zaczęto ołtarze ustawiać na placu Bernardyńskim. Wychodziła do nich procesja przez 2 lata od fary przez stojącą u rogu Podwala bramę Krakowską, a po jej ostatecznym zburzeniu wprost placem Zamkowym do ołtarzy, ustawionych przed kościołem oo. bernardynów, kamienicą Wasilewskiego, kamienicą „Na Wałach“ i kościołem św. Klary.

Dwa z ostatnich gmachów już nie egzystują. Kościół św. Klary rozebrano w r. 1843 pod budowę zjazdu Pancera, kamienicę Wasilewskiego w r. 1867, a dawną kamienicę Słuszków („Na Wałach“) przy otwarciu wylotu ul. Miodowej przebudowano.

Zmieniła się więc radykalnie powierzchowność tej dzielnicy miasta: rynku, placu Zamkowego i Krakowskiego Przedmieścia. Nie zmienił się tylko obchód Bożego Ciała. Dziś, jak przed stu laty:

*Pieśnią dzwonów gród brzmi stary
I we łzach się korzy cały. —
Oto z jasnej głębi fary
Płynie orszak przewspaniały. (Or-Ot).*

To procesja, którą celebrował najwyższy duchowny dostojnik stolicy. Wśród tysięcy otaczającego ją ludu posuwa się majestatycznie orszak, długie szeregi pańien w bieli, dzieci sypiące kwiaty, chorągwie bractw, feretrony, różnobarwne sztandary cechów. Za baldachimem przedstawiciele rządu, władz miejskich, wojska, obywatelstwa, wśród chóru dzwonków ministranckich i bicia w kotły starodawnym zwyczajem.

Ostatnia w wieku XVIII procesja z chwilowym na krótko udziałem króla Stanisława Augusta odbyła się w r. 1794, ale już bez senatorów i hetmanów, częściowo wywieszanych w krwawych wypadkach kwietniowych i majowych na szubienicach, wzniesionych przed kościołem oo. bernardynów w miejscu tak pięknie kwieciami i dywanami w Boże Ciało przybranych ołtarzy.

Teraz znów od roku 1918 przesuwają się tędy pochód bardziej uroczysty, w którym również w ślad za Majestatem Boskim, ukrytym w Przenajświętszym Sakramencie, biorą udział dostojnicy odrodzonej, niepodległej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

W okresie między dwoma wspomnianymi okresami, a więc na przestrzeni wieku XIX nie zawsze odbywały się w Warszawie procesje publiczne na ulicach. Były lata np. podczas powstania styczniowego, że z tych czy innych względów szukano pretekstu do uniknięcia bardziej tłumných zebrań na ulicach Warszawy. Przeważnie chodziło tu o bezpieczeństwo, zwłaszcza że nieraz strzelano do procesji lub konduktów pogrzebowych w razie nawet tylko pozornej demonstracji.

W r. 1864 w dzień Bożego Ciała odbyły się procesje wewnątrz kościołów. W nr 119 ówczesnego „Dziennika Powszechnego“ (organ Al. Wielopolskiego) czytamy:

„Z powodu obawy niepogody procesja z kościoła Św. Jana nie mogła się odbyć na ulicy, lecz miała tylko miejsce w kościele i przygotowane już ołtarze na Krakowskim Przedmieściu rozebrano“.

Skorzystano więc chętnie z okazji, choć istotnie pogoda piękna nie była, skoro, jak zanotowano dalej pod tą samą datą „termometr wskazywał tylko 5 stopni ciepła“.

Na procesji w katedrze celebrował wówczas ks. biskup nominat Rzewuski, sufragan warszawski; prowadził go: radca tajny Łaszczyński i dyrektor główny komisji rządowej przychodów i skarbu Bagniewski przy asystencji prezydenta miasta, słynnego generała-majora Kaliksta Witkowskiego.

Ewangelie przy czterech ołtarzach odśpiewali wtedy księża kanonicy: Domagalski, Kondracki, Szczygielski i Sotkiewicz—późniejszy biskup.

Tak bywało i bywa w Boże Ciało w Warszawie.

Tu mała dygresja. Czym się ów Witkowski wsławił? Oto uwiecznieniem swego nazwiska oraz imienia w nazwie placu Witkowskiego (obecnie Kazimierza Wielkiego) i ulicy Kaliksta (teraz Śniadeckich), potem wzniesieniem w Saskim Ogrodzie kopca z wodozbiorem w formie świątyni z Tivoli (według projektu H. Marconiego) z ziemi wykopanej z sadzawki, za co raz i drugi pobrał pieniądze: raz za wywózkę, drugi raz za zwózkę.

LOTY BALONOWE W WARSZAWIE

Początek żeglugi powietrznej wiązano z nazwiskiem francuskich fabrykantów papieru z Annondey, braci Montgolfierów, oraz Franciszka Blancharda, który pierwszy objechał ze swym balonem Europę. Jednak nie można pominąć, że i tu Polska, jak w wielu innych wypadkach, wyprzedziła Zachód. Zaczęło się to w Krakowie, poczem przyszła kolej na Warszawę. Pierwszy lot Montgolfierów odbył się dopiero w r. 1783, a o 130 lat wcześniej, bo za Władysława IV, Łukasz Piotrowski, szlachcic podlaski, podczas przedstawienia w bursie Nowodworskiej „z przedmieścia Retoryka zwanego na teatrum przez dach przeleciał i po odprawionej scenie z powrotem na swoje odleciał miejsce“... I dziś Polacy, potomkowie tego protoplasty, w zawodach o puchar Gordon-Benneta szeroko po świecie roznoszą sławę polskiego imienia.

Wracając do Montgolfierów, rozpoczęli oni w dniu 5 kwietnia 1783 r. swe loty próbne, z myślą użycia balonu do celów wojennych, mianowicie dla zdobycia Gibraltaru. Balon ich napęnlony był ogrzanym powietrzem. Takich samych balonów używali inni aeronauci: Blanchard, Biot, Romain i Jean Fr. Pilâtre de Rozier, który w r. 1785 utonął, pragnąc przebyć balonem kanał La Manche.

Zdobycie kanału drogą powietrzną udało się dopiero Fr. Blanchardowi (na 130 lat przed Bleriotem), dzięki pomysłowi fizyka Aleksandra Charlesa, który pierwszy napęnlął balon wodorem.

Polska jednak w rozwoju aeronautyki, powtarzamy, nie zostaje w tyle i w wieku XVIII Okraszewski — chemik Stanisława Augusta, odlatuje w r. 1786 z tarasu zamkowego w Warszawie balonem z kitajki i opada pod Okuniewem, w pobliżu Mińska Mazowieckiego. Fakt ten zanotowany jest w znanym rękopisie Antoniego Magiera.

W ostatnich latach XVIII w. dokonywał wzlotów ławnik Miasta Starej Warszawy Jan Gidelski.

Zajmowali się aeronautyką bardziej teoretycznie niżeli praktycznie również dwaj Potoccy: Jan, słynny podróżnik i uczony oraz jego szwagier, Ignacy Potocki.

Blanchard niejednokrotnie odwiedzał Warszawę. Między innymi w r. 1790 wznosił się z ogrodu bankiera Fryd. Kabryta, urządzonego do zabaw i widowisk pod nazwą „Vauxhalle“ przy Nowym Świecie na wprost ul. Chmielnej przez faworyta królewskiego Fr. Ryxa. Balon opadł wtedy pod Jabłonną, przy czym aeronauta wyrzucił ze spadochronem psa, który szczęśliwie wylądował.

W r. 1806 wzleciał z tegoż późniejszego Foksalu Jordaki Kupa-renko, Mołdawianin, który opadł w ogrodzie przy ul. Królewskiej nr 13.

W r. 1809 wzleciał na Foksalu aeronauta angielski Robertson.

W r. 1812 Francuz Lenoir z podwórza pałacu Branickich przy ul. Miodowej (dziś nr 6) próbował również nieudanego wzlotu, jak potem inny Francuz Michaux w r. 1816 z Saskiego Dziedzińca (obecnie plac Marszałka Piłsudskiego).

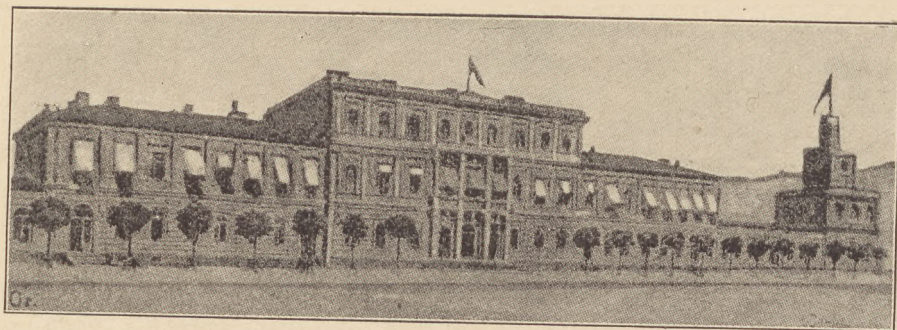
W r. 1817 puszczał się balonem z Foksalu dwa razy Saksończyk Richard, który raz opadł pod Wołominem, potem w parku Frascatti.

Wreszcie w r. 1832 popisywała się ze spadochronem Eliza Garnerin, która wzleciała balonem z Saskiego Ogrodu, a spadła ze spadochronem w Alejach Jerozolimskich między Bracką a Nowym Światem łamiąc rękę. Od r. 1832 bodaj, że przez lat z górą 40, Warszawa balonów nie widziała.

Dopiero w r. 1874 przyjeżdża aeronauta Bunel, z którym wzleciał dziennikarz Fryze, a w dziewiątym dziesiątku XIX w. sensację wywołuje swymi kilkakrotnymi wzlotami z Ogrodu Saskiego, Doliny Szwajcarskiej, placu Ujazdowskiego i pola Mokotowskiego Leona Dare, trzymająca się zębami trapezu zawieszonego pod balonem, bez kosza i łódki.

Wkrótce po niej podobnych eksperymentów dokonywa warszawianin Miłosz, który się „puszczał“ z Alei Ujazdowskich, to znów z pola Mokotowskiego.

Wreszcie w okresie lat 1903—1907 często urządzał pokazy balonowe na Mokotowie lub w parku na Pradze Niemiec, reżyser, a potem i zięć Aleksandra Weltzmana, właściciela kabaretu „Aleksandryna“, Ernest Vitollo. Sensacją było wtedy jeszcze, że odważył się wzorem Fryzego wzlecieć z aeronautą w obłoki drugi dziennikarz, Józef Sobieszczański.



Zburzony pod budowę centralnego dworca kolejowego — pierwotny dworzec kolei warszawsko-wiedeńskiej, otwarty w r. 1844 według ówczesnego rysunku posiadanego przez autora

PIERWSZY DWORZEC KOLEJOWY W WARSZAWIE

Stary rozebrany już dworzec kolei Warszawsko-Wiedeńskiej przy ul. Marszałkowskiej wysłużył się Warszawie lat niemal setkę.

Budowę jego rozpoczęto w r. 1845 według planów arch. Henryka Marconiego na placach będących własnością Ogińskiego, hetmana wielkiego litewskiego.

Róg Alei Jerozolimskiej i ul. Marszałkowskiej tak mało jest podobny do swego widoku w chwili otwarcia ruchu na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, iż żaden z dawnych mieszkańców Warszawy nie poznałby tego punktu.

Jeszcze bowiem na początku XIX w. okolice dworca przedstawiały bagniska, których wody zasilaly strumienie, biegnące ówczesną ulicą Żurawinową (Żurawią) i wąwozem ulicy Książęcej. Na rogu Książęcej i Nowego Świata stał most na muryowanych fundamentach, długości 40 łokci, a 26 łokci szeroki. Okolice dzisiejszej ul. Brackiej i Chmielnej były mokrym pastwiskiem po b. chmielniku książąt mazowieckich.

Za księstwa mazowieckiego wszystkie grunty, wtedy oczywiście niezabudowane, od Nowego Światu przez dzisiejsze Al. Jerozolimskie, ul. Bracką i Marszałkowską aż do b. rogatek stanowiły role nadane przez księcia Bolesława w XV w. rajcy warszawskiemu Janowi Bieniaszowi. Z biegiem lat role te zmieniały właścicieli. Na jednej ich części po usunięciu Żydów z Miasta Starej Warszawy w w. XVIII książę Sułkowski założył dla nich Nową Jerozolimę. Około r. 1821 wytknięto tedy ulicę pod nazwą Alei Jerozolimskich. Na innej części roli Bieniaszów powstała długa ulica Widok, ciągnąca się aż ku dzisiejszej ul. Żelaznej.

Część ul. Widok, za Marszałkowską, zajęta została następnie pod kolej Warszawsko-Wiedeńską.

Charakterystyczne jest, że głównym rzecznikiem i inicjatorem kolei tej był niestrudzony pionier naszego przemysłu i finansista warszawski Piotr Steinkeller.

Steinkeller za zgodą władz krajowych i centralnych w Petersburgu założył w r. 1830 towarzystwo akcyjne z kapitałem 21 milionów złotych polskich w 5 tysiącach akcji, dla budowy kolei z Warszawy przez Skierniewice do Oświęcimia, dla połączenia z Wiedniem.

Nie sprzedano jednak wtedy wszystkich akcji i towarzystwo rozwiązano wstrzymując rozpoczętą budowę.

W roku jednak 1842, po otrzymaniu pomocy rządowej, budowę wznowiono otwierając w dniu 14 czerwca 1845 r. pierwszą linię do Grodziska, a potem stopniowo coraz dalej, do Skierniewic, Piotrkowa, Częstochowy, Żąbkowic, wreszcie w roku 1847 do wsi Maczki, którą nazwano „Granica“. Równocześnie zbudowano bocznice ze Skierniewic do Łowicza. Od Łowicza do ówczesnej granicy pruskiej tak zwaną linię bydgoską jednotorową otwarto dopiero po 18 latach, a więc w r. 1865.

Kolej W. W. szybko się rozbudowywała i zajmowała coraz większe tereny na remizy, warsztaty, budynki stacyjne itd. Tak więc w r. 1912, kiedy obszar m. Warszawy wynosił 3,273 hektary, a razem z przedmieściami 3,880 ha, czyli 6,929 morgów, kolej Warszawsko-Wiedeńska zajmowała w granicach miasta aż 56 ha, czyli 100 morgów.

W związku ze zburzeniem starego dworca przy ul. Marszałkowskiej warto przypomnieć, że projekt zniesienia go i zastąpienia nowym powstał w r. 1891, w którym rozpisano pierwszy konkurs.

Na konkursie tym odznaczone zostały pierwszą nagrodą projekty: arch. Edwarda Goldberga, drugą — arch. Józefa Husa, trzecią — inż. Wład. Kozłowskiego, wszystkich dziś już nieżyjących. Do wykonania wybrano projekt Husa, przerobiony wspólnie z inż. Stefanem Zielińskim. Budowa jednak nie doszła do skutku. Rząd rosyjski przez ćwierć wieku nie mógł się na nią zdobyć — dopiero rządowi niepodległej Polski po kilkunastu latach istnienia zbudować dworzec centralny przypadło w udziale.



K O N I E C



SPIS ROZDZIAŁÓW

Zamiast wstępu	5
Pod kolumną Zygmunta	16
Stolica w legendzie i baśni	24
Złota kaczka na Tamce	28
Spacer po Starym Mieście	32
„Mansjonaria“ — kamienica Kościelskich	40
Ratusz na placu Teatralnym	44
Dwanaście ratuszów Warszawy	48
Resztki murów obronnych	53
Ulica Rycerska	57
Szeroki Dunaj	58
Zamurowane uliczki Starej Warszawy	60
Okolice placu Krasińskich	67
Ulica Króla Alberta I	70
Zaniechane symbole i godła handlowe	73
Statua Madonny Passawskiej	77
Hulaj dusza bez kontusza!	81
Gdzie i jak pito w dawnej Warszawie	88
W małej cichej kawiarence	95
Kawiarnia „Honoratka“ — kuźnia powstania listopadowego	106
„Szalone dni“ ku czci Bachusa i Wenery	109
Jak szalała dawna Warszawa w Sylwestra	113
Warszawski karnawał dziś a przed laty	119
Maskarady i reduty karnawałowe	124
Nieco z dziejów teatrów w Warszawie	128
„Kwiecisty i wonny maj!“	134
Dzień 8 maja w Warszawie	139
3 maja na przełomie wieków XIX—XX	143
Pankracy — Serwacy — Bonifacy	147
Dzień jarmarków wełnianych	150
Ogród Saski	153
Arsenał na Długiej	159
Warszawskie mosty westchnień	165
Znasz-li ten kraj	171
Pożary w Warszawie i warszawska straż ogniowa	176
W. T. C. na Dynasach	182
Karocą w 4 niedźwiedzie do króla	185
Tajemnice „Pałacu Lucypera“	190
Najwyższe gmachy w Warszawie	194
Kartka z dziejów Alei Ujazdowskich	200

Święto Wisły	206
Powódzie w Warszawie	210
Epsom a Mokotów	217
Zielone zapusty	220
Warszawa w Zielone Świątki	223
Skąd się wzięły w Warszawie Hale Mirowskie	227
Powiśle — jakiego nie znamy	230
Przelotem przez okolice Warszawy	236
Od Mokotowa do Czerska	242
Mokotów i park Szustra	247
W złocistej szacie jesieni	252
Dawne cmentarze warszawskie	256
Miliony mogił i krzyżów	261
Dziadowskie bale	263
Dwa bieguny zadusznych rozmyślań	267
Zapomniany grób na Pradze	271
Jak piękna warszawianka uciekła z „tamtego świata“	272
Szosa zakroczymską	280
Ku zachodniej patrzę stronie	286
Gwiazdka w r. 1885	291
Z dziejów warszawskiej ślizgawki	295
Na prawym brzegu Wisły	298
W Boże Ciało	306
Loty balonowe w Warszawie	310
Pierwszy dworzec kolejowy w Warszawie	312

Nie pożyczaj się do domu

BIBLIOTEKA
UNIwersytecka
Gdańsk

11038